

*Autor  
bestsellerów*  
**THE  
KILLING**

**DAVID HEWSON**  
**NIEWŁAŚCIWA  
DZIEWCZYNNKA**



**DAVID HEWSON**

**NIEWŁĄSCIWA  
DZIEWCZYNKA**

Przełożyła  
EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

David Hewson w Wydawnictwie Marginesy

Tytuł oryginału: THE WRONG GIRL

Przekład: EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN

Redakcja: ANNA KUBALSKA

Korekta: DOROTA KOMAN, DOROTA KRAJEWSKA

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: PIOTR ZDANOWICZ

Łamanie: | manufaktu-ar.com

Zdjęcia na okładce: © Roy Bishop / Arcangel Images, © Michelle Kelly / Arcangel Images, © Steve Collis

*The Wrong Girl*

Copyright © David Hewson 2015

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise) without the prior written permission of the publisher.

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-30-9

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Na fordeku łodzi pojawiło się coś nowego. Pośród uschłych roślin, gnijącego drewna i rozrzuconych narzędzi niczym połyskująca boja nad zimowymi wodami Prinsengracht stała naturalnej wielkości srebrna plastikowa baletnica wirująca na smukłych nogach. Na jej szyi migotały kolorowe światełka i błyszcząca girlanda.

Sam, mały foksterier Pietera Vosa, usiadł u stóp figurki, zastanawiając się, czy warczeć, czy ją polizać. Zaczepione o obrozę pasmo wielobarwnej lamety przyłgnęło do jego twardej sierści. Samowi niezbyt się to podobało.

Trzecia niedziela listopada. Boże Narodzenie było tuż-tuż, nadjeżdżał Sinterklaas. Właśnie dotarł do Holandii po długiej podróży z Hiszpanii i wsiadł na swój odświętnie udekorowany statek, by podążyć w górę Amstel. Dochodziła czternasta piętnaście.

Brygadier Vos, oficer dyżurny na drugiej zmianie, miał przepracować ten miły przerywnik w kalendarzu amsterdamskiej policji w znajomym towarzystwie – dwojga swoich podwładnych, nie zawsze zgodnych przedstawicieli różnych pokoleń. Detektyw Dirk Van der Berg, czterdziestoparoletni beztroski piwosz, stały element Marnixstraat, poklepał psa po łbie, szczebiocząc czułe słowa. Laura Bakker, która właśnie skończyła dwadzieścia pięć lat, stosunkowo niedawno przeprowadziła się z Fryzji. Stała w ciepłej zimowej kurtce, a długie rude włosy opadały jej na ramiona. Patrzyła spode łba na figurkę na dziobie. Vos zerknął na własne ubranie: ta sama co zwykle granatowa kurtka, sprane džinsy, zużyte adidas. Zamierzał się w tygodniu ostrzyć, ale wolał pójść na duński film. Tak więc ciemne loki sięgały za kołnierzyk, przyciągając od czasu do czasu karcące spojrzenie Franka de Groota, komendanta komisariatu.

Minęło już siedem miesięcy, odkąd przy okazji sprawy dziwnego morderstwa powiązanego z zabytkowym domkiem dla lalek zakończył smętną, beznadziejną wegetację na łodzi i wrócił w szeregi amsterdamskiej policji. Od tego czasu parę rzeczy się zmieniło. A parę nie.

– Co to jest, na miłość boską?! – spytała Bakker.

– Mnie się podoba! – oświadczył Van der Berg, zanim zdążyła wybuchnąć kłótnia. – Cokolwiek to jest...

Dudniąc ciężkimi butami, Bakker pokonała trap, bez pytania wyciągnęła ze skrzynki na listy białą kopertę i zdecydowanym ruchem podała ją Vosowi. Na kopercie widniał stempel rady miasta.

– Założę się, że to kolejne ostrzeżenie na temat stanu łodzi. Wlepia ci grzywnę, jeśli nie doprowadzisz jej do porządku.

– Doprowadzam przecież...

Spojrzała na poczerniałe deski uszkodzonej kabiny, na szyby poklejone taśmą i pokręciła głową.

– Wyrzucili ją ze sklepu za rogiem – dodał Vos, wskazując balerinę. – Uznałem, że tu będzie pasować.

– Rzeczywiście pasuje – przyznał Van der Berg. Z nadzieją obejrzał się na drugą stronę ulicy, gdzie na rogu Elandsgracht stała kawiarnia Drie Vaten. Był to klasyczny amsterdamski *bruin*

café, czyli brązowy bar, ze ścianami z czarnej cegły, gołą drewnianą podłogą i kulawymi krzesłami. Przyjmował gości przez większość dnia i teraz też już się wypełnił. Okoliczni mieszkańcy ściągali tutaj w poszukiwaniu piwa, przekąski, kawy i odrobiny niezobowiązującej rozmowy. Był to drugi dom dla mnóstwa tubylców, w tym dla spragnionych policjantów z komisariatu przy Marnixstraat na końcu Elandsgracht. – Mamy czas na...?

– Jesteśmy na służbie! – przypomniała Bakker, w desperacji wyrzucając w górę długie ręce.

Van der Berg był przysadzistym mężczyzną o przyjaznej, nieco zniszczonej twarzy. Spojrzał z urazą.

– Na służbie będziemy za piętnaście minut. A ja chciałem spytać... czy mamy czas na kawę.

– Nie za bardzo – odrzekł Vos, kręcąc głową.

Czekał ich pracowity, ale przyjemny dzień. Sinterklaas, promienny, przyjazny święty z białą brodą uczci swoje przybycie do Amsterdamu paradą tak znamienitą, że będzie oglądana w telewizji w całej Holandii. Na trasie jego przejazdu zbierze się ponad trzysta tysięcy osób, a liczba policjantów sięgnie czterech cyfr. Centrum miasta zamknięto dla ruchu kołowego. Olśniewający statek powiezie Sinterklaasa rzeką Amstel w otoczeniu rzeszy prywatnych łodzi pełnych amsterdamczyków, którzy będą próbowali podpłynąć jak najbliżej. Potem znamienity gość przesiądzie się na białego rumaka, na którym poprowadzi orszak przez miasto, aż na Leidseplein. Tam, powitany przez burmistrza, przemówi do zebranych tłumów z balkonu teatru miejskiego. Towarzyszą mu Czarni Piotrkowie, Zwarte Pieten, o uczernionych twarzach, czerwonych wargach, w perukach z czarnych loków. Ubrani w starodawne kostiumy z krezami i w berety z piórkiem, z promiennym uśmiechem rozdają korzenne łakocie każdemu napotkanemu dziecku i wprawiają w zakłopotanie wszystkich zagranicznych gości, którzy nie dowierzają własnym oczom.

Po piątym grudnia Sinterklaas schodzi na dalszy plan, przyćmiony przez Boże Narodzenie. W miejsce *pepernoot* i czekoladowych liter pojawiają się *kerststol* i *musketkrans*, a w witrynach sklepów – iglaste gałązki i sztuczny śnieg.

Swego czasu Vos w tym wszystkim uczestniczył. Kiedy miał własną rodzinę. Partnerkę Liesbeth, córkę Anneliese. Sprawa domku dla lalek bezpowrotnie pozbawiła go tego święta.

Vos pochylił się i uśmiechnął do swojego pieska. Biało-brązowy foksterier spojrzał mu w oczy.

– Nie mogę cię zabrać do pracy, brachu. Nawet w taki dzień jak dziś.

Sam wyczuł coś w tonie jego głosu i zmrużył oczy, pełen podejrzeń co do rozwoju wydarzeń.

Pojawiła się smycz. Sam pochylił łeb. Vos odprowadził psa do kawiarni, przekazał go właścicielce Drie Vaten, Sofii Albers, wraz z torbą rzeczy do prania, bo i taką przysługę mu wyświadczała. Sam szarpał za smycz, usiłując wrócić nad kanał.

Van der Berg i Laura Bakker przyglądali się temu w milczeniu. Bakker znowu pokręciła głową.

– No! – skwitował Vos, gdy już wrócił na łódź. – Chodźmy się wmieszać. Wiecie co... po służbie zaproszę was na kolację. Znam taką całodobową knajpkę.

– Masz na myśli piwo, frytki i gotowane jajka gratis? – spytała Bakker.

– Nie... porządną kolację. W restauracji.

– W lokalu, gdzie jest prawdziwa toaleta? Znasz takie? Naprawdę?

– Jeśli zaproszenie obejmuje... – Van der Berg ręką zasymulował wychylenie butelki – ...mnie pasuje. O matko...

Wskazał senny bar o czarnym ceglany frontie, stojący pod kątem w miejscu, gdzie Elandsgracht dochodziła do kanału. Mewy wygrzebywały śmieci pomiędzy kamieni brukowych. Kilku popołudniowych pijaczków stało cierpliwie w kolejce, by wrzucić puste butelki do pojemnika na szkło. Obok nich Sam zapierał się łapami, odmawiając wejścia do środka, i z urażoną miną oglądał się groźnym wzrokiem na kanał.

– Szkoda, że nie możemy go ze sobą zabrać – odezwała się Bakker. – No bo wiesz... Sinterklaas. Tam się przecież nic nie może wydarzyć.

Vos popatrzył na nią bez słowa, po czym podszedł do psa, chwycił go za obrozę i wprowadził do środka.

Po powrocie stanął i rozejrzał się po Prinsengracht.

– Nie czytasz gazet? – spytał Van der Berg. – Podobno ma być protest w sprawie Zwarte Pieta. Ludzie uważają, że to rasizm i coś tam jeszcze. Lekceważące czy niegrzeczne.

Gdy to mówił, jeden z Czarnych Piotrków szedł właśnie Prinsengracht w ich stronę. Wysoki, krzepki, z wielką peruką afro, mnóstwem teatralnych loków. Lśniący szkarłatny strój, głupkowata czapka. Umalowana na czarno twarz, czerwone usta. Uśmiechnięty, szczęśliwy jak dziecko, niósł szarą torbę i siatkę na ryby, by sięgać nią w tłum.

– To rzeczywiście jest niegrzeczne – włączyła się Bakker. – Na miłość boską, mamy dwudziesty pierwszy wiek.

Van der Berg skrzyżował ramiona na piersi i rozpoczął wykład, którego Vos wysłuchał już wiele razy. Druga strona sporu.

– To tradycja – zakończył.

– Wieszanie też należało do tradycji. I szczucie psami niedźwiedzia.

– Młoda damo...

Vos zamknął oczy. Nie wyobrażał sobie słów, które bardziej zdołałyby rozwścieczyć bystrą, choć niezdarną detektyw z Fryzji.

Zwarte Piet usłyszał ich spór, dostrzegł Laureę, dobiegł do niej truchtem, uklonił się z wdziękiem, powiedział, że ślicznie wygląda. Włożył do swojej siatki garść małych ciasteczek, po czym wysunął ją ku niej ostrożnie.

Bakker urwała w pół tyrady, uśmiechnęła się szeroko i przyjęła ciasteczka. Wdzięczyła się, gdy mężczyzna w barwnym przebraniu sadił jej kolejne komplementy.

– Bądź grzeczną dziewczynką – dodał, odchodząc ulicą – bo Mikołaj się o wszystkim dowie.

– Uwielbiam je. – Bakker wpychała korzenne *pepernoot* do ust, chichocząc odrobinę ze skruchą.

– Ja też – odparł Van der Berg, zerkając na ostatnie dwa w jej dłoni.

Nie przejęła się tym.

– A ty co o tym myślisz? – spytała, zwracając spokojne spojrzenie na Vosa. – O dorosłych mężczyznach malujących się na czarno dla Sinterklaasa? – Ruchem głowy wskazała Van der Berga. – Tak jak on? Czy tak jak ja?

Sam stał w oknie baru, łapką drapał w szybę i machał ogonem w płonnej nadziei.

– No, śmiało – ponagliła Bakker.

– Myślę – odrzekł Vos, patrząc na Zwarte Pieta oddalającego się skocznie wzdłuż kanału – że czas się wziąć do roboty.

Kolejny Czarny Piotrek, tym razem niski i przysadzisty. Ruda broda sztywna od czarnego mazidla. Peruka zsunięta na bok, zbyt lśniąca, nowiuteńka. Przerażone oczy zerkające na wszystkie strony na dźwięk rosnącego harmidru tłumu sunącego ulicą.

Wszystkie rzeczy znalazł tam, gdzie mieli je zostawić, w trzecim śmietniku od końca wąskiego zaułka. Niebieskim, tak jak powiedzieli.

Dwa pistolety. Dwa noże. Trzy granaty. Lina. Kilka kawałków tkaniny, które mogły służyć zarówno za kneble, jak i przepaski na oczy. Pięć tysięcy euro i fałszywy paszport belgijski ze zdjęciem zrobionym dwa dni temu w automacie na Dworcu Głównym.

Jedna kartka zadrukowana instrukcjami. Co robić. Czego wypatrywać. Dokąd się udać.

Urodzony na północy Anglii. W czasie odsiadki wyroku za włamanie po pijaku został radykałem. Po zwolnieniu zapuścił niechlujną brodę, zaczął się ubierać w długą szatę. Krzyczał na manifestacjach towarzyszących uroczystościom pogrzebowym żołnierzy zabitych w Afganistanie. Chodził do przywódców duchowych. Nauczył się wywrzaskiwać hasła, dźgając w kamerę palcem wskazującym.

Gdy zmienił nazwisko na Mujahied Bouali, nie chciała go już znać nawet własna matka, pielęgniarka, owdowiała, gdy miał cztery lata. I świetnie. Robił, co mu kazano, i wreszcie doczekał się misji. Nie w Syrii czy Somalii, choć tego właśnie oczekiwał. Wyjechał do Amsterdamu, pod skrzydła nowego pana. Surowego i autokratycznego człowieka, dzięki któremu utwierdził się w przekonaniach już od pewnego czasu mu znanych. Tylko że do tej pory nie chciał się z nimi zmierzyć.

Teraz jego wrogami byli wszyscy niewierni. Żadnych kompromisów. Nie ma takiego pojęcia jak cywil. Dekadenckie bezmyślne stada wygodnie rozparte patrzyły na świat rozpadający się na kawałki.

Sprawiedliwi i przekłeci. I nic pomiędzy.

Wraz z pieniędzmi znalazł zdjęcie dziewczynki w różowej kurtce. I nową kartkę z instrukcjami – miał je zapamiętać, a kartkę wyrzucić.

Przeczytał je uważnie, dobrze przyjrzał się zdjęciu. Sprawiało wrażenie zrobionego ukradkiem na ulicy. Przez chwilę zastanawiał się, jak dziewczynka się nazywa. Po czym uświadomił sobie, że to nie ma znaczenia.

Następnie pistolety, noże, linę, szmatki i granaty włożył do swojego czerwonego aksamitnego worka wraz ze słodyczami.

Chrześcijańskimi słodyczami. Ale żywność nie zna wiary.

Wyjął ciasteczko, skosztował. Smaczne. A i to zapewne dzięki przyprawom zrabowanym ze Wschodu.

Z workiem przewieszonym przez ramię wyszedł na ulicę. Przebranie, które mu dali, było jasnozielone, zbyt obszerne, do tego miał brązowy beret z jaskraworóżowym piórkiem.

W innych okolicznościach na pewno czułby się jak głupiec. Ale nie tym razem.



Dom Kuypera znajdował się o dziesięć minut jazdy rowerem od łodzi Vosa, w ruchliwszej, zamożniejszej dzielnicy miasta za Jordaanem. Czterystuletni, wąski, z czterema kondygnacjami i zwieńczony szczytem schodkowym stał przy uliczce o nazwie Herenmarkt niedaleko West-Indisch Huis, niegdysiejszej siedziby Kompanii Zachodnioindyjskiej. Ta lokalizacja zawsze bawiła Henka Kuypera. Na dziedzińcu okazałego przybytku stał posąg Petera Stuyvesanta, siedemnastowiecznego gubernatora holenderskiego państwa o nazwie Nowa Holandia. Arystokraty, który utracił kolonię na rzecz Brytyjczyków i musiał patrzeć, jak Nowy Amsterdam na koniuszku Manhattanu staje się Nowym Jorkiem.

Kuyper całe godziny spędzał przy komputerze, na rozmowach z osobami z całego świata, a niekiedy przechadzał się na niewielki plac i tam pił kawę, wpatrując się w srogie rysy człowieka, który oddał najważniejszy przyczółek Nowego Świata, i zastanawiając się, czy by mu się podobał dwudziesty pierwszy wiek. Teren pierwszych fortyfikacji Stuyvesanta w Ameryce dzisiaj zajmowała Wall Street; jego kanał przerodził się w Broad Street i Broadway. Mężczyzna, który protezę zapewnił sobie przydomek Stara Srebrna Noga, spoczął w krypcie kościoła przy ulicy Bowery na Manhattanie – gdzie kiedyś znajdowała się jego *bouwerij*, czyli farma – na uboczu dawnej kaplicy rodzinnej. Kuyper trafił tam w trakcie protestów Occupy Wall Street i przysiadł na jakiś czas w pobliżu. Wpatrywał się w skromną kamienną tabliczkę na zachodniej ścianie świątyni, oznaczającą miejsce spoczynku staruszka, i rozmyślał nad odległością dzielącą oba światy.

A jednak większości obywateli dwudziestego pierwszego wieku Peter Stuyvesant kojarzył się jedynie z marką papierosów. Tak to bywa.

– Henk! – z piętra niżej dopłynął głos jego żony, ostry i zaniepokojony. Zawsze znalazła powód do zdenerwowania. – Jesteśmy gotowe. Idziesz czy nie?

– Nie – wyszeptał do monitora.

W niedzielę miał najwięcej roboty. Właśnie nadeszło siedem mejli. Dwa z Hagi. Dwa z Ameryki. Trzy z Bliskiego Wschodu.

Usłyszał jej ciężkie kroki na schodach. Gabinet Kuypera znajdował się w małym szczytowym pokoju pod dachem. Miał stamtąd widok na brukowaną ulicę i plac zabaw dla dzieci zajmujący otwartą przestrzeń za West-Indisch Huis. Hak z kołowrotkiem na belce nad oknami służył teraz głównie celom dekoracyjnym, ale tkwił tam prawdopodobnie już od trzystu lat. Henk lubił ten pokój, ustronny, odcięty od reszty domu. Tutaj mógł rozmyślać.

– Idziesz?

Stała w progu ubrana w przykrótki płaszcz zimowy, z ręką opartą na framudze i Saskią u boku. Renata Kuyper była Belgijką z Brugii. Poznali się pewnego upalnego lata, gdy on odbywał misję w Kosowie. Ona, wówczas studentka, brała udział w projekcie badawczym. Śliczna brunetka o krótkich włosach i żywym, nerwowym sposobie bycia. Przeżyli krótki, namiętny romans w gorących pokojach hotelowych pachnących drewnem cedrowym i nią. Wokół nich świat Bałkanów odbudowywał się powoli z kosmaru wojny domowej.

Henk Kuyper ledwie to zauważał. Byli zakochani, i to rozpaczliwie. W środku tego szaleńczego lata zmarł nagle jej ojciec, wdowiec. Powiadomiono ją o tym telefonicznie, gdy leżeli w łóżku. Od tej chwili kurczowo trzymała się Henka. Przed upływem trzech miesięcy wzięli ślub. Po kolejnych trzech miesiącach, już po powrocie do Amsterdamu, Renata była w ciąży i próbowała pogodzić się z myślą o roli żony i matki w gwarnym, nieznanym mieście,

w którym nie miała żadnych przyjaciół.

– Idziesz, tatusiu? – powtórzyła pytanie Saskia.

W styczniu skończy dziewięć lat. Niemal dokładna kopia matki. Szczupła, blada twarz. Szerokie kości policzkowe. Blond włosy, które pewnego dnia zmieniają barwę na ciemną, tak jak Renaty. Oczy niebieskie i przejrzyste jak szafiry. Nie uśmiechała się za dużo, w czym też przypominała matkę. Ale tak teraz wyglądała rodzina.

– Rzecz w tym, kochanie... – Wstał od biurka i przykucnął przed nią, dotknął jej starannie uczesanych włosów. Na spotkanie z Sinterklaasem i jego małymi czarnymi chochlikami należało wyglądać jak najlepiej – ...że tatuś musi pracować.

Oficjalnie Kuyper był konsultantem do spraw ochrony środowiska. Specjalizował się w kwestiach skażeń gruntu, studiował to na uniwersytecie. Czasami udawał się z misją, głównie do krajów Trzeciego Świata, niekiedy do tych niebezpiecznych. Ale to była tylko praca. Słowa do umieszczenia na wizytówce. Co najmniej połowę swojego czasu spędzał w sieci, wypisując porady na forach aktywistów na każdy temat, od szczelinowania hydraulicznego po biopaliwa i żywność modyfikowaną genetycznie. Atakując przemysł i prawicę. Tu i ówdzie wszczynając pożary. Gdzie indziej je gasząc. Zawsze pod tą samą anonimową tożsamością internetową, którą wybrał z rozmysłem: Stuyvesant. Jako awatara używał nawet portretu staruszka.

Saskia podeszła do niego z wydętymi usteczkami.

– W ogóle nie chcesz zobaczyć Sinterklaasa?

Uśmiechnął się tylko.

Zaczęła odliczać na palcach schowanych w rękawiczkach.

– Nie widziałeś go na łodzi. Nie widziałeś, jak jechał na koniu...

Żona wpatrywała się w niego.

– Możesz przerwać ratowanie świata, Henk. Na jeden dzień. Pobyć z rodziną.

Kuyper poprawił okulary na nosie i westchnął. Następnie wskazał komputer.

– Poza tym... Wiecie, że nie za bardzo sobie radzę z tymi wszystkimi ludźmi. Tłumy... – Dotknął policzka córki. – Tatuś nie lubi tłumów.

Dziewczynka tupnęła nogą i gwałtownym gestem objęła się chudymi rączkami odzianymi w jasnoróżową kurtkę, którą jej kupił przed tygodniem. Z kucykami z *My Little Pony*. Jej ulubionej serii książeczek i filmów. Ojciec wyciągnął rękę i ścisnął ją za łokieć.

– Sinterklaas przyszedł w tym roku wcześniej i przyniósł ci kurteczkę, prawda?

– Nieprawda. – Dąs tylko przybrał na sile. – To od ciebie.

– Może jestem Czarnym Piotrkiem. W przebraniu. – Ruchem ręki wskazał drzwi. – No, idźcie. Wieczorem zjemy sobie pizzę. Wynagrodzę wam to. Obiecuję.

Słuchał, jak pokonują wąskie schody. Jedne kroki ciężkie, drugie lekkie. Następnie przysunął swój fotel do okna i wyjrzał na ulicę. Żona prowadziła drogi trójkołowy rower, który im kupił. Pomarańczowy. Barwa Holandii. Wskoczyła na siodelko. Saskia usadowiła się na wyściełanym miejscu dla dziecka na przodzie. Nazywała je wiaderkiem.

Zadzwoił jego telefon. Rozmowa trwała najwyżej minutę.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył swojego pierwszego Zwarte Pieta. Po mieście wędrowały ich setki, uwodziły mijanych przechodniów. Każdy mógł sobie wypożyczyć kostium, zdobyć farbę

do twarzy i czerwoną szminkę. Włożyć tę głupią perukę, falbaniastą bluzę, barwne spodnie, złote kolczyki. Potem kupić torbę słodczy w miejscowym sklepie i rozdawać je wedle uznania.

Niektórzy spośród ludzi, z którymi pracował, narzekali na to zjawisko. Że to rasistowskie stereotypy. Kuyper robił to, co najbardziej lubił robić on-line: tłumaczył, wyjaśniał. Zwarte Piet prawdopodobnie nie miał nic wspólnego z Afryką. Jego wizerunek wiązał się z jakąś starszą, bardziej mroczną tradycją osadzoną w czymś o wiele bardziej nieprzeniknionym niż prozaiczna geografia. Jedna z teorii mówiła, że Zwarte Pieten to diabły ujarzmione przez Świętego Mikołaja w imię dobra.

Sam nie było do końca przekonany, czy któraś z tych teorii jest w stu procentach słuszna. Ale i tak lubił poprawiać ludzi.

Gdy tak patrzył, gdzieś z boku Herenmarkt wyłoniła się druga barwna postać. Można było odnieść wrażenie, że ukrywała się tam za ślizgawkami na placu zabaw. W oczekiwaniu.

Saskia pomachała i krzyknęła coś. Słyszał, jak jej podekscytowany głos unosi się znad brukowanej ulicy.

Ten nowy był ubrany na ciemnozielono, miał brązową czapkę z różowym piórkiem. W ogóle się nie uśmiechał.

Jeśli nawet Zwarte Piet usłyszał dziewczynkę, nie okazał tego. Nadal prowadził przerdzewiały rower, a potem wszedł do staromodnego blaszanego pisuaru, który stał na końcu Herenmarkt przy moście prowadzącym ponad Brouwersgracht do centrum.

Dzieci nie zawsze dostają to, o co proszą, pomyślał Henk Kuyper. I wrócił do swoich wiadomości.

Zanim dotarli do Leidseplein i centrum parady, Bakker już się cieszyła, że nie wzięli ze sobą Sama. Była prowincjuszka z Dokkum, w Amsterdamie mieszkała raptem od wiosny. W domu ze dwa, trzy razy widziała paradę w telewizji, ale rzeczywistość zdecydowanie przerastała relację.

Miasto wypełniło się wielką szczęśliwą ciżbą. Tłumy ciągnęły się od doków aż po centrum i dalej, do muzeów i Grachtengordel. Starzy i młodzi z brokatem i innymi ozdobami we włosach. Ojcowie z berbeciami na ramionach. Matki trzymające na rękach niemowlęta zbyt małe, by pojąć, o co chodzi w tym całym hałasie i feerii barw. Każdy za wszelką cenę starał się zerknąć na samego Sinterklaasa, odzianą na czerwono postać jadącą ulicą Rokin na wielkim białym koniu i machającą do tłumów.

Vos i Van der Berg na pewno wiele razy odbyli służbę w dniu parady. Wiedzieli, gdzie stanąć, co robić. Głównie słuchali radia, stali na skraju tłumu. Wypatrywali kieszonkowców, pijaków i naćpanych awanturników. Namierzonych szybko wykluczali.

Jeden Zwarte Piet o lepkich palcach już siedział w areszcie, zwinięty przez Van der Berga z nadzwyczajną biegłością, gdy próbował wysunąć portfel z tylnej kieszeni człowieka na tyle durnego, by przyjść dziś tu tylko w bluzie i džinsach. Większą wyrozumiałość okazywali opitym piwem głupcom, którzy sami w sobie stanowili niegroźne utrapienie. Szybkie skinienie głowy Van der Berga, słowa wsparcia Vosa, paskudne spojrzenie Bakker i idioci szli swoją drogą.

Mundurowi zajmowali się widoczną stroną działań policyjnych – wprowadzali ludzi w wydzielone rejony, przeganiali ich z jezdni, którą Sinterklaas przemierzać miał centrum Amsterdamu. Raczej nie dopuszczali do problemów, niż przejmowali kontrolę. Trzysta tysięcy osób... żadne siły policyjne na świecie nie miałyby szansy lepiej sobie w tej sytuacji poradzić.

Teraz śledzili paradę na jej ostatnim odcinku, tuż przed Leidseplein. Była piętnasta dwadzieścia. Za dziesięć minut dotrze tu Sinterklaas, powita go sam burmistrz. Następnie o czwartej zwróci się do amsterdamskich dzieci z balkonu teatru i potem każdy zajmie się sobą – jedni pójną do budek z hot dogami, inni do straganów ze słodyczami, jeszcze inni do sklepów. Na koniec, zadowoleni, udadzą się do domów.

Vos i Van der Berg rozmawiali wesoło z ledwie trzymającym się na nogach mężczyzną w kostiumie klauna, przekonywali go, by poszedł do domu i położył się do łóżka.

Kolacja z tymi dwoma. Zwykle odnosiła wrażenie, że koledzy żywią się piwem i przekąskami barowymi. Nie wyobrażała sobie, co Vos rozumie pod pojęciem „porządnego” posiłku. Ani jakie restauracje mu się podobają. Poznali się siedem miesięcy temu, przy sprawie domku dla lalek. Od tego czasu stała się pełnoprawnym członkiem jego zespołu śledczego. Coś ich łączyło. Byli nie tylko współpracownikami, lecz także przyjaciółmi. Vos z każdym nawiązywał takie relacje. Współczuła mu. Podejrzewała, że on z kolei współczuje jej, bo jest samotną młodą kobietą z prowincji. Że ma niewielu przyjaciół w Amsterdamie.

A miała ich mniej, niż sądził. Szczerze mówiąc – żadnych.

Zaczynała się zastanawiać, gdzie spędzi Boże Narodzenie – czy w Amsterdamie, czy w rodzinnym Dokkum – gdy usłyszała za plecami przybierający na sile wściekły głos. Odwróciła się. Wysoka kobieta w drogim modnym płaszczu wymyślała mundurowej policjantce, prawą ręką ściskając mocno dziewczynkę o znudzonej minie, ubraną w jasnoróżową kurtkę z kucykami z *My Little Pony*.

Bakker podeszła, pokazała legitymację służbową, uśmiechnęła się i zaproponowała pomoc.

– Może mnie w końcu ktoś wysłucha? – spytała kobieta, z każdą minutą coraz bardziej wściekła. – Tu się dzieje coś niedobrego.

Oude Nieuwstraat znajdowała się pięć minut piechotą od domu Kuyperów na Herenmarkt. Wąska, stara uliczka za kanałem Singel. Hanna Bublik, uchodźczyni z Gruzji, od dziewięciu miesięcy mieszkała tam ze swoją ośmioletnią córką Natalią w pokoju na ostatnim piętrze wąskiej kamienicy od strony Lijnbaanssteeg. Całe ich mieszkanie było niewiele większe od gabinetu Henka Kuypera. Miały do dyspozycji dwa wąskie łóżka, łazienkę i toaletę na spółkę z młodą Filipinką Chantal Santos mieszkającą piętro niżej.

Na pierwszy rzut oka za dnia wydawało się, że to jedna z wielu amsterdamskich ulic pieszych: zaparkowane rowery, spożywczy na rogu, kilka coffee shopów, sklepy dla dorosłych. Za rogiem na Spuistraat można było skosztować tajskiej kuchni, zapisać się do scjentologów, wsiąść w tramwaj albo przejść się do miejskiego muzeum. Ale jak na zwyczajną część miasta Oude Nieuwstraat miała za dużo wielkich zasłoniętych okien. Władze urządziły tu Singelgebied, drugą po De Wallen dzielnicę czerwonych latarni. Tańsza, częściej odwiedzana przez miejscowych. Mnóstwo kabin do wynajęcia.

Hanna wiedziała, że dzisiejsze popołudnie upłynie pod znakiem Sinterklaasa. Pragnąc więc zarobić, ile się da, rano zostawiła córeczkę z Santos i na kilka godzin zajęła pierwszą wolną kabinę.

Dwóch klientów. Jeden z Danii, jeden z Londynu. Szybko, łatwo, niezobowiązująco. Po odliczeniu kosztów miała na czysto siedemdziesiąt euro. Wystarczy, by spędzić popołudnie z Natalią.

W tym roku, zaczynając od Sinterklaasa, dziewczynka zobaczy, co to jest radosne Boże Narodzenie. Tak sobie Hanna obiecała. Natalia była jeszcze malutka, gdy w czasie krótkiej wojny o Osetię Południową Rosjanie i Osetyjczycy wkroczyli do ich rodzinnego miasta Gori. W walkach zginął mąż Hanny, ojciec dziewczynki. Był piekarzem z przygranicznego miasteczka. Gdy zginął, krewni nie chcieli znać jego gruzińskiej żony i dziecka. Jej własna rodzina, od początku przeciwna małżeństwu z Osetyjczykiem, też się odwróciła. Z biedy i desperacji ostatecznie ruszyła na Zachód i wędrowała z córką przez Europę. I robiła, co mogła, by zapewnić im chleb.

– Mamo – powiedziała Natalia, przymierzając nową kurtkę. – Skąd to masz?

Różowa. Wzorek *My Little Pony*. Natalia rosła. Zadawała pytania. Zaczynała rozumieć. Władze holenderskie traktowały je z szacunkiem. Dziewczynka chodziła do porządnej szkoły, szybko uczyła się języka, również angielskiego. Ale ciągle mieszkaly w maleńkim pokoiku na ostatnim piętrze budynku w środku dzielnicy czerwonych latarni, a Hanna pracowała popołudniami i wieczorami, zwykle sześć dni w tygodniu.

– Znalazłam ją. Może nie spodobała się jakimś bogatym ludziom. – Uśmiech. – A tobie się podoba?

Dziewczynka w odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie. Blond włosy. Błada, inteligentna twarzyczka. Dzieci kształtował świat, którego doświadczały. W wieku ośmiu lat Natalia Bublik nie miała już kochającego ojca, domu, została odrzucona przez wszystkich dalszych krewnych i widziała, jak jej matka została prostytutką.

Umiała rozpoznać kłamstwo. Wiedziała też, kiedy je zignorować.

Natalia przytuliła kurtkę, najdroższe ubranie, jakie miała w życiu. Za pół roku z niej wyrośnie. Matka będzie się zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na następną.

Kusiła łatwiejsza droga. Chantal Santos ciągle ją Hannie podsuwała. Przestań pracować w kabinach, na własną rękę. Zgłoś się do Turka, który ma kontakty w całym rejonie. Cem Yilmaz, wielki i umięśniony, z drogim mieszkaniem nieopodal placu Dam, dzięki niemu można zdobyć dojście do wszystkich ekskluzywnych usług towarzyskich w mieście. Yilmaz kontrolował większość luksusowego seksbiznesu. Za pośrednictwem Filipinki przekazał obietnicę, że podwoi jej zarobki, a będzie musiała dwa razy mniej harować.

– Chodźmy, mamo – powiedziała Natalia i wzięła Hannę za rękę.

Pierwsza zima w Amsterdamie. Była dobrą matką, przygotowała się. Natalia musiała ją zapamiętać na zawsze. Pójdą zatłoczonymi ulicami, będą patrzeć na Świętego Mikołaja jadącego przez miasto na koniu. Posłuchają, jak przemawia do dzieci z balkonu na Leidseplein. Potem zjedzą frytki z majonezem i będą chichotać niczym dwie dziewczynki. Wreszcie wrócą do pokoju na Oude Nieuwstraat, Hanna ułoży córeczkę do snu, znajdzie wolną kabinę, rozbierze się do bielizny, usiądzie w oknie na stołku i zaczeka na klienta. Odbierze interkom, gdy zadzwoni dzwonek. Wynegocjuje stawkę. Otworzy drzwi. Zaciągnie zasłonę. Odetnie się. Zrobi swoje. Będzie czekać na następnego.

Chantal dopadła je na schodach. Natalia na jej widok zwiesiła głowę. Nie dogadywały się. Nic dziwnego. Filipinka nie próbowała się kryć ze swoim zajęciem. Była dumna ze swojego mrocznego, ponętnego spojrzenia, przechwalała się pieniędzmi, które dzięki niemu zarabia. Czasami Hanna Bublik nie miała wyboru i musiała zostawiać z nią córkę.

– Zaczekaj na dole – poleciła Natalii i patrzyła, jak różowa kurtka znika za zakrętem schodów.

– Znowu u mnie był – powiedziała Filipinka, gdy dziewczynka zniknęła.

– Yilmaz?

– Cem.

Miała na sobie kusy T-shirt, a pod spodem coś, co wyglądało jak bikini. Hanna zastanawiała się, co się z tym dzieckiem stanie, gdy pewnego dnia zda sobie sprawę, że się starzeje.

– Już mówiłam: nie chcę pracować dla nikogo.

– Pracujesz dla kogoś za każdym razem, gdy ściągasz majtki. Mam rację?

Hanna wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia dziewczyny, odwróciła ją. Na jej skórze widniał znak właściciela, jasnoniebieski, wykonany prymitywnie tatuaż. Dwie litery wymyślnego kroju, inicjały: CY.

– Nie życzę sobie na plecach niczyjego podpisu. Powiedz mu, że nie, dziękuję.

– Nie bolało tak bardzo – gderła Chantal.

– Nie chodzi o ból – odparła, zastanawiając się, czy to dziecko w ogóle rozumie, co widziało w ciągu dwudziestu ośmiu lat swojego życia.

– Już za samo to dał mi dwa tysiące euro. – Postukała w niebieski gryzmoł. Miał kilka tygodni. Kąśliwy uśmiech zniknął na chwilę. – Im dłużej to przeciągasz, tym gorzej. I nie muszę już siedzieć w tym głupim oknie.

– Mamo? – dobiegł głos z dołu. – Idziemy?

Hanna Bublik uśmiechnęła się z trudem. Potrzebowała Chantal. W każdym razie czasami.

– Dzięki, że dzisiaj rano popilnowałaś Natalii.

– Nie pracuję rano – odparła dziewczyna. – Nie muszę.

– Idziesz na spotkanie z Sinterklaasem?

Uśmiech. Szeroki, szybki i nieszczerzy.

– Mam spotkanie z innym tatuśkiem, dzięki. Cem je umówił.

Chciała jeszcze coś dodać.

– Nat mówiła, że ma koszmary. Że śnią się jej potwory. Jakieś wielkie i czarne. Przychodzą po was. Wspinają się schodami.

– Natalia. Koszmary...?

– Potwory, i to w środku dnia. – Filipinka zaśmiała się krótko. – Ach, te dzieciaki...

– Baw się dobrze – ucięła Hanna i zniknęła na schodach. Gdy już była na dole, wzięła córkę za rękę i wyszły na Oude Nieuwstraat.

Spytała Natalię o potwory. Pojawiły się rok czy dwa po Gori. Sądziła, że zostały w Gruzji.

Usłyszała odpowiedź, ale niewiele jej to dało. Chantal Santos, nierozgarnięta kurwa, która pakowała się po uszy w coś, czego nawet nie rozumiała, pewnie usłyszała lepszą.

– Jak wyglądały? – spytała Hanna, chociaż tę odpowiedź z kolei znała. Mogła je sobie wyobrazić.

Czarne demony, którym towarzyszył dym i grzmoty, ogień buchający z trzewi, iskry i maleńkie błyskawice. Takie jak te, które spadły na Gori owej przekłętej nocy, gdy rozpadł się ich świat.

– Tak jak zawsze – odpowiedziała jej córka cichym, pewnym głosem i nie dodała nic więcej.

Hanna owinęła się ciasno tanią czarną nylonową kurtką. Na ulicy było zimno.

– Nie ma żadnych potworów – powiedziała. – Gdyby istniały, zabiłabym je.

Stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersi, równie sceptyczna jak policjantka w mundurze, Laura Bakker wysłuchiwała historii Renaty Kuyper. Elegancko ubrana, schludne brązowe włosy, szczupła, niespokojna twarz, belgijski akcent. Jechała wraz z córką rowerem cargo z Herenmarkt, zaparkowały w bocznej uliczce, oglądały paradę. Całą drogę z domu do Leidseplein śledził je Zwarte Piet na zardzewiałym jednoślądzie. Tylko patrzył, nie zbliżał się. Nie proponował słodyczy. Obserwował je.

Mundurowa zerknęła na młodą detektyw i przewróciła oczami.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytała Bakker, gdy orkiestra przed teatrem znowu zaczęła grać tandetną biesiadną muzykę.

– Skąd mam wiedzieć?

Było w niej coś ostrego, jakaś nerwowość.

– Dzisiaj jest Sinterklaas. Mamy tu pełno Zwarte Pieten – ciągnęła Bakker. – Całe setki. Może widziała pani kilku...

– Ten był na rowerze. Śledził nas. Obserwował. Był ubrany na zielono...

– Mnóstwo z nich jest ubranych na zielono – przerwała jej mundurowa.

– Proszę posłuchać...

– Może powinna pani pójść z córką do domu – podsunęła Bakker. – Chyba jest pani zdenerwowana.

Z placu dobiegł ryk, a po nim szaleńcze oklaski. Pojawił się właśnie Sinterklaas na swoim koniu w otoczeniu armii Zwarte Pieten. Niedługo wyjdzie na balkon, a wówczas tłum ucichnie, by wysłuchać uroczystej mowy.

– Widzę go – powiedziała kobieta. – Jest tam...

Wskazywała zieloną postać blisko wylotu jednej z wąskich uliczek wypełnionych restauracjami dla turystów. Bakker odwróciła się z westchnieniem, by popatrzeć we wskazanym kierunku. Popatrzeć tak, jak nauczył ją Vos. On nie widział po prostu świata dokoła. Ludzi, którzy wpasowują się w wąskie, niekiedy chaotyczne uliczki Amsterdamu. Myślał o nich. Próbował sobie wyobrazić, co ich tu sprowadziło, jaka historia się z nimi łączy.

I gdy Bakker zrobiła to samo, stwierdziła, że dostrzega coś interesującego. Ten Zwarte Piet był średniego wzrostu, pomalowany na czarno, miał wielką perukę kręconych włosów, zielony satynowy kostium, beret i workowate spodnie. Trzymał czerwony worek, który powinien być wypełniony słodyczami dla dzieci. Ale ten Zwarte Piet nie rozdawał słodyczy. Na worek w ogóle nie zwracał uwagi. Rozglądał się. Wypatrywał czegoś.

Nie miał zardzewiałego roweru, coś jednak z nim było nie tak.

Vos i Van der Berg wciąż zajmowali się pijakiem, który najwyraźniej gotował się do bitki. Bakker poleciła kobiecie i jej córce, by zostały z mundurową, a potem podeszła do Czarnego Piotrka zagadać.

Tyle tych dziwnych postaci kręciło się teraz dokoła. Kilku zjeżdżało nawet po linie z jednego z budynków. Każdy, kto chciał zdobyć kostium, rozdawać słodycze i bawić się, miał szerokie pole do popisu.

– Pewna kobieta sądzi, że ją pan śledzi. To zapewne nieporozumienie...

Żadnej odpowiedzi. Tylko dwoje bardzo białych i bardzo wściekłych oczu spoglądało na nią spod lśniącej, kudłatej peruki.

– Może pokazałby mi pan jakieś dokumenty?

Burknięcie i nagle ręce w rękawiczkach sięgnęły pod luźną gumkę zielonych spodni, by wydobyć stamtąd przedmiot, który rozpoznała na pierwszy rzut oka.

Była to legitymacja służbowa Koemana, innego agenta z zespołu Vosa.

Obejrzała go od stóp do głów, tłumiąc chichot. On zaś skrzyżował ramiona na piersi i tupnął prawą nogą w bruk.

– Jesteś tu służbowo? – spytała. – Czy to jakieś zajęcia w czasie wolnym?

Na ogół był żalonym gnojem. Musiała zadać to pytanie.

– A jak sądzisz?

– Nie wiem. Dlatego pytam.

Przymknął oczy na chwilę.

– Prowadzę obserwację w terenie.

Wskazała kobietę, która złożyła skargę. Renata Kuyper właśnie znowu wymierzyła palec w policjantkę.

– Śledziłeś ją od Herenmarkt?

– Nie – odparł z sarkastycznym jękiem. – Dlaczego miałbym to robić?

– Mówi, że śledził ją Czarny Piotrek. Ubrany na zielono.

Koeman sięgnął do swojego worka i z ponurą miną poczęstował ją korzennym *kruidnoot*.

Tandetna muzyka umilkła, dzięki czemu usłyszeli piskliwy krzyk Renaty Kuyper oraz przybierającą na sile wrzawę tłumu. Bakker obejrzała się na balkon teatru. Sinterklaas, z burmistrzem u boku, właśnie podchodził do mikrofonu.

Czegoś brakowało.

Dziewczynki w różowej kurteczce.

Bakker ruszyła z powrotem szybkim krokiem. Koeman za nią.

– Henk! Henk! – krzyczała kobieta do telefonu. – Na miłość boską, gdzie jesteś? Przyjedź tu, dobrze? Saskia gdzieś odeszła...

Urwała, patrząc groźnie na Koemana.

– To policjant na służbie – wyjaśniła Bakker.

Policjantka mundurowa wyraźnie się irytowała.

– Jak już mówiliśmy, dzisiaj jest Sinterklaas. Dzieci się gubią. Poszukamy jej. Jezu, nie musi pani robić tyle hałasu.

Kobieta wciąż krzyczała do telefonu, Bakker się domyślała, że nagrywa się na sekretarkę.

– Znajdziemy ją... – powtórzyła.

Ten harmider przyciągnął uwagę Pietera Vosa. Poklepał pijaka po plecach i odesłał do wyjścia, po czym podszedł do zbiorowiska. I on, i Van der Berg chyba od razu rozpoznali Koemana. Może przebierał się tak co roku.

Bakker spojrzała na nich. Radio trzymała w ręku, czujna, gotowa.



– Zaginęła dziewczynka. W różowej kurtce. – Odwróciła się do kobiety. – Jak się córka nazywa?

Kobieta przestała krzyczeć do telefonu.

– Saskia Kuyper. Ma dopiero osiem lat.

Bardzo podobna do matki, przypomniała sobie Bakker. Ta sama spięta, szczupła, blada twarz.

Vos skinął głową, przedstawił się i zaczął wyjaśniać, jak to policjanci są specjalnie wyszkoleni, by radzić sobie z problemem dzieci gubionych na placu. Każdego roku ginęło ich całe mnóstwo. I zawsze się znajdowały.

Sinterklaas dotarł już do mikrofonu. Niewyraźne, serdeczne słowa rozeszły się po całym Leidseplein.

– Dzieci Amsterdamu...

Pierwsza eksplozja zagrziała głęboko, głośno, boleśnie. Dźwiękowi towarzyszyło oślepiające światło, od którego ludzie stojący blisko zatoczyli się i padli na kolana.

Nastąpiła długa chwila ciszy i szoku. A potem szaleńczy, piskliwy krzyk. Pierwszy z wielu.

Wieczorem na Marnixstraat policjanci mieli już czas odsapnąć; wiedzieli, że atak nie był jednak tak groźny, jak się z początku wydawało. Wybuchy zostały spowodowane przez granaty hukowo-błyskowe – przerażające, ale zasadniczo nieszkodliwe. Pewien policjant na służbie doznał pomniejszych oparzeń, gdy próbował usunąć granat rzucony w pobliżu grupki dzieci przy teatrze. Siedem osób trafiło do szpitala na skutek szoku, wstrząsu wywołanego paniką, która później wybuchła, i kilku złamań.

Mogło być o wiele gorzej. Ale jak wszyscy inni na Leidseplein tego popołudnia Hanna Bublik i jej córka Natalia tego nie wiedziały. Widziały tylko pandemonium. Gdy Sinterklaas zaczął przemawiać z balkonu, coś śmignęło w powietrzu, spadło przed budynkiem i wybuchło z nagłym błyskiem i rykiem. Potem nastąpiły dwie kolejne eksplozje i wtedy sytuacja na placu, wypełnionym tysiącami ludzi, w tym mnóstwem dzieci, wymknęła się spod kontroli.

W Gori widziała wojnę na własne oczy. Wiedziała, jak wybucha granat, rozpoznała jasne oślepiające światło i ogłuszający huk, które po nim następują. Gdy trzeci pocisk wybuchł na zatłoczonym placu, pod znajomym uczuciem paniki pojawiła się posępna determinacja.

Uciekaj.

Ratuj się.

Ukryj się.

Bez słowa chwyciła dłoń Natalii i przyciągnęła dziewczynkę do siebie, rozglądając się dokoła. Zobaczyła morze przerażonych, zdumionych twarzy. W jednej chwili Leidseplein była spokojną masą ludzi. W następnej wyjąłym tłumem. Tę część miasta ledwie znała. Nie miała pojęcia, w którą stronę ruszyć.

Gori nękało ją z wielu powodów. Tam była młoda, niewinna, tam się bała. Gdy jej mąż trzymał wartę przed domem, z bronią w ręku, zaklinając się, że będzie chronił swoją żonę i maleńkie dziecko, ona kuliła się z Natalią na strychu, zachodząc w głowę, jak to się stało, że świat jest taki.

Pragnęli jedynie bezpieczeństwa i niewielkich pieniędzy. Politycy prowadzili swoje gry, napuszczali na siebie ludzi mówiących różnymi językami, przedstawiciele różnych kultur, dla

swoich osobistych celów, ale to nie miało żadnego znaczenia w ich wyjątkowym świętym miejscu zwanym domem. A oto potwór – czołgi i żołnierze, pojazdy wojskowe, ciężka broń – otaczał miasto, dzielił je na dwie części, zwycięzców i pokonanych połączonych więzami krwi.

Kiedy ledwie uszła z życiem, tuląc maleńkie dziecko w ramionach, tylko przez chwilę oglądając się na poharatane ciało męża leżące przy uliczce prowadzącej do ich skromnego domu, przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie się kulila ze strachu. Jeśli jeszcze kiedyś zapadną ciemności, będzie walczyć, dopilnuje, by nikt nie zagroził bezpieczeństwu jej bliskich.

W chaosie Leidseplein oznaczało to tylko jedno: myśl o sobie i swoim dziecku, o nikim innym. Rozpychała się więc łokciami, lewą ręką ścisnęła kurczowo różową kurtkę Natalii, porwana ogniem walki. W oddali widziała wąską uliczkę. Mniej zatłoczoną. Reszta ludzi pędziła chyba ku szerszym ulicom.

Z pochyloną głową, przeklinając w języku niezrozumiałym dla otoczenia, skierowała się tam, z dala od dymu i tumultu placu.

Nie przepraszasz. Nie tłumaczysz się.

Taki właśnie świat znała, świat, który zostawił ją zdaną na samą siebie. Musiała samotnie walczyć o przeżycie.

Walcząc, krzycząc, wierzgając i rozpychając, z mocno przyciśniętą do siebie Natalią, przedarła się na obrzeża placu. Nastąpiły jeszcze jakieś wybuchy? Nie wiedziała. To nie było Gori. Na ziemi nie leżały żadne ciała. Nie widziała żadnej krwi. Tylko strach i przerażenie. To wystarczyło.

Nie miała pojęcia, ile to trwało. Nagle nacisk ciał wokół nich zelżał. Znalazła miejsce, by się schylić po córkę i podnieść ją na wysokość piersi, tak jak robiła to w Gori. Teraz było to już inne dziecko. Silne ramiona Natalii objęły ją za szyję. Hanna dźwigała ją z trudem, przebijała się przez rzędnący tłum.

Za sobą słyszała syreny. Ludzie krzyczeli. Przez system nagłaśniający, z którego wcześniej korzystał sam Sinterklaas, teraz nadawano komunikaty. Apele, by zachować spokój. By czekać na przybycie pomocy. Wszystko po to, żeby ludzie nie stratowali się nawzajem, uciekając w popłochu.

Tam w Gruzji nikt nie wygłaszał takich apeli. Zresztą pomoc nigdy nie nadeszła.

Jeszcze jedno szarpnięcie i wydostały się. Bez tchu, oszołomiona, z ramionami obolałymi od ciężaru córki, wyrwała się z tumultu, zanosła Natalię w wąziutką uliczkę, i dalej, potykając się, do zaułka obok budki z kebabami. Postawiła ją na ziemi, dotknęła blond włosów i zastanawiała się, co powiedzieć.

W oczach dziewczynki pojawiło się spojrzenie znane Hannie Bublik aż za dobrze. To nie był po prostu strach, lecz również pełna złości konsternacja, która pojawia się wraz z pytaniem: dlaczego? Nigdy nie padła na nie odpowiedź.

– Mamusiu... – powiedziała Natalia cichym, przerażonym głosem, gdy czekały w cieniu.

– Wszystko dobrze, kochanie – odparła Hanna. – Już po wszystkim. Tu zostaniemy. Wszystko...

Nie wiedzieć czemu nie mogła się opędzić od myśli o słowach Chantal Santos. Że potrzebują łatwiejszych pieniędzy. Lepszego życia. I jeśli nawet oznaczało to noszenie na ramieniu tatuażu z inicjałami tureckiego łotra, to jednak niewysoka cena.

Syreny za jej plecami cichły. Może to tylko brzydki, okrutny kawał. Nikomu nic się nie stało. Amsterdam dał się jej poznać jako miasto bezpieczne, choć upadłe.

– Wszystko będzie dobrze.

– Mamusiu... – powtórzyła Natalia, głosem wciąż przerażonym.

Matka podniosła na nią wzrok. Dziewczynka nie patrzyła na nią. Ramieniem w różowej kurtce wskazywała gdzieś dalej, na coś, co pozostawało poza zasięgiem wzroku Hanny.

Gdy się odwróciła, kątem oka dostrzegła coś zielonego. I poczuła ból. Potem widziała tylko czerń, świat się obrócił, a ona padła na twardą, zimną ziemię.

W takich wypadkach jak ten obowiązywały określone procedury. Zestaw działań szczegółowo zaplanowanych i ćwiczonych latami. Służby ratunkowe już nadciągały na miejsce zdarzenia, mundurowi policjanci próbowali odgonić ludzi od miejsca eksplozji.

Vos i Bakker starali się oszacować szkody, a Van der Berg bez słowa oddalił się w kierunku przystanku tramwajowego. Wydawało mu się, że stamtąd rzucono granaty.

Pani Kuyper szalała jeszcze bardziej. A to nawoływała swoją córkę, a to krzyczała do telefonu, usiłując się połączyć z mężem.

Bakker próbowała ją pocieszyć. Vos kazał jej odpuścić. W tej chwili na Leidseplein roilo się od ludzi, którzy rozdzielili się z członkami rodziny. Policjanci mieli inne priorytety: zadbać o bezpieczeństwo wszystkich.

Renata Kuyper sypnęła lawiną obelg i ruszyła żwawym krokiem w tłum przed sobą, rozglądając się gorączkowo i nawołując córkę.

Vos chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Znajdziemy pani córkę. Lepiej, żeby pani została na miejscu...

Nagle jej telefon zadzwonił, spojrzała na ekran. Z nadzieją, strachem i zdumieniem.

– To ci niepotrzebne. – Zwarte Piet wyjął telefon z palców Saskii Kuyper, w chwili gdy wcisnęła klawisz skrótu do matki.

Zamrugała powiekami i nic nie powiedziała. Ten mężczyzna był dorosły. Powinien się znać. A jednocześnie wydawał się zdenerwowany. Może bardziej niż ona.

– Tak się właśnie odpala bomby – dodał. – Przez telefon.

Wsadził telefon do kieszeni. Jego lśniący zielony kostium połyskiwał w zimowym słońcu.

Drżąc w swojej różowej kurteczce *My Little Pony*, spojrzała na niego i nie ruszyła się. Znalazł ją pod balkonem teatru, na skraju chaosu, od którego trzymała się z daleka.

Jeszcze nigdy nie słyszała tak wielkiego hałasu. Nie wiedziała, gdzie jest jej matka. Ona tylko podeszła do przodu, żeby zobaczyć Sinterklaasa na balkonie. Próbowała zerknąć na człowieka w czerwonym stroju, z długą białą brodą, a zaraz ziemia się pod nią zatrzęsała.

– Tatusz chce się z tobą zobaczyć, Saskio. Mamusia też. Zabiorę cię do nich.

Mówił niepewnym głosem, po angielsku. Ton jego głosu nie pasował do czarnej twarzy, czerwonych warg i bielutkich zębów.

Nie ruszyła się. Sięgnął więc do swojej torby i wyjął garść słodczy.

– No chodź – powiedział, gdy wpatrywała się w błyszczące łakocie w jego odzianych w białe

rękawiczki dłoniach.

Tatuś nienawidził słodyczy. Mówił, że są niedobre dla zębów. Że od nich gniją jelita. I że wtedy się śmierdzi jak inne dzieci.

Saskia sięgnęła, by się poczęstować. Chwycił ją za palce. Nie tak mocno, żeby chciała krzyczeć. Tylko by nie mogła odejść.

– Zaprowadzę cię do nich – rzekł i ruchem ręki wskazał mostek nad kanałem.

Prinsengracht. Jej ojciec chodził tam czasami do biura. Raz poszła z nim. Kilka godzin siedziała sama w niewielkim pokoju, podczas gdy on załatwiał sprawy.

Może...

– Chodź – powtórzył mężczyzna i pociągnął ją za rękę.

Nie ruszyła się ani o centymetr. Mocno zaparła się obcasami czarnych skórzanych butów, odchyliła się, by go zatrzymać. Następnie sięgnęła do kieszeni zielonego kostiumu i wykradła telefon, który dostała na ósme urodziny. Tani samsung. A prosiła o iphone'a.

Nie rozpieszczaj jej, mama tak często mówiła.

– Mogę zadzwonić, jeśli zechcę – powiedziała do mężczyzny i znów przyłożyła palec do ekranu. Zdążyła tylko usłyszeć sygnał nawiązywania połączenia, nim mężczyzna wyrwał jej telefon i, trzymając za ramię, pociągnął przez wyjący, zdezorientowany tłum.

Tak bardzo zdezorientowany, że nikt nie zwrócił uwagi na krzyczącą i wyrrywającą się ośmiolatkę, gdy postać w zieleni ciągnęła Saskię Kuyper z chaosu Leidseplein w puste ulice na uboczu.

Po drugiej stronie placu jej matka, oszalała w kołującym się tłumie, wciąż patrzyła na ekran swojego telefonu. Niechętnie słuchała znajomego dzwonka, który przypisała mężowi.

Ale nie miała wyboru.

– Henk – zaczęła, zanim się odezwał. – Jesteśmy na Leidseplein. Musisz tu przyjść.

Zamilkła. Obwiniła za to ją. Już widziała to kąśliwe, osądające spojrzenie.

I tak musiała to powiedzieć.

– Saskia się zgubiła. Nigdzie jej nie ma.

Dwie minuty po pierwszej eksplozji Frank de Groot, komisarz z Marnixstraat, zadzwonił do Vosa i spytał, czy nic się nie stało jemu ani nikomu z jego zespołu.

– O ile widzę, to nie – odrzekł Vos. – Jak ofiary?

– Chyba nie więcej niż po fajerwerkach. W każdym razie tyle widać z monitoringu. Tak czy owak...

– Widziałeś to?

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie.

– O co pytasz?

– Widziałeś, kto je rzucił?

– Ktoś przebrany za Zwarte Pieta. W zielonym stroju. Obok przystanku tramwajowego.

Czyli tak jak mówił Van der Berg.

– Dirk się tym zajął – powiedział Vos. – Dołączymy do niego. Pewna kobieta twierdzi, że ktoś

taki śledził ją z Herenmarkt. Może sprawdzisz kamery. I doślij mi trochę ludzi...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu de Groot. – Ta sprawa to nie nasz zasięg. Terroryzm...

– A terroryści rzucają fajerwerkami? – spytał Vos zdziwiony.

Pani Kuyper wciąż się kłóciła przez telefon. W oczach miała łzy. Bakker jej nie odstępowała. To nie był zamach bombowy, pomyślała od razu. Żadnej krwi. Tylko mnóstwo przerażonych i zszokowanych ludzi.

Zanim de Groot zdołał odpowiedzieć, Vos dodał:

– Mam tu rodziców, którzy nie mogą znaleźć swoich dzieci. Musisz wyznaczyć punkt zbiórek.

– Tak, oczywiście. Ale nie chcę, żebyś kogokolwiek ścigał. AIVD się tym zajmuje.

Przez chwilę Vos się zastanawiał, czy aby się nie przesłyszał. AIVD to agencja bezpieczeństwa wewnętrznego. Nie policja. No i co za wycucie czasu...

– Już? – spytał. – Minęły trzy minuty. Czekali czy co?

– Przeczytałeś okólnik przed akcją? – spytał de Groot. – Stopień zagrożenia terrorystycznego podniesiono na wysoki. Chodzi o tego imama, który siedzi w areszcie deportacyjnym. Podobno...

– Myślałem o Sinterklaasie – przyznał Vos. – Nie o terrorystach.

– Tak. No właśnie... – Z natury de Groot rzadko się wahał.

– Co mam zrobić, Frank?

– AIVD ma na Leidseplein kilku oficerów.

– Więc oni wiedzieli, że może do tego dojść?

– Nie wszystko naraz – odrzekł de Groot z irytacją. – Szefowa nazywa się Mirjam Fransen. Jeśli...

– Co mam zrobić?

Długa cisza. Wreszcie de Groot powiedział:

– Wszystko, co będą chcieli. Naprawdę sądzisz, że mieliśmy szczęście? Że nikt nie odniósł obrażeń?

Vos się rozejrzał. Plac się powoli uspokajał. Nikt już nie krzyczał. Ludzie próbowali tylko zorientować się w sytuacji. I odnaleźć swoich bliskich.

– Na to wygląda. Musimy usunąć stąd ludzi. – Pamiętał historie o zamachach wtórnych. Gdy pierwszy wybuch miał tylko zwabić ludzi w miejsce bardziej niebezpieczne. – Nie wiadomo, co jeszcze może się tu wydarzyć.

Po drugiej stronie znowu zapadła długa cisza.

– Już mówiłem – przypomniał de Groot. – Kobieta z AIVD przejmuje dowodzenie. Chcą uniknąć paniki. Wszyscy mają się spokojnie rozejść. Wtedy mogą tam ściągnąć swoich ludzi.

Vos kiwnął głową i rzekł niemal do siebie, półświadomie:

– Tobie to się podoba?

– Zostań na miejscu. Rób, co możesz. Czekać na wiadomość ode mnie. – De Groot się rozłączył.

Zbliżał się do nich wysoki mężczyzna. Renata Kuyper wpatrywała się w niego z wdzięcznością, a zarazem nieufnie. Stanęli naprzeciwko siebie. On szczupły, w drogim, chyba zimowym płaszczu. Strój biznesowy. Dziwny jak na niedzielę. Po trzydziestce, okulary

w ciemnych oprawkach, ciemne włosy, twarz bez wyrazu.

Vos podszedł. Bakker usiłowała pomóc.

– Pan Kuyper? – spytała.

Kiwnął głową.

– Znajdziemy państwa córkę – dodała.

Ostro spojrział na żonę.

– Mam nadzieję.

Z drugiego końca placu zadzwonił Van der Berg.

– Już myślałem, że go mam, Pieter.

– I?

– Przyjechali ludzie AIVD. – W jego głosie słycać było zdenerwowanie. Nikt nie lubił, gdy służby specjalne wchodziły mu w drogę. – Chyba sądzą, że to ich sprawa.

Vos spytał Van der Berga, gdzie dokładnie się znajduje. Następnie zawołał Bakker, polecił Kuyperom, żeby zostali z mundurowymi. Zastanowił się chwilę i oddzwonił do Van der Berga.

– Nie zaczynaj beze mnie awantury – rzekł. – Zaraz będę.

W ślepym zaułku Hanna Bublik ocknęła się z bólem głowy i stwierdziła, że leży na ziemi. Dotknęła czoła. Bolało, ale krwi nie wyczuła.

Rozejrzała się niespokojnie. Prócz niej w zaułku nikogo nie było. Nigdzie nie widziała różowej kurteczki. Ani nie słyszała cichego, niespokojnego głosu.

Gdy wstawiała nieporadnie, zimowe światło ulicy zniknęło i padł na nią cień. Lśniąca zieleń, pomalowana na czarno twarz, wielka peruka, czerwone wargi, zero uśmiechu. Przypomniała sobie, że się przewracała, a Natalia krzyczała...

Zebrała się do walki.

Ale mężczyzna podniósł ręce w górę i zrozumiała, że ten Zwarte Piet jest jakiś inny. Pełen poważania. Miał coś w ręce. Policyjną odznakę, a na niej nazwisko: Koeman.

– Nic pani nie jest? – spytał. – Jestem policjantem. – Odsunął się, żeby światło na nią padło. – Co się stało?

– Natalia...

Minęła go i wyszła na plac. Wypełniony ludźmi, spokojniejszy niż wcześniej. Przez głośniki, których wcześniej używał Sinterklaas, ponaglano zebranych, by opuścili rejon najłatwiejszą drogą.

– Ktoś mnie uderzył. Zabrał moją córeczkę.

– Skąd pani jest? – spytał.

To pytanie wydało się jej głupie, bezsensowne.

– A to ważne? Pan mnie rozumie?

– Nic... nic pani nie jest?

– Nic! – krzyknęła i dodała kilka przekleństw, których nie rozumiał. – Gdzie moja córka? Ktoś ją zabrał!

– Tysiące rodziców szuka tu swoich dzieci – warknął policjant. – Jakiś idiota rzucił pociski

dymne czy coś takiego. Proszę mi podać jej imię.

– Natalia.

Wytarł policzek rękawem zielonego kostiumu. Charakteryzacja zaczynała mu spływać. Widziała, jak spod niej wyłania się blada twarz. Chyba był zmęczony. Zmieszany. Wściekły.

– Jeszcze lepiej – rzekł – niech mi pani da jakiś dokument.

Niechętnie, wiedząc, że sytuacja się tylko pogorszy, sięgnęła do torebki po paszport. Podała go, a on mu się przyjrzał.

– Turystka?

– Mieszkam tu. Moja córka nazywa się Natalia Bublik. Ma osiem lat. Kiedy zacznie jej pan szukać?

Oddał jej dokument.

– Ma pani pracę?

– A to ważne?

Otaksował ją wzrokiem. Znała to spojrzenie.

– Ma osiem lat...

– Już pani mówiła – przerwał, po czym z zielonych spodni wyciągnął notes i coś w nim zapisał. – Przekażę jej dane. – Podał jej notes i długopis. – Proszę zostać na obrzeżach placu. I słuchać komunikatów. Zostanie wyznaczony punkt zbiorczy dla zagubionych dzieci...

Wtedy straciła cierpliwość.

– Jakiś łajdak mnie uderzył. Zabrał moją córkę. – Wycelowała palec w zieloną bluzę. – Tak był ubrany. Co pan...?

– Albo mała uciekła – przerwał jej policjant. – Przestraszyła się. – Wzruszył ramionami. – Dzisiaj jest mnóstwo przestraszonych ludzi. Tysiące. Usiłujemy zaprowadzić porządek. Pani Hanno...

Wypowiedział jej imię w taki sposób, że od razu zrozumiała. Ten człowiek miał priorytety. I podejrzana Gruzinka, która zgubiła córkę, do nich nie należała.

Rzuciła więc pod jego adresem kilka przekleństw i poszła sama szukać Natalii.

Van der Berg złościł się, stojąc przy przystanku tramwajowym. Tłumy rzedły. Zespoły medyczne wykonywały swoją robotę, której miały o wiele mniej, niż się spodziewały.

Gdy pojawili się Vos i Bakker, właśnie spierał się z trzydziestoparoletnią kobietą o ostrych rysach twarzy, kruczoczarnych włosach i w eleganckim prochowcu. Na nieruchomej twarzy kobiety widniała opalenizna niechybnie z solarium.

– Poszedł tam – upierał się detektyw, wskazując palcem Lijnbaansgracht, wąską ulicę prowadzącą do centrum sztuki Melkweg.

– Wiemy – odparła kobieta, pokazując im ekran telefonu.

Vos podszedł, przedstawił siebie i Bakker. To była ta Fransen z AIVD, ta o której mówił de Groot. Jakimś cudem weszła już w posiadanie nagrań z kamer na placu. Patrzyli, jak Zwarte Piet w zielonym stroju wyciąga ramię ponad tłumem i rzuca pierwszy granat. Gdzieś wzbił się w górę obłok dymu. I kolejne dwa.

– Wy macie tu utrzymać porządek – powiedziała do policjantów Mirjam Fransen. – Zabierzcie

ludzi z placu. Spróbujcie dopasować znalezione dzieci do rodziców.

– Jeśli potrzebujecie pomocy... – odezwał się Vos.

Zadzwoił ogromny telefon. Odebrała na słuchawkach. Rozmowa trwała krótko. I chyba ją zadowolili.

– Nie potrzebujemy – odparła, po czym dziarskim krokiem weszła prosto w tłum, zmierzając w stronę Lijnbaansgracht.

Ucieczka.

Nigdy nie był w tym dobry, także zanim jeszcze zmienił nazwisko.

Lepki pod zielonym kostiumem, świadomy, że czarna farba zaczyna spływać z potem, ściągnął z głowy gorącą, niewygodną perukę i pognął w wąską ulicę, z powrotem do miejsca, z którego wcześniej odebrał ukryty sprzęt.

Pieniądze miał w kieszeni. W życiu nie widział na oczy takiej sumy. Ale nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Jak opłacić swój wyjazd z Amsterdamu. Tamten mężczyzna powiedział, że on to załatwi. Że będzie czekał tam, gdzie zostawił rzeczy. Powinien czekać. Bouali zrobił wszystko, o co tamten prosił. Rzucił granaty, chociaż te sprawiały raczej wrażenie zabawek. Porwał dziewczynkę, jak kazali. Zabrał ją w miejsce, które zaznaczyli na mapie. Poradził sobie z nią, starając się nie zastanawiać, co robi.

Ale w brudnym ciemnym kącie zastał tylko śmieci i samotnego szczura. Słyszał wrzawę z Leidseplein i od czasu do czasu syrenę zawodzącą wokół placu.

Czekał dwie minuty. Nagle zerwał z siebie resztę stroju Zwarte Pieta. Pod spodem miał białą bluzę i džinsy. Z przebrania została tylko czerwona torba teoretycznie przeznaczona na słodycze. W niej miał pieniądze. I dowody obciążające. Wyjął gotówkę, pistolet, łuski, podszedł do kanału i wrzucił worek do wody.

Na ostatnie trzy noce zapewnili mu pokój w budynku dla pracowników restauracji niedaleko Dworca Głównego. Teraz nie mógł tam wrócić, byłoby to zbyt niebezpieczne. W tylnej kieszeni džinsów miał paszport. Na swoje dawne angielskie nazwisko. I zdjęcie z tamtego okresu.

Może...

Syreny się zbliżyły. Nie mógł jasno myśleć.

Wystawił zza rogu głowę i spojrział w stronę Leidseplein.

Po czym odwrócił się i znowu ruszył biegiem. Mężczyzna o lśniącej czarnej twarzy, farbie spływającej na białą bluzę. Wymachujący rękoma. Z pistoletem za paskiem džinsów. Biegł niepewnie w stronę wąskiej płataniny ulic, zaułków i kanałów składających się na Jordaan.

Henk Kuyper wydawał się zadowolony, że robi, o co policja prosiła. Miał zostać w pobliżu teatru na Leidseplein i patrzeć, jak rozchodzą się smętne, szokowane tłumy. Słuchać komunikatów, aż padnie jakieś polecenie. Obiecać zrozpaczonej żonie, że wszystko będzie dobrze. Że nic się nikomu nie stanie.

Punkt zbiórki dla zagubionych członków rodzin znajdował się niedaleko. Piętnaście minut później nadal nie było żadnego śladu po ich córce.

Żona popatrzyła na niego.

– To nie moja wina – powiedziała.



- A czyja? – zapytał, rozglądając się po placu zmrużonymi, uważnymi oczyma.
- Dlaczego zawsze winisz mnie?
- Nieprawda.
- Mogłeś też przyjść, Henk. Mogłeś tu być. Może wówczas...

Zimne, smutne spojrzenie uciszyło ją. Zawsze umiał się nim posłużyć, jeśli chciał.

Wyciągnęła telefon. Rano, zanim się zdenerwowała, że śledzi je Zwarte Piet, zatrzymała pomarańczowy trójkołowiec nad kanałem niedaleko domu Anny Frank na Prinsengracht. Tam zrobiła zdjęcie Saskii w siedzisku z przodu.

Starannie uczesane blond włosy. Ośmiolatka w różowej kurtce z kucykami. Bardzo próbuje się uśmiechać na tle tłumu znudzonych turystów czekających na wejście do muzeum Anny Frank, innego utraconego dziecka.

Ale to nie był ten sam przerażający świat. Nie wojenny Amsterdam pod okupacją potworów. Dzięki pieniądзом rodziny Henka żyli wygodnie. Chronieni przed kryzysami umęczonej gospodarki. Przez swoją pracę popadł w konflikt ze statecznym, patrycjuszowskim ojcem. Ale Lucas Kuyper nigdy nie wstrzymał dopływu pieniędzy. Nie opuszczał ich, spokojny, bezbarwny, gotów pomóc w razie potrzeby.

Nazwisko Kuyper pochodziło sprzed wieków, miało swoje miejsce na amsterdamskiej liście drobnej szlachty. Kuyperowie trzymali się razem i dbali o siebie nawzajem.

- Nam się takie rzeczy nie zdarzają – powiedziała, jakby chciała przekonać samą siebie.

Potem zostawiła go w punkcie zbiórki, ściskając w dłoni telefon. Wciąż miała tam zdjęcie Saskii: małej postaci w rowerze cargo. Różowa kurtka była na nią za duża. Zresztą i tak do niej nie pasowała. Nosila ją wyłącznie dlatego, że Henk przyszedł z nią do domu, mówiąc, że to był instynktowny zakup. Prezent w sumie bez powodu. Robił tak od czasu do czasu. Kochał swoją córkę. Bardziej niż żonę.

Dzierżąc w wyciągniętej ręce telefon z wyświetlonym zdjęciem, Renata przedzierała się powoli przez rzednący tłum, rozpytuując, prosząc ludzi, by zerknęli na zdjęcie Saskii i powiedzieli jej, gdzie ona może być.

W jej głowie zrodziła się myśl. Czy tak robią matki na całym świecie? W biedniejszych miejscach? Tam gdzie Henk podobno pomaga? Kiedy wybucha bomba. Albo snajperzy wchodzą do pobliskich budynków.

Matka. Zagubione dziecko. Czy przedstawicielka amsterdamskich elit czymkolwiek różni się od uchodźczyny rozdzielonej z synem czy córką?

Henk miałby tu coś do powiedzenia. Zgryźliwy komentarz, w którym by jej wyjaśnił, jaka jest głupia, że myśli o takich rzeczach. W cokolwiek ona wierzy, społeczeństwo myśli inaczej. Biedni byli biedni. Bogaci byli bogaci. A każdy pomiędzy nimi wydawał się bezsilny, niezdolny cokolwiek zmienić.

On został z innymi zdenerwowanymi rodzicami. Czekał, aż ten dziwny dzień sam wróci do normy. Jakby mieli wziąć rower, wsadzić Saskię do siedziska i pojechać do domu. Zjeść razem kolację, pogadać o tym i owym, gdy on otworzy nieodłączną butelkę wina. Potem on wróci do swojego niewielkiego gabinetu pod dachem, by zatracić się w komputerze i wszystkich tych ludziach, których znał na świecie. Dla niej obcych, a dla niego bliższych niż jego własna rodzina.

Potknęła się, schodząc z chodnika na plac. Jakaś ręka wyciągnęła się, by ją zatrzymać. Spojrzała, cofnęło ją. Kostium Zwarte Pieta. Tym razem czerwony. I znowu ta sama czarna twarz.

Renata odsunęła się od niego, pokazała telefon. Komicznie potrząsnęła głową.

Chwiejnym krokiem ruszyła dalej. Zatrzymywała, kogo się dało. Wiedząc, że to głupie. Henk użyłby słowa „nieracjonalne”. Bezmyślne. Nieskuteczne. Ale co innego można było zrobić?

Po kilku chwilach przecięła plac. Za nią tłumy nadal się rozchodziły w grzecznych rzędach. Komunikaty nadawane przez głośniki sprawiały wrażenie spokojniejszych. Pełne zachęty, słów pocieszenia. Wzywały zagubionych do wyznaczonego punktu zbiórki. Blisko miejsca, w którym stał Henk.

Wyciągnięta ręka, w głowie pustka. Nigdzie ani śladu Saskii. Nagle jakiś cień padł na jej telefon, czyjaś ręka wyciągnęła się po niego.

Kobieta mniej więcej w jej wieku. O twarzy bardziej zaciętej. Szczupła, w taniej nylonowej kurtce i czarnych dżinsach. Z rozpaczą w oczach, która Renacie wydała się znajoma.

– Widziała ją pani? – spytała kobietę.

Potok słów. Obcojęzycznych. Niezrozumiałych. Ręka znowu sięgnęła po telefon i Renata pomyślała, że to niewłaściwy moment, niewłaściwe miejsce na kradzież. Amsterdam w chaosie, a ta obca żdzira chce tylko ukraść telefon ze zdjęciem dziewczynki na ekranie. Uśmiechniętej, w różowej kurtce.

Gwałtownym ruchem cofnęła rękę, odsunęła się, spojrzała na kobietę groźnie. Tamta powinna wiedzieć.

Nie teraz. Nie wtedy, gdy zginęło dziecko.

Kobieta chwyciła ją za rękę, tę trzymającą telefon, przysunęła ekran do twarzy, wpatrywała się w zdjęcie.

Po czym go puściła, mówiąc w obcym języku coś, co brzmiało jak przekleństwo, spojrzała na Renatę, potrząsnęła głową i ociężałym krokiem oddaliła się w tłum, z pochylonymi ramionami i oczyma pełnymi łez.

Telefon zadzwonił. Henk.

– Mam ją – powiedział. I tylko tyle.

Pierwszy zobaczył ich Vos. Grupa zamaskowanych mężczyzn w czerni, uzbrojonych, w kapturach, pędziła w róg placu, w stronę klubu Melkweg. Uznał, że to funkcjonariusze AIVD.

Nie przejmował się nakazem de Groota, by się trzymać z daleka od sprawy. To jego miasto. Jego ludzie. Dla zamaskowanych mężczyzn nie było tu miejsca.

Koeman ścierał z twarzy resztki czarnej charakterystyki, jęcząc przy tym jak zwykle. Coś, że się zrobił bajzel. Że ludzie – w tym policja – nie wiedzą, co robić.

– Dirk – powiedział Vos do Van der Berga – ty zajmij się sytuacją tutaj. – Obejrzał się na Bakker i Koemana, kazał im iść ze sobą, po czym przecisnął się przez kolejkę rodzin czekających na wydostanie się z placu. Wydostał się poza tłum i zerknął w wąską uliczkę prowadzącą do klubu muzycznego. Mężczyźni już minęli to miejsce, biegli pod szarymi budynkami Raamplein, ścigając daleką postać, która wciąż oglądała się za siebie, przedzierając się przez mostek.

Mężczyzna w białej koszulce i dżinsach. Z czarną twarzą jak Koeman.

Vos puścił się biegiem. Jak najszybciej. Bakker była młodsza, w lepszej formie niż oni wszyscy. Widział, że rusza biegiem, długie nogi, długie ręce pracowały miarowo, rude włosy powiewały za jej plecami.

– Mają broń – krzyknął Vos, wiedząc, że nie ma sensu przypominać jej, by trzymała się z daleka.

– Ja też – zawołała, odwracając się i poklepując po kurtce. I już była po drugiej stronie delikatnego wzniesienia mostu, ciężkie kroki tak głośno dudniły na bruku, że niewielkie stadko łysek w przypływie strachu odleciało z łopotem.

Vos jak zwykle zostawił broń w szafce. W końcu wybierał się na paradę Sinterklaasa. Po co mu była broń?

Jakieś czterysta metrów przed nimi uciekinier skoczył w boczną uliczkę, czarne postacie tuż za nim. Bakker poruszała się tak szybko, że już ich doganiała. Była za daleko, by Vos do niej krzyczał. Nawet gdyby to miało sens. Koeman sapał za jego plecami.

Ludzie z AIVD skręcili za rogiem, Bakker deptała im po piętach.

Dirk Van der Berg czekał na Leidseplein, słuchając radia i obserwując, jak ludzie kolejno, cierpliwie opuszczają plac. Miał czterdzieści siedem lat, kondycja pozostawiała wiele do życzenia, lubił piwo. W ciągu bez mała trzydziestu lat spędzonych w amsterdamskiej policji niejedno widział i tym razem coś mu się nie zgadzało.

Rozglądając się po dziwnym tłumie sinterklaasowym, zrozumiał, co to takiego.

Na takich imprezach terroryści nie rzucali niby-granatów. To nie było w ich stylu. Terrorysta to albo tchórz, albo bohater. Ukradkiem podkłada ładunki, montuje na nim zapalnik czasowy i ucieka w bezpieczne miejsce. Albo z dumą niesie ładunek na sobie. Afiszuje się z kamizelką czy bronią, czekając na męczeńską śmierć.

– Coś mi tu śmierdzi – burknął pod nosem i rozejrzał się po placu.

Pani Kuyper zniknęła. Jej mąż również. Van der Berg domyślił się, że znaleźli swoją córeczkę. No bo dlaczego opuściliby punkt zbiórek?

W tłumie zrobiła się luka. Van der Berg zerknął przez nią. Mnóstwo dzieci w odświętnych strojach. I dorosłych.

Na Leidsestraat stał czarny dostawczak. Przed delikatesami Eichholz. Samochód stał na torach tramwajowych, tego dnia nieużywanych, bo z okazji parady Sinterklaasa wstrzymano cały transport publiczny.

Na oczach Van der Berga do tylnych drzwi dostawczaka podszedł Zwarte Piet. Ubrany na zielono. Trzymał za rękę dziewczynkę o blond włosach. I w różowej kurtce. Nie puszczając jej ani na chwilę, otworzył drzwi, po czym wepchnął ją do środka.

Ludzie chcieli jak najszybciej zabrać stąd swoje dzieci. To oczywiste. Van der Berg myślał. Ale samochody prywatne nie mogły dziś wjeżdżać do centrum. Skąd ten się tu wziął?

Nagle dziecko się odwróciło i Van der Berg wszystko zrozumiał. Dziewczynka nie była z tym mężczyzną, on ją zabierał wbrew jej woli.

Ulica przed furgonetką była pusta. Mogli odjechać w ciągu kilku sekund.

Nieokreślony, przelotny strach, taki jaki policjanci odczuwają czasami, gdy w jednej chwili

przychodzą im do głowy liczne niepożądane scenariusze.

Może w tym wszystkim nie chodziło o rzucone w tłum nieszkodliwe fajerwerki. W każdym razie nie bezpośrednio. Może chodziło o posianie strachu i wywołanie zamieszania, o przejęcie dziewczynki wśród chaosu, gdy wiadomo, że choć dziesiątki ludzi zobaczą to porwanie, nie zorientują się, o co naprawdę chodzi.

Ruszył biegiem, z krzykiem. Drogę przeciął mu jeden z szarych wozów, którymi przemieszczali się ludzie z AIVD. Osłony na szybach, szkło ciemne, nieprzepuszczające światła zewnętrznego. Za nim podążyły dwa następne.

Van der Berg odskoczył, klnąc.

Kiedy już miał wolną drogę, dostawczak zniknął.

Przebył długą drogę z pokątnych uliczek Lancashire, gdzie dorastał w biedzie, z matką, która rzadko miała dla niego czas, przez więzienie, aż po odnalezienie się w obcej wierze. Urodził się jako Martin Bowers. Radykalny imam w angielskim meczecie nadał mu nowe miano: Mujahied Bouali. Dwadzieścia cztery lata. Pędził teraz wzdłuż wąskiego kanału w Amsterdamie, a pot wraz z czarną farbą spływał mu po twarzy.

Nie powiedzieli mu, co ma robić, jeśli będzie mu groziła wpadka. To dziwne. Tamci mężczyźni poprzedniego dnia wprowadzili go w szczegóły planu, pokazali mu granaty, które później odebrał wraz z bronią, i powiedzieli wszystko. Co robić. Jak robić. Gdzie uciekać.

Do kryjówki w dzielnicy czerwonych latarni. Ale stąd miał tam daleko. Za daleko.

Teraz biegł po twardym, nierównym bruku, z trudem; z kieszeni wysypywały mu się pieniądze. Nie miał czasu oglądać się za siebie. Gonili go. Próbował złapać oddech, biec równiej, szybciej.

Ale wódka i papierosy z czasów, gdy był jeszcze Martinem Bowersem, zebrały zniwo.

Po lewej zobaczył wąskie przejście. Cień. Może zdoła się ukryć, zgubić pogoń. Uskoczył tam, noga utknęła mu we włazie kanalizacji, padł na ziemię z jękiem, gdy obdzierał sobie kłykcie, usiłując ochronić twarz przed zderzeniem z twardymi kamieniami.

Podniósł wzrok i wiedział, że to koniec. Znajdował się w ślepych zaułku, zakończonym wysokim ceglany murem. Żadnych okien. Żadnych ludzi. Tylko śmietniki i zbłąkany kot umykający z rogu, jakby w strachu przed tym, co nastąpi.

– Cholerny kretyn – burknął i usłyszał swój dawny głos, zacięty akcent z Lancashire, z całą nadzieją i odrobiną miłości, którą kiedyś posiadał, odebraną mu przez lata.

Myśl samodzielnie.

Od jakiegoś czasu tego nie robił. Oni robili to za niego.

Kroki za plecami. Metaliczny dźwięk, o którym nie chciał myśleć.

Kobieta – z poważną twarzą, czarnymi włosami. Szefowa. To było widać.

– Nie rób żadnych głupot – rozkazała po angielsku. – Jesteś aresztowany. – Uśmiechnęła się. – Będziesz mówił.

– Ja nic nie wiem – burknął, kryjąc się w cieniu. Wpatrywał się w jej beznamietną, zaciętą twarz. – Nawet gdybym wiedział...

Otoczający ją mężczyźni trzymali broń w ręku.

– Zobaczymy – odparła. Ruchem głowy dała znak mężczyźnie obok, wielkiemu, silnemu, w kapturze. W jednym ręku trzymał broń. W drugim kajdanki. – Zabierzcie go.

– Kobieta ci rozkazuje?! – krzyknął Bouali swoim chrapliwym, północnym głosem. – I ty niby jesteś mężczyzną?

Ona nie odrywała od niego wzroku. Zimna i bezduszna.

– Rób, co ci kazano, chłopcze – powiedziała. – Ty...

Martin Bowers, Mujahied Bouali, gorączkowo szukał wokół siebie, znalazł broń za paskiem, chwycił ją mocno. Czasami różne rzeczy robił bez namysłu. Rzeczy, które po prostu przychodziły mu do głowy.

Skierował na nich broń, zanim sobie uświadomił, że to robi.

Zadzwoił telefon w kieszeni Vosa. Właśnie mijał Melkweg. Zaklął i stanął, zdyszany, zerknął na wyświetlacz.

Van der Berg. Człowiek, który nie marnował czasu ani słów.

– Co?

– Coś tu się dzieje. Chyba właśnie widziałem porwanie dziecka. W różowej kurtce, jak ta mała, o której mówili.

– Gdzie?

– Przy placu. Czarna furgonetka. Odjechała w stronę centrum. Miałbym numery, gdyby nie ci wszyscy agenci jeżdżący tu jak krety. – Zamilkł na chwilę. – Gdzie jesteś? Gdzie jest Laura?

Goni ludzi z AIVD. Zniknęła.

– Zaraz wrócimy. Chyba mają tego człowieka.

– Jakiego człowieka? – krzyknął Van der Berg. – Ja go widziałem tutaj. Gdy pakował dziecko do samochodu. – Znowu chwila przerwy, podczas której obaj myśleli to samo. – Jest ich więcej, prawda?

– Na to wygląda...

Kaczki i łyski zerwały się z kanału, wypełniając powietrze łopotem skrzydeł i niespokojnymi, przenikliwymi krzykami. A potem rozległo się staccato wystrzałów.

Saskia.

Różowa kurteczka. Wysoka postać trzymająca dziewczynkę za rękę. Renata biegła i biegła, długą uliczką, minęła Melkweg, aż wypadła na kanał przy Marnixstraat.

W oddali ujrzała szary nowoczesny budynek, w którym znajdował się komisariat policji. Ależ oni byli bezużyteczni. To Henk ją znalazł. Niedobry Henk. Bezmyślny Henk.

Jeszcze jej to wspomni. Wiedziała o tym. Ale w tym momencie się tym nie przejmowała.

Biegła pochylona, chwyciła córkę, przytuliła ją. Spojrzała na jej bladą, zdumioną twarz i nie ośmieliła się zadać oczywistego pytania: „Gdzieś ty była, do diabła?”.

– Nic jej nie jest – oznajmił Henk bezbarwnym, znudzonym głosem. – Zgubiła się. To wszystko. Chodźmy do domu.

Potargał blond włosy Saskii.

– Kupię lody. Cokolwiek...

Krzyk. Huk, chyba wystrzałów.

Trzy sceny, jednoczesne, odległe od siebie o niespełna kilka kroków, osobne, a jednak powiązane.

Laura Bakker dobiegła do zaułka, do którego wcześniej wpadli funkcjonariusze AIVD w pogoni za Zwarte Pietem. Zakrwawione ciało leżało skulone na ziemi. Stojąca obok kobieta w eleganckim garniturze z zaciętą twarzą mówiła coś do swojego radia.

Gdy tylko Bakker się pojawiła, stanął przed nią mur mężczyzn. Jej legitymacja służbowa nie znaczyła tu kompletnie nic. Mieli pistolety maszynowe. Kamizelki kuloodporne. Kominiarki i pałki. Odepchnęli ją, aż przestała cokolwiek widzieć, i zostawili na ulicy wściekłą, przeklinającą. Tupą swoimi ciężkimi butami w bruk. Wszystko na próżno.

Gdy Kuyperowie objęli córkę i osłonili ją ramionami niczym tarczą, podbiegła do nich wysoka blondynka, krzycząc coś w obcym języku. Pochyliła się, wpatrywała się w dziewczynkę. Pokręciła głową. Wściekła. Zagubiona.

„Próbowałaś ukraść mi telefon”.

Przypadkowa myśl. Niepożądana w tych okolicznościach. Renata ledwie zauważyła, jak jej mąż się odsuwa, odwraca tyłem, rzucając coś pod nosem, że musi zadzwonić. Następnie zniknął po drugiej stronie mostu.

Pieter Vos zobaczył część tej sceny, podobnie jak Laura Bakker wycofująca się z krwawej sceny w zaułku, a także Dirk Van der Berg idący od strony placu. Czujniki zasygnalizowały kłopoty, troje detektywów namierzyła dziwną grupkę.

Stojąc obok dziewczynki, jej matki i zrozpaczonej kobiety, Bakker spojrzała na Vosa i powiedziała, nadal sama nie dowierzając:

– Zastrzelili go. Tak po prostu.

– Gdzie moja córka? – krzyknęła Hanna Bublik łamanym niderlandzkim, ściskając dziecko w różowej kurtce, aż Renata Kuyper wyrwała Saskię z jej zaciśniętych palców.

Van der Berg obejrzał się na Vosa. Kiwnął głową. Jakby wiedział.

Dźwięk. Wysoki. Beztroska dziecięca melodia, taka jaką się wybiera na dzwonek dla konkretnego kontaktu. Renata Kuyper wyjęła telefon z kieszeni, zerknęła na wyświetlacz, i odwróciła się do córki.

– Saskia...? – spytała.

Dziewczynka milczała, patrząc na kanał i powracające ptactwo.

– To z twojego telefonu – powiedziała Renata.

Vos wyjął aparat z jej zimnych palców.

– To połączenie wideo – rzekł i stuknął w ekran.

Na niewielkim wyświetlaczu pojawiła się twarz. Pomalowana na czarno. Czerwone usta. Białe zęby.

– Chcę rozmawiać z matką – powiedział ten nowy Zwarte Piet.

– Nazywam się Pieter Vos. Jestem brygadierem policji amsterdamskiej.

Na to twarz się roześmiała, zęby doskonale i równe.

– Niech będzie.

Zza zakrętu wypadła karetka pogotowia, zawodząc syreną, i popędziła w zaułek, w którym zebrali się mężczyźni z bronią.

– Mój brat Mujahied jest męczennikiem, prawda? Słuchamy waszego radia. Wiemy, co knujecie. Zamordowaliście go.

Głośnik został podkręcony na pełną moc, żeby wszyscy słyszeli i widzieli. Głos był obcy. Akcent trudny do zlokalizowania.

– Nie wiem, co się stało – odrzekł Vos. – Jesteśmy z policji. Pewna dziewczynka...

– Wszyscy jesteście tacy sami. Psy i bandyci.

– Czego chcesz?

– Mamy małą Kuyper – rzekł Zwarte Piet. – Wnuczkę tego łajdaka, waszego żołnierza...

– Nie – przerwał mu Vos.

Białe oczy otworzyły się szeroko z wściekłości.

– Nie kłóć się ze mną! Od Srebrenicy minęło dwadzieścia lat. Zginęło tam osiem tysięcy ludzi. A ile więcej w Iraku i Afganistanie. Myślisz, że nie umiemy liczyć? Teraz mamy szczenię tego mordercy.

Vos zerknął na dziewczynkę, którą matka przytulała do boku opiekuńczymi ramionami. I na tę drugą kobietę. Cudzoziemkę. Noszącą znamię rozpaczliwego ubóstwa.

Różowe kurteczki.

– Saskia Kuyper jest tutaj. Bezpieczna ze swoją matką. Porwaliście niewłaściwą dziewczynkę. Mają takie same ubrania, ale...

Hanna Bublik wyrwała mu telefon, spojrzała groźnym wzrokiem na twarz widoczną na ekranie.

– Ona ma osiem lat. Jest z Gruzji. Nie ma ojca. Nie ma pieniędzy. Nie ma...

Karcący palec, apodyktyczna ręka nakazały jej milczenie.

– Rozmawiam z tym mężczyzną – powiedział Zwarte Piet. – I tylko z nim.

Spróbowała jeszcze raz i z takim samym skutkiem. Vos spojrzał na nią, kiwnął głową, a ona oddała mu aparat.

– Ona mówi prawdę – rzekł. – Macie niewłaściwą dziewczynkę. Puść ją. Wypuść ją natychmiast. Ulotnij się, zanim cię znajdziemy...

Czarna twarz znowu się roześmiała. A potem obraz się zmienił. Migawka z jakiegoś wnętrza, niewielkiego pomieszczenia. Drewniane ściany. Coś w tym widoku wydało się Vosowi znajome.

Wreszcie jakiś kształt w kącie.

Może łatwo było o tę pomyłkę. Dziewczynka trochę przypominała małą Kuyper. Jeśli już, to była ładniejsza, blondynka o długich prostych włosach i jasnych, niespokojnych oczach.

Na ustach miała czerwoną taśmę, związane sznurem szczupłe nadgarstki trzymała na kolanach. Różowa kurtka wyglądała na brudną i poplamioną.

Hanna znowu wyrwała telefon, krzycząc upiornie:

– Jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię. Przysięgam...

Nagły ruch obrazu. Ręka chwyciła dziewczynkę, przyciągnęła ją do kamery, zerwała taśmę z ust.

Dziewczynka krzyknęła, bardziej chyba z wściekłości niż ze strachu. Twarde dziecko. Twarda matka. Ale ta teraz milczała.

– Nazwisko! – wrzasnął Zwarte Piet.

Nic.

– Nazwisko!

– Natalia Bublik – odparła dziewczynka pewnym, wyzywającym głosem.

Vos patrzył na ściany. Na drewniane deski. Nie na nią. Próbował sobie wyobrazić, co to za miejsce. Gdzieś niedaleko. Nie miał czasu się oddalić.

Zwarte Piet nakleił dziewczynce nowy pasek taśmy, wepchnął ją z powrotem do kąta. Na poduszki. Może na prowizoryczne posłanie.

– To niewinne dziecko – zaczął Vos. – Puść ją.

– W Srebrenicy były niewinne dzieci. W Iraku. W Afganistanie. W Somalii. A także niewinni mężczyźni i kobiety. Wypowiadasz się w ich imieniu, policjancie?

– Czego chcesz? – wycedził.

– Chcę uwolnienia mojego brata Ismaila. Ma wyjechać do kraju, w którym nie grozi mu śmierć. – Wzruszenie ramionami. Zerknięcie w róg. – I trochę pieniędzy. Wolałbym uwięzić pomiot waszego mordercy Kuypera, wziąć okup za jego wolność. Ale dziecko to dziecko.

Ciemna twarz zerknęła do kamery i uśmiechnęła się.

– Zatrzymam więc tę dziewczynkę. – Roześmiał się. – Po co sprawdzać determinację takiego łajdaka jak Kuyper? Skoro mogę wypróbować wasze sumienie, dobrych i zwyczajnych ludzi?

– Puść ją natychmiast – zażądał Vos. – Dla porwania dzieci nie ma usprawiedliwienia...

– Sprawiedliwe jest to, co ustalimy. Ta mała wystarczy. Jutro się odezwę z instrukcjami. Ten telefon. Żaden inny.

I się rozłączył. Hanna Bublik zaklęła. Saskia Kuyper, trzymając się nogi swojej matki, zamknęła oczy.

Kaczki i łyski wracały na wodę, sprzecząc się jak gdyby nigdy nic. Vos spojrział na Laure Bakker i Dirka Van der Berga.

– Ona jest na jakiejś łodzi – powiedział.

Cztery godziny później na Marnixstraat Mirjam Fransen wprowadziła ich w sprawę Ismaila Alamy'ego, Marokańczyka, którego los był teraz powiązany z Natalią Bublik. Lat pięćdziesiąt jeden, czynny agent rekrutujący do komórek terrorystycznych przez internet. Od sześciu lat mieszkaniec Holandii. Podejrzewany przez AIVD o powiązania z licznymi nielegalnymi ugrupowaniami działającymi w Rogu Afryki, w tym Asz-Szabab. Szkolony w Afganistanie, poszukiwany w trzech bliskowschodnich państwach pod zarzutami kryminalnymi – spiskowania, planowania zamachów bombowych i usiłowania morderstwa.

Alamy należał do nielicznych rozpoznanych członków nieuchwytej organizacji terrorystycznej kierowanej przez niejakiego Il Barbone, Saudyjczyka, ale od lat działającego we Włoszech. Stąd właśnie pochodził przydomek, i z pogłosek, że mężczyzna ma imponującą



brodę. Fransen nie bardzo chciała o tym rozmawiać. Tajne, powiedziała. Musieli tylko wiedzieć, że Barbone stoi za organizacją zupełnie niepodobną do standardowych islamskich ugrupowań terrorystycznych, czyli głośnych, widocznych, stosunkowo łatwych do wyśledzenia. Tymczasem był to dobrze zorganizowany oddział operacyjny zajmujący się planowaniem i finansowaniem, działający dyskretnie, często konwencjonalnymi kanałami. Przemieszczał pieniądze i ludzi po całej Europie Zachodniej, tu też prowadził działalność wywiadowczą. Terroryzm jako przedsięwzięcie biznesowe, codzienne, trudne do wykrycia.

Od dwóch lat Alamy prowadził długą batalię z ekstradycją. W tej chwili przebywał w jednoosobowej bezpiecznej celi w areszcie deportacyjnym na lotnisku Schiphol, gdzie czekał na rozstrzygnięcie apelacji z Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W chwili gdy zapadnie niekorzystny dla niego wyrok – w ciągu kilku dni – zdaniem Fransen zostanie umieszczony na pokładzie samolotu wojskowego i wywieziony z kraju, by stanąć przed sądem w sojusznicznym kraju Bliskiego Wschodu.

– Nie możecie tego zrobić, dopóki nie znajdziemy dziewczynki – powiedział Vos.

Bakker dołączyła do nich wcześniej w gabinecie de Groota. Fransen przyprowadziła swojego zastępcę, małomównego, masywnego mężczyznę w szarym prochowcu, ostrzyżonego na jeża. Nazywał się Thom Geerts. Nad sprawą pracowało już niemal sześćdziesięciu ludzi z Marnixstraat, przeglądali monitoring i nagrania z telefonów, przesłuchiwali potencjalnych świadków. Na telefon Saskii dzwoniło przez internet. Nienamierzalne połączenie. Czarną furgonetkę znaleziono porzuconą niedaleko Dworca Głównego. Żeby się dostać na Leidseplein, kierowca użył podrobionej przepustki ochrony.

Ci ludzie byli przygotowani.

– Nie uzależniamy polityki rządu od akcji przestępców – oznajmił Geerts bez emocji.

– Od lat próbujecie wywieźć tego człowieka z kraju – wytknął de Groot dwójce z AIVD. – Kilka dni niczego nie zmieni. Przecież on nie ucieknie. A my potrzebujemy czasu.

Geerts już miał się kłócić, gdy Fransen położyła mu rękę na ramieniu, uśmiechnęła się zimno i powiedziała:

– Dobra. Możemy poczekać. W każdym razie kilka dni.

Laura Bakker siedziała w milczeniu, wściekając się przez całą odprawę. Fransen na samym początku przyznała, że otrzymali wcześniej ostrzeżenie o możliwym ataku w czasie parady Sinterklaasa. Żadnych szczegółów. Tylko plotki. Twierdziła, że to było za mało na powiadomienie policji. Powinni mieć świadomość, że dzisiaj rano poziom zagrożenia został podniesiony. Standardowa praktyka w takich okolicznościach.

– Gdybyśmy wiedzieli... – powiedziała Bakker po raz drugi.

Mirjam Fransen wzruszyła ramionami.

– Co byście zrobili? Mieliśmy na miejscu zespoły funkcjonariuszy. To wystarczyło. Nie mogliśmy odwołać Sinterklaasa. – Przelotny uśmiech. – Prawda?

Komisarz de Groot spojrzał na nią groźnie.

– Powinienem mieć dokładniejsze informacje. Zakończmy teraz tę sprawę.

– Tak, zakończmy. – Spojrzała na zegarek. – Muszę wracać do biura. Chcę, żebyście się zajęli kwestiami praktycznymi. Rodziną. Ta gruzińska prostytutka... czy ona ma papiery w porządku?

Hanna Bublik była przesłuchiwana na dole przez Dirka Van der Berga i policjantkę.

Wyglądało na to, że nie ma dużo do powiedzenia.

– Jej status prawny nie należy w tej chwili do kwestii najważniejszych – odparł Vos. – Pomieszczenie, w którym była przetrzymywana dziewczynka, wyglądało na łódź.

Fransen ściągnęła brwi.

– Jest pan pewien?

– Sam mieszkam na łodzi. Wiadomo, jak to wygląda. Niskie ściany. Boazeria...

– W Amsterdamie jest dużo łodzi – odparła. – Powodzenia...

– Dlaczego zastrzeliliście tego człowieka? – spytała Bakker.

Fransen wzruszyła ramionami.

– Gdyby była pani na miejscu, nie zadawałaby pani teraz tego pytania. – Spojrzała w oczy młodej policjantce. – Bouali miał broń. I był gotowy jej użyć. Ostrzeżliśmy go zgodnie z procedurami.

– Ja nie słyszałam żadnego ostrzeżenia – zauważyła Bakker.

Mirjam Fransen odczekała chwilę i spytała:

– Twierdzi pani, że kłamię?

– Twierdzą, że nie słyszałam ostrzeżenia.

– A ja twierdzą, że padło. Bouali miał broń. I skierował ją na nas, idiota. Też chciałam go dopaść żywego, tak samo jak wy. Może by nam coś powiedział.

Zabity mężczyzna był Brytyjczykiem z pochodzenia, zmienił nazwisko, gdy związał się z radykalnym imamem w północnej Anglii. Zespół Vosa już rozmawiał z ludźmi z podejrzanego budynku w dzielnicy czerwonych latarni, gdzie mężczyzna zajmował niewielki pokój. Jego sąsiadami byli głównie obcokrajowcy, pracownicy restauracji. Nie znali go, mieszkał tam raptem od paru dni, a większość czasu spędzał gdzieś na mieście i niewiele mówił.

Kobieta z AIVD odwróciła się do Vosa i wyciągnęła rękę.

– Muszę zabrać ten telefon. Zajmiemy się połączeniami.

Ani drgnął.

– Telefon – powtórzyła.

Frank de Groot wstał i oparł się o swoje biurko.

– Kimkolwiek jest ten człowiek, zaznaczył, że będzie rozmawiał wyłącznie z Vosem.

– Nie oni ustalają zasady – odparł Geerts.

– Jeśli uwięzili ośmiolatkę, to owszem – odparł z kolei de Groot. – Telefon zostaje u nas. Vos prowadzi rozmowy. Naturalnie, powiadomimy was, co się dzieje. – Przerwa. – Miło by było, gdybyście się odwzajemnili tym samym.

Mirjam Fransen zabiła go wzrokiem.

– Naprawdę chce pan, żebym poszła z tym do ministra?

– Nie. Chcę, byście z nami współpracowali. Tak żeby Natalia Bublik wróciła do domu. Ta kreatura, ten Alamy na lotnisku... to zależy od was. My...

– Mogę to załatwić za pańskimi plecami, de Groot.

Kiwnął głową.

– Tak. Może pani. A ja się zastanawiam, jak to będzie wyglądać. Jakkolwiek się to skończy,

na koniec obojgu nam się dokładnie przyjrzą. Chce pani, żeby raport orzekł, że zaczęliśmy od wojny terytorialnej? Kiedy stawką jest życie dziecka?

To im się nie spodobało. A niedługo później ustąpili i udali się do swojej siedziby.

– Powinni nam powiedzieć – powiedział Vos po ich wyjściu, na co Bakker od razu odparła: „Racja jak cholera”.

– Powinni – przyznał de Groot. – Ale nie powiedzieli.

Kuyperowie jedli obiad w swoim pięknym domu przy Herenmarkt. Stół pod oknem. Bożonarodzeniowe światełka, czerwono-zielono-niebieskie, pobłyskiwały wzorkiem na szybie.

Nieco dalej jacyś ludzie jedli kolację w West-Indisch Huis. Paru pijaków szwendało się po placu zabaw, coś tam robiąc przy huśtawkach.

Saskia poszła już do łóżka, wyczerpana, posępna. Jakby ją oszukano.

Henk Kuyper niewiele mówił, a dużo pił. Nie mógł się doczekać, aż wróci do swojego komputera.

Jedząc od niechcienia resztki pizzy, którą kupiła w sklepie organicznym za rogiem, spytała łagodnie o popołudnie.

– To była pomyłka – powiedział. – Mieliśmy szczęście.

Dolał sobie czerwonego wina i wytrzymał jej spojrzenie. Przystojny mężczyzna z długimi, opadającymi na ramiona ciemnymi włosami. Ostatnio niewiele się uśmiechał.

– Gdzie byłeś? – spytała.

Jęknął, spojrzał na zegarek.

– Musimy znowu przez to przechodzić? Mam robotę. Przepraszam. – Sięgnął do jej dłoni. Takie jego spojrzenie zmiękczało ją, gdy się kłócili w przeszłości. – Nie musisz się obwiniać.

– Nie obwiniam się.

– To dobrze.

– Pytałam, gdzie byłeś, gdy pojawiła się ta kobieta.

Jego nastrój nagle się zmienił. Teraz znowu był ponury i zimny.

– Mówiłem już. Musiałem zadzwonić.

– Ale...

– Żadne ale. Znalazłem Saskię. Wlazłem w ten cały... cholerny bajzel i znalazłem ją. Zobaczyłem kurtkę, którą jej kupiłem. I zabrałem dziecko. Co jeszcze...?

Dzwonek u drzwi uratował ich przed nadciągającą kłótnią. Zeszła otworzyć. W progu stał jego ojciec, Lucas, sztywny i wysoki. Tęższy niż syn. Miał niewiele ponad sześćdziesiątkę. Wieczny wojskowy, oficer, zawsze elegancki i gładko ogolony.

Porządny człowiek, jego życie niemal legło w gruzach przez jedną błędną decyzję o straszliwych konsekwencjach. Henk i Lucas od lat nie byli w dobrych stosunkach. Ale łożył na ich utrzymanie.

– Będzie ze mną rozmawiał?

Henk właśnie podszedł i stanął za nią na schodach.

– Czego chcesz? – spytał krótko.

Starszy mężczyzna wszedł do środka niezaproszony. Syn patrzył na niego spode łba.

– A jak sądzisz? Chcę pomóc. Ty, Renata i Saskia... potrzebujecie ochrony. Mogę coś zorganizować.

– Ochrony? Twojej? Naprawdę?

Wydarzenia, które przed dwudziestu laty rozegrały się w Bośni, zawsze już towarzyszyły tym dwóm mężczyznom. Ona to rozumiała, pogodziła się z tym. Henk chodził wówczas do szkoły z internatem. Musiał sobie radzić z docinkami, gdy gazety nie oszczędzały jego ojca. Lucas był wówczas majorem misji ONZ, uwięzionym pomiędzy stronami konfliktu, miał zachować pokój, ale nie starczyło mu władzy ani siły, by narzucić swoją wolę. Na skutek błędu zginęły tysiące niewinnych ludzi. Oficjalne śledztwo oczyściło Lucasa Kuypera z wszystkich zarzutów. Ale to nie zapobiegło potępieniu i niechęci wobec jego rodziny.

– Nie zaczynaj znowu, Henk – ostrzegł starszy mężczyzna.

– Dlaczego? Bo nie chcesz tego słuchać?

– Nie chcę. Chętnie opłacę dyskretną ochronę wokół domu...

– Nie, dzięki.

– Henk...

Zszedł na sam dół i stanął przed ojcem przy drzwiach.

– Nie potrzebujemy cię. Jesteśmy Kuyperami. Amsterdamską arystokracją. Nie jakimiś ubogimi bośniackimi muzułmanami, którym powinienś pomóc przed laty.

Lucas Kuyper na sekundę zamknął oczy. Na jego poznaczonej zmarszczkami, szarej twarzy pojawił się wyraz bólu.

– Dzwonili do mnie z AIVD. Powiedzieli, co się stało. I dlaczego.

Henk skrzyżował ramiona na piersi, uśmiechając się szeroko.

– A to ci niespodzianka. Te gnojki nigdy ci nie odpuściły, co? Dali ci też teczkę na mnie?

– To, co robisz ze swoim życiem, to twoja sprawa. Saskia i Renata...

Henk podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

– Umiem się zatroszczyć o swoją rodzinę. – Ruchem głowy wskazał ciemną ulicę na zewnątrz. – Następnym razem uprzedź nas telefonicznie. Albo raczej... nie fatyguj się.

Po surowej twarzy Lucasa Kuypera przemknął cień gniewu.

– Mogę chociaż zobaczyć swoją wnuczkę?

– Jest w łóżku. Zmęczona.

– Henk... – wtrąciła się Renata. – Zawsze możemy...

– To był ciężki dzień. Dla nas wszystkich. – Znowu wskazał ulicę. – Poradzimy sobie.

Mężczyzna w długim płaszczu wyszedł na mżawkę. Owdowiały, mieszkał sam w rezydencji w rejonie Grachtengordel. Renata regularnie zabierała Saskię na wizyty do niego. Był samotny. Zawsze się cieszył na ich widok. Henk nigdy do niego nie chodził.

– Ciężko by nam było, gdyby odciął nas od pieniędzy – powiedziała i natychmiast pożałowała wyrachowanego wydzwisku tej uwagi. Nie o to jej chodziło.

Henk zagonił ją z powrotem na górę.

– Nigdy tego nie zrobi. Wyobrażasz sobie, jaki to byłby wstyd? Kuyper w nędzy.

Wróciła w ślad za nim do jadalni, patrzyła, jak siada i sięga po wino.

– Saskia kocha dziadka. Nie rozumie, dlaczego ty go nie kochasz.

Kiwnął głową.

– Pewnego dnia, gdy będzie starsza, powiem jej. O Srebrenicy. O władzy i wojnie i co robią tacy żołnierze jak on. Wtedy zrozumie.

– Jesteś za dobry, my ci nie dorastamy do pięt – powiedziała, gdy dolewał sobie wina.

– Mogłabyś się napić ze mną – zasugerował. – To by może pomogło.

– Naprawdę?

– Może nie.

Nadal nie rozumiała, dlaczego się ulotnił po znalezieniu Saskii.

– Nie otwieraj następnej butelki – powiedziała, po czym poszła do salonu i włączyła telewizor.

Po kilku minutach usłyszała jego kroki dudniące na schodach. Szedł na górę do swojego małego gabinetu pod dachem.

W wiadomościach mówili tylko o jednym. O zamachu na Leidseplein. Żadnej wzmianki o zaginionej dziewczynce. Henka to obchodziło? Kogokolwiek obchodziło?

Zebrała się i na palcach poszła na górę. Drzwi do małego gabinetu stały otworem. Henk siedział przy komputerze, blade światło monitora padało na jego beznamietną twarz.

– Możemy pogadać?

Westchnął i wstał od biurka.

– Nie teraz – odrzekł, po czym zamknął drzwi.

Przez pół godziny de Groot wysłuchiwał AIVD. Następne pół godziny upłynęło na przeglądaniu zgłoszeń. Komisarz uzyskał, co chciał: relację z wieczornego śledztwa.

– Mirjam Fransen ma rację w jednej sprawie, Pieter. W Amsterdamie jest mnóstwo łodzi. A ten martwy błazen nie daje nam żadnych wskazówek.

Frank de Groot pokręcił głową.

– Chcę, żeby każdy z was był jutro w jak najlepszej formie, gdy zadzwoni ten człowiek. Pogadajcie z matką. Powiedźcie jej, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Upewnijcie się, czy zmierzamy we właściwym kierunku. A potem idźcie do domu i się prześpijcie.

Bakker ani drgnęła.

– Chciałabym przejrzeć monitoring z Leidseplein.

De Groot ściągnął brwi.

– Jakies czterdzieści różnych nagrań. Przejrzenie ich wszystkich zajmie całe dni, tygodnie.

To jej się nie podobało. Vosowi też nie. Mieli w tej chwili coś na kształt wersji wydarzeń, na podstawie wstępnego przesłuchania Saskii Kuyper i innych na placu. Bouali pojmał dziewczynkę, gdy podeszła w pobliże teatru, i obiecał zaprowadzić ją do rodziców. Saskii nie spodobało się jego zachowanie. Kiedy więc na nią nie patrzył, uciekła mu.

Dalej byli skazani na domysły. Przypuszczali, że Bouali zaalarmował jednego ze swoich współników, też przebranego za Zwarte Pieta, a on przez pomyłkę porwał Natalię Bublik. Dwie dziewczynki rzeczywiście wyglądały podobnie i miały identyczne różowe kurtki w bardzo

charakterystyczny wzór.

– Czas – powiedziała Bakker. – To jest jakieś... pokręcone. A ta mała Kuyper...

– Co? – spytał Vos.

Przez jakiś czas brał udział w tym przesłuchaniu. Wszystko wydawało się proste.

– Mówiła ogólnikowo – poskarżyła się Bakker. – I tyle.

– Ma osiem lat – burknął de Groot. – Czego oczekujesz?

– Odrobinę więcej szczegółów. Odnosiłam wręcz wrażenie, że ona opowiada jakąś historyjkę.

– Dość tego – zdecydował komisarz stanowczo. – Na Leidseplein było wówczas jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Wybuchły pociski, ludzie myśleli, że to bomby. Właśnie ją porwano. Nic dziwnego chyba, że nie przedstawiła wyczerpującej wersji wydarzeń.

– Dlatego właśnie chcę obejrzeć nagrania.

De Groot spojrzał na Vosa, jakby chciał powiedzieć: „Twoja decyzja”.

– Musimy je obejrzeć – zgodził się Vos. – Ale rano.

Wstał, otrząpiał niebieskie dzinsy i sfatygowaną kurtkę. Jeszcze miał na nich kurz po chaosie na placu.

Na dole stwierdzili, że Hanna Bublik już opuściła komisariat. Van der Berg nie miał dla niej nic, co by ją mogło zatrzymać.

– Muszę się upewnić co do istnienia piwa na tej planecie – powiedział detektyw smętnie.

Cisza.

– Pieter? – spytał.

– Nie dzisiaj – odrzekł Vos, po czym wyszedł bez słowa. Samotnie szedł wzdłuż Elandsgracht, odebrał Sama z Drie Vaten i poprowadził go przez trap na zimną, ciemną łódź.

Policja ze wszystkich sił starała się być przyjazna, zwłaszcza niechlujny, grzeczny brygadier, który chyba dowodził. Wreszcie skończyły im się niekonkretne obietnice, a wtedy miły detektyw o zaczerwienionych oczach, Van der Berg, zabrał ją do recepcji, dał jej swoją wizytówkę oraz wizytówkę tego brygadiera, Vosa, po czym zaproponował, że znajdzie jej jakiś transport do domu. Gdy rozmawiali, pojawił się kolejny człowiek, żaloszny i pełen poczucia winy. Przedstawił się jako Koeman i powiedział, że to on był oficerem przebrany za Zwarte Pieta, do którego się zwróciła zaraz po zniknięciu Natalii. To on dał jej do wiwatu.

W chwili gdy zaczął dukać przeprosiny, spojrzała tylko na niego i wyszła.

Listopadowa mżawka nadawała połysk szerokiej ulicy przed komisariatem. Hanna nie chciała ich transportu, tak samo jak przeprosin. Chciała tylko, żeby Natalia wróciła do domu.

Wyglądało na to, że trzeba było za to zapłacić. Ceną było uwolnienie człowieka, o którym nigdy nie słyszała. I może pieniądze. Ile – nie wiedzieli. I zdaje się, że nie chcieli też o tym dyskutować. Ona była cudzoziemką. Dysponowała tylko wizą turystyczną. Nie uzyskała zezwolenia na pracę, nawet jako prostytutka. Jedyne, do czego miała prawo, to trzy i pół tysiąca euro w gotówce, schowane w kopercie pod materacem Natalii. Ten stosik rósł miarowo od miesięcy, które ciężko przepracowała.

Gdy tylko uzbiera pięć tysięcy, będzie mogła wpłacić kaucję za własne mieszkanie. I poszukać prawdziwej pracy. Może zostałaby fryzjerką? Albo zajmowałaby się dziećmi? Ten pomysł się jej

podobał. Wydawało jej się, że byłaby w tym dobra. Może jest trochę nadopiekuńcza, ale to się z czasem wyrówna. Pewnego dnia staną się normalne, tak jak kiedyś w Gori. Kiedyś będzie w stanie iść ulicą, nie czując, że ludzie na nią patrzą.

Powrót na Oude Nieuwstraat zajął dwadzieścia minut. W kabinach wzdłuż drogi do domu świeciły się czerwone światła. W oknach siedziały dziewczęta w samej bieliźnie, uśmiechnięte, przywołujące gestem nielicznych mężczyzn sunących niepewnym krokiem po lśniąącym bruku, w naciągniętych kapturach, głównie żeby się pogapić.

Chantal powitała ją na schodach. Wstrząśnięta i zmartwiona. Młodsza niż zwykle. I bez makijażu.

– Policja tu była – powiedziała. – Mówili, że ktoś porwał Nat.

Zawsze skracała imię jej córki. To ją niebotycznie wnerwiało.

– Czego oni chcą, Hanno?

– Nie wiem – odparła. Zgodnie z prawdą.

– Ale...

– Nie teraz!

Nie zamierzała omawiać tego z tą dziewczyną. I nie dlatego, że na policji mówili, że ma z nikim nie rozmawiać o sprawie.

Chantal przestąpiła z nogi na nogę. Była na bosaka. Miała na sobie dziewczęcą piżamę w kwiatki. Dzisiaj już nie pracowała.

Zerknęła w górę schodów, znacząco.

– Co się dzieje?

Nerwowo przegarnęła ręką ciemne włosy.

– Całe popołudnie pracowałam. Nikt tu nie został. Kiedy wróciłam... – Ruchem głowy wskazała drzwi. – Było otwarte. Ktoś był w naszych pokojach. Zwędzili mi trochę ubrań. Nie miałam...

Hanna wspięła się wąską klatką schodową, aż do maleńkiego pokoju na samej górze. Drzwi stały otworem. Po wejściu do razu zrozumiała, co się stało.

Ich nieliczne ubrania leżały rozrzucone. Wąskie łóżko Natalii wywrócono do góry nogami, materac wyleciał na podłogę.

Brązowa koperta bąbelkowa, w której trzymała wszystkie pieniądze, leżała rozdarta i pusta. Zabrali nawet naszyjnik od męża. Dał go jej, gdy się pobrali, w innym życiu. Tani, bursztynowy wisior na srebrnym łańcuszku. Ale zachowała go, niekiedy pozwalając Natalii go nosić. Przypominał jej czasy, gdy byli rodziną. Razem. W miłości. Z pozoru bezpieczni.

Za jej plecami w drzwiach stanęła Chantal.

– Nie wiem, jak się dostali do środka – powiedziała.

Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Jutro trzeba zapłacić czynsz – dodała mała Filipinka. – Dasz radę?

– Nie dam. Pożyczysz mi?

Tamta nic nie powiedziała.

Hanna odwróciła się do niej.

– Ja ci pożyczalam pieniądze, gdy potrzebowałaś. Wiesz, że je dostaniesz z powrotem. To z Natalią... do tego też może będę potrzebować pieniędzy.

Jej okrągłe, brązowe oczy otworzyły się szerzej.

– Ile?

– Nie... nie wiem. Nie powiedzieli. Nie...

Nie miała rodziny. Nie miała przyjaciół. Nie miała się do kogo zwrócić. Taki był koszt tak dalekiej ucieczki. I dlatego nic im się nie mogło stać, dopóki ona nie stanie na nogi.

Postawiła łóżko Natalii, na nim materac, bez namysłu ułożyła pościel. Wymagała prania. Podobnie jak ubrania Hanny.

Różowa kurtka.

Od nagłej fali żalu łzy napłynęły jej do oczu. Zgodnie z tym, co mówił współczujący detektyw na Marnixstraat, to właśnie ta kurtka była przyczyną pomyłki. Fakt, że jej córka i dziecko jakiejś bogatej holenderskiej rodziny miały takie samo ubranie. Kurtkę, której Hanna w życiu sama by nie kupiła. Była za droga. Dostała ją w prezencie. Jako napiwek od klienta, który po wizycie u niej zobaczył ją z córką na mieście i odszukał ją znowu w kabinie niedługo później.

– Zawsze możesz pogadać z Cemem – powiedziała Chantal. – Zrób po prostu, co on chce. Dostaniesz pieniądze. Może... – Sięgnęła ręką do włosów. – Może on ci pomoże z Natalią. Zna różnych ludzi.

– Terrorystów też?

Tak powiedzieli na Marnixstraat. Porwali ją, sądząc, że jest wnuczką znanego holenderskiego wojskowego, który był zamieszany w masakrę sprzed dwudziestu lat.

Czarny potwór wtaczał się po schodach. Próżna przechwałka: „Zabiję go”. Co z niej była za matka?

– Nie wiem – jęknęła dziewczyna. – Tak mi tylko przyszło do głowy. Mogłabyś wezwać policję. W sprawie pieniędzy...

– Nie mówiłam, że zabrali pieniądze. Mówiłam?

– No to dlaczego chciałaś pożyczyć ode mnie? – warknęła Chantal, po czym zeszła na dół i trzasnęła drzwiami.

Teraz nie miała już wyboru. Żadnego.

Hanna Bublik wzięła prysznic i włożyła ubrania do pracy. Już zamierzała wyjść, gdy zadzwonił telefon. To ten brygadier z Marnixstraat, Vos.

– Wiecie już coś? – spytała.

– Rozpracowujemy kilka tropów. – Nie umiał kłamać. – Chciałem spytać, czy pani zna kogoś, kto ma łódź?

To pytanie ją zdumiało.

– Łódź? Pan żartuje?

Westchnął. Ale z cierpliwością. Nie miał nic złego na myśli.

– Nie. Mówię poważnie. Myślę, że Natalia jest na łodzi.

– My tu w zasadzie nikogo nie znamy. Na pewno nikogo z łodzią.

Spytał jeszcze, czy ma jego numer, zapewnił, że ma dzwonić w dowolnej chwili, dniem czy nocą.



– Mogę coś dla pani zrobić? – spytał.

Rozejrzała się po pokoiku, popatrzyła na rozdartą kopertę.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Poza odnalezieniem mojej córki, oczywiście.

– Znajdę Natalię. Damy im wszystko, czego chcą.

– Pieniądze też?

– Jeśli będzie trzeba.

Chyba więc powiedzieli już wszystko. Zadali wszystkie pytania. Gdy się rozłączył, ona wzięła swoje ubrania, tanie prezerwatywy, żele, wsadziła je do małej plastikowej saszetki, gratisu dołączonego do zestawu kosmetyków, który jej mąż kupił na ostatnie Boże Narodzenie w swoim życiu. Potem ruszyła Oude Nieuwstraat, aż znalazła wolną kabinę, zgłosiła się do wynajmującego, opłaciła trzy godziny. Wydała na to połowę pieniędzy, które jej zostały.

W ogrzewanej elektrycznie maleńkiej kabinie było za gorąco. Śmierdziało wilgocią i potem kogoś, kto tu był wcześniej.

Rozebrała się do taniego złotego satynowego stanika i majtek, po czym przysiadła na wysokim stołku w oknie. I odkryła coś, co powinna wcześniej przewidzieć. Nikt nie chciał płaczącej kurwy, za żadną cenę.

Po drugiej stronie miasta Natalia Bublik siedziała tam, gdzie jej kazano, obejmując się ciasno ramionami, w kurtce, której nienawidziła od samego początku. Jedynymi pewnymi punktami w jej małym życiu były dźwięki: delikatny chlupot wody o drewniany kadłub, od czasu do czasu pisk ptaka, stukot i wycie pociągów wjeżdżających na Dworzec Główny.

Zwarte Piet siedział ciągle na łodzi. Może było ich dwóch, za zamkniętymi drewnianymi drzwiami. Zrobiła wszystko, co chcieli, wszystko, co mówili. Bo gdzieś głęboko w miękkich, bezkształtnych głębinach jej pamięci zostało echo tej dziwnej sekwencji wydarzeń. Historii, którą opowiadała jej matka. Zostało też wspomnienie częściowo zatarte, zepchnięte głęboko, ukryte wewnątrz koszmaru, który wciąż wracał, o tajemniczym potworze wspinającym się na schody.

Prawdziwe czy wyobrażone było też przesłanie, nakaz, którego Natalia nigdy nie zapomni.

Nie ruszaj się i nic nie mów.

Zniknij. Nic nie rób, tylko czekaj, patrz i myśl.

Wówczas pewnego dnia staniesz się niewidzialna. I wtedy, w jednym cennym momencie, wymknij się.

Gdy następnego ranka Vos przybył na Marnixstraat, Hanna Bublik już na niego czekała. Na smyczy dreptał obok niego Sam. Sofia Albers musiała wyjechać do chorej matki. Ktoś z administracji miał przypilnować psa do jej powrotu.

– Co za policjant przyprowadza do pracy zwierzątko? – spytała, gdy mały terier usiadł u jej stóp, natarczywym wzrokiem upraszając się o uwagę.

– Sam nie jest jakimś zwierzątkiem. Nie lubi zostawać bez towarzystwa.

Pies oparł łapę na jej nodze. Miała to samo ubranie co poprzedniego dnia. Podróbka designerskiej kurtki, nylon udający skórę. Tanie dżinsy. Zero makijażu na szczupłej, zmęczonej twarzy. Od tej kobiety czuć było biedę, i nie podobało jej się to.

– Leżeć, mały – powiedział łagodnie i podał smycz miłej urzędniczce, która wyszła im na spotkanie.

Patrzyła, jak kobieta odprowadza Sama, gadając do niego.

– Obiecałam psa Natalii. Jak już będziemy miały swoje mieszkanie.

– No to na pewno któregoś dnia go dostanie.

Znalazł kawę. Pojawiła się Bakker. Teraz, gdy już się zadowoliła na Marnixstraat, zaczęła się ubierać mniej osobliwie. Skończyły się kostiumy szyte przez ciotkę z fryzyjskiego Dokkum. Dzisiaj miała na sobie czarne spodnie, granatowy żakiet, pod spodem gładki sweter. Rude włosy związała ciasno. Ten wygląd komunikował jedno: profesjonalizm. A także: nie ruszę się stąd.

Całą trójką weszli do pokoju przesłuchań. Nie włączyli magnetofonu.

– Więc nic nie wiecie? – spytała Hanna, gdy zrelacjonował jej stan śledztwa.

– Niezupełnie – odrzekł Vos. – Wiemy, że porwano pani córkę przez pomyłkę. Wiemy, że wciąż jest w mieście. Szukamy jakichś powiązań z człowiekiem, który został zastrzelony.

– Nic nie wiecie – powtórzyła.

– Pani Hanno – odezwała się Bakker. – W tej chwili to nasze priorytetowe śledztwo. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć Natalię.

– A oni na pewno zadzwonią – dodał Vos. – Muszą zadzwonić. Chcą czegoś. A dopóki chcą...

Ucichł, widząc wyraz zagubienia na jej twarzy.

– Zna pani kogoś w Amsterdamie? – spytała Bakker.

– Większość ludzi, których spotykam, nie podaje mi swojego nazwiska. W każdym razie prawdziwego.

Vos bezwiednie zerknął na zegarek. Ona za to zgromiła go wzrokiem.

– Czy ja marnuję pański czas?

– Nie. Zastanawiałem się, kiedy zadzwoni porywacz.

– Powiedział, że chce pieniędzy. Ile?

To już wcześniej zaintrygowało Vosa. I nadal nie dawało mu spokoju.

– Nie mówił konkretnie...

– Jak mam mu zapłacić? Skąd ktoś taki jak ja ma wziąć pieniądze?

Dobre pytanie. Pytanie, które też nie dawało mu spokoju.

– Zajmiemy się tym, kiedy już wysunie żądania.

– A ten człowiek, którego uwolnienia on się domaga? Kim on jest?

Vos miał nadzieję, że nie będzie musiał odpowiadać na to pytanie. Że dzisiaj rano wszelkich odpowiedzi udzielią gazety. Pełno było w nich artykułów o zamachu na Leidseplein i zastrzeleniu młodego Brytyjczyka, który przyjął obce nazwisko i rzucił w tłum trzy granaty błyskowe. Ale w gazetach nie było ani słowa o porwaniu dziecka. Ponieważ prasa miała dużo czasu, by zająć się tą historią, to milczenie dało się wyjaśnić tylko w jeden sposób. Ktoś, de Groot albo AIVD, wystąpił o blokadę medialną pod pretekstem, że publikacja zaszkodzi śledztwu.

W krótkich słowach przedstawił jej fakty.

– Chcę się spotkać z tym Alamym – powiedziała Hanna Bublik. – Chcę mu spojrzeć w oczy i spytać, dlaczego moja córka została porwana.

– Może znajdziemy pani jakieś pomieszczenie, w którym mogłaby pani posiedzieć? – zasugerowała Bakker. – Informowalibyśmy panią na bieżąco.

– Nie! – Jej głos nie był przenikliwy. Ani trochę histeryczny. Był stanowczy i opanowany, a gdy przemówiła, patrzyła tylko na Vosa. – Na co się tutaj przydam?

– Jeśli...

– Chciałaś przejrzeć monitoring – przerwał Vos.

Bakker kiwnęła głową.

– A więc zrób to. My możemy pogadać z Alamym. Jeśli on ma coś do powiedzenia. A nuż da nam wiadomość do przekazania...

Hanna spojrzała na niego zaskoczona. Jakby ludzie rzadko przejmowali się jej słowami.

– Zrobi pan to?

Wstał, zerknął na telefon Renaty Kuyper. Bateria pełna. Zasięg dobry.

– Musimy iść. Lauro, pogadaj z biurem de Groota. Załatw, żeby nas przepuściła ochrona na Schiphol. To nie zajmie nam dużo czasu. Albo Alamy się zgodzi, albo nie.

Hanna dopiła kawę, wstała od stołu. Najwyraźniej czuła wdzięczność.

– A jeśli zadzwoni porywacz? – spytała Bakker.

Vos wyjął telefon.

– Wszystkie połączenia przychodzące będą monitorowane bez względu na to, czy tu siedzę, czy nie. Mogą włączyć podsłuch w momencie, gdy odbiorę. A i tak on nie zadzwoni z telefonu, który uda nam się namierzyć. Przecież to wiemy...

– Ale...

Wskazał na drzwi.

– Pogadaj z biurem Franka – powtórzył. – My wychodzimy.

Niezręczne śniadanie w wąskim domu na Herenmarkt. Saskia jadła niemrawo płatki, a raczej w nich gmerała. Henk Kuyper spożywał posiłek w milczeniu, uważnie czytając gazetę. Wyglądał, jakby miał lekkiego kaca.

– Dlaczego nie ma ani wzmianki o tym, co się stało? – spytała Renata, gdy nie odrywał wzroku od gazety. – Ta dziewczynka...

– Publikują to, co im się powie – burknął i sięgnął po kolejnego croissanta. – Czego się spodziewałaś?

Zamrugała powiekami, próbując opanować wściekłość.

– To nie jest gra. Jakaś twoja kruczata. Chodzi o prawdziwych ludzi. Zaginęła mała dziewczynka...

Saskia odgarnęła długie jasne włosy i zakryła dłońmi uszy. A potem mocno zacisnęła powieki. Ruchem głowy wskazał córkę.

– Nie sądzisz, że i tak już dużo przeszła?

– Jezu! To nic w porównaniu do przeżyć tej biednej kobiety. Żartujesz sobie?

Wyciągnął rękę i dotknął włosów Saskii, a potem pogłaskał ją po policzku. Dziewczynka otworzyła oczy i spojrzała na ojca. Renata nie umiała odczytać wyrazu jej twarzy. Mała zawsze była bardziej zżyta z ojcem. Henk nigdy się nie kwapił do wychowywania, nie mówił jej, co ma robić, czego nie. Siedział w swoim gabinecie, pracował na komputerze i prowadził ciche rozmowy telefoniczne. Naprawiał świat. Pił wino. To ona musiała mówić Saskii, by posprzątała w swoim pokoju. Żeby odrabiała lekcje, choćby nie wiadomo jak jej się to nie podobało.

– Idź się spakuj do szkoły, kochanie – rzekł teraz. – Mamusia i tatuś muszą porozmawiać.

Dziewczynka od razu wstała od stołu i weszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

– Ona nie idzie do szkoły – powiedziała Renata. – Sytuacja jest niebezpieczna.

Roześmiał się.

– Nie ma się czym przejmować. Gdyby było inaczej, nie opędzilibyśmy się od policji.

– Twój ojciec...

Przechylił się ku niej i wziął ją za rękę. Tak jak zawsze, gdy czegoś chciał.

– Sądzisz, że w ogóle wypuściłbym ją za próg, gdybym sądził, że może jej się stać choćby najmniejsza krzywda?

Przenosił na nią odpowiedzialność. Zawsze. Doskonale rozpoznawała ten manewr.

– Nie. Ale skoro Lucas chce płacić za ochronę...

– Nie przyjmę od niego ani grosza więcej, niż to konieczne. To przez niego przede wszystkim powstało to zagrożenie.

– Wszystko jedno...

– Powiedział, że zatrzyma zamiast Saskii tę małą Gruzinkę. Słyszałaś, prawda? Sama mi to powiedziałaś.

To też ją wkurzyło.

– Dokąd poszedłeś? Dlaczego cię tam nie było?

Na jego twarzy pojawiło się zniechęcenie.

– Musiałem zadzwonić. To się robi nużące.

– Służbowo? W niedzielę?

– Służbowo. To była rozmowa międzynarodowa. Nie mogłem tego odłożyć.

Policja zabrała Gruzinkę na Marnixstraat, po tym jak jej córka została porwana. Renatę

i Saskię przesłuchiowano w furgonetce niedaleko klubu Melkweg. W którymś momencie dołączył do nich Henk.

– Byłeś mi potrzebny...

Puścił jej rękę.

– Znalazłem Saskię. Chodziłem po tym placu, aż zauważyłem jej kurtkę. Była sama, chowała się między straganami. Podczas gdy ty...

– Nie wiedziałam, co robić! – krzyknęła.

– Jesteś zdenerwowana – orzekł. – To zrozumiałe. Zaprowadzę ją dzisiaj do szkoły. Porozmawiam z nauczycielami. Poproszę, żeby nie spuszczała jej z oka.

– Dlaczego nie możemy być normalni? – szepnęła.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Powiedz, proszę, w czym dokładnie zawiodłem cię tym razem?

– Nadal nie rozumiem, jak uciekła temu mężczyźnie.

Pokręcił głową, wpatrując się w nią.

– Przecież nam powiedziała. Uciekła, gdy nie patrzył.

– Gdy nie patrzył? – powtórzyła wysokim i łamliwym głosem. – Tak po prostu?

– Można by odnieść wrażenie, że wolałabyś, żeby nie uciekła.

Cisnęła swój nóż na stół. Z jakiegoś kościoła dobiegło bicie dzwonu. Na ulicy gruchały gołębie. Zatrąbił klakson samochodu. Miasto zajmowało się swoimi sprawami, nieświadome, że gdzieś w cieniu kryje się tragedia, czekając na dogodny moment.

– Nie mów tak! Jak śmiesz tak mówić?!

– Przygotuję ją do szkoły...

– Chcę wyjechać z Saskią na kilka dni.

Przechylił głowę na bok.

– Dokąd?

– Do Hiszpanii. Do Włoch. Raptem na tydzień.

– Kto zarezerwuje bilety? Hotel? Jak sobie poradzisz?

– Jakoś na pewno...

Zbył śmiechem ten pomysł. Patrzyła, jak zerka na zegarek, bierze tablet, przewija wiadomości, jakby ta pełna napięcia rozmowa mało go obchodziła.

– Chcesz, żebym odeszła, prawda? – spytała i czekała na wybuch.

To się jednak rzadko zdarzało. Nawet jeśli kłócił się z ojcem.

– Tylko nie to – odparł z westchnieniem. – Jesteś zdenerwowana. Jeśli chcesz wyjechać na chwilę, w porządku. Sama. Saskia zostaje tutaj. Poradzimy sobie.

Stuknęła w ekran.

– Powiedz dokąd. Mogę zrobić rezerwację. Rzym? W Maroku może być cieplej. – Nie odrywał od niej wzroku. – Jeśli kogoś poznasz, naprawdę nie mam nic przeciwko.

Zamknęła oczy i rzuciła pod nosem coś wulgarnego.

– Do tego doszliśmy? – wyszeptwała.

Gdy na powrót podniosła powieki, Saskia stała w pokoju, gotowa do wyjścia. Henk obejmował ją ramieniem.

– Myślę, że mamusi należy się urlop – powiedział, patrząc na córkę. – A ty jak sądzisz?

Córeczka tatusia. Zawsze.

– Tak samo – odparła Saskia.

Renata pospieszyła do drzwi i sięgnęła po płaszcz.

– Czas do szkoły – powiedziała. – Weź swoje rzeczy.

Saskia została przy stole, z pochyloną głową. Śliczne jasne włosy uczesane, gładkie, czyste. Ruszyła się dopiero, gdy matka po raz trzeci powtórzyła polecenie.

Odprowadził je wzrokiem. Zerknął na zegarek. Zadzwoił. I sam wyszedł.

De Groot od ręki załatwił zgodę na wizytę Vosa w areszcie na lotnisku Schiphol. Bakker wróciła do swojego gabinetu i zastała tam Van der Berga. Pochylony nad monitorem przeglądał nagrania kamer z poprzedniego wieczoru.

– Powinienem był zgadnąć, że coś się stanie – rzekł. – Jak tylko Pieter powiedział, że idziemy na kolację.

– Piwo. Tosty. Gotowane jajka. – Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok niego. – Już się przyzwyczaiałam.

Minęło niemal pół roku, odkąd po sprawie domku dla lalek de Groot przyjął ją na cały etat. Krucha, naiwna kobieta, którą wówczas była, zdążyła trochę dojrzeć. Na Marnixstraat wreszcie ją zaakceptowano. To dzięki Laurze Bakker Vos się pozbiarał po swoim załamaniu. Nikomu innemu się to nie udało.

– Z Pieterem wszystko w porządku? – spytał Van der Berg.

Był ciekawski. Przysadzisty, bełkoczący, z pozoru wręcz nieudolny. Rzadko szedł prosto do domu, do żony. Po drodze zawsze znalazł jakiś bar do odwiedzenia. Ale Vos jej kiedyś powiedział, że to jeden z najzdolniejszych detektywów w budynku. Najlepszy, jeśli chodziło o śledztwa w sprawie morderstwa.

– Wydaje mi się, że tak. Szkoda, że nie naprawił łodzi. Ciągłe się sypie.

– To prawda. – Van der Berg uśmiechnął się mile. – Ale jest szczęśliwy. Ma pieska. Tamtą miłą kobietę, która robi mu pranie...

Podpuszczał ją? Nie była pewna.

– To nie może tak trwać.

– Dlaczego nie?

– Bo... bo w pewnym momencie trzeba dorosnąć.

Na to parsknął i wymierzył palec prosto w komputer. Niektórzy mężczyźni tak właśnie robili.

– Mamy nagranie z obrzydliwie wielu kamer. Musimy przekazać je technikom, żeby je uporządkowali. Za dużo, żebyśmy sobie w tej chwili z tym poradzili.

– Co jeszcze mamy?

Koeman próbował wyciągnąć coś więcej ze współlokatorów Brytyjczyka. Chyba nie miał szans.

– Widziałeś różową kurteczkę? – spytała, wskazując monitor.

– Kilka. – Przewinął kawałek nagrania i zatrzymał obraz. To musiała być mała Bublik już po

porwaniu. Znajdowała się po miejskiej stronie placu z Zwarte Pietem w zielonym kostiumie. Bakker sprawdziła godzinę: raptem dwie minuty po pierwszym granacie.

– Nie zgadza się – orzekła.

Spojrzał z zainteresowaniem.

– Dlaczego?

– Za mało czasu. Saskia powiedziała, że oddaliła się od matki, bo ta kłóciła się z policjantką w mundurze. Chciała zobaczyć Sinterklaasa. Gdy tylko granaty wybuchły, Bouali... Bowers... jak zwał, tak zwał, ją złapał.

– Zgadza się – przyznał.

Bakker wyświetliła plan miasta z tej okolicy.

– Następnie zabrał ją z placu w jakieś miejsce blisko kasyna. Coś odwróciło jego uwagę od niej, więc uciekła.

Van der Berg kiwnął głową.

– To musiało trwać co najmniej dwie minuty – podjęła Bakker. – Pewnie więcej.

Należało przyjąć, że w próbie porwania wzięło udział co najmniej dwóch Czarnych Piotrków. Porywacze najprawdopodobniej przekazali sobie telefon Saskii. Następnie, na skutek zamieszania, drugi porwał Natalię przez pomyłkę, gdy po ucieczce Saskii zobaczył różową kurtkę.

– Może czas na nagraniu się błędnie zapisał – podsunął.

Nic nie powiedziała, tylko na niego patrzyła.

– No chyba że masz inny pomysł – dodał.

Bakker wyciągnęła zapis zeznań Renaty Kuyper i jej córki z poprzedniego dnia.

– Skąd pierwszy Zwarte Piet wiedział, że ona ma na sobie różową kurtkę?

Van der Berg ściągnął brwi.

– Bo śledził ją aż od domu na Herenmarkt. Nietrudno ustalić, że tam mieszka wnuczka Lucasa Kuypera. Widział, co dziewczynka ma na sobie, i powiedział kumplowi.

Czekała.

Van der Berg przeglądał inne zdjęcia z placu.

– Gubisz dziecko, które miałeś porwać – powiedział. – Spotykasz się ze swoim współnikiem. Przekazujesz mu telefon, który jej zabrałeś. A on przez pomyłkę porywa najbliższe dziecko w takiej samej kurtce. Tak mogło być. Ale nie do końca rozumiem dlaczego.

– Czas – powiedziała Bakker, wskazując zegar na monitorze. – Z tego, co wiemy, wygląda na to, że Zwarte Piet numer dwa porwał Natalię mniej więcej w tym czasie, gdy Saskia zdołała się uwolnić. Może wcześniej.

Van der Berg skrzywił nos.

– Musimy tu znowu ściągnąć tę dziewczynkę i jej matkę.

– I ojca – dodała.

Wrócił do monitora.

– Nigdzie go nie widzę. Dokąd on poszedł, do cholery? Co...?

Umilkła. Wszedł Koeman, farbowany wąs zwisał mu smętnie jak nigdy. Towarzyszył mu

Thom Geerts, ponury oficer AIVD. Sprawiał wrażenie dociekliwego.

– Nasi groźni koledzy chcą wiedzieć, czy coś odkryliśmy – obwieścił Koeman.

– Wciąż szukamy – odparł Van der Berg, zerkając na wielkiego, elegancko ubranego mężczyznę. – Jak dzisiejsze samopoczucie?

Koeman burknął coś i wyszedł.

– Chcę dostać raport o waszych postępach – powiedział Geerts. – Gdzie Vos?

– Dostał wezwanie – poinformowała go Bakker. – Nie do końca wiem, o co chodziło.

– Nie wiecie, gdzie jest wasz dowódca?

– Ja go widziałem z psem – odrzekł Van der Berg z szerokim uśmiechem. – Może trzeba było Sama wyprowadzić.

Agent zgromił ich wzrokiem.

– Czy tu obowiązują jakieś zasady dotyczące stroju? Prześlijcie mi mejlem bieżące informacje. Mam sprawy do załatwienia.

– Nie wątpię – rzucił Van der Berg pod nosem, patrząc, jak Geerts wychodzi z telefonem w ręku.

Bakker odsunęła krzesło, klnąc cicho pod nosem. Van der Berg przyszedł do pracy w tej samej co zwykle niechlujnej brązowej kurtce, czarnych spodniach i beżowych butach. Razem z Vosem – w nieśmiertelnej kufajce, czarnym swetrze i starych dżinsach – nie najlepiej świadczyli o elegancji sił porządkowych. Wiedzieli o tym i ani trochę się tym nie przejmowali.

– Oni zawsze są tacy? – spytała Bakker.

– Nie zawsze.

– Gdyby grzecznie poprosił, powiedzielibyśmy mu. Prawda?

– Może – odparł i ruchem głowy wskazał jej czarny strój. – Szykownie wyglądasz. Ciocia ci to uszyła?

– C&A. Mieli wyprzedaż.

Wyszczrzył się w uśmiechu. Pociągnął klapę swojej brązowej kurtki.

– Ja też się załapałem!

Bakker spojrzała roztargnionym wzrokiem. Czasami tak robiła. Pograżała się w myślach.

– Kiedy? – spytała.

Puścił klapę.

– Jakiś czas temu. Może z rok czy dwa...

– Nie, Dirk. Pytam... kiedy on zadzwoni. Ten człowiek, który porwał Natalię.

Błady uśmiech.

– Kiedy mu się spodoba. I nie mamy na to żadnego wpływu. Musisz się nauczyć czekać.

– Ale ja nie cierpię czekać. A tamten miły człowiek z AIVD jakoś nam nie pomaga. – Chwila milczenia. – Co robimy?

Wskazał monitor komputera z nagraniami.

– Może spróbujemy to rozgryźć?

Zanim dotarli do Schiphol, Vos zdobył oficjalną zgodę. Towarzyszyło mu dwóch



funkcjonariuszy i Hanna Bublik. Weszli do sektora ochrony obok rozległego terminalu lotniska. Niektóre jego części wydawały się stosunkowo normalne: sekcje przeznaczone dla ludzi zatrzymanych przez kontrolę graniczną, oczekujących na deportację. Był tu teren rekreacyjny, coś na kształt boiska. Paru mężczyzn leniwie kopało tam piłkę.

Przemierzyli długie przejście osłonięte wysokim ogrodzeniem i nastrój się zmienił. Skanowanie, przeszukanie. Znowu kontrola dokumentów. Funkcjonariuszom wcale nie spodobał się wygląd Hanny Bublik, więc byli wobec niej obcesowi.

Gdy oddalili się, by uzyskać potwierdzenie z Marnixstraat, Vos wyjaśnił tytułem przeprosin:

– Nie wiedzą. Gdyby wiedzieli...

Popatrzyła na niego, po czym spytała, dlaczego nie ma nic w gazetach. Powiedział jej o blokadzie.

– A gdyby to była inna dziewczynka? Holenderska? Córka bogatych rodziców?

– Wszystko przebiegłoby dokładnie tak samo – odparł Vos, ale nie był pewien, czy mu uwierzyła.

Po kilku minutach poprowadzono ich przez zabezpieczone elektronicznie wejście do wąskiego zamkniętego korytarza. Szara stalowa podłoga, szare stalowe ściany. Drzwi rozmieszczone w równych odstępach, a na drzwiach nic oprócz niewielkiego okienka, rygli i zamka elektronicznego.

– W środku będą wam towarzyszyć dwie osoby – oznajmił strażnik. – Takie są przepisy.

Poprzedniej nocy Vos przeczytał akta. Ismail Alamy przedstawiał się jako imam. Istniały dowody, że z jego pomocą wielu młodych mężczyzn przedzierzgnęło się w radykałów. Niektórych wysyłał do medres w Pakistanie powiązanych z ugrupowaniami ekstremistycznymi, w tym z siatką dowodzoną przez tajemniczą postać Barbonego. Ale jego samego nigdy nie przyłapano z bronią ani nie oskarżono o żaden akt przemocy.

– OK – powiedział i weszli do celi. Wąskie łóżko, starannie posłane. Małe okienko wychodzące na teren rekreacyjny. Na posłaniu siedział po turecku drobny, nijaki mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie. Pomimo zbyt długiej brody nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt jeden lat, który to wiek podawały mu raporty, miał żywą, ruchliwą twarz i brązowe oczy, które ich natychmiast otaksowały.

– Gdzie mój адвокат? – spytał poprawną angielszczyzną.

– Niepotrzebny panu – odrzekł Vos, pokazując mu legitymację służbową. Pod ścianą naprzeciwko stał niewielki telewizor. – Wie pan, co się wczoraj stało? Słyszał pan o ataku w mieście?

Marokańczyk się roześmiał i ruchem ręki wskazał cełę.

– Na wypadek gdyby pan nie zauważył... mam alibi.

Hanna wpatrywała się w niego.

– Kim jest ta kobieta? – spytał Alamy. – Nie wygląda na jedną z was.

– Bo nie jest jedną z nas – odparł Vos i zaczął mu opowiadać to, czego nie pokazano w telewizji.

Natalia Bublik jakoś zdołała zasnąć. Po przebudzeniu zorientowała się, że przez szczeliny w suficie przedostaje się światło dzienne. Zamknięte przestrzenie nie były jej obce. Na Oude

Nieuwstraat dzieliła niewielki pokój z matką. Wcześniej przemieszczały się po Gruzji, nigdzie nie zostając długo. Czasami musiały przenosić się nocą. Żeby wymknąć się mężczyznom domagającym się pieniędzy. Była na tyle duża, żeby to zrozumieć.

Wysoka jak na swój wiek, bystra, spostrzegawcza. Odkąd pamiętała, grała w jakąś grę. To dzięki tej grze uciekła ze świata, który stał się zły.

Teraz chyba był dobry moment, by sobie to przypomnieć. Tak więc korzystała z przenośnej toalety w rogu niewielkiej kabiny, myła ręce i twarz w misce, używając skrawka mydła, który jej zostawili. Zjadła chleb, który znalazła na talerzu, wypila sok pomarańczowy. Następnie wróciła do łóżka, położyła się na twardym materacu i zamknęła oczy.

Myśl, użyj wyobraźni.

Kaczki. Słyszała, jak kwaczą obok, jak kłóć się niczym małe dzieci na placu zabaw w szkole, którą znalazła jej mama. Czasami wydawało jej się, że słyszy, jak ich maleńkie płetwy uderzają o kadłub.

Łodzie się przemieszczały. Niewielkie silniki, fale. Zapach ropy i stęchłej wody. Uznała, że to nie jest uczęszczane miejsce.

Linia kolejowa. Mnóstwo pociągów jeżdżących w tę i z powrotem. Nie blisko, ale na tyle niedaleko, żeby rozpoznała dźwięki. I w głowie widziała ludzi w tych pociągach, jak jadą do pracy, do szkoły, do miasta ze wszystkich tych powodów, które znała aż za dobrze i nigdy o nich nie wspominała. Nie tylko czarny potwór wszędzie za nimi podążał, stąpał ciężko w nocy. Czasami byli to mężczyźni. Zawstydzeni, niezręczni sunęli wolno po ulicy pod oświetlonymi na czerwono oknami. To się jakoś łączyło, a jej matka z tego powodu była zadowolona i smutna jednocześnie.

Wiązały się z tym pieniądze. I raz prezent dla niej. Różowa kurtka z kucykami. Droga, jak powiedziała mama. Tym bardziej należałoby ją sprzedać, pomyślała Natalia. Potrzebowały pieniędzy, a ona nie znosiła różowego, nie miała pojęcia, co to za kucyki.

Było to jej najcieplejsze ubranie. Ale nie za bardzo chroniło przed zimnem.

Usłyszała kroki na zewnątrz. Poczula gwałtowny przypływ poczucia winy. Nieustannie nasłuchiwała odgłosów, które by ją pocieszyły. Ptaków. Dalekich dźwięków miasta. Nie zwracała uwagi na fakt, że w pomieszczeniu obok znajduje się mężczyzna. Był tam cały czas.

W tej chwili tylko jeden. Czuła to. Czasami mówił coś do telefonu, tak cicho, że nie słyszała co. I raz chyba wyszedł na zewnątrz. Dobiegł ją odgłos kroków na schodkach, na pokładzie nad głową i na trapie. Potem wrócił.

Albo kto inny. Nie miała pojęcia i to doprowadzało ją do szału.

Jakiś czas później zaczął przesuwac rzeczy.

Inny. Tak podpowiedziała jej wyobraźnia. Zmieniali się. Jak nauczyciele na lekcjach. Albo strażnicy w więzieniu.

Natalia się rozejrzała i olśniło ją, że wie, gdzie jest. Na dziobie łodzi kołyszącej się leniwie na wodzie. W przestrzeni tak małej, że mogła być jakimś schowkiem, nie pomieszczeniem mieszkalnym. Tylko dziecko mogło się tu zmieścić. Na jak długo?

Gdy patrzyła na niewielkie, pomalowane na czarno drzwi, które musiały prowadzić do kabiny, te otworzyły się ze skrzypnięciem. Usiadła na łóżku i czekała. Równie zaciekawiona, co przestraszona. Czy on dalej będzie w dziwnym zielonym przebraniu? Będzie miał perukę? Twarz

pomalowaną na czarno? Czerwone usta? Białe oczy i zęby?

Wielki cień wypełnił drzwi i do środka wszedł mężczyzna tak wysoki, że w niewielkiej przestrzeni musiał przykucnąć.

Mężczyzna w dżinsach, w czarnej kurtce i czarnej kominiarce.

Chciała go wyśmiać.

„Boisz się mnie? Ośmiolatki? Z obcego kraju, której matka musi się zadawać z obcymi mężczyznami, żebyśmy miały na jedzenie?”.

Ale wiedziała, że to byłoby niemądre.

– Chcę do domu – powiedziała tylko.

Miał w rękach torbę z supermarketu. Z Marqt. Sklep z żywnością organiczną, w którym jej mama chciałaby robić zakupy, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Wyjął paczkę czipsów, jakieś małe serki. Chleb i butelki z napojami. Dwie rolki papieru toaletowego. Szczoteczka i pastę do zębów. Kilka paczek kolorowych słodyczy. Pudełko kredek, książeczkę do kolorowania i tanią konsolę do gier.

– Chcę wziąć prysznic. Chcę umyć włosy.

Mężczyzna w kominiarce pokręcił głową. Jej słowa go chyba zaskoczyły.

– To niemożliwe – odparł. – W tej chwili.

Położył konsolę na stole.

Wpatrywała się w niewielką różową zabawkę. Na niej też widniał kucyk.

– Nie gram w takie rzeczy dla maluchów – powiedziała Natalia i wbiła w niego wzrok.

Mężczyzna zbyt tchórzliwy, by pokazać swoją twarz. Chował się pod kominiarką przed małą dziewczynką. Nienawidziła tych, z którymi jej mama musiała się zadawać na ulicy. Nawet tego, który zostawił prezent.

– Zostań tu. Rób, co mówimy. Bądź grzeczna. Nie stanie ci się żadna krzywda, Natalio.

Był Holendrem. Mówił... mówił jak jeden z nauczycieli w jej szkole. Bystry. Pewny siebie. Zdziwiony, że ona się przed nim nie kuli ze strachu.

My.

Więc miała rację. Nie był sam.

Sprzeczka między kaczkami na zewnątrz zrobiła się głośna i agresywna. Mężczyzna wziął małą konsolę, wsadził ją do kieszeni i wstał.

Sięgnęła po książeczkę do kolorowania.

– To dla malucha – powiedziała. – Chcę taką z zagadkami. Z cyframi.

Usiadł, wziął od niej książeczkę. Przekartkował, znalazł coś i podał jej.

Sumy. Dodawanie. Odejmowanie. Mnożenie i dzielenie.

To były łatwe działania. Natalia wzięła długopis i przeleciała je, jedno po drugim, zapisując rozwiązania.

– To też jest dla maluchów – jęknęła.

Zabrał książeczkę, spojrzął na nią przez szparki w narciarce.

Nauczyciel, pomyślała. Oni też tak robili.

– Jedno dodawanie zrobiłaś źle – powiedział, wskazując palcem czwarte zadanie od góry.

Trzy razy trzynastcie. Napisała, że czterdzieści jeden, nie wiedzieć dlaczego. Skreśliła wynik i napisała u góry nowy. Odwróciła kartkę. Znowu proste kolorowe zabawy i obrazki „znajdź różnice”. Oddała mu ją bez słowa.

– Poszukam dla ciebie czegoś trudniejszego – powiedział i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kłódka, pomyślała. I skobel po drugiej stronie.

Otworzyła torebkę z cukierkami, wyjęła kilka i zaczęła je żuć.

Pod miastem, w innej celi, Ismail Alamy słuchał, kiwając głową. Gdy Vos skończył, rozłożył ręce, skrzywił się i spytał:

– No i...?

– Porwano niewinne dziecko, by pan odzyskał wolność.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – zapewnił Marokańczyk. – Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest planowane. Nie mam pojęcia, kim są ci bracia. Ma pan powód, by wierzyć w inną wersję?

Mówił z uniesioną w wyćwiczonym geście dłonią. Palec wskazujący wymierzony w rozmówcę. Długi pomarańczowy rękaw. Teraz Alamy był imamem z nagrań.

– Jestem równie niewinny jak to dziecko. A jednak przetrzymuje się mnie w niewoli. Bez zarzutów. Bez dowodów. I zamierzacie mnie odesłać w szpony reżimu pozbawionego tak zwanej demokracji, którą czcicie. Gdzie się torturuje mężczyzn i kobiety...

– Nie chodzi o pana – przerwała mu Hanna. – Chodzi o moją córkę.

– Ja mam czyste ręce – odparł, pokazując, że obmywa dłonie. – Po co tracicie czas? Poza tym... – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Niedługo nadejdą wieści z trybunału w Strasburgu. Wypuszczą mnie. Moja kartoteka jest nieskalana. Podobnie jak mój charakter. Nie macie powodu pozbawiać mnie wolności.

Wjechał do Holandii, posługując się fałszywym libijskim paszportem. Poprosił o azyl polityczny, twierdząc, że jest prześladowany przez reżim Kadafiego. Vos o tym wszystkim wiedział i ani myślał dać się sprowokować.

– Chcemy tylko, żeby wygłosił pan oświadczenie, które byśmy im przekazali – rzekł. – Ci ludzie to pańscy wyznawcy. Jeśli pan ich poprosi, żeby uwolnili Natalię Bublik, może to zrobią.

Marokańczyk spojrzał na nich spode łba.

– Nie jestem duchownym. Nie mam wyznawców. Nie mam też pojęcia, kim są ci bracia.

Hanna zamrużyła powiekami, zacisnęła dłonie, pochyliła się do przodu i wbiła w niego wzrok.

– To moja córeczka. Mam tylko ją. Ona nie ma ojca. Zginął na takiej samej głupiej wojnie.

– Myśli pani, że innych nie spotykają podobne nieszczęścia? – spytał Alamy. – Myśli pani, że ja nie znam tysięcy... setek tysięcy takich tragedii?

– Jeśli pan coś powie, a oni pana zignorują... to co z tego? – spytała. Jej silny głos był bliski załamania. – Co to szkodzi? A jeśli posłuchają...

– Oświadczenie? – spytał ostro. – I co w nim miałoby być?

– Żeby wypuścili moją córeczkę – błagała. – Ośmioletnią. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Rozbawienie i łagodność zniknęły z jego twarzy.

– Wszyscy mamy z tym coś wspólnego, kobieto. Świat jest podzielony. Dzieli się na zło i dobro. Na tych, którzy wierzą i dostąpią zbawienia, i na tych, którzy wyrzekają się wiary i spłoną za to w ogniu piekielnym.

Vos patrzył w nadziei.

– Jedno krótkie oświadczenie – nie ustępowała. – Powie pan, że nie chce, by trzymali moją córeczkę ze względu na pana. Nie chodzi o żadne racje. Żadne skomplikowane argumenty.

Wahał się. Vosa to zainteresowało z kilku powodów. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Alamy podniósł wzrok i wszelka wątpliwość zniknęła z jego twarzy.

Mirjam Fransen. Wściekła.

– Co się dzieje, Vos? – spytała. – Kto panu na to pozwolił?

Vos pokręcił głową.

– Śledzicie mnie?

– Geerts poszedł na Marnixstraat. Powiedzieli, że pan wyszedł. Nietrudno było się dowiedzieć dokąd.

Alamy wyprostował się na swojej pryczy i spojrzał na całą trójkę spode łba.

– Nie mam nic do dodania. Ta... dyskusja dobiegła końca.

Hanna dopadła go w jednej chwili, chwyciła rękaw pomarańczowego kombinezonu, błagała, bliska płaczu.

– Zabierzcie ode mnie tę kurwę – warknął. – Weźcie...

Ekspłodowała. Wymachiwała rękoma. Krzyczała. Szarpała go za rękaw.

Vos podszedł do niej, chwycił ją za ramiona. Podprowadził do drzwi. Minął Fransen i dwóch strażników, wyszli na korytarz.

– Skąd on wie, kim jestem? – spytała Hanna. – Kto mu powiedział? Pan?

– Nikt...

– Czy ja to mam wypisane na twarzy?

– Pani Hanno...

Mirjam Fransen dołączyła do nich z rękoma splecionymi na piersi, zainteresowana, ale zdystansowana.

– Dotknęła go pani – powiedział Vos. – To dlatego...

– Gdyby na moim miejscu była ta Kuyper...

– Wyrzylby się tak samo. – Vos odwrócił się do Fransen. – Jeśli jeszcze raz porozmawiamy z Alamy, może złoży oświadczenie. Jedno zdanie. To wszystko. Że nie popiera tej akcji. To może...

Spojrzała na dwóch strażników.

– Ten więzień podlega nam. Policja nie ma tu nic do roboty. Bez mojego pozwolenia nie możecie nikogo do niego wpuszczać. Wyrzylam się jasno?

Znali ją. Kiwnęli głową.

– Pięć minut – prosił Vos. – Czemu się pani sprzeciwia?

Wskazała korytarz i zamykaną na zamek elektroniczny bramkę.

– To chodzi o kwestie bezpieczeństwa narodowego, które pana nie dotyczą, Vos. Niech pan

wraca na Marnixstraat. Wykonuje swoją robotę. I trzyma się z dala od naszej.

– Pięć minut – błagał.

– Wykluczone. – Skinęła na strażników. – Zabierzcie ich stąd.

Z Herenmarkt do szkoły Saskii szło się chwilę spacerem. Była to prywatna placówka z niewielkim placem zabaw. Renata Kuyper kupiła cappuccino w pobliskiej kawiarni, usiadła na ławce przy furtce i próbowała zebrać myśli. Kawa wystygła. Przyniosła sobie drugą, zamknęła oczy, zadzwoniła do domu. Nikt nie odebrał. Zadzwoniła na jego komórkę. Połączyła się z pocztą głosową.

Zacząła się przerwa, na placu wypadło rozkrzywane stadko dzieci, dobrze ubranych potomków amsterdamskiej klasy wyższej i średniej. Patrzyła, jak dzieci odbijają piłki, rozmawiają, bawią się na ślizgawkach, huśtawkach i na karuzeli.

Nie mogła się pozbyć obrazu innej dziewczynki, uwięzionej gdzieś w mieście. Zagubionej. Samotnej. W gazetach nie pojawiła się o niej najmniejsza wzmianka. AIVD wieczorem zadzwoniła do Henka, kazali zachować milczenie na temat wczorajszych wydarzeń. Rozgłos mógł narazić dziecko na niebezpieczeństwo. Tak powiedzieli.

Po drugiej stronie ulicy, na placu zabaw nad kanałem, Saskia biegała z koleżankami, ciągle w różowej kurtce, którą kupił jej tatuś. Mimo wczorajszych wydarzeń zażądała jej dzisiaj rano i Henk, ku oburzeniu Renaty, ustąpił. Nie była byстрым dzieckiem. Henk czuł się tym zawiedziony, chociaż nie dawał tego poznać córce.

Renata upiła łyk kolejnej kawy. Ktoś usiadł obok niej na ławce. Stało się to tak nagle, że aż się przestraszyła.

Ciepły zimowy płaszcz. Smutna, pociągła blada twarz o rzeźbionych rysach, gładko ogolona. Lucas Kuyper nie był jeszcze starszym panem, ale powoli zbliżał się do tego etapu. Przyczyniły się do tego lata i stres.

Też trzymał w ręku papierowy kubek z kawą. Unosiła się nad nim para. Dotknął kubka i uśmiechnął się.

Padły wszystkie niezbędne nieistotne słowa, standardowe uprzejmości. Ojciec Henka był taki staromodny. O łagodnym sposobie bycia, w rozmowie spokojny i uważający. Nie potrafiła go sobie wyobrazić jako wojskowego. Tak samo trudno było czasami wyobrazić sobie Henka jako zapalonego niezależnego aktywistę, który angażuje się w nieskończone kampanie, zwykle przez internet. Nie do końca rozumiała istotę tych przedsięwzięć.

– Nie powiesz mu, że się spotkaliśmy, dobrze?

– Oczywiście, Lucasie. Skoro nie chcesz.

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Po wczorajszym wieczorze...

To był nie tylko wczorajszy wieczór. Chyba zawsze panował między nimi chłód. Niekiedy wydawał się wręcz przemyślany.

– Nie zamierzasz tu siedzieć cały dzień, prawda? – spytała. – Bo wiesz... gdyby policja uważała, że jest się czym martwić, byłaby tu.

Wzruszył ramionami.

– Wiem. Na pewno masz rację. Po prostu... Szczerze mówiąc, niewiele poza tym mam do roboty. Wyszedłem więc na spacer.

Trzy lata temu owdowiał. Na pogrzebie Henk prawie się nie odzywał do ojca. Lucas mieszkał teraz sam w rejonie Negen Straatjes, Dziewięciu Ulic. Gdy mu się chciało, chodził po sklepach, kupował prezenty, których Saskia nie potrzebowała, potem wracał do swojego wielkiego i pustego domu, w którym nie miał żadnego towarzystwa prócz sprzątaczkę przychodzącej dwa razy w tygodniu.

To, co wydarzyło się w Bośni, chyba zniszczyło mu życie. Jego relacje z synem. Jedno i drugie było nie do naprawienia, a teraz cierpiały przez to również relacje z Saskią.

– Dlaczego winisz się za Srebrenicę? – spytała. – Uznano, że to nie była twoja wina.

– Henk tak nie uważa.

– Rzeczywiście. Ale Henk w nikim nie dostrzega za dużo dobra.

– Dla niego to też musiało być trudne – dodał. – Cała ta nienawiść... Musiał to odczuć.

– Skoro uznano, że nie ponosisz winy, to dlaczego miałbyś tego nie zaakceptować?

Te słowa mu się nie spodobały.

– Ja tam byłem, a oni nie. Nie mieliśmy pojęcia, że tych ludzi czeka masakra. Nawet gdybyśmy mieli... – Zamknął oczy i na jego pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz takiego bólu, że Renata chciała mu przerwać. – Prawda jest taka, że i tak nie moglibyśmy temu zapobiec. To były siły pokojowe. Nie wojsko. Nie nadawaliśmy się do walki i nie takie było nasze zadanie. Gdybym miał broń i pozwolenie...

– Też byś zginął.

Skinął głową.

– Pewnie tak. Ale gdyby do tego doszło, nastąpiłaby jakaś reakcja. Może te osiem tysięcy niewinnych by żyło. Albo zostaliby uwolnieni, a ucierpieliby innego dnia.

Kuyperowie – rodzina o wojskowych tradycjach. Lucas był kolejnym z długiej linii oficerów, która zaczynała się ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Zakończyła się na Henku.

– Wykonałeś swoją powinność – powiedziała z mocą.

– Doprawdy? – odrzekł z nietypowym zdenerwowaniem w głosie. – Gdy zaczął się szum medialny, Henk mieszkał w internacie. Przeżył koszmar. Ja... ja mogłem sobie poradzić. W pewien sposób byłem nawet zadowolony. Ten cały jad skierowany na mnie... był zasłużony.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie wolno ci tak myśleć.

Żachnął się.

– Naprawdę? Wczoraj ktoś usiłował porwać waszą córkę. Przez to, co zrobiłem... albo czego nie zrobiłem... prawie dwadzieścia lat temu. Sądzisz, że mogę o tym po prostu zapomnieć?

Na to nie znajdowała słów.

– A Henk z każdym kolejnym dniem nienawidzi mnie chyba coraz bardziej – dodał.

Po drugiej stronie ulicy dzieci wracały do budynku szkoły. Na kolejne lekcje. Saskia będzie bezpieczna w przytulnym, ustronnym świetle, który zapewniały jej pieniądze Lucasa.

Wpatrywał się w nią, a w jego oczach widziała żelazną determinację, która musiała tam być, gdy nosił mundur.

– Jesteś szczęśliwa?

– Nie – odparła bez namysłu. – Chyba większość ludzi nie może tak o sobie powiedzieć.

– Masz prawo do szczęścia. – W jego głosie zabrzmiała niemal złość. – Myśmy byli szczęśliwi. Gdy miałem tyle lat co Henk, robiłem karierę w wojsku. Mieliśmy jednego wroga. Rosjan. Tylko głupiec by sądził, że dojdzie kiedyś do wojny. A potem upadł mur berliński i wszyscy wiwatowali.

Uśmiechnęła się i poklepała go po kolanie.

– To już historia, Lucasie. Przeszłość. Powinieneś o niej zapomnieć.

– Kiedy upadł mur, w Berlinie był mój przyjaciel. Mówił, że wszyscy szaleli. A od tego momentu zrobiło się gorzej. Zachwiała się równowaga. Kiedyś każdy z nas wiedział, po której stronie stoi. Dziesięć lat później na Bałkanach próbowaliśmy powstrzymać zwyczajnych ludzi mordujących swoich sąsiadów. Gdyby Henk poszedł w moje ślady i wstąpiłby do wojska, wyjechałby do Iraku, Afganistanu... Bóg raczy wiedzieć gdzie.

Dopił kawę i zmiął kubek w garści.

– Nie tylko ja wtedy zawiodłem. Zawiedliśmy my wszyscy. I każdego roku zawodzimy jeszcze bardziej. – Twarz Lucasa Kuypera stała się surowa i twarda. – Terrorysty w Amsterdamie. Porywający dzieci z ulicy.

– Kolejny powód, by nie obarczać winą siebie – przerwała.

– Ale Henk wini właśnie mnie. I nienawidzi mnie.

– Mnie chyba też.

– Nie ma powodu cię nienawidzić, Renato. W ogóle w to nie wierzę.

– Może powód mu niepotrzebny.

Opadł na oparcie, zamknął oczy, próbował znaleźć słowa.

– Chcesz od niego odejść?

– A to takie oczywiste? – spytała.

Kiwnął głową.

– Tak.

– Dokąd pójde? – spytała i oboje zrozumieli, że szuka zaproszenia. Jego dom był wielki i pusty. Mogłaby tam zamieszkać.

– Nie wiem – odrzekł. – Wszyscy się poświęcamy. Ceną za odrobinę radości często jest odrobina bólu. Masz piękną córkę...

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Mrugała powiekami, by je powstrzymać, i zastanawiała się, co on by z nich zrozumiał.

– Ja chcę tylko mieć rodzinę. Normalną rodzinę. Kochającą. Zawsze pragnęłam tylko tego...

Plac zabaw stał pusty. Wyglądał smętnie.

– Poza tym Saskia się ze mną nie wyprowadzi – dodała. Wiedziała, że to prawda. – Między nimi jest jakaś bliskość. Jakby... jakby mieli jakąś swoją tajemnicę. Nie rozumiem tego. Wiem tylko, że ja nie mam do niej dostępu. I nigdy nie będę miała.

– To nie czas na pochopne decyzje.

– Pochopne? Myślisz, że chodzi tylko o wczoraj? Kłócimy się od lat. Nie zauważyłeś?

Czekała i czekała. Jedyłą odpowiedzią był nieznajomy dzwonek z jej torebki. Henk dał jej rano swój zapasowy telefon. Jej aparat policja zatrzymała do rozmów w sprawie gruzińskiej



dziewczynki.

– Gdzie jesteście? – spytał.

– Na spacerze.

Słyszała, jak wzdycha. I słyszała ulicę w tle. Też był gdzieś na mieście. Wydało jej się, że rozpoznaje stukot pociągu.

– Nadal nie wiem gdzie.

– W pobliżu szkoły. O co chodzi?

– Dzwonili ci kretyni z Marnixstraat. Chcą się z nami spotkać. Z Saskią również. Znaleźli jakąś niezgodność w zeznaniach.

Lucas odsunął się na ławce, jakby nie chciał słyszeć ich rozmowy. W jednej chwili Renacie przypomniał się chaos poprzedniego dnia.

– Jaką niezgodność?

– Nie wiem. Zabierz Saskię ze szkoły. Na Elandsgracht jest kawiarnia, od strony Prinsen, niedaleko mostu.

– Mogę tam być za piętnaście minut...

– A ja nie. Jestem zajęty. Spotkamy się w tej kawiarni o jedenastej trzydzieści. I pójdziemy do nich razem.

Rozłączył się bez słowa. Lucas trzymał w ręku kapelusz, gotów do odejścia.

– Cieszę się, że porozmawialiśmy – powiedział, wstając. Ona również się podniosła. – Jeśli chodzi o Srebrenicę...

– Tak?

– Nie jest to temat, do którego chętnie wracam.

– Może powinienes. Może ty i Henk...

– Powoli, nie wszystko naraz – odrzekł. – Rodzina zawsze musi się starać być razem. Kiedy zerwą się więzi pomiędzy jej członkami, trudno to naprawić. Henk cię kocha. Saskia też. Wszyscy cię kochamy.

Nie wiedziała, co powiedzieć. On uchylił kapelusza i odszedł.

Vos odwiózł Hannę Bublik do centrum. Telefon Renaty Kuyper milczał w jego kieszeni. Jakoś tak oskarżycielsko.

Gdy utknęli w korku, kobieta spojrzała na niego i spytała nerwowo:

– Co mam zrobić, jeśli oni zażądadają pieniędzy?

– Ważne, żeby rozpocząć rozmowy. Potem się zajmiemy ich żądaniami.

Otuliła się tanią czarną kurtką, chociaż w samochodzie nie było zimno.

– Może pani zostać w moim gabinecie, jak długo pani zechce – zasugerował. – Gdy tylko ten człowiek zadzwoni, dam pani znać, co się dzieje.

Patrzyła za okno, gdy wjechali na długi prosty odcinek Marnixstraat prowadzący do komisariatu.

– To znaczy, że będzie pan tam siedział cały dzień, czekając na telefon?

– Mam nadzieję, że nie – odrzekł.

– Więc po co ja mam tam siedzieć?

– Próbuję pomóc.

– Jedną tylko rzecz mogę zaoferować i tego ci ludzie nie chcą.

– Mogę poprosić policjantkę, żeby pani towarzyszyła. Staramy się zorganizować jakąś pomoc...

– Chcę odzyskać córkę, niczego innego nie potrzebuję. Niczego innego od was nie chcę. Rzadko tracił panowanie nad sobą, ale ona go uraziła. Zjechał na bok, pod bramę komisariatu.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, pani Hanno. Znajdziemy pani córkę. Patrzyła na niego groźnie.

– Mówi pan to tak lekko.

– Ale nie żartuję. Albo dowiemy się, gdzie ten człowiek ją trzyma, albo wynegocjujemy jakieś wyjście.

– To dziecko prostytutki. Przebywa tu nielegalnie. O co tu negocjować? Czasami współczucie okazywało się nieskuteczne.

– A czego pani ode mnie oczekuje? – spytał. – Proszę powiedzieć, bo ja nie wiem. Opanowała się.

– Zrozumiałam, panie Vos. Pan się przejmuje. Problem w tym... – W tej chwili wyglądała, jakby nękała ją poczucie winy. – Taka kobieta jak ja zawsze się martwi, gdy ktoś chce się o nią zatroszczyć. To się nie kończy dobrze. Przepraszam. Mój problem. Nie pański.

Sięgnęła po torebkę i przeliczyła pieniądze. Vos widział, że nie ma ich za dużo. Sięgnął po portfel, ale ona położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wsiadam. Muszę się z kimś spotkać. Niech pan zadzwoni, jak będzie pan coś wiedział.

Patrzył, jak idzie prosto przez ruchliwą ulicę, ruchem ręki powstrzymując zirytowanego taksówkarza. Nie należała do piękności, ale jej uroda była uderzająca. Wysoka, wyprostowana w swojej kurtce ze sztucznej skóry i džinsach. Wyobrażał sobie, jak wabi mężczyzn, siedząc w swojej kabinie, usadowiona na stołku pod czerwoną lampą. Wystarczy cię uśmiechu.

Ruszyła w kierunku, z którego nadjechali, w stronę centrum. Za chwilę dotrze do Negen Straatjes, ulic handlowych, na których zamożni amsterdamczycy kupowali towary luksusowe. Kawalek dalej za nią znajdowała się dzielnica czerwonych latarni.

Laura Bakker zapewne uważała, że kogoś takiego można zmienić na lepsze. Prostytucja nie była krokiem do przodu w karierze zawodowej. Raczej rozwiązaniem tymczasowym, może jedynym dostępnym w tej chwili. Ale Bakker była nowa w mieście i jeszcze pełna młodzieńczego optymizmu. Vos przez pewien czas pracował w obyczajówce, miał do czynienia z wieloma przestępcami, którzy prowadzili seksbiznes, zwykle stosując ciężką, niekiedy brutalną dyscyplinę. Większość kobiet z kabin rezygnowała z pracy z powodu wieku i braku klientów. I z żadnego innego.

Usłyszał dźwięk innego dzwonka. Wyjął telefon Renaty Kuyper i spojrzał na wyświetlacz. Numer niezidentyfikowany. Zaczekał kilka chwil, wiedząc, że Marnixstraat będzie podsłuchiwać rozmowę i że spróbuje ją namierzyć. Niewątpliwie stwierdzą, że to połączenie z netu i że w najlepszym wypadku mogą ustalić przybliżoną lokalizację w mieście. Nie ma mowy o takiej precyzji jak pozycja masztu telefonii komórkowej.

Odebrał po czwartym dzwonku.

Vos był tak zajęty rozmową telefoniczną, że w ogóle nie zauważył krótkiego i osobliwego spotkania po drugiej stronie drogi. Kuyperowie zmierzali w stronę Marnixstraat, Saskia trzymała ojca za rękę.

Wpatrywała się w nich zaciekawiona Hanna Bublik. Jakby ich widok miał dla niej jakieś znaczenie.

– Nie szukaj mnie – powiedział mężczyzna. – Rób, co mówię, bo przez ciebie stanie się dziecku krzywda.

Vos zerknął na zegarek. Jedenasta czterdzieści trzy.

– Czego chcesz? – spytał.

– Chcę, by mój brat wyszedł na wolność.

Głos należał do Holendra, wykształconego, spokojnego, z modulacją, której Vos nie potrafił umiejscowić. Pewnie wymuszoną. Mężczyzna mówił powoli, pewnie, jakby się w ogóle nie przejmował, czy zostanie namierzony.

– Muszę wiedzieć, czy dziewczynce nic nie jest.

Nastąpiła chwila milczenia. Po czym wysoki żeński głos powiedział z wyraźnym strachem:

– Jestem Natalia. Z kim rozmawiam?

– Z policjantem, nazywam się Pieter Vos. Przed chwilą była tu twoja mama, Natalio. Przykro mi, że nie uda ci się z nią teraz porozmawiać. Jesteś...?

Jakiś dźwięk, pełen złości jęk, możliwe, że wywołany bólem. I znowu mężczyzna.

– Dość – rzekł.

– Uderzyłeś ją?

– Jeszcze nie. – Sprawiał wrażenie urażonego tym pytaniem. – Jest narowista. To pewnie dziedziczne.

– Co wiesz o jej matce?

– Tyle, co mała mówiła. A co to? Przesłuchanie?

Vos próbował sobie wyobrazić, jak ośmiolatka mówi obcemu człowiekowi, i to wrogowi, że jej matka jest prostytutką. Słabo.

– Chcę, żebyście zorganizowali samolot dla Alamy'ego, z Schiphol. Podamy wam cel podróży. I chcę, żeby u celu zagwarantowano mu bezpieczne przejście. I... – myślał na bieżąco – sto tysięcy euro.

– Niewiele.

– Reprezentujesz władze – odrzekł mężczyzna. – Załatw to.

– Daj mi czas. Jeden dzień.

– Dzień? – Usłyszał gniew w jego głosie. – Chcesz, żeby to dziecko przeżyło, czy nie?

– To nie jest proste. Żeby spełnić jakiegokolwiek żądania finansowe, musimy uzyskać aprobatę władz. I żeby załatwić samolot. Myślisz, że kiwnę palcem i już, załatwię to w jednej chwili?

– A więc jeden dzień – przystał mężczyzna. – I żadnych numerów.

Szybko poszło. I łatwo.

– Już mi mówiłeś. Chcę jeszcze porozmawiać z Natalią.

Długie westchnienie. Po czym podał telefon dziewczynce.

– Mama cię kocha – powiedział Vos. – Jutro wrócisz do domu. Obiecuję.

Chwila ciszy na linii. W tle jakiś dźwięk, którego nie mógł skojarzyć.

– Dziękuję – odparła Natalia Bublik bardzo powoli i bardzo grzecznie.

Połączenie przerwano. Od razu zadzwonił do Bakker.

– Masz to?

Siedziała w sali ogólnej z Van der Bergiem, Koemanem i resztą zespołu, przed komputerem, przeglądając meldunki z systemu namierzania.

– To był Skype – powiedziała.

– Nagraliście rozmowę?

– Oczywiście!

– Świetnie. Zaraz będę. Za tymi głosami coś słyhać. Pod sam koniec, kiedy Natalia mówi bardzo powoli. Myślę, że zrobiła to rozmyślnie. Zobacz, czy dacie radę rozgryźć, co to jest.

W chwili, gdy się rozłączył, jego telefon znowu zadzwonił. Tym razem była to Mirjam Fransen. Rozmowę z porywaczem podsłuchiwała AIVD w swojej siedzibie w centrum miasta.

Powiedział jej, że idzie na komisariat. Jeśli chce się z nim spotkać, to tam.

– Jestem zajęta, Vos – odparła. – Powinien pan pamiętać o jednym.

– O czym? – spytał, bo zawiesiła głos.

– Rozumiem, że musi go pan zwieść, żeby myślał, że mu damy to, czego chce.

– Właśnie.

– Niech panu nie przyjdzie do głowy, że on to dostanie. Holenderski rząd nie płaci okupów. Ani za pieniądze, ani w zamian za porwane dziecko Ismail Alamy nie wyjdzie na wolność.

Uruchomił silnik i czekał, by włączyć się do ruchu.

– Chce pani to powiedzieć jej matce?

– Mamy inne zajęcia. Zostawię to panu.

I rozłączyła się. Vos zadzwonił do Hanny Bublik, ale połączył się z pocztą głosową. Następnie wszedł na komisariat. Bakker i Van der Berg już zatrudnili techników do pracy nad nagraniem rozmowy z porywaczem. Rodzina Kuyperów siedziała w pokoju przesłuchań.

– Dlaczego...? – zaczął Vos.

– Coś się nie zgadza – przerwała mu Bakker. – Technicy potrzebują dwudziestu minut, żeby podnieść jakość nagrania. Możemy tymczasem porozmawiać z Kuyperami?

– AIVD coś ma?

– Jeśli nawet coś mają, to nam nie mówią – odrzekł Van der Berg, krzywiąc się. – Musimy wyjaśnić wątpliwości z wczoraj, Pieter. Oni powinni nam pomóc.

Znowu zadzwonił do Hanny Bublik. Znowu nie odebrała. Przyglądał się trzem postaciom w pokoju przesłuchań. Wszyscy dobrze ubrani, dziewczynka siedziała bliżej ojca niż matki. Widać było, że są zamożni. Co prawda zdaje się, że bogactwo nie zapewniało im szczęścia.

– Dobra – rzekł.

Wzięła adres od Chantal Santos. Stary budynek na Spooksteeg, ścieżce dla pieszych pomiędzy Zeedijk a Oudezijds Voorburgwal. Na ścianach graffiti. Zamykana na noc wysoka żelazna brama ze szpikulcami chroniła przed hołotą. Dom stał w centrum dzielnicy czerwonych latarni, ale odgradzony od branży, która stanowiła soki żywotne tej części miasta.

Cem Yilmaz mieszkał z dala od branży. Miał trzydzieści siedem lat, pochodził z Ankary, a po drodze do Holandii zaliczył Hamburg. Ogromny, muskularny mężczyzna. W penthousie stały maszyny do ćwiczeń, przy oknie, tak żeby wszyscy widzieli. Do Yilmaza należał cały budynek, niezliczone rzędy kabin w całym mieście, cztery sekskluby, pizzeria i sklep sprzedający gadzeciarskie prezerwatywy. Większość jego interesów była legalna. Uwagę policji mógłby jedynie ściągnąć sposób traktowania dziewczyn, które sprawiały kłopoty. Ale nawet te kobiety zbyt się bały, by składać skargę.

Hanna wiedziała, jaki on jest. Trochę też wiedziała o jego pochodzeniu. Kiedy zadzwoniła z dołu i błagała go przez domofon, już miała ułożone w głowie, co robi, jeśli on ją wpuści. Nagle drzwi brzęknęły. Weszła do nowoczesnego atrium skrytego za starą fasadą, znalazła windę, która na nią czekała, i wjechała na ostatnie piętro.

Z windy wychodziło się prosto do salonu. Yilmaz siedział sam na wielkiej jaskrawoczerwonej sofie. Srogi mężczyzna o bladej ziemistej cerze i wyłupiastych, niespokojnych oczach. Skojarzył się jej z przestępcami, z którymi jej mąż przez krótki czas borykał się w Gori. Zbirami nachodzącymi go i domagającymi się pieniędzy za ochronę. Zwykle za ochronę przed nimi samymi.

Turek miał na sobie jaskrawoniebieskie spodnie od dresu. Potężna klatka piersiowa lśniła od potu. W powietrzu unosił się zapach jak na siłowni. Kazał jej usiąść, po czym sięgnął na drugą stronę sofy, znalazł pudełko na stoliku kawowym, wyjął z niego cygaro i zapalił. Jasny pokój zaczął się wypełniać trującym dymem. Hanna widziała go już kiedyś, jak jechał po dzielnicy swoim maserati. Yilmaz lubił epatować bogactwem.

– Cztery razy tu panią zapraszałem, pani Bublik. I za każdym razem pani mi odmawiała. – Mówił barytonem, jego głos nigdy nie drżał. – Co się zmieniło?

Zastanawiała się, ile powiedzieć. Policja była nieugięta. Im mniej ludzi wie o porwaniu Natalii, tym lepiej. Ale oni szukali po omacku.

Więc powiedziała mu. O wczorajszym chaosie na Leidseplein. Wiedział o tym, oczywiście. Siedział i bez mrugnięcia okiem słuchał o zniknięciu Natalii. Hanna pominęła Kuyperów. Wydawali się nieistotni dla sprawy.

Słuchał, kiwając głową, po czym zrobił sobie kawy, po turecku, dla niej też. Upiła łyk mocnego, czarnego naparu. Na dnie leżały fusy podobne do błota. Gdy skończyła, on znowu usiadł, wzruszył potężnymi ramionami, sięgnął po ręcznik i zaczął ścierać pot z klatki piersiowej i bicepsów.

– I? – spytał.

– Myślałam, że może pan mi zdoła pomóc.

– Jak?

Musiała to powiedzieć, chociaż zabrzmiało to niezręcznie.

– Słyszałam, że pan też jest muzułmaninem.

Zmrużył wielkie oczy.

– Myśli pani, że każdy muzułmanin to terrorysta?

– Nie.

Ale słyszała plotki. Że gangi przekazywały pieniądze braciom w wierze. Że tamci pomagali przemycać dziewczyny do miasta, zwłaszcza z krajów kaukaskich, postradzieckich. Czasami przemycano je przez Gruzję. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Myślałam po prostu, że spytam. Na wypadek gdyby pan coś słyszał. Mógłby mi pan powiedzieć. Taka przysługa.

Dopił kawę i odstawił kubek na stolik przed sobą.

– A co ja jestem? Instytucja dobroczynna? Ilu ludzi wyświadcza przysługi Cemowi Yilmazowi? – Otaksował ją wzrokiem. – Ile przysług pani mi wyświadczyła?

Nie wiedzieć czemu w pomieszczeniu było aż tak nagrzane. W wielkim, starym kominku trzaskały polana. Hannie zrobiło się za gorąco. A od wysokiej temperatury zapach Yilmaza stawał się jeszcze bardziej intensywny.

– Nigdy w żaden sposób nie wchodziłam w paradę pańskim dziewczynom. I nigdy tak nie będzie.

– Chce pani mojej pomocy, pani Bublik? Dlaczego miałbym jej pani udzielać?

Nie teraz, pomyślała. Nie teraz, kiedy Natalię porwali. Rozumiała, że przyjęcie jego propozycji to droga bez odwrotu. W każdym razie bezpiecznego odwrotu.

– Chcę tylko odzyskać córkę. Kiedy to się skończy... możemy pogadać.

Znowu ją otaksował spojrzeniem. Jak rzeźnik szacujący tuszę.

– Wygląda pani na porządną kobietę. Mógłbym zadbać o interesy i pani, i moje. I zarobiłaby pani więcej niż za tą szybą. Mówią, że chcą pieniędzy? Ile?

– Nie wiem.

– A ile pani ma?

– Niewiele. Może... może policja pomoże.

Roześmiał się.

– Dlaczego by mieli pani pomagać? Nie jest pani Holenderką. Dla nich jest pani kawałkiem mięsa.

– A dla pana byłabym czymś innym?

Te słowa jej się wymknęły i natychmiast ich pożałowała. Ale on nie wydawał się urażony. Jeśli już, to najwyraźniej był pod wrażeniem.

– Złożyłem propozycję w dobrej wierze – powiedział. – Jestem biznesmenem, i tyle. Handlujemy. Oboje odnosimy sukcesy. Jeśli pani chce pracować ze mną, pewnie mogę pomóc. Rozpytać ludzi, może ktoś coś wie. Może... – Wzruszył ramionami. – Niczego nie gwarantuję. Dopóki o nic nie spytam, na pewno nie dostanę żadnej odpowiedzi.

– Nie mogę pracować, dopóki ta sprawa się nie skończy.

Pokręcił wielką, ostrzyżoną na jeża głową.

– Ale wczoraj siedziała pani w kabinie i wypatrywała klientów. W każdym razie pani próbowała.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Te kabiny należą do mnie, pani Bublik. Jestem dobrym właścicielem i wspaniałym pracodawcą. Jedyne, czego wymagam, to lojalność.

– Błagam – szepnęła.

– Słyszę.

Yilmaz ruchem dłoni kazał jej podejść do biurka pod długim oknem wychodzącym na wąski kanał. Wsunął szufladę i pozwolił jej zerknąć na zawartość. Mnóstwo pieniędzy. Euro. Funty. Dolary amerykańskie. Banknoty walut, których nie znała. Pełno.

– Pieniądze przychodzą i odchodzą. – Wziął do ręki zwitek euro i wyciągnął w jej stronę. – Wymagam tylko pani zgody na dołączenie do mojej małej damskiej rodziny. Koniec z marznięciem w zimnych kabinach. Będzie się pani spotykać z lepszymi dżentelmenami. Oni płacą więcej, pani pracuje mniej.

„I jestem twoją niewolnicą”.

Wiedział, że to właśnie sobie teraz pomyślała. Miał to wypisane na twarzy.

– Ona ma dopiero osiem lat – prosiła. – Mam tylko ją.

– Chciałbym pomóc. Ale gdy robi się interesy z takim człowiekiem jak ja, zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. – Roześmiał się. – W czym problem? I tak już pani płaci.

Powiedziała, że chce jeszcze się zastanowić i poprosiła o numer telefonu. Skrzywił się, zapisał, poprosił o jej numer, po czym odłożył do szuflady zwitek banknotów.

– I tak rozpytam – dodał. – Nie jestem bez serca. Tylko działam praktycznie.

Otworzył inną szufladę, wyciągnął fiolkę z oliwką i zdjął nakrętkę. Płyn pachniał silnie, ale wonnie, niemal kobieco. Yilmaz podał jej fiolkę.

– Może mi pani wyświadczyć przysługę i mnie tym nasmarować.

Wyjęła swój telefon i wpisała jego numer. Błyskała dioda sygnalizująca wiadomość głosową. Nerwowo, drżącymi palcami, odsłuchiwała wiadomość.

Od Vosa, prosił, żeby przyszła na Marnixstraat. Mieli coś.

– Muszę iść – powiedziała. – Policja mnie wzywa.

Bez słowa odprowadził ją wzrokiem.

Na zewnątrz, w oszpeconym graffiti zaułku Spooksteeg zastanowiła się nad Turkiem. Naprawdę znał ludzi? Czy tylko chciał, żeby wzięła udział w jego potulnym cyrku?

Nie dowie się tego. Zadzwoiła więc do Vosa, wysłuchiwała z kolei jego poczty głosowej i zostawiła wiadomość, że jedzie.

Henk Kuyper był niewzruszony: albo będą przesłuchiwać razem, albo wcale.

Van der Berg wysłuchiwał jego jęków i pokręcił głową. Vos siedział przy biurku, zastanawiając się, kiedy technicy skończą pracę nad nagraniem rozmowy. Przeciągało im się. Bakker przekładała skrzyżowane długie nogi, przerywając przedstawienie niezręcznymi, poirytowanymi westchnieniami.

– O nic państwa nie oskarżamy – powiedział Van der Berg do wysokiego, poważnego mężczyzny po drugiej stronie stołu.

– Nie chcę zostawiać Saskii samej. Nie można przesłuchiwać ośmiolatki, jakby była

przestępcą.

– Nikt niczego takiego nie sugeruje – przerwał mu Vos. – Po prostu... – Przed przesłuchaniem odbył krótką wymianę zdań z Bakker i teraz zerknął do notatek. – Chcemy się upewnić, czy rozumiemy, co państwo wczoraj widzieli.

Kuyper opadł na oparcie. Jego żona siedziała na rogu stołu. Dziewczynka pomiędzy nimi, bliżej ojca.

– Nie należę do wielbicieli policji – burknął. – Nie podoba mi się wasza stronniczość.

Van der Berg zamrugał powiekami.

– Stronniczość? Próbujemy znaleźć porwaną dziewczynkę. To mogła być pańska córka.

– Ale nie była. Może gdybyście robili, co do was należy, nic takiego...

– Proszę zadawać pytania – przerwała mu Renata. – Pytajcie, o co chcecie.

Pomiędzy nimi panowała zimna, posępna atmosfera. Dziewczynka wyjęła lśniący nowy telefon i zaczęła na nim grać. Bakker postawiła na stole laptop i pokazała im nagrania z kamer. Jeśli wskazanie czasu było właściwe – a nie było powodu sądzić, że było inaczej – coś zauważyła. Natalia Bublik została porwana kilka chwil po zniknięciu Saskii. Wykluczone, by chodziło o pomyłkę porywacza, kimkolwiek on jest. Dwóch ludzi szukało różowej kurtki. Ale i tak coś się nadal nie zgadzało.

Renata śledziła wszystko uważnie, słuchając, jak Bakker przedstawia im rozmieszczenie wydarzeń w czasie.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie – powiedziała. – Saskia odeszła, kiedy ja byłam na placu. Chciała zobaczyć Sinterklaasa. Nagle rozległ się wybuch. Pojawił się Henk. Wszedł w tłum i znalazł ją.

– Gdzie? – spytał Vos, patrząc prosto na Kuypera.

– Na tyłach teatru – odrzekł ten. – To oczywiste, że tam należało szukać. – Zgryźliwe zerknięcie na żonę. – W każdym razie dla mnie oczywiste. Na miejscu przestraszonego dziecka uciekającego przed obcym i jak najdalej od tej całej paniki na placu próbowalibyście się ukryć, prawda? Saskia?

Dziewczynka podniosła wzrok znad telefonu i powiedziała znudzonym, posłusznym głosem:

– Próbowałam się schować. I potem tatuś mnie znalazł.

Bakker spojrzała na jej telefon.

– Masz nowy aparat, Saskio?

– Trzymam kilka zapasowych – warknął jej ojciec. – Chyba większość ludzi tak robi?

Dziewczynka na powrót zajęła się swoją grą.

– Jak uciekłaś Czarnemu Piotrkowi? – spytała Bakker.

– Po prostu uciekłam. Biegłam.

I już.

– Nie trzymał cię?

– Jak biegłam, to nie. Puścił. – Spojrzała na ojca. – Dobrze zrobiłam, prawda?

– Tak – odrzekł ojciec i poklepał ją po ręce. – Następnie ją znalazłem. I przyprowadziłem.

Saskia ciągle miała na sobie różową kurteczkę.



– W tych okolicznościach – odezwała się znowu Bakker – dziwię się, że ona to ciągle nosi.  
– To nie była moja decyzja – warknęła Renata. – Prosiłam, by włożyła co innego. Jak zwykle mnie zignorowała.

Kuyper zerknął na nią, wyraźnie wściekły.

– Dlaczego miałyby jej nie nosić? Podoba się jej. Mieliśmy szczęście. I to koniec. Nic nie wiem o waszych... – palcem wskazał laptop – problemach z czasem. Dlaczego nas przepytujecie? Nie lepiej byłoby pomóc tej kobiecie? Znaleźć jej dziecko? – Zawahał się, po czym i tak powiedział: – Moglibyście też wypuścić tego Alamy'ego z aresztu. On tam siedzi bezzasadnie.

– Zna pan sprawę? – spytał Vos.

– Wystarczająco. Nie macie żadnego dowodu, że popełnił tu przestępstwo. Mówi rzeczy, które wam się nie podobają, i tylko dlatego chcecie go ekstradować do państwa, które nawet nie udaje, że się przejmuje sprawiedliwością. Ani demokracją. Czy wolnością. Co...

Żona rzuciła mu złośliwe spojrzenie.

– Henk, wybrałeś niewłaściwy moment na wykład – powiedziała cicho.

– Doprawdy? Gdyby Alamy nie siedział w więzieniu pod byle pretekstem, czy w ogóle byśmy tu dzisiaj byli?

Ktoś zapukał gwałtownie do drzwi. Bakker podeszła otworzyć. Na progu stał Koeman. Wysłuchała go, po czym spojrzała na Vosa. Zrozumiał i wyszedł.

– Mamy coś z rozmowy – powiedział detektyw. – Słysząc kaczki. I pociągi. I jak pogłościli, ile się dało, słysząc komunikat. – Przerwał. – To musi być gdzieś w pobliżu dworca. Pewnie Głównego.

– Łódź – powiedział Vos. – Mówiłem, że to Łódź.

– Mówiłeś – przyznał Koeman. – Stawiałbym na okolice Westerdok. To najbliższa lokalizacja, która mi przychodzi do głowy. Wysłałem tam mundurowych, żeby rozpytali.

– Chcę się rozejrzeć – powiedział Vos, zerkając na Bakker. – Załatw nam wóz.

– A co z nimi? – spytała, oglądając się na pokój przesłuchań.

Dołączył do nich Van der Berg.

– Niestety – westchnął – każdy może być totalnym fiutem. To nie jest karalne. Myślę, że ten nadęty drań z upodobaniem marnuje nasz czas. Lepiej nie dawać mu tej przyjemności.

– Nic dla nas nie mają – dodał Vos. – Widziałeś, co się działo na Leidseplein. Jeśli tam było dwóch, trzech czy więcej Czarnych Piotrków szukających dziecka w różowej kurteczce, to nic dziwnego, że się pogubili...

– Czas się nie zgadza!

– Westerdok – odparł. – Wóz. – Ruchem głowy wskazał Van der Berga. – Jedziemy w trójkę.

– Jeszcze jedno – odezwał się Koeman. – Ta miła pani z AIVD dzwoniła spytać, jak nam idzie. I w pokoju przesłuchań siedzi matka dziewczynki, chce się z tobą zobaczyć. Mówi, że to ważne.

– Powiedz Mirjam Fransen, że ciągle szukamy. W tej chwili nie mam czasu na matkę. Ty się nią zajmij.

Detektyw się skrzywił.

– Ciągłe jest na mnie wściekła za wczoraj. I trudno się jej dziwić.  
– Kup jej kawę – dodał Vos, poklepując go po ramieniu. – Odpokutuj. Powiedz, że ci przykro. Może przyjmie jakąś pomoc. To porządna kobieta. Nie jest głupia.  
Wrócił do pokoju przesłuchań. Kuyper wstał. Jego córka również.  
– Dziękujemy, że państwo przyszli – powiedział Vos. – Doceniamy to. Mogą już państwo iść.  
– Wiem – odparł Henk Kuyper. Wyprowadził swoją rodzinę na korytarz i dalej; minęli recepcję i wyszli na ulicę.

Znowu kroki w kabinie. Natalia zamknęła oczy i słuchała uważnie. Przez szczeliny między deskami widziała, że robi się ciemno. Słyszała jakieś pociągi. Ludzie wysiadali, szli do domu.

Kilka godzin wcześniej mężczyzna wrócił z jedzeniem: kanapka z ostrym holenderskim serem, paczka czipsów, napoje gazowane. Powiedziała czarnej kominiarce, że nie lubi napojów gazowanych. Nic nie odrzekł, tylko przyniósł jej szklankę wody. Wyszedł z jej małego pomieszczenia i odbył rozmowę telefoniczną, której w sumie nie słyszała. To był ten sam mężczyzna, który wcześniej dał jej książkę. Na pewno. Nie ten z poprzedniego wieczoru.

Znudzona, bardzo zła, czekała, wpatrując się w drzwi. Wszedł. Te same ubrania, ta sama czarna kominiarka skrywająca twarz. Ale kominiarkę naciągnął dopiero, gdy znalazł się w środku.

Zobaczyła coś. Zobaczyła jego twarz.

I może on zauważył, że ona ją widziała.

Starając się sprawiać wrażenie nierozgarniętej, wpatrywała się w jedzenie, gdy on zdejmował opakowanie z kanapki.

– Zrobiłam rachunki, które mi pan dał. – Wyjęła książeczkę i przeszła do strony, nad którą siedziała rano. – Nie chce pan sprawdzić?

Burknął coś, że jest zajęty. Ten miał akcent. Podobny do akcentu mężczyzny z poprzedniego wieczoru. Zwarte Piet, który ją porwał.

Jest ich tylko dwóch, pomyślała. Zmieniali się, zostawiając ją samą na kilka godzin, zamkniętą w maleńkim pomieszczeniu na dziobie łodzi gdzieś niedaleko dworca.

– Boi się pan mnie? – spytała.

Znieruchomiał, z ręką pełną śmieci jak przygarbieni ludzie, których widywała na ulicy, gdy opróżniali śmietniki.

– Cicho bądź, dziewczynko – powiedział. – Znaj swoje miejsce.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się.

– A jakie to miejsce?

Podniósł rękę. Ani drgnęła. Ten był zupełnie inny.

– Natalia Bublik, lat osiem. Zamknij się i ciesz się, że żyjesz.

Ten drugi nigdy nie wypowiedział jej imienia i nazwiska. Nie pytał też o nie. A jednak je znali.

Pochyliła głowę, wzięła do ręki książeczkę do kolorowania i kredkę. Narysowała coś na kartce.

Nie patrzył. Nagle jego telefon znowu zadzwonił. Wyszedł, ryglując drzwi za sobą.

Natalia znalazła niezadrukowaną stronę pod okładką. Rysowała i rysowała. I pisała.

Najpierw jednak przypomniała sobie krótką rozmowę, którą podsłuchiwała, i zastanowiła się, co widziała.

Następnie wróciła na tył książeczki i starannie napisała po niderlandzku, żeby każdy bez trudu przeczytał, dwie linijki tekstu.

*Jeden z nich się nazywa Carleed albo jakoś tak.*

*Chyba jest ich szefem.*

*Ma ciemną skórę, wielką brodę, jest czarny i błyszczący jak pirat.*

I jeszcze, choć na tę myśl zadrżała jej ręka...

*Chyba wie, że go widziałam.*

W niewielkim i zagraconym pokoju przesłuchań na Marnixstraat Hanna Bublik siedziała z żalonym, zakłopotanym Koemanem. Nie powiedziała, co chce przekazać Vosowi, bo to było przeznaczone tylko dla jego uszu. Ten tutaj to głupiec, który je zawiódł wczoraj. Patrzył na nią nieufnie jak na podejrzaną cudzoziemkę, podczas gdy powinien pomóc, wysłuchać jej prośb.

Nie wypła kawy, tylko słuchała, jak próbuje się usprawiedliwiać.

– Może przyniosę pani coś do jedzenia? – spytał w końcu.

– Stać mnie na jedzenie.

– Staralem się być miły.

Skrzywiła się i spojrzała na zegarek.

– Kiedy wróci Vos?

– Nie wiem. Mogę do pani zadzwonić, gdy będziemy coś wiedzieć.

Popatrzyła w jego smutne, zmęczone oczy.

– Znajdą moją Natalię?

– Tak – odrzekł bez przekonania.

– Więc zaczekam.

Z korytarza dobiegł ich odgłos jakiegoś zamieszania. Przez drzwi ujrzała przechodzącą kobietę o twardych rysach twarzy, chyba niezupełnie policjantkę. Towarzyszył jej wielki mężczyzna, który był z nią poprzedniego dnia na Leidseplein. Hanna rozumiała, że ci ludzie są z jakiegoś wywiadu czy coś. Niezbyt lubili policję. I to było uczucie odwzajemnione.

Koeman też zobaczył tę kobietę i usłyszał. Po czym zaklął pod nosem.

Donośnym, nieznośnym sprzeciwu głosem Mirjam Fransen żądała spotkania z Frankiem de Grootem. Chyba była niezadowolona.

Westerdok zaczynało się przy torach kolejowych i biegło do pasa wody o nazwie IJ. Kiedyś były to zniszczone tereny portowe, później je zmodernizowano. Po stronie dworca pobudowały się nowe hotele, knajpy i nowoczesne gmachy, które miały zastąpić stare budynki na Prinsengracht niedaleko domu Vosa. Na sąsiednich wyspach stały domy, budynki przemysłowe,

nieczynne magazyny... i ciągi łodzi mieszkalnych wzdłuż szarych kanałów.

Zanim na miejsce dotarli Vos, Bakker i Van der Berg, na ulicach pracowało już ze dwudziestu mundurowych, pukali do wszystkich drzwi po kolei, zadawali pytania. Van der Berg zaparkował niedaleko lśniącego nowego gmachu wychodzącego na długą linię łodzi, która ciągnęła się wzdłuż prostej ulicy biegnącej na północ. Było ich ponad pięćdziesiąt. Mundurowi znajdowali się już w jednej trzeciej drogi.

– To nie może być tutaj – powiedziała Bakker. – To zbyt oczywiste.

– Rzeczywiście – zgodził się z nią Vos.

W tym rejonie samochody raczej nie jeździły. Ulice były wąskie. Niektóre kończyły się pieszą alejką albo kładką.

Wysiadł, pogadał z funkcjonariuszami i pożyczył od nich dwa rowery.

Van der Berg spojrzał zmartwiony. Nie należał do pasjonatów jednośladow. Vos kazał mu zostać przy samochodzie, pilnować radia i informować ich na bieżąco. Jeden rower oddał Bakker i razem wjechali na sąsiednie wysepki, między spokojne, częściowo mieszkalne, częściowo przemysłowe uliczki, rzut kamieniem od centrum miasta.

Po paru minutach znajdowali się już po drugiej stronie basenu, naprzeciwko gmachu, patrzyli na łodzie, Vos ze ściągniętymi brwiami. Do Westerdok napływały pieniądze. To była raczej marina niż dzielnica mieszkalna. Drogie łodzie motorowe, jachty pełnomorskie. Prawdziwe łodzie mieszkalne nigdy się nie ruszały z miejsca. Były podłączone do sieci, do linii telefonicznej, do kanalizacji i wody. Trwałe domy na wodzie.

– Czego szukamy? – spytała Bakker, gdy zatrzymali się przy drogim jachcie, na którego rufie siedziało dwoje ludzi przy ogniu gazowym. Popijali wino i przyglądali się podejrzliwie policjantom.

– Jakiejś starej jednostki – odrzekł. – Jakiejś niepływającej krypy.

Zsiadł z roweru i podszedł do jachtu. Mężczyzna na rufie wstał. Palił cygaro. Wyglądał na zadowolonego z siebie bogacza. Nie zareagował, gdy Vos pokazał mu legitymację służbową i spytał o obcych i stare krypy.

– Nie wpuszczamy tu tego gówna – odrzekł. – Musicie iść tam... – Wskazał rejon na wschód.  
– Tam parę stoi.

– Zamieszkałe?

Wielkie ramiona poruszyły się wymownie.

– Pewnie tak. Jak ktoś chce zarobić, sprzedaje je spekulantom. I wynajmuje durnym turystom po półtora tysiąca euro tygodniowo. Niech się wałą głową w sufit i męczą z tą całą wilgocią.

Vos podziękował.

Bakker w ślad za nim podeszła do rowerów.

– Gdybyś zamierzała kogoś porwać, zabrałabyś go do siebie? – spytał.

– Nie. Wynajęłabym coś.

– Właśnie.

Zadzwoił do Van der Berga i kazał mu znaleźć kogoś na Marnixstraat, żeby przeszukał w necie strony z łodziami na wynajem w rejonie Westerdok. Następnie pokonali most nad Bickersgracht, wjechali w Galgenstraat i zaczęli się rozglądać. Nad kanałem pracowało więcej

mundurowych. Ale mężczyzna na jachcie się mylił. Starych kryp było tu niewiele. A każdą z nich już sprawdzono.

Kolejne dziesięć minut bezowocnych poszukiwań. Zapadła noc, pochmurna i ciemna. Jechali wąskimi, słabo oświetlonymi ulicami, gdy oddzwonił Van der Berg z informacjami. W necie znalazł siedem łodzi wynajętych na krótki okres. Cztery z nich stały puste. Dwie inne już sprawdzono – nic. Ostatnia stała na Realengracht, na północy portu.

- Podeszłem tam kogoś – powiedział Van der Berg.
- Nie trzeba – odrzekł Vos. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Fransen i Thom Geerts musieli poczekać przed gabinetem de Groota, aż skończy spotkanie na wysokim szczeblu odbywające się poza komisariatem. To nie poprawiło im nastroju. Gdy tylko wrócił, podążyli za nim do środka, cały czas biadoląc.

Koeman towarzyszył de Grootowi aż z recepcji, ostrzegając go o zagrożeniu. I przekazał mu informacje, co prawda skąpe, na temat tego, co się dzieje w Westerdok.

De Groot lubił swój gabinet. Z okna rozciągał się widok na kanał i szeroką arterię Elandsgracht aż do łodzi Vosa. Tutaj mógł myśleć. Ale nie w sytuacji, gdy jęczały mu nad uchem dwa upierdliwce ze służb specjalnych.

Wysłuchał utyskiwań Fransen, spojrzał na Koemana i rzekł:

– O co chodzi? Badamy trop. To wszystko. Nie mamy nic konkretnego. Żadnego adresu. Ani...

– Mamy nagranie rozmowy telefonicznej, gdzie w tle słychać kaczkę, pociągi i komunikat dworcowy, na miłość boską – powiedział Koeman. – Domyślamy się, że chodzi o Westerdok. Niewykluczone, że się całkowicie mylimy. Z tego, co wiemy, równie dobrze ten drań mógł wywieźć dziecko z miasta.

Fransen usiadła. Geerts też. Chyba naśladował każdy jej ruch.

– Musicie nas informować na bieżąco – powiedziała kobieta. – Już drugi raz dzisiaj Vos wyrusza w teren, nikomu nic nie mówiąc.

– Co takiego? – jęknął Koeman. – Nie mamy czasu dzwonić do was za każdym razem, jak ktoś tu pierdnie. A co z tym Alamym? Z okupem? Co zrobimy, jeśli ten drań zadzwoni jutro i poda nam termin?

– Nie będzie żadnego okupu – oznajmił stanowczo Geerts. – Już mówiliśmy. Rząd holenderski nie ustępuje pod szantażem.

De Groot czekał. Ale to był koniec wypowiedzi.

– Więc co zrobimy? – spytał.

– Grajcie na zwłokę – odparła Fransen. – Przeciągnijcie to jeszcze jeden dzień. Jutro spodziewamy się ostatecznego orzeczenia w sprawie jego apelacji. Może to zmieni postać rzeczy.

Koeman podrapał się po głowie.

– W jaki sposób? – spytał.

– Powiedzcie mu, że są problemy z załatwieniem samolotu – podsunął Geerts, ignorując pytanie. – Wyciągnijcie z niego jeszcze jeden dzień. A potem jeszcze jeden w razie potrzeby.

- A tymczasem go znajdźcie – dodała Fransen. – Jak wam idzie?  
Koeman odchylił głowę do tyłu i rzekł:  
– Staramy się.  
– Szukacie go w Westerdok? – spytała.  
– Wszędzie – odrzekł de Groot. – Jeszcze nie mamy nic do zaraportowania. Jeśli coś będzie...  
– zerknął na drzwi – przekażę.  
– Macie nam coś do przekazania? – spytał Koeman. – Cokolwiek, co by nam pomogło?  
– Gdybyśmy mieli, przekazalibyśmy – odrzekła Fransen. Nie wyglądała na gotową do wyjścia. – Gdzie jest Vos? Gdzie dokładnie?  
Koeman milczał. Komisarz też.  
– Dość. – Kiwnęła głową na detektywa. – Proszę wyjść. Muszę porozmawiać z de Grootem sam na sam.

W wąskim starym domu na Herenmarkt panował chłód. Zima nadchodziła z nocnym wiatrem, nadciągającym do miasta znad chłodnych wód IJ i morza, które je zasilają.

Zjedli posiłek podany przez Renatę: spaghetti carbonara kupione w Markt za rogiem, z gotowym sosem. Wszystko tutaj skądś pochodzi, pomyślała. Nic nie było przygotowane na miejscu. Nic nie było jej dziełem.

Ciąża była niechcianą niespodzianką, ale kiedy okazało się, że urodzi się dziewczynka, w Renacie rozbudziła się nadzieja. Razem stworzyłyby bufor dla jego silnej, wymagającej osobowości. Ale zaraz po narodzinach Saskii Henk wkroczył w jej życie. Zanim ona nawiązała więź z córką, on już zajął najlepsze miejsce. Prowadził wózek, mówił do niej, śpiewał jej. Zarezerwował ją dla siebie. Kolejna własność, która miała czekać na chwilę, gdy będzie potrzebna.

Lubił, gdy wszystko było w należyтым porządku. Zewidencjonowane. Przewidywalne. Szła więc do sklepu z organiczną żywnością z listą zakupów: właściwa żywność, nic z Chin, nic z masowej produkcji. Chociaż wszystko to koniec końców smakowało tak samo. Ta jego wybredność stanowiła kolejny sposób na kontrolowanie żony.

I krytykowania. To też było ważne. Już ją poinformował, że parmezan sprawia wrażenie przeschniętego. Starła go pieczołowicie dwa dni temu, gdy ostatnio go jedli. Trzymała w szczelnym pojemniku. Ale Henk, ze swoim świetnym, wyrobionym podniebieniem, wyczuwał stare i suche tam, gdzie ona nic nie zauważała. Więc w przyszłości będzie musiała ścierać ser na bieżąco przy każdej okazji i jak zwykle przygotuje niewłaściwą ilość, co oznacza, że on ją złąza, kiedy przyłapie ją na ukradkowym wyrzucaniu niewykorzystanych resztek do pojemnika na odpady.

Patrzyła, jak zawija makaron na widelec i łyżkę tak pieczołowicie, z precyzją i elegancją, której ona nigdy nie dorówna. Widziała, że Saskia robi to tak samo. Naśladowała go, zawsze.

Myślami powędrowała znowu do tej Gruzinki. Hanny Bublik. Na komisariacie spytała o jej nazwisko i młoda detektyw, Laura Bakker, o dziwo je podała.

Jakie życie prowadziła ta kobieta ze swoją córką? Jak smakuje bieda? Jak wielka desperacja prowadzi kobietę do tego, że siedzi nocą w takiej szklanej kabinie i usiłuje zwabić obcego mężczyznę na swoje twarde wąskie łóżko, żeby mu służyć niczym żywa maszyna? A wszystko

za mniejszą sumę niż Renata wydawała w czasie jednej wyprawy na zakupy w Marqt, gdzie musiała dopilnować, żeby Henk dostał ulubione wino, właściwy makaron, mięso z certyfikowanej fermy organicznej i sałaty tak dziwne i egzotyczne, że ciężko się było w nich dopatrzeć sałaty.

Ta kobieta i jej dziecko musiały mieszkać w jakimś piekle. Ale istniały też piekła innego rodzaju.

Popatrzyła na Henka.

– Jak znalazłeś Saskię na Leidseplein? – spytała. – Nadal nie rozumiem.

Dziewczynka westchnęła, spojrzała na swój talerz. Położyła nóż i widelec na reszcie makaronu i wstała, mówiąc, że idzie poczytać w swoim pokoju.

– Wiesz – rzekł leniwie po jej wyjściu – dawno temu pogodziłem się z faktem, że nigdy nie doczekam się podziękowań za to, co robię. Ale w tych okolicznościach niewdzięczność wydaje się jednak nieco prostacka.

– Nadal nie odnaleziono tej dziewczynki. Jeśli możemy w czymś pomóc...

– Nazywa się to umiejętność obserwacji – przerwał jej. – Powinnaś kiedyś spróbować.

– To nie w porządku – szepnęła. – Staram się, jak mogę.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

– Doceniam to.

Chwycił butelkę wina. Amarone z organicznej uprawy. Dla niej za mocne, doskonale o tym wiedział. Bardzo powoli napełnił kieliszek, zakręcił pod nosem zawartością i dopiero się napił.

– Jak rozumiem, już nie chcesz wyjeżdżać – rzekł. – Jeśli jednak się myślę, oferta jest aktualna.

Wtedy zrozumiała: on tego pragnął. Chciał się jej pozbyć z domu. Może nawet chciał, by nigdy nie wróciła. W ten sposób miałby Saskię na zawsze. Wygrałby tę wojnę nieodwołalnie.

– Zmieniłam zdanie. Zostanę i doprowadzę to do końca.

– Świetnie – rzucił bez przekonania.

– Dzisiaj rano widziałam się z twoim ojcem. To miły człowiek, Henk. Nie zasłużył na twoją nienawiść. On...

– Miły?

– Tak właśnie powiedziałam.

Wbił w nią wzrok. Widziała w jego oczach alkohol.

– Zawsze ci się wydaje, że znasz się na ludziach. – Prawie mamrotał. – A to nieprawda.

Kolejny łyk czerwonego wina.

– Dlaczego mnie nienawidzisz?

– Nie mam sił na nienawiść – odrzekł nagle zirytowany. – Nienawiść to dziecinada. Naprawdę sądzę, że po tylu latach powinnaś zdawać sobie z tego sprawę. Ale...

Zaburczał jego telefon. Wydawało się, że stanowi jego integralną część. Henk wyjął go w mgnieniu oka i już sunął palcami po ekranie, jakby znały każdy jego milimetr.

– Praca? – spytała lekkim tonem.

– Muszę wyjść na chwilę.

To była nowość.

– Wyjść? Wyjść w sensie... z domu, w realu?

Uśmiechnął się szeroko i puścił do niej oko.

– Dobrze. Na pewno nie chcesz sobie wyjechać na tydzień, dwa? Damy sobie radę. Zajmę się Sasią. Ona zajmie się mną.

– Tak mi dobrze – odparła Renata.

Sięgnął po amarone. Dwie trzecie butelki. Postawił ją przed nią.

– Zostaw mi pół kieliszka na później.

Przesunęła butelkę w jego stronę.

– Wypij wszystko – powiedziała. – Tak dla odmiany.

Łódź nie różniła się bardzo od domu Vosa, ale była zgrabniejsza, odrobinę młodsza, dużo porządniejsza. Cumowała niedaleko skrzyżowania dwóch kanałów pod linią drzew zrzucających liście na zimowy wiatr. W kabinie świeciło się światło. Za zaciągniętymi zasłonami widzieli cień krzątającej się postaci. Nagle ujrzeli drugą, mniejszą postać. I słyszeli rozmowę, choć nie rozpoznawali słów. Malutka postać zniknęła, jakby na rozkaz.

Vos postawił rower pod domem naprzeciwko. Bakker zrobiła to samo.

– Może dałoby się coś przyczepić do ścian? – rzuciła. – Mikrofony? I podsłuchać.

– Pewnie tak – odparł i ruszył nad wodę.

– Pieter! – zawołała i położyła mu dłoń na ramieniu.

Odwrócił się z uśmiechem.

– Lauro, ja mieszkam na łodzi. Wiem, jak to jest. To nie dom. Łódka znajduje się poniżej poziomu świata. Nie wyglądasz na zewnątrz. W sumie się nawet nie da. To jeden z najważniejszych powodów, dla których takie mieszkanie mi się podoba. Kojarzy mi się... z kokonem.

Długa ulica sprawiała wrażenie opustoszałej. Nikt ich nie obserwował.

– Nie wypatrują nas. Poza tym... to pewnie strata czasu.

Ruszył dalej. Bakker dołączyła do niego. Kilka kroków od trapu wyprzedziła go. Zanim Vos zdołał ją powstrzymać, wyjęła rękawiczkę, założyła ją na prawą dłoń i wyciągnęła coś z tłącego się koksownika przy schodkach łodzi.

Vos sięgnął po latarkę. Były to spalone szczątki kostiumu Zwarte Pieta. Zielone sukno, okopcone i zwęglone. Kryza. Czarna czapka.

– Ściągniemy ludzi... – zaczął Vos. I zamarł. Z łodzi dobiegł dźwięk. Tam gdzie się świeciło. Głos. Męski. Rozkazujący.

Bakker już zdążyła dobyć broni. Świeżo po treningu na strzelnicy kilka tygodni wcześniej. Była lepsza w te klocki niż on.

Otworzyły się drzwi. Jakiś mężczyzna wykrzykiwał polecenia. Wielki facet.

Vos odwrócił się i kazał jej zaczekać.

Ale ona była młoda, chętna i szybka, szybko przemknęła po trapie, z bronią w gotowości. Nic nie mogło jej zatrzymać.

Koeman zamknął drzwi za sobą. Dwóch funkcjonariuszy AIVD wpatrywało się w de Groota.



Komisarz rozparł się na krześle i potarł czarny sumiasty wąs.

Bystry, inteligentny człowiek. Łagodny dla swoich podwładnych. Nie znosił użerać się z ludźmi spoza policji. Zwłaszcza z anonimowymi agentami, którzy nigdy nie nosili munduru i nigdy nie mówili, kto pociąga za ich sznurki.

– Tak? – spytał.

– Za kilka minut dostanie pan mejl z Hagi. Minister osobiście interesuje się tą sprawą. Oczekuje szczęśliwego rozstrzygnięcia.

– To chyba jak my wszyscy? – spytał de Groot.

– Minister chce, żeby wszystko było jasno określone – wtrącił Geerts.

Ta dwójka działała jak zgodny duet. Stawali za sobą murem.

– Chyba wszystko jest jasno określone? Wy się zajmujecie bezpieczeństwem narodowym. My prowadzimy śledztwa w sprawach kryminalnych. Porwanie to przestępstwo. Znalezienie tej dziewczynki to nasze zadanie. Chcę waszej pomocy. Jeśli wiecie coś, co może nam pomóc, to słucham. Ale...

– To nie takie proste – przerwała mu Fransen z westchnieniem. – Chodzi o Ismaila Alamy’ego. O niego toczy się gra. Pomiędzy nami. Pomiędzy ludźmi z Bliskiego Wschodu, którzy domagają się jego ekstradycji. – Przerwała dla podkreślenia swoich słów. – Amerykanie też by chętnie z nim pogadali.

– W takim razie dajmy Amerykanom z nim pogadać w tej celi na Schiphol.

– Ten człowiek, gdyby chciał, mógłby nas doprowadzić do Barbonego – rzekł Geerts. – To najcenniejsze trofeum, jakie możemy w tej chwili zdobyć. Vos zdecydowanie nie powinieliście dzisiaj tam jeździć. Wiedział pan, że on jest na Schiphol?

Słaby punkt. Nie zamierzał odpowiadać.

– Tak sądziłem – powiedział agent. – To za wysokie progi dla pana, de Groot. Lepiej, żeby pan to wiedział.

– W takich okolicznościach kończą się kariery – dodała agentka. – To coś w rodzaju samobójstwa.

De Groot spojrzał na nich, pokręcił głową i roześmiał się.

– Czy wy nie chcecie, żebyśmy znaleźli tę dziewczynkę?

– Stawka jest wyższa niż życie córki prostytutki, nielegalnej imigrantki – odparła Fransen. – Nawet pan sobie nie wyobraża, o ile wyższa.

– Ma pani dzieci? – spytał.

– To nie ma związku ze sprawą – warknęła. – Mam zadanie do wykonania.

– A więc odpowiedź na moje pytanie jest twierdząca. Chcecie, żebyśmy przestali szukać.

Spojrzeni po sobie.

– Chcę znać każdy wasz krok – podjęła Fransen. – Chcę wiedzieć, co znaleźliście. Chcę wiedzieć, co planujecie. Zanim to zrobicie. A kiedy powiem, że macie nic nie robić, to macie nic nie robić.

Komisarz skrzyżował ramiona na piersi i milczał.

– Gdzie jest Vos? – spytała.

– Pieter? – uściślił de Groot pogodnie. – To najzdolniejszy mój człowiek. I najbardziej

irytujący. Bardzo trudno nad nim zapanować. Chodzi własnymi ścieżkami. Nie mówi dokąd. Nie odbiera telefonu. A potem... gdy już chcesz mu urwać łeb przy dupie... Wraca ze wszystkim, czego pragniesz, na tacy. W każdym razie tak bywa. I zamiast mu urwać łeb trzeba go wyściskać.

Westchnął długo i głęboko.

– A oto prawda na ten temat: żaden z nas się nie zmieni. Wszystko zostanie, jak było.

Mirjam Fransen patrzyła na niego wściekle.

– Obaj za to zapłacicie.

– Śmiało, proszę próbować – odrzekł de Groot. – Ale ciągle pani zapomina o jednym. Ta blokada medialna na temat porwania nie będzie trwała w nieskończoność. W pewnym momencie się skończy. Sprawa zyska rozgłos. Zostanie wszczęte wewnętrzne postępowanie. Może postępowanie sądowe, jeśli naprawdę mamy ciała. Kto to może wiedzieć...

Na twarzach agentów na chwilę zawitał niepokój. De Groot wiedział, że wygrał. Przynajmniej w tej rundzie.

– Jeśli opinia publiczna dowie się, że ryzykowaliście życiem ośmioletniej dziewczynki... Gruzinki, nielegalnej emigrantki, nieważne, nie obchodzi mnie to... jak sądzicie? Czy przejmą się waszym szerszym kontekstem? Czy może skupią się na tym konkretnie?

Nie odpowiedziała.

– Tak się tylko zastanówcie – dodał i spojrzał na drzwi. – Jak tylko dowiem się czegoś ważnego, dam wam znać.

Po ich wyjściu zadzwonił do Vosa. Zgłosiła się poczta głosowa. Następnie połączył się z centralą. Przecież mogli go wyśledzić.

Westerdok – zameldowała centrala. Coś się działo. Wezwano wsparcie.

Wysoka zwalista postać sięgała po coś. Pomimo krzyków Vosa, Bakker rzuciła się do przodu, krzycząc na mężczyznę, by padł na ziemię, na wilgotne deski łodzi.

Gdzieś z niedaleka dobiegło wycie syren radiowozów. Światła. Głosy. Tupot biegnących stóp.

Vos doskoczył do trapu, żałując, że chociaż raz go nie spytała o zdanie. Dostrzegł twarz mężczyzny, którym zajmowała się Bakker. Wąs. Jakieś pięćdziesiąt lat. Przerazony w ciemności.

Coś mu się wyśliznęło z palców i wpadło do czarnej wody. Kilka kaczek zakwakało gniewnie.

Vos odniósł wrażenie, że to telefon, ale nie miał pewności.

Dopał luku i wszedł do środka. Światła były włączone, wszędzie panował porządek. Po prawej zauważył niewielkie drzwi, chyba do jakiejś kabiny na dziobie. Wisiała na nich ciężka kłódka, odpięta. Wyglądała na nową.

Na rufie łodzi stała drobniutka Azjatka w różowej kurtce sprzątaczkii. Trzymała odkurzacz i ściereczkę do kurzu i wpatrywała się w niego co najmniej wściekła.

– Jest tu dziewczynka? – spytał, choć znał już odpowiedź.

– Żadna dziewczynka – odparła zdumiona. – Kto pan jest? Co pan robi? Co tak wpada? Pan Smits... on będzie bardzo zły.

Vos się rozejrzył. Musiała tu sprzątać od jakiegoś czasu. Wszystko było nieskazitelne. Mimowolnie zadał sobie pytanie, co zniknęło pod jej polerką i ścierką. Pokazał kobiecie odznakę

i poprosił, by wyszła na zewnątrz, po czym ruszył w ślad za nią. Wielki chłop z wąsem siedział już na pokładzie i jęczał głośno. Był tam też Van der Berg i kilku mundurowych.

Zabrali Smitsa z nabrzeża, wsadzili do radiowozu. Był to ślamazarny osobnik z okazałym mięśniem piwnym, zachowywał się burkliwie. Wydawało się, że wszystko jest jasne. Do niego należała krypa, mieszkał za rogiem. Godzinę wcześniej przechodził obok i zauważył, że w środku nikogo nie ma. Gdy wszedł na pokład, stwierdził, że ludzie, którzy ją wynajęli trzy dni wcześniej na tydzień, zniknęli. Wpuścili ich ludzie z agencji. On sam w ogóle nie widział ich. Ale najwyraźniej się wynieśli.

– Czasami ludzie wyjeżdżają przed czasem – dodał Smits. – Nie podoba im się okolica albo łódka, czy cokolwiek. Widziałem, że jest pusta. Więc zadzwoniłem po sprzątaczkę. Może rano damy radę wynająć ją jako last minute.

Ruchem ręki wskazał Bakker.

– A potem zobaczyłem tę wariatkę, jak mierzy mi w twarz z pistoletu.

– Jest pan właścicielem – odpyskowała mu. – Powinien pan znać dane wynajmujących. Przede wszystkim zrobić ksero ich paszportów. Ma pan jakieś ich dokumenty?

Wzruszył ramionami.

– Byłem zajęty. To wynajem tylko na tydzień. Nie prosili o rachunek ani nic.

– Proszę nam ich opisać – zażądała.

– Spytajcie w agencji. Mówiłem już. Oni ich wpuszczali. Ja ich na oczy nie widziałem.

Vos polecił Van der Bergowi, by otoczono kordonem okolicę i zaczęto chodzić od domu do domu, pytając, czy ktoś widział ludzi korzystających z tej łodzi. Następnie kazał ściągnąć techników, by poszukali ewentualnych śladów.

Potem wszedł znowu do środka. Bakker za nim. W rękawiczkach otworzyli drzwi do małej kabiny na dziobie i zajrzeli do środka.

Ciemna boazeria. Taka sama, jaką widzieli w telefonie.

– Tutaj ją trzymali – powiedziała Bakker. – Dlaczego się wynieśli?

– Może cały czas mieli taki plan. – Vos próbował myśleć tak jak oni. Niektóre poczynania wydawały się oczywiste. – Wiedzą, że to może potrwać kilka dni. Mają mety w całym mieście. – Spojrzał na nią. – Ty byś tak nie zrobiła?

Przypadkowa myśl.

– Mogą się przemieszczać tylko po ciemku. Za dnia za dużo by ryzykowali. Jedź na Marnixstraat i zobacz, czy coś się znajdzie w monitoringu miejskim.

Nie słuchała go. Patrzyła na coś w małej kabine. Jakiś napis na zaporowanej szybie bulaja.

Schyliła się w progu niskiego wejścia i weszła przyjrzeć się uważniej. W środku pachniało środkiem dezynfekującym z przenośnej toalety w rogu i stęchlą wodą oraz ropą z zewnątrz.

Vos dołączył do niej. Pośród kropel wody na szkle widniały trzy słowa. „Mamo. Kocham cię”.

Bakker zaklęła i wypadła do głównej kabiny, łomocząc butami w pokład.

Pół godziny czekali, patrząc, jak zbiera się ekipa. Vos kazał Van der Bergowi jechać do domu i przespać się. Do Bakker musiał to powiedzieć dwa razy, zanim posłuchała.

Następnie usiadł na masce jednego z radiowozów i patrzył, jak ludzie pracują. Miną może

i całe dnie, zanim uda im się znaleźć jakikolwiek ślad DNA. Spalony kostium Zwarte Pieta może nigdy nie wyjawiać żadnego sekretu. Z agencji wynajmu też nic nie uzyskali. Jedyne, co mieli, to tymczasowy adres mejlowy, z którego pisał rezerwujący.

Gdyby namierzyli tę łódź wcześniej, może by znaleźli dziewczynkę. Zadzwoił do de Groota i zapoznał go z sytuacją. Komisarz sprawiał wrażenie przygnębionego, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale nie mógł.

– Musimy zachować ostrożność, Pieter – rzekł w końcu. – Ten Alamy komplikuje sytuację. AIVD pociąga za sznurki za moimi plecami. Patrzą nam na ręce.

– A ośmioletnia dziewczyna ma dla nich jakieś znaczenie? – spytał Vos.

– Znaczenie ma dla nich ten imam. Może w tej sprawie jest coś więcej, może nie wszystko wiemy. Idź do domu. Prześpij się. Pogadamy rano i zobaczymy, na czym stoimy. I informuj mnie na bieżąco. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Vos zgodził się i zakończył rozmowę. Następnie oddał pożyczony rower i ruszył na długi spacer do domu w Jordaan, mijając dom Kuyperów na Herenmarkt.

Przechodził przez Noordermarkt, mijając niską sylwetkę tamtejszego kościoła, gdy zadzwonił telefon Renaty Kuyper. W restauracjach było pełno. Para zakochanych szła przytulona brukowanym chodnikiem nad kanałem. Miasto podniosło się już po wczorajszym koszarze, nie wiedząc o jego spuściznie.

Vos usiadł na ławce pod zdobną latarnią i odebrał.

– Tak?

– Mówiłem: żadnych numerów. Więc co robisz w Westerdok?

Namiar już na pewno zaczął nagrywać, szukając jakichś wskazówek w tle. Ale Vos nie słyszał kompletnie nic. Może zrobili się ostrożniejsi.

– Zaginęła dziewczynka. Spodziewasz się, że policja będzie całymi dniami siedzieć i nic nie robić?

– Spodziewam się, że uwolnicie mojego brata. I dacie mi pieniądze.

– Kiedy? – spytał Vos i zastanowił się: skąd on wie, gdzie jesteście? Jakim cudem dowiedział się tak szybko? Czy to możliwe, że odgadli, że policja jest w drodze?

– Kiedy ci powiem.

– Nic jej nie jest? – spytał. – Mogę z nią rozmawiać?

– Mała nie ma pojęcia, kim jesteś. Co to da?

– Mógłbym powiedzieć jej matce. Wiesz, kim ona jest. Imigrantką. Jedną z wielu. Bez dokumentów. Bez pieniędzy. A ty zabrałeś...

– Nie wzruszaj mnie do łez, Vos – przerwał mu mężczyzna ze śmiechem. – Jestem wrażliwy.

– Jutro...

– Jutro do ciebie zadzwonię. Na ten numer. Po południu. Uzgodnimy, co i jak. Jeśli znowu spróbujesz nas ścigać, wszystkie ustalenia, wszystkie obietnice możesz uznać za niebyłe. To jest porządne dziecko. Jeśli ją zawiedziesz, będziesz miał naprawdę powód do wstydu.

Rozłączył się. Zakochani całowali się, objęci, ich cienie padały na migoczącą powierzchnię kanału. Zimowy wiatr sunął swoim lodowatym oddechem po Amsterdamie. Vos wiedział, że gdzieś tam małe, uparte dziecko siedzi uwięzione, słucha, myśli, zastanawia się.

A on nie mógł dla niej kompletnie nic zrobić.

Dwadzieścia minut później dotarł do Drie Vaten. Ktoś z Marnixstraat doprowadził Sama do baru. Piesek go powitał, wywijając ogonem. Świetliste oczy, chociaż minęła dwudziesta trzecia. Ani się obejrzał na Sofię Albers, która go nakarmiła i wyprowadziła, znowu się o niego troszcząc.

Podobnie jak jego właściciel, pomyślał Vos. Uśmiechnął się, podziękował, zamówił piwo i kanapkę na ciepło, następnie zajął stolik przy oknie i wyjrzał na kanał. Na jego łodzi nie świeciły się żadne światła. Dopadły go wspomnienia o wydarzeniach z wiosny tego roku, gdy jego córka wróciła wreszcie z innego świata i on w pewnym sensie też. Koniec końców ją uratował. Teraz Anneliese mieszkała z matką na drugiej półkuli, ciesząc się karaibskim słońcem, i nie garnała się do powrotu do świata koszmaru, który rozdarł jej rodzinę na części. Kiedy ją znalazł, poczuł prawdziwą ulgę, ale teraz zawsze trochę przygłuszoną dotkliwym poczuciem utraty.

– Mam go jutro popilnować? – spytała Sofia, gdy podeszła z kanapką.

– Jeśli możesz. Jak twoja matka?

Wzruszyła ramionami.

– Starzeje się. Jak my wszyscy, co? – Spojrzała za okna na zasypiające miasto. – Wiem, że nie mogę pytać. Ale... te zajścia na Leidseplein... to już zamknięta sprawa?

Uśmiechnął się i milczał.

– Pewnie tak brzmi odpowiedź – dodała ze wzruszeniem ramion. – Mogę dołączyć...?

Postać w drzwiach. Vos spojrzał. Stała tam Hanna Bublik. Przyjechała do Westerdok na przeszukiwaną łódź. Jeden z mundurowych poinformował ją, gdzie znaleźć Vosa. To nie była żadna tajemnica.

– Zostawię was – powiedziała Sofia, gdy Gruzinka zamówiła kawę i usiadła naprzeciwko detektywa.

Była wściekła. I słusznie. Zaczekał więc, aż wyleje tę wściekłość na niego, wysłuchał, kiwał głową, starał się wyjaśnić. Bo jakieś wyjaśnienie dało się znaleźć. To było porwanie precyzyjnie zaplanowane. Zwarte Pieten może i zgarnęli niewłaściwą dziewczynkę, ale wiedzieli, czego chcą i jak to osiągnąć. Niektóre aspekty sprawy nadal nie dawały mu spokoju. W żądaniu okupu coś mu się nie zgadzało.

Ale matka Natalii o żadnej z tych rzeczy nie wiedziała ani się nimi nie przejmowała. Widziała jedynie porażkę. Policja ustaliła, gdzie jest jej córka i przybyła na miejsce za późno. A gdy już tam dotarła, opieczętowała łódź i nie wpuściła jej na pokład, by zobaczyła, w jakich warunkach więziono Natalię. Jej zdaniem było to niepotrzebne i okrutne.

– Musimy przeszukać tę łódź – powiedział, gdy już dopuściła go do głosu. – Niewykluczone, że znajdziemy jakieś odciski palców, DNA... jakieś inne materiały, które pomogą nam w poszukiwaniach. To precyzyjna praca. Nawet ja nie mogę się tam w tym czasie kręcić. Ale...

Wyjął telefon i wyświetlił zdjęcie napisu, który Natalia zostawiła na szybie.

– Pewnie zamierzają przenosić ją często, dopóki jej nie uwolnimy. Zawsze nocą, jak sądzę. Natalia zostawiła nam to.

Spojrzała na zdjęcie, poruszona starannym napisem na parze.

Ta kobieta nie płacze za często, pomyślał. Ale w tej chwili była bliska łez.

– Pani córka musi być bystrą dziewczynką. Myśli o pani. Pewnie zastanawia się, jak uciec.

– Ucieknie.

Z rozmowy uleciało napięcie. Wypiła kawę, zgodziła się, gdy Vos zaproponował, by coś zjadła. Pojawiły się dwie kolejne kanapki na ciepło. Żałował, że Drie Vaten nie ma nic więcej do zaproponowania.

– Dlaczego się pan tak przejmuje? – spytała.

– Bo to moja praca.

– Chodzi o coś więcej. Kobieta na komisariacie mi powiedziała. O pańskiej córce. Jak pan teraz mieszka. Na wodzie. Sam.

Spojrzał za okno na swoją łódź. Nad chodnik wystawało niewiele – pokład z donicami wysychających kwiatów, marnych warzyw i wyprężona postać plastikowej baletnicy. Opowiedział Hannie, jak jego córka Anneliese zaginęła, a potem została odnaleziona, po prawie trzech latach. Żywa, ale zdruzgotana. Tak bardzo, że teraz cały czas mieszkała z matką daleko, na Karaibach. I pewnie nie wróci. W każdym razie nieprędko.

Gdy jej to wszystko opowiadał, mały Sam położył łapy na butach swojego pana i oparł się o prawą nogę, tak jak zawsze, gdy wyczuwał, że dzieje się coś niedobrego.

Sofia podeszła z talerzem wątrobianki, a Sam, gdy wyczuł mięso, wyskoczył spod stołu, szarpnął w jego kierunku, napiął smycz, szczeknął wysoko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Hanna Bublik przez chwilę wydawała się ubawiona. A pies tylko jeszcze raz szczeknął.

– Sam! – skarcił go Vos. – Zachowuj się przyzwoicie.

Kolejne szczeknięcie.

– On chce jeść – zauważyła.

Sam zaszczeakał jak na potwierdzenie. Vos dał mu kawałek kiełbasy. Pies wziął ów kęs bardzo delikatnie, zjadł go, zastanowił się, czy szczeknięciem zażądać następnego, ale rozmyślił się i zwinął u ich stóp.

– Ma pan teraz tylko jego? – spytała. – Skoro pańska córka jest na drugim końcu świata?

– Nie. Mam swoją pracę. Przyjaciół. – Ruchem głowy wskazał kanał za oknem. – Dom.

Sam zaczął chrapać.

– Ale człowiek dużo się uczy od psa – dodał.

– Czego na przykład?

– Na przykład... – Jeszcze nigdy się nad tym mocno nie zastanawiał. – Na przykład... Sam nigdy się nie ogląda za siebie. Czasami na łódce... dochodzi do różnych wypadków. A wtedy on zwiesza głowę. Jest zawstydzony. Ja się trochę złoścę. A po pięciu minutach jest po sprawie. Liczy się tylko teraz i to, co zaraz nadejdzie.

– To musi być łatwe, jeśli jesteś psem – zauważyła.

– Nigdy nie myśli o tym, że jest mały – ciągnął Vos. – Przy naszej ulicy mieszka dog niemiecki. Wielki. Strasznie się boi Sama. Za każdym razem gdy się spotykają, Sam atakuje go. Nie obchodzi go, że tamten jest trzykrotnie od niego większy. Sam w swoich oczach jest najlepszy. On rządzi. I tylko to się liczy.

– Tak jak pan? – spytała Hanna.

– Czasami. Kiedy muszę. – Jeszcze nie skończył. – A wie pani, jaką najważniejszą lekcję mu zawdzięczam? To terier. Widziała pani. Kiedy czegoś chce, nigdy się nie poddaje. Szczeka. Nie odstępuje. Doprasza się i doprasza, aż dostaje, czego chce. Nieważne jak ciężko, jak beznadziejnie wygląda sprawa. Taki jest Sam.

Sięgnął pod stół, poklepał po głowie śpiącego psa, a ten warknął w odpowiedzi.

– Mądrała – powiedziała.

– Nie do końca. Jest po prostu bystry wtedy, kiedy musi.

– To mądre, prawda?

Wyciągnęła torebkę, żeby zapłacić. Gmerała w środku. Na podłogę wypadły monety. Widział dokładnie, że w jej portfelu znajduje się wyłącznie banknot o nominale dwadzieścia euro.

– Ja stawiam – powiedział.

– Zapłacę za siebie.

– Pani Hanno! – Jej upór mógł doprowadzić do furii. – Ja zapłacę.

Wyjął cztery banknoty po pięćdziesiąt euro i położył jej na torebce. Zamknęła na chwilę oczy, a potem spojrzała na niego groźnie.

– Mam pieniądze.

– Może je pani po prostu wziąć? Nie chcę, żeby pani pracowała w obecnej sytuacji. Może będę pani potrzebował w trybie pilnym.

Nie tknęła banknotów.

– Jezu – szepnęła. – Chyba głupieję na starość. Chciałam panu przecież coś powiedzieć. Widziałam dzisiaj mężczyznę pod komisariatem. Z tą elegancką kobietą i nadętą córeczką.

– Z Renatą Kuyper?

– Kim jest ten mężczyzna?

– To jej mąż. A czemu pani pyta?

Skrzywiła się.

– Myślałam tylko o Natalii. Że może ją znajdziecie.

– O co chodzi?

Westchnęła.

– Może się pomyliłam...

– Zna go pani?

– Był u mnie. Jakies dwa tygodnie temu albo tydzień. Standardowe dwadzieścia minut.

Vos odchylił się na chybotliwym krześle.

– Chwileczkę... Spała pani z Henkiem Kuyperem?

– Jeśli tak się nazywa. Wrócił po czterech, pięciu dniach. To taki z gatunku marudnych. Ja tylko słucham. Nie za bardzo się wsłuchuję. Powiedział, że widział mnie z córką na ulicy. Podobało mu się, że mam rodzinę. W jego rodzinie nie za bardzo się układa.

Sięgnęła po jego piwo i napiła się.

– Zdziwiłby się pan, ilu mężczyzn mi opowiada, że ich żony są takie dobre, że ich do mnie przysyłają.

– Pamięta pani coś jeszcze?

– Pamiętam, że sprawiał wrażenie, jakby się użalał nad sobą. Jakby miał poczucie winy. Jakby wcale tam nie chciał być. To nic niezwykłego. Naprawdę. Problem w tym...

Na chwilę mocno zacisnęła powieki, jakby to wspomnienie ją zabolalo.

– Za drugim razem coś zostawił. Powiedział, że kupił to dla swojej córeczki, ale przez pomyłkę wybrał zły rozmiar. I że gdybym chciała, może mi to dać.

Vos poruszył się na krześle. Pies wstał i wpatrywał się w ich dwoje.

– Kurtka... – powiedział detektyw.

– Nie pomyślałby pan, że mnie stać na coś takiego, prawda? Wróciłam na Marnixstraat, żeby pana o tym poinformować, ale powiedzieli, że pan wyszedł. A potem wydarzyło się to wszystko z łodzią. Ta sprawa wydawała mi się nieważna.

– Musimy zrobić identyfikację. Na jutro ściągniemy Kuypera.

Przechyliła głowę.

– Jak pan chce. Myśli pan, że zwracam uwagę na ich twarze? Myślę, że to był on. Dzisiaj tylko na niego zerknęłam.

Wyjęła banknoty z portfela i rzuciła je na stół.

– I nie potrzebuję tego.

Położył rękę na jej dłoni i zatrzymał ją. Z bliska jej twarz traciła twardość. Wyglądała na wyczerpaną. Ale nie na pokonaną.

– Gdy mężczyźni dają mi pieniądze, to zwykle czegoś chcą.

– Ja już coś mam, prawda? – odrzekł. – Mam powód, żeby znowu pogadać z Kuyperem.

Zrzuciła mu pieniądze na kolana.

– Niech pan znajdzie moją córkę, panie Vos. Nic więcej od pana nie chcę.

– A jak już ją znajdę? Co wtedy?

Jej twarz znowu stężała.

– Wtedy dalej będę walczyła o utrzymywanie się przy życiu. A co miałabym robić?

– Uprawiając nierząd?

– Proszę tak tego nie nazywać. Jestem kurwą.

– Można z tym skończyć.

– To Natalia potrzebuje ocalenia, nie ja. – Wsadziła do torebki portmonetkę z nędzną zawartością. – Proszę jutro dzwonić, o której pan chce.

I wyszła, samotna postać podążająca przez zimną noc w stronę swojego mieszkania na Oude Nieuwstraat. Do stolika podeszła Sofia Albers, posprzątała i powiedziała Vosowi, że czas się zbierać.

Pieter Vos wziął Sama, wyszedł przed knajpę i zadzwonił do nocnej zmiany. Dowodził nią Rijnder. Porządny facet. Sprawdził Henka Kuypera. Gdy rozmawiali, mały piesek poniuchał w powietrzu i szarpnął za smycz, jak zawsze na coś polując. Jak zawsze ciekawski.

„Nie oglądaj się za siebie. Nie myśl, że jesteś mały albo się nie licysz. A przede wszystkim: nigdy się nie poddawaj”.

Trzy dobre lekcje, które przyswoił w zasadzie niepostrzeżenie.

– Chodź, Sam. – Schylił się i pogłaskał szorstkie futro, po czym przeszli przez trap na



zniszczoną łódź z jej łuszczącą się farbą, usychającymi roślinami i srebrną baletnicą mieniącą się w świetle księżyca. – Czas do łóżka.

W skrzynce znalazł kolejne napomnienie od władz miejskich, że powinien łódź uporządkować, bo w przeciwnym razie spotkają go konsekwencje prawne.

– Nie teraz – burknął i wrzucił przesyłkę do wody.

Hanna Bublik przespała całą noc, ani razu się nie obudziła, więc gdy ostre zimowe słońce wlało się przez marne zasłony okna pod dachem i przyniosło ze sobą ponury świat, tym boleśniej dopadło ją poczucie winy.

Wyczerpanie fizyczne i nerwowe zbierało swoje żniwo. Intrygujący, ale enigmatyczny policjant Vos wprowadził ją w zakłopotanie. Czy wiedział lub podejrzewał więcej, niż mówił? Czy ludzie na Marnixstraat krążyli po omacku tak jak ona?

Klnąc pod nosem, wyszła z łóżka i od razu sprawdziła telefon. Migąła dioda wiadomości. Nawet sygnał jej nie obudził. Połączyła się z pocztą głosową: Vos – jego głos brzmiał przyjaźnie, zdecydowanie i niekonkretnie. Nie mieli więcej wiadomości od porywacza. Technicy nadal przeszukiwali łódź w Westerdok. Chciał, żeby się zastanowiła, czy to naprawdę Henk Kuyper był jej klientem. Musieli się upewnić, zanim do niego uderzą.

Czy mogła im dać tę pewność? Myślała nad tym, wykonując codzienne czynności, tak dziwne bez Natalii, mycie, ubieranie się w te same czarne dżinsy, koszulę i sweter. Samotne, niezależne życie, które wybrała, mogła przetrwać tylko w jeden sposób. Musiała bowiem wypracować absolutny rozdział dwóch części swojego istnienia: kobiety z kabiny i kochającej matki. Pierwsza była robotem, nieczułym, obojętnym. Druga najczulszym rodzicem. Do pracy musiała więc się całkowicie zmieniać. prostytutka, która co wieczór zdejmując satynowy stanik i majtki, kładzie się, obraca, klęka, spełnia życzenia klientów, nigdy nie spotyka się z kobietą bez makijażu, która chodzi po mieście, zajmuje się szkołą i lekarzem, stara się, by Natalia miała najlepsze dzieciństwo, jakie mama może jej zapewnić.

Nie była do końca szczerą z Vosem, gdy powiedziała, że nigdy nie patrzy na ich twarze. To tylko z pozoru jest takie proste. Kiedy pracowała, myślami zwykle gdzieś ulatywała, zostawiając ciało pamięć mięśniową, nawyki, sztuczki, przyzwyczajenia. Liczyło się tylko to, by zadowolić tę powolną procesję mężczyzn. Bo to oznaczało większy zarobek. Na tyle duży, by przy odrobinie szczęścia pójść wcześniej do domu. Kobieta w kabinie skupiała się wyłącznie na fizyczności. Dotknąć skóry, przyjąć pozycję. Na komendę pisnąć czy mruknąć, jak upadła aktorka.

A potem mężczyzna dochodził. Jak najszybciej, ale nie tak wcześnie, by wzbudziło to jego gniew. Co nie zawsze było łatwe.

Patrzyła na ich twarze, bo z nich dowiadywała się, kiedy ich czas dobiega końca. Nic poza tym. Nie widziała w nich natomiast osoby. Tożsamości, którą mogłaby sobie przypomnieć. Cienia relacji, którą można by zbudować.

Mężczyznę, którego widziała wczoraj z bogatą matką holenderskiej dziewczynki, znała. To on przyszedł do niej dwukrotnie i za drugim razem zostawił różową kurtkę, która przez splot niepojętych dla nikogo okoliczności pozbawiła ją córki.

Ciężar nękający jej sumienie tylko się zwiększył. Nieustannie, bez chwili przerwy roztrząsała scenariusze.

A gdyby Natalia miała na sobie co innego? Albo gdyby poszły zobaczyć Sinterklaasa w innym

miejscu, a potem ruszyły gdzieś na pizzę? Ta cała sekwencja ponurych wydarzeń zdawała się opierać na szeregu zbiegów okoliczności, niekorzystnych przypadków, a wszystko pod jej całkowitą kontrolą. Bo ona była rodzicem. Jedynym rodzicem. To na niej spoczywała odpowiedzialność, by podjąć właściwą decyzję. Jej wina, jeśli się nie powiodło.

Nie należała do kobiet wyrozumiałych. Do tego zmusiła ją przeszłość. Ale jeśli ktoś zawinił, wiedziała kto. Ona. W chwili, gdy Natalia jej potrzebowała, zrealizował się jej największy koszmar: okazało się, że jest złą matką. Najgorszą.

Z tą goryczą zatruwającą umysł zeszała na dół, szykując się do kolejnej wyprawy na Marnixstraat.

W holu natknęła się na Chantal. Wyglądała jak zawsze głupio w swoich tandetnych ciuchach, gotowa do tej jakiejś roboty, którą jej znalazł Turek.

Też miała poczucie winy, w jej ciemnych, niespokojnych oczach błysnęła niepewność.

– Miałaś wiadomości o Natty?

– Ona ma na imię Natalia – warknęła Hanna odruchowo.

Chantal patrzyła na nią wstrząśnięta.

– Przepraszam.

– Nie. Nie miałam żadnych wiadomości.

– Może Cem ci pomoże?

– Już mówiłaś.

Jeszcze nie koniec.

– O co chodzi? – spytała Hanna.

– Widziałam się wieczorem z Jerrym. Podnosi czynsz.

Jerry był przykrywką dla nieznanego właściciela budynku. To na pewno. Miał wyraz twarzy człowieka, który nieustannie musi się oglądać za siebie.

– Ile?

– Dla ciebie sześćset.

– Płacę czterysta pięćdziesiąt! Obiecał, że to się nie zmieni przez rok.

Dziewczyna znowu wzruszyła ramionami.

– Pogadaj z Jerrym, nie ze mną. Obiecałam, że ci to przekazę.

– A ty?

Przyparta do muru, Chantal obejrzała się na drzwi.

– Ja tyle samo. – Jej pokój był dwa razy większy, miał większe okno. – Mówi, że to się datuje wstecz. Już za ten tydzień chce dopłatę.

– Szkoda, że pozwala się włamywać do pokoju i kraść moje pieniądze.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

– Ja tyle samo – powtórzyła.

– Ty masz czym zapłacić, ja nie.

– Pogadaj z Cemem! Już ci mówiłam!

Hanna podeszła do niej i uśmiechnęła się. Nie był to miły uśmiech.

– Wiesz, co w mojej ojczyźnie robi się złodziejom?

Cisza.

Podniosła prawą rękę Chantal, delikatną, oliwkową.

– Odcinamy im palce. Jeden po drugim.

– Ja próbuję ci pomóc, Hanno. Nie wiem, kurwa, po co sobie zawracam głowę.

– Bo ktoś ci kazał? Czy to Cem wziął moje pieniądze? I to mieszkanie należy do niego?

Strach. Zawsze tam był, jakkolwiek usilnie ta mała idiotka próbowała go ukryć.

Zrobiła dokładnie to, co robią dzieci, kiedy się je przyłapie. Zaczęła płakać.

Oto odpowiedź, pomyślała Hanna. Innej już nie trzeba.

Cem Yilmaz chciał widzieć jej nazwisko na swojej liście i ani myślał rezygnować.

– Przekaż mu, że dostanie swoje pieniądze – powiedziała. – Gdy tylko je zarobię.

– Każda kobieta ma jakiegoś właściciela! – krzyknęła Chantal, łkając. – Ty się niczym ode mnie nie różnisz.

Hanna uderzyła ją w twarz. Mocno. I od razu tego pożałowała.

Wyszła na ulicę i zamrugała powiekami oślepią jaskrawym światłem. Teraz jej z kolei popłynęły łzy. Starła je i ruszyła wąską brukowaną uliczką, minęła kabiny, szukając najlepszej. Już za chwilę będzie się uśmiechać do przechodniów, kiwać palcem przyzywająco. Poranni klienci należeli do rzadkości i zazwyczaj się targowali. Ale zawsze to były jakieś pieniądze.

Kabina, której szukała, stała pusta. Pustką świeciła też ulica. Przed wejściem zadzwoniła do Vosa. To była krótka rozmowa.

– Na pewno? – spytał.

– Mówiłam. On był inny. Smutny. Jakby to wszystko wzbudzało w nim poczucie winy. No i normalnie klienci nie zostawiają prezentów dla dzieci. I jeszcze coś sobie przypomniałam...

Czekał.

– Kiedy zostawił mi kurtkę, spytał mnie o niedzielę i o Sinterklaasa. Co będziemy robić.

– I?

– Chyba mu powiedziałam, że będziemy tam jak wszyscy. Na Leidseplein. Chyba...

Po chwili wahania spytał:

– Powiedziała mu pani, że Natalia będzie miała na sobie tę kurtkę?

Hanna zastanawiała się chwilę.

– Może. Nie pamiętam. Chyba oczywiste, że będzie ją mieć na sobie, prawda? To najładniejsze ubranie, jakie miała w życiu. Szczerze mówiąc, za bardzo nie przykładałam się do tej rozmowy. Skończyliśmy swoje sprawy. Chciałam, żeby wyszedł.

– Dziękuję – powiedział Vos. – To wystarczy. Zadzwonię, gdy tylko się czegoś dowiem. Gdzie pani będzie?

Spojrzała na wysokie okno. Czerwone szkło. Taboret i wąskie łóżko w rogu obok maleńkiego prysznicza, umywalki i toalety. Gdyby wczoraj wzięła od Vosa pieniądze, może by tego uniknęła. Ale za późno. Jerry żądał pieniędzy, których jej brakowało. A poza tym przebywanie tutaj miało w sobie coś kuszącego. Jakby mogła się zatracić za tą szybą. Samolubna ucieczka przez poczuciem niemocy, które dopadało ją na zewnątrz.

– W pobliżu – odparła i rozłączyła się.

Vos wstał o szóstej z minutami, pogadał z Marnixstraat, zapoznał się z owocami pracy nocnej zmiany. Nie trwało to długo. Następnie sprawdził, jakie informacje mają o Henku Kuyperze i zadzwonił do dwóch osób: do matki zaginionej dziewczynki i do Laury Bakker. Poprosił, by zjadła z nim śniadanie w Drie Vaten.

Kiedy dotarła na miejsce, on zajmował z Samem ulubione miejsce na podeście w głębi. Wycucie stylu Bakker najwyraźniej znajdowało się w regresie. Miała na sobie zielone spodnie w kratę, brązową kurtkę i czarne ciężkie buty. Weszła pewnym, ciężkim krokiem, rozejrzała się i powiedziała:

– Zawsze wyglądasz, jakbyś tu mieszkał.

Mały terier podbiegł, wymachując ogonem, i oparł łapy na jej kolanach. Nigdy nie zakazała mu tego robić, więc Vos też nie ingerował.

Kawa i croissanty pojawiły się same.

– To naprawdę konieczne? – spytała, gdy zostali we dwójkę.

– Od kiedy jesteś na Marnixstraat?

Pokręciła głową, odgarnęła rude włosy, kiedy ją zdenerwowały, związała gumką w luźny, niestaranny kucyk.

– Od ośmiu miesięcy. Dziewięciu.

– I nie brałaś urlopu.

Okruchy croissanta posypały się dokoła, gdy prychnęła na te słowa.

– Poważnie, Lauro. Niedobrze pracować cały czas bez przerwy. Może pojedziesz na tydzień do Dokkum? Na pewno ciocia...

– W tej chwili? – przerwała mu. – Dokładnie w tym momencie?

Kiwnął głową.

– Myślę, że to dobry pomysł. Ta sprawa jest bardzo stresująca. Zauważyłem, że cię wykańcza.

– Co?!

Sam usłyszał początki kłótni, wstał i wyszedł z baru.

– Ja tylko mówię...

– Co zrobiłam źle? Słucham. Chcę wiedzieć.

– Nic konkretnego...

– A więc coś niekonkretnego? Nie chcesz mnie tu, tak?

Upił łyk kawy.

– Możesz dzisiaj zadzwonić, że jesteś chora. Od jutra załatwię ci urlop...

– Pieter! O co chodzi?

– O nic. Ja tylko...

– Nie będę brała zwolnienia. Nie wezmę urlopu. Jeśli chcesz się mnie pozbyć z zespołu, musisz mi to powiedzieć wprost. – Podniosła filiżankę w toaście. – Masz takie prawo, ale chcę poznać powód.

– Jesteś młoda – rzekł. – Masz przed sobą karierę. A takie sprawy jak ta łamią karierę.

– Chcesz, żebym zostawiła sprawę porwania dziewczynki, bo to może zaszkodzić mojej

przyszłości zawodowej?

– Mniej więcej.

– Nie. Powiedz mi, proszę.

Czasami była za bystra. Na własną niekorzyść. Zbyt krytykancka i nieugięta. On też kiedyś taki był. To doświadczenie go zmieniło.

Więc jej powiedział.

Słuchała uważnie.

– AIVD – skwitowała, gdy skończył. – To oznacza głęboką wodę?

– Bezdenną.

– I ściągamy Kuypera na Marnixstraat? Mogę przy tym być?

Młodzi zawsze myślą prostolinijnie. Między innymi dlatego łatwo sobie przysparzają kłopotów.

Pies zadowolony zajął się Sofią Albers i próbował właśnie wysepścić ser od jednego ze stałych klientów, który przed chwilą wszedł do baru. Wypadki na Leidseplein sprzed dwóch dni jeszcze nie odeszły w zapomnienie. Wciąż przetaczały się przez gazety. Ludzie rozmawiali o szoku i gniewie. Ale to wydarzenie należało już do przeszłości, miasto miało je za sobą. Wciąż obowiązywała blokada medialna AIVD. Nikt nie wiedział o porwaniu małej dziewczynki, której uwolnienie zależało od jednego z trzech czynników: umiejętności śledczych policji, uwolnienia domniemanego terrorysty z aresztu i zapłacenia nieokreślonego okupu.

Gdyby ludzie o tym wiedzieli, już na pewno prowadzono by zbiórkę publiczną na ten ostatni cel – i zebrano by odpowiednią sumę w ciągu kilku godzin. Amsterdamczycy tacy już są.

– Proszę – szepnęła Bakker pokornie. – Musisz mi powiedzieć, co mam robić.

– Już ci powiedziałem, a ty odmówiłaś.

Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła. Czekala.

– Bierz rower. Jedziemy spotkać się z Kuyperami.

– Jedziemy?

– Liczy się lokalizacja, Lauro. Jeśli ściągniemy Henka Kuypera na komisariat, przyjdzie czujny. Przygotowany. Będzie wiedział, co mówić.

– Więc zaskoczmy go w domu – dodała, kiwając głową. Wstała. – Powiesz o tym tej kobiecie z AIVD? Jeśli on kiedyś służył u nich...

– Nie sądzisz, że to trochę przedwcześnie? Później... Jeszcze się złoścą za wczorajszy wieczór.

Roześmiała się.

– Co cię obchodzi moja kariera? Swoją najwyraźniej się nie przejmujesz.

Podszedł do baru zapłacić. Pogłaskał psa. Nie musiał prosić, by Sofia się nim zajęła.

Na dworze, w jasnym słońcu, zerkając na zniszczoną łódź z uschłymi roślinkami, oknami poklejonymi taśmą, psimi zabawkami i srebrną baletnicą na pokładzie, Vos rzekł:

– Zawsze mogę wrócić do tego, czym byłem. Nie miałbym nic przeciwko. – Wzruszył ramionami. – Może tak bym wolał.

– Nieprawda, wcale byś nie wolał.

– A ty? – spytał pogodnie. – Co ty byś robiła?

Na pociągłej bladej twarzy pojawił się znajomy wyraz – niby groźny, a trochę ubawiony. Laura Bakker wsiadła na rower. Ładną nówkę, którą sobie kupiła, gdy dostała etat na Marnixstraat. Czarna holenderska damka marki Batavus, staromodna i z wysoką kierownicą, dzięki której mogła siedzieć wyprostowana, z głową wysoko uniesioną, wystawioną na wiatr.

– Co by mi się podobało – odparła i ruszyła wzdłuż kanału.

Chwilę przed dziesiątą duet z AIVD pojawił się bez zapowiedzi w gabinecie Franka de Groota. Przyjął ich i słuchał, jak Mirjam Fransen recytuje listę pytań na temat śledztwa. Na żadne z nich nie miał łatwej odpowiedzi.

Wreszcie spytała:

– Gdzie jest Vos? Gdzie ta pyskata dziewczucha, która lata za nim jak piesek?

De Groot był pobłażliwy, wiedział, że wszyscy muszą się wspierać. I tak jednak czuł coraz silniejszą antypatię do tej kobiety. Ona chciała od niego wszystko, a niewiele zamierzała dać w zamian.

– Brygadier Vos wykonuje zadanie – powiedział.

– Słyszał pan pytanie – warknął Thom Geerts. – Gdzie?

A więc mieli przyjaciół na szczeblu rządowym w Hadze. To natomiast był Amsterdam. Jego miasto.

– Nie muszę relacjonować AIVD poczynań moich funkcjonariuszy. Nie śledzę ich też w każdej chwili dnia.

– Niech się pan dowie – rozkazała Fransen. – Nie chcemy już żadnych wpadek takich jak wczoraj.

De Groot odsunął swoje krzesło i wpatrywał się w nich. Poważna kobieta, która sprawiała wrażenie, jakby nie miała żadnego życia poza służbowym. Geerts to były wojskowy. Miał postawę, sylwetkę i surową aparycję żołnierza.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej wczorajszej wpadce. Vos miał prawo rozmawiać z człowiekiem przebywającym w areszcie na Schiphol. Wyśledził tę łódź w Westerdok. Szkoda, że ptaszek wyfrunął. Gdyby...

Gwałtowne pukanie do drzwi. Do środka bez zaproszenia wpadł Van der Berg.

– Musi szef chyba obejrzeć wiadomości – powiedział, wskazując ruchem głowy telewizor.

Sprawił wrażenie podekscytowanego, co do niego nie pasowało. De Groot sięgnął po pilota i włączył odbiornik.

Dziennik już się zaczął, ale pod sylwetką prezentera sunął pasek ze skrótem. W ciągu kilku godzin miał zapaść wyrok sądu apelacyjnego w sprawie ekstradycji Ismaila Alamy'ego. Wiadomości twierdziły, że dysponują przeciekami co do treści orzeczenia. Według ich źródła imam wygra. Sędziowie zażądają jego uwolnienia przed końcem dnia. Rząd wyczerpał drogi apelacji. Alamy wyjdzie na wolność. Nakazy aresztowania z krajów Bliskiego Wschodu uznano za nieobowiązujące z dwóch powodów: ponieważ dowody przeciwko niemu pozyskano nielegalnie i ponieważ gdyby wrócił na proces do któregoś ze ścigających go krajów, mógłby zostać poddany torturom.

– Trudno sobie wyobrazić większy kłopot dla władz – mówił korespondent z sądu. – Jak

rozumiemy, Alamy będzie mógł teraz domagać się odszkodowania za uwięzienie przez półtora roku. Może ono sięgnąć setek tysięcy euro. Tymczasem może wrócić do swojego mieszkania, żyć znowu z zasiłków od państwa. Albo wyjechać z kraju i udać się w wybrane miejsce. W glorii bohatera w oczach wszystkich tych, którzy go wspierali, przy czym należeli do nich również mieszkańcy Holandii.

Geerts sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

Bez mrugnięcia okiem. Mirjam Fransen też zachowała kamienną twarz.

– Wiedzieliście, że na to się zanosি – wytknął im Van der Berg. – Wiedzieliście, że ta cholerna apelacja zostanie odrzucona i nie powiedzieliście nam.

– To się jeszcze nie wydarzyło – odparła Fransen. – A jeśli się wydarzy, możecie go aresztować za porwanie dziecka imigrantki.

– Jakim cudem? – krzyknął detektyw od drzwi. – On od ponad roku siedzi w jednoosobowej celi. Podśłuchujecie wszystkie jego rozmowy. Boże... nie moglibyście wymyślić lepszego alibi.

– Dość – oznajmił de Groot i odprawił go ruchem ręki.

Gdy Van der Berg wyszedł, szef policji spojrzał na dwoje ludzi z AIVD i spytał:

– Wiedzieliście?

– Wszystkie nasze konsultacje prawne sugerowały, że on nie ma na czym się oprzeć – odpowiedziała Fransen bez cienia wahania. – Ja nie miałam powodów sądzić inaczej. Wiedzieliśmy, że decyzja zapadnie wkrótce... – Zerknęła na zegarek. – Porozmawiam z prawnikami. Znajdę jakiś sposób, żeby to przeciągnąć. Aresztujemy go ponownie pod jakimś pretekstem. Musi być...

– Co z dziewczynką? – przerwał jej de Groot. – Z Natalią Bublik. Pamiętacie o niej?

– To pańskie zmartwienie – odrzekła Fransen, trochę zdumiona. – Nie nasze.

Pokręcił głową, jakby to miało mu pomóc w przemyśleniu sprawy. Jeśli Alamy zostanie zwolniony, czy porywacze uwolnią dziewczynkę? Zażądali pieniędzy, co od początku wydawało się dziwne, na co wskazywał Vos. Ale jeśli Alamy będzie na wolności, po co dalej ją przetrzymywać i ryzykować aresztowanie?

– Porzucą ją na jakimś przystanku autobusowym czy gdziekolwiek – zasugerował Geerts. – A jeśli sądzą, że ona zdoła ich zidentyfikować... – Wzruszył ramionami. – Już po niej.

Mirjam Fransen wstała z telefonem w dłoni.

– Nie zbliżajcie się do Schiphol – powiedziała. – Gdy będę coś miała, dam wam znać.

De Groot patrzył, jak wychodzą, po czym zadzwonił do Vosa i przekazał mu, co się dzieje. Słyszał w tle odgłosy miasta. Ludzi na rowerach. Zwyczajny dzień w Amsterdamie.

Geerts miał rację. Może po prostu wypuszczą dziewczynkę. Ale to było wróżenie z fusów.

Kiedy zadzwonił telefon, Vos zatrzymał się wraz z Bakker. Byli już na Herenmarkt, przy placu zabaw. Saskia Kuyper siedziała na huśtawce z nadąsaną miną. Matka na nią patrzyła. Nie zauważyła, że mają gości. Nie odrywała oczu od córki. Pomiędzy nimi dwiema działo się coś mrocznego i szpetnego.

– Jeśli szczęście nam dopisze, mamy cud – powiedział de Groot, z cieniem nadziei w głosie.

– Musimy ją znaleźć – od razu odparł Vos.

– Możecie próbować.



– Musimy – upierał się Vos. – Jeśli Alamy wyjdzie na wolność, oni stracą kontrolę tak samo jak my. Nie mamy nic, czego by chcieli. A oni mają Natalię Bublik, która jest dla nich bezwartościowa, chyba że chcą ryzykować odebranie okupu.

Cisza na linii. De Groot był porządnym, życzliwym człowiekiem, więźniem zorganizowanego, logicznego umysłu.

– Naprawdę sądzisz, że Henk Kuyper jest w to wplątany? – spytał.

– Nie wiem. Ale czytałeś raporty. Henk Kuyper pracował dla AIVD, aż go wyrzucili pięć lat temu po wycieku materiałów do prasy lewicowej. Wygląda na to, że dwukrotnie uprawiał seks z matką Natalii i zostawił jej tę różową kurtkę. Pani Bublik wydaje się, że pytał, czy dziewczynka będzie w tej kurtce na Leidseplein.

– Nie jest pewna? – spytał de Groot.

– To nie była randka, Frank. Wyobrażam sobie, że ona nie słucha uważnie, co mówią klienci. – Vos nie mógł oderwać wzroku od Laury Bakker. Patrzyła na dzieci na placu zabaw, a jej pociągała, pospolita, choć ładna twarz wyrażała strach i smutek. – Niech Van der Berg dalej szuka kogoś, kto znał tego zabitego Brytyjczyka. I wolałbym, żeby AIVD została w nieświadomości co do moich poczynań. Na razie.

Znowu cisza.

– Zgoda? – spytał.

– Zgoda – rzekł w końcu de Groot.

Vos podszedł do Bakker i wyrwał ją z zamyślenia. Renata Kuyper jeszcze ich nie zauważyła. Wpatrywała się w córkę. Saskia siedziała na huśtawce niemal bez ruchu, patrzyła przed siebie, w pustkę.

– Ja kochałam swoją mamę. – Głos Bakker zabrzmiał zaskakująco niepewnie, jakby miała się rozpłakać. – Ciągle za nią tęsknię.

– Moja mieszka pod Utrechtlem – powiedział Vos. – Jeżdżę do niej co miesiąc. Odkąd wróciłem do pracy, jakoś się między nami układa.

Ruchem głowy wskazała panią Kuyper i jej córkę.

– Dziwnie to wygląda. Nie sądzisz?

– Dziwnie – przyznał i podprowadził rower do drzwi wąskiego domu ze schodkowym szczytem, wcisnął guzik dzwonka i nie puścił, dopóki nie usłyszał odgłosu kroków na schodach.

Natalia, na innej już łodzi, nasłuchiwała wyklócających się kaczek i fal pluskających o kadłub.

Czuła się brudna. W domu przebierała się codziennie, czasami pomagała mamie nosić brudy do pralni, patrzyła, jak pościel, bluzki i bielizna obracają się w bębnie.

Tutaj, w tym dziwnym i nierealnym życiu, miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Nie było nic poza nową klitką, do której tym razem światło dostawało się przez dwa bulaje z nieprzejrzystego szkła. Łazienka z toaletą i małą kąpielnicą. Mała toaleta z lustrem.

Mogła wejść do wanny i umyć się, gdyby chciała. Poczuliaby się czysta. I może tak zrobi. Ale nie teraz. On tu był. Czy też jeden z nich. Zdążyła się doliczyć co najmniej trzech. Jeden ze spokojnym, wytwornym holenderskim akcentem. To ten miły, pomyślała. Dwaj pozostali byli cudzoziemcami. Opryskliwi. Straszni. I przestraszeni.

Ten należał do przestraszonych. Wyczuwała strach w jego gwałtownych, nerwowych ruchach, słyszała w gniewnych pomrukach w obcym języku, które dobiegały stłumione przez drzwi łazienki.

Przestraszeni ludzie są słabi. W każdym razie mama tak zawsze powtarzała. Przestraszeni ludzie mogą być też niebezpieczni. Ponieważ próbują ukryć swoją słabość przez tchórzowskie okazywanie siły.

Ale trzeba ich wypróbować. Jeśli tego nie zrobisz, nigdy się nie dowiesz, na czym stoisz.

Ptaki za oknem. Dzwon kościelny gdzieś niedaleko odzywał się co kwadrans, a co godzinę dłuższą, bardziej muzyczną frazą. Tę dłuższą frazę Natalia słyszała jakiś czas temu. Gdyby miała swój tani mały zegarek – pierwszy mężczyzna zabrał jej go w furgonetce – wskazywałby, jak sądziła, wpół do jedenastej.

A wciąż jej nie nakarmili. Ucieczka z tamtej pierwszej łodzi była pospieszna i nieoczekiwana. Jakby ktoś ich ostrzegł, żeby ją zabrali. Z zawiązanymi oczyma. Furgonetką. Krótka podróż krętymi ulicami. A potem znowu przeciągnęli ją po trapie w jakieś nowe miejsce.

Od tego czasu Holender w ogóle się nie pojawił. Może też był przestraszony. Zupełnie jakby stała się przedmiotem. Meblem, który można wozić po mieście.

Ta myśl ją rozzłościła. I trzeba było ich sprawdzić. Tak by powiedziała jej mama.

Natalia podeszła do lichych drewnianych drzwi łazienki i załomotała w nie piąstkami. Nie krzyczała, nie wołała. Uprzedzili, że jeśli będzie krzyczeć, zakneblują ją. Ale o niczym innym nie wspomnieli.

Trzy razy załomotała do drzwi. Potem czekała i słuchała. On rozmawiał przez telefon. Słyszała coś, zapisała to sobie w pamięci.

Cisza. Znowu załomotała, dwa razy, i wreszcie drzwi się otworzyły gwałtownie. Wysoki mężczyzna. Czarna kominiarka, u dołu wystawała broda, jasnoniebieskie džinsy, brązowa kurtka lotnicza. Górował nad nią i spytał swoim przenikliwym głosem, z obcym akcentem:

– Czego chcesz?

– Nie dajcie mi jeść.

Stał nieruchomo, może zakłopotany. Nie chcieli jej skrzywdzić. Żaden z nich. W każdym razie na to wyglądało.

– Przyniosę ci coś, mała. Nie wal tak w te drzwi.

Z zewnątrz dobiegły dźwięki silnika niewielkiej łodzi z pykaniem sunącej po wodach kanału, radosne głosy. Chyba Amerykanie. Pewnie turyści.

– Nie waliłabym, gdybyście mnie nakarmili – powiedziała Natalia, starając się przybrać karcący ton nauczycielki łajzącej niegrzeczne dziecko. – I książkę. Kredki. Tamten pan mi przyniósł.

– Tamtego pana nie ma.

Ani drgnęła.

– Czekaj – dodał i odszedł od drzwi.

Widziała kawałek pomieszczenia za nim. Wyglądało jak niski, wąski salon. Telewizor, na biurku komputer. Krzesła i kanapa. W rogu niewielka kuchenka i mała lodówka. Okna były tam większe i przejrzyste. Za nimi widziała brzegi kanału i nagie pnie drzew nad czarnym

ceglanym murem.

I schodki prowadzące pewnie do otwartych drzwi, jeśli sędzić po świetle wlewającym się na deski łodzi.

Patrzyła.

On też.

Wielki człowiek. Oddzielający ją od świata zewnętrznego. Natalia była szybka, gibka i bystra. Ale nie zdołałaby go minąć, nie w tej chwili. Oboje o tym wiedzieli.

Przy płycie gazowej stała torba z supermarketu. Już nie z Marqt. Mężczyzna pochylił się nad zakupami, poszukał czegoś pospiesznie. Na ścianie wisiało lustro. W nim przyglądała mu się uważnie, chociaż był odwrócony plecami. Wzburzony, zmartwiony. Przetrzasał rzeczy kupione przez kogoś innego. Narciarka nie leżała zbyt dobrze. Żle widział. Ciągłe odwrócony plecami do niej, podciągnął ją, by zajrzeć do zakupów.

I wtedy jeden moment, tak krótki, że nawet nie wiedziała, kto ile zobaczył.

Twarz w zwierciadle. Ciemna. Nietypowa. Czarne oczy patrzące na nią groźnie. Broda jak u pirata.

Natalia wycofała się do łazienki i czekała poza zasięgiem jego wzroku, za drzwiami.

Wrócił po paru minutach, w naciągniętej kominiarce. W rękach trzymał jogurt, croissanta, karton soku pomarańczowego.

Wzięła je od niego.

– Mówiłam przecież – dodała. – Holender obiecał mi książeczkę.

To było kłamstwo. Małe białe kłamstwo. Może on się zorientował. Ale dorośli kłamali nieustannie. Jakżeby inaczej dzieci nauczyły się ich naśladować?

Podał jej jedzenie. Postawiła je na zamkniętej toalecie. Potem on wrócił do torby, znowu ją przejrzał. Tym razem nie podciągając kominiarki.

Wrócił z nową książeczką do kolorowania i kredkami. Spojrzała na okładkę. *My Little Pony*. Jak jej kurtka. Za bardzo dziewczynska. Za bardzo dziecięca. Ale wzięła książeczkę, patrzyła, jak mężczyzna zamyka drzwi. Chyba je zaryglował.

To musiał być nowy rygiel, pomyślała. Nikt przecież nie zamyka łazienki od zewnątrz.

Natalia Bublik zastanawiała się, co to oznacza i czy to dla niej ważne. Następnie odczekała kilka minut, zjadła jogurt, potem croissanta, wypila sok pomarańczowy. Wyjęła nową książeczkę i kredki. Nie miała pojęcia, co napisać.

Koeman odebrał telefon z recepcji Marnixstraat, żeby zajął się gościem, który sprawia kłopoty. Tylko spojrzał i pomyślał: „Dlaczego zawsze ja?”.

Mężczyzna miał na sobie garnitur, który dawno, dawno temu musiał być elegancki: granatowy w szare prążki. Z prawej kieszeni wystawała fajka i widoczne było wybrzuszenie. Musiało powstać od puszki z tytoniem. Śmierdział jak osiemdziesięcioletek zamieszkały w popielnicze.

Zaczął mówić i podał dwa dokumenty tożsamości. Jeden standardowy unijny, drugim była stara książeczka wojskowa, z której wynikało, że mężczyzna został zwolniony z wojska trzy lata temu, niedługo po wycofaniu się Królewskiej Armii Holandii z Afganistanu. Sierżant z Pułku Piechoty Johana Willema Friso.

Nazywał się Ferdi Pijpers i właśnie obejrzał wiadomości w telewizji. Koeman uważnie sprawdził dokumenty. Pijpers miał trzydzieści dziewięć lat, ale wyglądał na co najmniej dziesięć więcej. Szara twarz była pomarszczona i ciemna, albo od brudu, albo od dymu fajki. W prawym oku miał tik, w niskim głosie tembr niepokoju. Koeman pomyślał, że to pozostałości wojny. Znał ten typ. Po odejściu z wojska nie dawali rady wrócić do życia w cywilu.

Wysłuchał go w skupieniu, po czym rzekł:

– Ferdi, Ferdi... spokojnie. Proszę.

– Jestem spokojny – odrzekł Pijpers. – Macie kawę?

Zajście z panią Bublik wciąż nie dawało spokoju Koemanowi. Nie lubił wychodzić na niezycziwego gburą. Czasami po prostu ta praca kogoś takiego z niego robiła.

Podszedł więc do automatu przy recepcji, zapłacił za kawę i patrzył, jak Ferdi Pijpers bierze ją w drżące dłonie.

– Wiesz, że są organizacje charytatywne? Tam mogą ci pomóc.

– A kto mówi, że potrzebuję pomocy? – warknął Pijpers, urażony tą sugestią. – To wy jej potrzebujecie, nie ja.

– Jak to?

– Bo ci durnie ze Strasburga zamierzają wypuścić na ulice tego łajdaka Alamy’ego. A wtedy będziemy mieli jeszcze gorsze gówna niż na Leidseplein.

Detektyw zastanowił się nad jego słowami. Gazety drukowały mnóstwo artykułów o ataku z minionej niedzieli. Większość publikowała wyczerpujący portret Martina Bowersa, młodego Anglika, który zmienił nazwisko na Mujahied Bouali, wszedł w kręgi ekstremistów, po czym pojechał do Amsterdamu, by umrzeć w ciemnym zaułku niedaleko Marnixstraat. Ale nic poza tym. Dzięki blokadzie AIVD Ismaila Alamy’ego nie włączano do tego tematu. Opinia publiczna się nim nie zajmowała.

– Ismail Alamy siedział w areszcie przez półtora roku. Nie mógł mieć nic wspólnego z wydarzeniami na Leidseplein. Badamy tę sprawę. Nie mogę się wdawać w szczegóły. I zresztą pewnie pan nie chce. Chyba że ma pan powody uważać, że on ma jakieś powiązania...

– Przelewałem krew za ten kraj – przerwał mu Pijpers, pukając się w pierś i rozchlapując przy tym kawę po biurku. – Widziałem, do czego są zdolne te zwierzęta, jeśli się je spuści ze smyczy. Nic się nie zmienia. Zabiją nas przy pierwszej okazji. Ciapate zjeby...

– Hola, hola – przerwał mu Koeman. – Nie może pan tak gadać. To delikatna sprawa. Poza tym... – warto było to powiedzieć, bo to prawda – większość złych ludzi, jakich w życiu poznałem, uważa się za dobrych chrześcijan. Albo muzułmanów. Kogokolwiek. Ludzie pokroju Alamy’ego... są jak ten dzieciak, którego AIVD w niedzielę zastrzeliła... to są szaleni ekstremiści.

– Jest pan głupcem – odparł Pijpers. – Wszyscy jesteście głupcami. Ciemniakami. Nie macie pojęcia, co się czai za rogiem.

Koeman zerknął na zegarek i zaraz na schody prowadzące do jego gabinetu. Czekala na niego prawdziwa robota.

– A co się czai?

– Prawo szariaty. Traktują kobiety jak hołotę. Będą nam mówić, co możemy robić we własnym kraju. – Postukał się palcem w głowę. – Widziałem to. Wiem, jak to wygląda.

Koeman westchnął i przymknął oczy na chwilę.

– W tej chwili mamy bardzo dużo pracy. Zajmujemy się właśnie tymi sprawami, które uważa pan za godne najwyższej uwagi. Ścigamy złych ludzi. Naszych. Ich. Czasami jednych i drugich.

– Idioci – dodał Pijpers.

– Wezwano mnie na recepcję, bo twierdził pan, że ma nam do przekazania ważne informacje. Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby je pan przekazał. A potem proszę wrócić do rozmów z panem Heinekenem i jego kompanami. Bo szczerze mówiąc, w tej chwili to lepsi słuchacze niż ja.

No, pomyślał. Miły gość okazał się wersją nietrwałą.

– Nie możecie wypuścić na ulice tego gnoja Alamy’ego. Ja znam tych ludzi. Wy ich nigdy tak nie poznacie. Nie będę gadał z głupkami. Chcę rozmawiać z pańskim szefem.

– O czym?

Pijpers wygładził starą, zniszczoną marynarkę, jakby się szykował na rozmowę kwalifikacyjną.

– To już powiem jemu.

Wyjął z kieszeni śmierdzącą fajkę, posłał koniec, po czym dobył puszki z tytoniem.

– Czekam – rzekł.

– No nie do końca. I nie będzie pan tu palił tego śmierdzielstwa. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, może pan rozmawiać ze mną.

Mężczyzna spojrział spode łba. Potem zaklął pod nosem i wstał.

– Mogłem się domyślić, że marnuję czas na kretynów – burknął, nie wyciągając fajki z zębów.

Koeman próbował się uśmiechnąć.

– Szczerze zalecam, żeby poszedł pan do którejś organizacji charytatywnej. Jeśli pan chce, mogę kilka panu wyszukać. I numery telefonów.

– Nie potrzebuję pańskiej litości. Wie pan, co robiłem w wojsku?

– Mogę się domyślić.

– Nie, nie może pan. Służyłem w wywiadzie wojskowym. Robiłem to, co pan. Tylko że lepiej.

Koeman wstał, wyjął dwudziestkę i pomachał nią przed brudną, opryskliwą twarzą Pijpersa.

– Obiecuj pan, że wydasz to na jedzenie. Nie na gorzałę czy coś gorszego.

Mężczyzna wpatrywał się w banknot.

– Kretyni. Macie nasrane w tych głowach.

– Ja się starałem. – Koeman westchnął i odprowadził mężczyznę wzrokiem.

Henk Kuyper zabrał ich do jadalni na pierwszym piętrze. Przez wysokie okna widzieli plac zabaw po drugiej stronie ulicy. Jego żona siedziała smętnie sama. Saskia ledwie odzywała się do innych dzieci.

– Mam je zawołać? – spytał. – Muszę zaznaczyć, że mam już tego naprawdę dość. Nie powinniście szukać tamtego dziecka?

– Właśnie szukamy – odparła Bakker, siadając.

Vos zerknął na nią wymownie: „Tylko grzecznie”.

Następnie zajął krzesło naprzeciwko Kuypera i spytał, czym ten się zajmuje. Odpowiedź

niewiele wniosła. Konsultacje środowiskowe. Pośrednictwo. Dodatkowo udzielał darmowych porad politycznych wszystkim potrzebującym. Podkreślał, że pieniądze nie są jego największą troską. Pochodził z „dobrej” rodziny. Finanse nie stanowiły dla niego problemu.

– Pomaga pan radykałom? – wtrąciła się Bakker. – Ludziom pokroju Ismaila Alamy’ego?

– Wspieram ludzi, którzy są ignorowani przez was wszystkich. Nie wybieram według kryteriów wyznaniowych. Czy rasowych.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – zauważyła.

Skrzywił się.

– Nigdy nie pracowałem nad sprawą Alamy’ego. Nad paroma podobnymi owszem, ale nad tą nie. – Patrzył na nią śmiało. – Ale gdyby zgłosił się do mnie jego adwokat, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy. Z tego co czytałem, nie mamy powodu go trzymać. Ani przekazywać go ludziom, których pojęcie sprawiedliwości w niczym nie przypomina naszego. Gdyby to byli nasi wrogowie, w ogóle by nam to nie przyszło do głowy. Skąd więc zmiana stanowiska, gdy chodzi o naszych sojuszników?

Nikt nie odpowiedział. Kuyper uśmiechnął się kąśliwie i dodał:

– W porządku. Nie spodziewałem się odpowiedzi. Wykonujecie swoją robotę. Wiem. I to najważniejsze.

– Staramy się – odrzekł Vos. – Problem w tym, że nie zawsze stał pan po stronie ciemionych, prawda?

Wysoki mężczyzna naprzeciwno już się nie uśmiechał.

– Wręcz w ich pojęciu był pan ciemną. Pracował pan dla AIVD, jako jeden z ich agentów. – Vos urwał, przyglądał się uważnie rozmówcy. – Co się stało?

– Pochodzę z rodziny Kuyperów, wojskowych. O wielopokoleniowej tradycji militarnej. Zostałem przypisany do tej roboty. Nawet mnie nie pytano o zdanie.

– A potem przyczynił się pan do wycieku dla prasy i wyrzucili pana? – dodała Bakker.

Zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, wreszcie wzruszył ramionami.

– O pewnych sprawach opinia publiczna ma prawo wiedzieć – rzekł. – AIVD się z tym pogodziła. Nigdy nie postawiono mi zarzutów. Nigdy mnie oficjalnie nie wskazano. – Patrzył na policjantów. – Nie powinniście o tym wiedzieć. To ściśle tajne.

– Zaginęła dziewczynka – odparła Laura Bakker. – Zajrzymy pod każdy kamień, żeby ją znaleźć.

– Tu nie ma żadnych kamieni – rzekł lekko. – Pracowałem dla AIVD przez dwa lata. Ojciec załatwił mi tę pracę. Nie miałem za bardzo wyboru. To, co tam widziałem... – Urwał, ściągnął brwi. – Naprawdę mamy czas na dysputy filozoficzne?

– A więc to, co widział pan w AIVD, poruszyło pana? – spytała. – Zradyzalizowało pana? Tak jak tego młodego Brytyjczyka, którego przedwczoraj zastrzelili pańscy dawni koledzy?

– Nie do końca tak – odrzekł trochę zdenerwowany. – Ale widziałem różne rzeczy... dowiedziałem się różnych rzeczy... które zmieniły moje postrzeganie świata. Wmawiamy sobie, że jesteśmy liberalną demokracją. To kłamstwo. Bogaci stają się bogatsi, biedni biedniejsi. I niezmiennie odwracamy się plecami do potrzebujących. Gdyby...

– Nie potrzebujemy wykładu – przerwała mu Bakker. – Szukamy porwanej dziewczynki.

Córki gruzińskiej prostytutki. Nie odwracamy się plecami. Gdzie pan był, gdy Saskia zniknęła?

– W drodze na Leidseplein – odparł. – Renata była na mnie wściekła, że nie mam czasu obejrzeć parady. Pomyślałem, że postaram się to naprawić. Właśnie docierałem na miejsce, gdy zadzwoniła i powiedziała, że ją zgubiła.

– I co dalej? – spytał Vos.

– Rozejrzałem się i znalazłem ją. Chyba trafił mi się szczęśliwy zbieg okoliczności. Saskii też.

– Trudno zaprzeczyć – burknęła Bakker pod nosem.

– Właśnie – przyznał.

– Czy również zbiegowi okoliczności należy przypisać fakt, że dał pan Hannie Bublik różową kurtkę? – spytał Vos, przyglądając się rozmówcy. Śledził każdy jego ruch, każdy tik. – Po tym jak zapłacił jej pan za seks? Po raz drugi?

Długa cisza. Henk Kuyper patrzył na niego, na Bakker, potem znowu na Vosa. I roześmiał się. Krótko.

– Widziała mnie, prawda? Gdy wczoraj szedłem na Marnixstraat? Powinienem być się domyślić.

Wstał, wyjrzał na plac zabaw. Saskia wreszcie zaczęła się bawić, z jakimś chłopczykiem. Wyglądało na to, że nim rządzi. Matka siedziała i patrzyła, z papierowym kubkiem w dłoni.

– Kawy – orzekł i poszedł do kuchni.

Jeden klient. Opryskliwy amerykański szczeniak, który sam nie wiedział, czego chce i targował się o wszystko. Hanna Bublik odesłała go po dwudziestu pięciu minutach, czekała kolejny kwadrans. Jej witrynę minął tylko sprzątac z białymi puszkami po piwie z minionej nocy.

Wykręcała się, miała tego świadomość. Spisała więc na straty pozostałe trzy godziny najmu, ubrała się i wyszła.

Piękny chłodny dzień w Amsterdamie, początek zimy. Od razu dopadły ją wyrzuty sumienia. Zabrałaby Natalię nad kanał i karmiłyby kaczki. Patrzyłaby, jak mała bawi się w parku. Kupiłaby frytki i sos w papierowych tutkach, zjadłyby je na ulicy.

Tymczasem szła przez miasto do głównej dzielnicy czerwonych latarni, rzucając zawodowym okiem na pracujące tam dziewczyny. W tej części miasta działało więcej przybytków. I wyższa była cena za prowadzenie interesu. I trzeba negocjować z innymi ludźmi. W Oude Nieuwstraat przynajmniej wiedziała, na czym stoi.

O tej porze, przed południem, na Spooksteeg panowała cisza i spokój. Zadzwoniła do budynku Yilmaza i czekała, aż ktoś jej otworzy. Chwilę to trwało. Wreszcie usłyszała brzęczyk, weszła, wsiadła do windy i wjechała na górę. Tym razem nie zdziwiła się, że drzwi windy otwierają się bezpośrednio na salon.

Turek był półnagi, w workowatych spodniach, potężną klatkę piersiową pokrywała jakaś oliwka. Nie był sam. Siedział tu jeszcze umięśniony blondyn. Młodszy. Też pokryty potem i oliwką. Obaj zdyszani.

Patrzyła. Młodszy miał na całym tułowiu niesamowite tatuaże. Po bokach pępka dwoje oczu. Na prawym ramieniu czaszka w koszyku. Na plecach krwawiące serce wpisane w trójkąt.

– Nie skończyliśmy – powiedział Yilmaz, gdy otworzyła usta, by się odezwać. – Możesz zaczekać. – Uśmiechnął się szeroko. – I możesz patrzeć.

Na podłodze przez rozpalonym kominkiem leżała mata. Turek cofnął się i chwycił młodszego mężczyznę za kark, tłuste, silne ramiona zamknęły się na jego ścięgnach. Po czym zaczęli się mocować.

Takie rzeczy widziała też w Gruzji. Wielcy, silni mężczyźni sprawdzali się. Czy ta walka miała podtekst seksualny? Nie wiedziała. Nie przyglądała się zresztą uważnie. Trwało to jakiś czas, stęki, pomruki, jeden na drugim, łokcie, pięści, palce szukające punktu oparcia na śliskiej skórze. Potem Yilmaz obrócił tamtego i rzucił nim mocno na matę. Młody podniósł ręce w geście kapitulacji. Turek się roześmiał, wstał, poklepał się po wielkim opalonym brzuchu.

– Oj, Dmitri, Dmitri – narzekał. – Za łatwo się poddajesz.

Blondyn powiedział coś chyba po rosyjsku. W języku, który zawsze przyprawiał Hannę o dreszcze. Potem wstał, uśmiechnął się jak chłopiec czekający na prezent, wziął ręcznik i wytarł się. Część potu i oliwki zniknęła. Zerknął w stronę, zdaje się, łazienki.

– Pysznic może poczekać – zdecydował Yilmaz i zerknął na Hannę. – Mamy interesy.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę wypchaną pieniędzmi. Wyjął kilka banknotów, po czym podał je Dmitriemu.

– Połowa – powiedział. – Za łatwo się poddałeś. Dałeś mi wygrać. – Szeroki uśmiech. – A reszta gratis.

Rosjanin przestał się uśmiechać, ale nie dyskutował. Pozbierał swoje ubrania i wyszedł. Yilmaz zniknął w łazience, z której wyszedł w puszystym białym szlafroku i z dwiema puszkami napojów odżywczych w ręku. Kazał jej usiąść i podał jedną puszkę. Coś z granatem.

– Jakieś wieści? – spytał, siedząc już na skórzanej kanapie.

– Nie. Zastanawiałam się... zastanawiałam się, czy może pan się czegoś dowiedział.

Wzruszył szerokimi ramionami.

– Mówiłem już, pani Bublik. Chętnie pani pomogę, ale musi pani należeć do mojej rodziny. Kto by dbał o obcych. My tu musimy coś dać, by coś dostać.

– Powiedział pan, że popyta. Moją córkę porwano!

Westchnął.

– Wczoraj mówiła pani to samo. Ale dzisiaj rano pani pracowała. Próbowала pani wziąć parę euro od jakichś durniów przechodzących Oude Nieuwstraat. Naprawdę...

– Szpieguje pan mnie?

– Te budynki należą do mnie. Pilnuję swojej inwestycji.

Pomyślała o włamaniu do swojego pokoju. O pełnym poczucia winy spojrzeniu Chantal dzisiaj rano, i wiadomości, że Jerry podnosi czynsz.

– Ta nora, w której mieszkam, też? – Zastanawiała się, czy to powiedzieć. – Może pan tam wchodzić i wychodzić, jak się panu podoba?

Machnął ręką lekceważąco.

– Mam całe mnóstwo biznesów. Nawet sobie pani nie wyobraża ile. To nie ma związku. Pani musi odzyskać córkę. Rozumiem to. – Opróżnił puszkę jednym haustem i rozparł się na lśniącej kanapie. – Popytałem. Chociaż pani mi nic nie zaproponowała.

Czekała.

– W tym mieście są źli ludzie. Mówią o sobie, że są pobożni. Nie są.



– Czego się pan dowiedział?

– Same plotki. Nic wartościowego. Jeśli chce pani mojej pomocy, wie pani, co musi robić.

Na biurku zadzwonił telefon. Yilmaz podszedł odebrać. Zerknął na nią, zasłonił ręką mikrofon i rzekł:

– Muszę to załatwić. Niech pani tu zostanie.

Zniknął za drzwiami na końcu pomieszczenia. Usłyszała oddalające się kroki wielkich stóp, chyba długim korytarzem. Poszedł. W każdym razie na jakiś czas.

Nigdy nie kradła. Kradzież była zła. Ale teraz...

Wstała i podeszła do biurka. Pokazywał swoje pieniądze każdemu, pomyślała. Mówił: „Ja tu rządzę. Ja dyktuję zasady”.

Drzwi na korytarz były uchylone. Słyszała jego głos. Gdzieś z daleka. Mówił po turecku chyba. Głośno i rozkazującym tonem.

Otworzyła szufladę i wpatrywała się w pieniądze. Czy on wiedział, ile tu jest? Czy zauważył brak tysiąca?

Wzięła kilka banknotów o nominale pięćdziesiąt euro, poczuła się dziwnie, plugawie. Pieniądze trzeba było zarabiać. Jakkolwiek, ale zarabiać.

I tak jednak wyjęła kilka i wcisnęła do kieszeni. Stos banknotów się poruszył. W głębi szuflady znajdowały się inne rzeczy. Zegarki. Telefony. Portfele.

I połyskiwało coś srebrnego, bursztynowy wisior na łańcuszku. Tani, ale piękny. W każdym razie w jej oczach.

Naszyjnik, który mąż ofiarował jej w dniu ślubu w dalekim Gori. Dotknęła łańcuszka, szklanego brązowo-żółtego kamienia.

Skradzionego, gdy ktoś się włamał do pokoiku, w którym mieszkała z Natalią.

Jeszcze dalej leżał pistolet i paczka amunicji, całkiem w głębi, jak przypadkowy dodatek. Zakurzone, jakby broń leżała tam na wszelki wypadek i nie była potrzebna od lat. Cem Yilmaz rządził tym światem. Od ochrony miał ludzi.

Kroki na korytarzu. Nie słyszała już rozmowy.

Puściła naszyjnik, chwyciła natomiast broń i paczkę nabojów, wsunęła do kieszeni, zamknęła szufladę, wróciła szybko na środek pokoju i siadła na krześle.

Yilmaz wszedł zdecydowanym krokiem. Przyglądał się jej.

– Dobry człowiek by mi pomógł – powiedziała, po prostu żeby się odezwać.

– I pomoże. Gdy będzie pani gotowa.

Zerknął na biurko. Szufladę dosunęła. Tak ją zostawił? Nie była pewna. Może on też nie.

– Jest pani gotowa, pani Bublik?

Włamał się do jej pokoju, gdy ona siedziała na policji. Ukradł wszystko, co miała, by zmusić ją do uległości. Nigdy w życiu nie strzelała. Będzie musiała pójść do kawiarenki internetowej, żeby się dowiedzieć, jak się to robi. Ale wiedziała, że to nie jest ten moment. Cem Yilmaz należał do najważniejszych gangsterów w tym mieście. Na pewno słyszał rzeczy, które do policji nigdy nie docierały.

– Jeszcze nie – powiedziała, po czym wstała, świadoma i trochę przestraszona, że to na pewno go rozwścieczy.

Na Spooksteeg pracował sprzątacze. Zamiatał śmieci, rozlewał środki dezynfekujące. Cuchnęło tu. Odwróciła się twarzą do ściany i dygoczącą ręką, drżącymi palcami przełożyła pistolet i kartonik z nabojami do torebki, wciskając je głęboko. Następnie wyjęła telefon.

Żadnych wiadomości.

Na stole trzy filiżanki cappuccino. Bakker swojej nie tknęła. Vos przesunął na bok. Na zewnątrz świeciło jasne słońce. Słyszeli głosy dzieci bawiących się na placu.

– Co mam powiedzieć? – spytał wreszcie Kuyper.

– Mile widziana byłaby prawda – zasugerowała Bakker.

Spojrzał na nią i wybuchnął śmiechem. Po czym zwrócił się do Vosa:

– Ona zawsze... jest taka trudna?

– Moim zdaniem to raczej rozsądne żądanie – odparł Vos. – Jeśli pan chce, możemy pana aresztować i kontynuować tę rozmowę na Marnixstraat.

– Aresztować z jakiego powodu?

– Z powodu sympatii ekstremistycznych – wtrąciła się Bakker. – Służył pan kiedyś w AIVD. Spał pan z matką Natalii Bublik, a następnie dał jej kurtkę, przez co została porwana. Upewnił się pan, że dziewczynka będzie w tej kurtce na Leidseplein. Sądzi pan, że to za mało?

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że się upewniłem?

– To, co pani powiedziała – odrzekł Vos.

– Nie bądźcie śmieszni. – Ze swobodą napił się kawy. – Może pytałem, co robi z dzieckiem w niedzielę. Nic poza tym. A moje poglądy, tak swoją drogą, są absolutnie zgodne z prawem. To zaś, co robiłem w przeszłości, nie ma znaczenia. Uprawianie seksu z prostytutką nie jest nielegalne. Gdyby tak było, wasze areszty by się zapełniły.

– A kurtka? – spytała Bakker.

Odstawił filiżankę i wbił wzrok w policjantkę.

– Ile ma pani lat?

– To ważne?

– Dla mnie tak.

– Dwadzieścia pięć.

– Ja mam dziesięć lat więcej. Długich lat. Świat się zmienia. – Zamknął na chwilę oczy i przez sekundę sprawiał wrażenie człowieka kruchego. – W wiadomościach mówili, że Alamy wyjdzie na wolność. Że sąd go wypuści. To prawda?

– Niewykluczone – odrzekł Vos. – Dowiemy się, gdy sąd wyda orzeczenie.

– Wtedy on ją wypuści, prawda? – W głosie Kuypera zabrzmiał ton nadziei. – No bo... bo po co miałby ją dalej trzymać?

– Nie wiemy. – Bakker robiła się zła, a to zawsze martwiło Vosa. – Nie możemy zaniechać poszukiwań, prawda?

Vos rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Prowadzi pan takie ładne życie, Henk. Pieniądze. Piękny dom. Rodzina. Po co miałby pan się szwendać po dzielnicy czerwonych latarni i zaglądać do tych kabin? To mnie ciekawi. Nic poza tym.

Milczenie.

– Ma pan taki zwyczaj? – drążyła Bakker. – Kilka razy w tygodniu? Mówi pan, że idzie na przechadzkę? Żona wiedziała...?

– Nie wiedziała. I nie jest to zwyczaj. Byłem tam tylko dwa razy. U tej kobiety. – Przesunął kawę na bok i westchnął. – Możecie mi nie wierzyć. Zresztą nie obchodzi mnie, czy mi uwierzycie.

Vos odczekał chwilę i znowu spytał... dlaczego.

– Bo tu się źle dzieje – odrzekł Kuyper, krzywiąc się. – Renata sądzi, że chce ode mnie odejść, ale nie może się zebrać na odwagę. Ja też nie mam serca. Saskia i jej mama mają nie najlepsze relacje. Ale tak czy owak ona potrzebuje matki. Ja... ja nie wystarczam.

– Lepiej więc zejść z drogi, odzłować pięćdziesiąt euro na szybki numerek z prostytutką ze Wschodu? – spytała Bakker.

– Ta to się nie bawi w subtelności, co? – powiedział Kuyper do Vosa.

– Czasami szkoda się silić na subtelności – odrzekł policjant. – Nadal nie rozumiem dlaczego.

– Na złość Renacie. Nie kochaliśmy się od miesięcy. Którejś nocy próbowałem. Piłem. Nie dało się. Więc następnego wieczoru... Wracałem z centrum miasta, szedłem Oude Nieuwstraat i zobaczyłem w oknie tę kobietę. Wyglądała... interesująco. Inteligentnie. Może... może jakoś inaczej.

– Więc kilka dni później poszedł pan do niej znowu i dał jej różową kurtkę dla córki – podjęła Bakker. – Powiedział jej pan, że kupił niewłaściwy rozmiar. To nie była prawda?

– Nie.

Opadł na oparcie i znowu zamknął oczy.

– Cholera. Ale bajzel.

Vos zerknął na telefon. Żadnych wiadomości.

– Musimy wiedzieć, panie Kuyper. Musimy...

– Widziałem ją na ulicy. OK? Z dzieckiem. Ładnym dzieckiem. Jak Saskia. Widać było, że groszem nie śmierdzą. A oto ja... – Ruchem ręki objął pokój. – Udaję, że coś zmieniam, a żyję na koszt ojca. Trochę później poszedłem na zakupy. Kupiłem tę kurteczkę dla Saskii. Naprawdę. Potem znowu poszedłem tą ulicą. A ona znowu siedziała w oknie.

Ściągnął brwi.

– Nie chciałem uprawiać seksu, ale... odnosiłem wrażenie, że ona tego oczekuje czy coś. Jakby to był kontrakt. Umowa biznesowa. Zapłaciłem. Ona dostarczyła towar. Potem zacząłem z nią rozmawiać o dziecku. Ożywiła się. Nie była jak kawałek mięsa na wystawie. W kółko mówiła, jak bardzo jej córka chce zobaczyć w niedzielę Sinterklaasa. – Rozejrzył się po pokoju. – Tutaj nic nie wzbudzało takiego entuzjazmu. Zmyśliłem więc jakąś historię. Że kupiłem zły rozmiar. Że może ją sobie wziąć.

Kuyper spojrzał Vosowi w oczy.

– To nie było łatwe. Myślę, że ta kobieta nie przepada za dobroczynnością, jałmużną. Ale wspomniała, że może córka by chciała nowe ubrania na spotkanie z Sinterklaasem. Więc ją tam zostawiłem. A potem powiedziałem sobie, że już nigdy tam nie pójde. Nigdy już tego nie zrobię.

– Następnie pan wyszedł – odezwała się Bakker – i kupił drugą różową kurtkę, dla własnej

córki.

Zgromił ją wzrokiem.

– Tak. Chciałem jej dać prezent. To coś złego?

– Nie wiem. Może?

To go rozwścieczyło.

– Słuchajcie no! Dałbym tej kobiecie więcej. Nie tylko głupią kurtkę. Pieniądze. Kilkaset euro czy coś. Ale ta durna suka by tego nie przyjęła. Z powodu jakiejś dumy. Może uważała, że tak naprawdę nie jest kurwą.

– Może we własnym pojęciu nie jest – zauważyła Bakker.

– Żartuje sobie pani? Jeśli ktoś siedzi pod czerwoną latarnią w bieliźnie i pozwala mężczyznom robić ze sobą, co chcą, za jakieś drobniaki... to kim jest, jak nie kurwą?

– Matką? – podsunął Vos.

– Poza tą kabiną – nie ustępował Kuyper. – I właśnie to zobaczyłem. Na ulicy. Dlatego wróciłem.

Bakker wyprostowała nogi i wpatrywała się w gospodarza.

– Pan kłamie. Czuć kłamstwem na kilometr.

– Nieprawda. Pani jest po prostu młoda i nic pani nie wie. – Ruchem głowy wskazał Vosa. – Niech pani spyta szefa. On wie.

– Proszę nie zaczynać...

Nerwy jej puszczały. Vos wyciągnął rękę i zdołał ją odrobinę uspokoić.

– Czego jeszcze chcecie? – spytał Kuyper. – Wiem, że to nie wygląda dobrze. Bo jest niedobrze. Między moją żoną a mną. To nie ma nic wspólnego z wami. Ani z tą biedną dziewczynką. Gdybym wiedział cokolwiek, co mogłoby pomóc w jej odnalezieniu, powiedziałbym wam. Taka jest prawda.

Vos wstał i mimowolnie wyjrzał za okno, na plac zabaw i dwie milczące postaci. Nagle Saskia wstała i oddaliła się z innymi dziećmi. Pewnie do szkoły.

– Mam nadzieję – rzekł. – Jeśli uznam, że jakkolwiek element tej historii zgrzyta, osobiście zawiozę pana na Marnixstraat. A wtedy wszystko się odbędzie formalnie.

– Nie ma sprawy.

– Nie widzę powodu, żeby pańska żona musiała wiedzieć, o czym rozmawialiśmy – dodał. – Nie w tej chwili.

Bakker głośno wciągnęła powietrze i patrzyła groźnie na mężczyznę po drugiej stronie stołu. Ale milczała.

Kuyper wstał i podszedł do drzwi.

– Tu się pan myli – rzekł. – Musi wiedzieć. Musi się dowiedzieć ode mnie. Już czas... – Patrzyli na niego. Przez kilka sekund sprawiał wrażenie udręczonego. – Czas, żebyśmy to uporządkowali, w taki czy inny sposób. – Omiótł policjantów spojrzeniem. – Powinienem wam podziękować, że doprowadziliście do takiego rozstrzygnięcia. Może pewnego dnia podziękuję. Jak to mówią, cuda się zdarzają.

Po wyjściu z domu minęli plac zabaw. Renata Kuyper siedziała samotnie i żałośnie na ławce, nie zauważyła ich. Nagle zadzwonił jej telefon.

W tym śnie znajdowała się u szczytu schodów. Potwór na dole... myślał, że ona go nie widzi, uśmiechał się, łypał zadowolony. Głodny.

I nagle ruszył po nią. Krok po kroku. Powoli. Miarowo.

Na zewnątrz grzmiał ogłuszający harmider świata pogrążonego w chaosie. Bomby i terkoczące karabiny. Wrzaski mężczyzn. Krzyki kobiet. Zapach czegoś ostrego i gorącego. Ściany budynku, starego i szarego, wciąż się poruszały jak wielkie zwierzę z cegły wydające ostatnie tchnienie.

Pojawiła się krew. Na twarzy i na klatce piersiowej mężczyzny, który chyba był jej ojcem. Ale ten mężczyzna nie żył. Od dawna. Jedyne, co widziała, to zdjęcie, które jej mama przywiozła do Amsterdamu aż z Gruzji. Przystojny, uśmiechnięty mężczyzna w fartuchu piekarza, gdzieś na wsi, latem, obejmuje ramieniem młodą i szczęśliwą kobietę w kwietnym wianku.

Ranne, umierające widmo, które widziała w swoich snach, nie do końca tak wyglądało. Ale sny kłamały. Zdjęcia też.

Ten koszmar dudnił w jej głowie, odkąd sięgała pamięcią. Z początku budziła się z płaczem, spocona, przerażona, że potwór ją trzyma w rozwalającym się łóżeczku, które śmierdziało sikami i czymś jeszcze gorszym, gdzieś w martwej, zagubionej krainie, przez którą podróżowały w drodze z mrocznej przeszłości do niepewnej teraźniejszości.

Ale w Amsterdamie, w tamtym pokoiku, który zdążyła polubić, nawet bardzo, potwór ostatnio nie odwiedzał jej często. Dopiero jakiś tydzień temu koszmar wrócił. Gorszy niż kiedykolwiek. Głośniejszy. Bardziej krwawy. I potwór z każdą nocą coraz bardziej się zbliżał.

Teraz był ciągle niewidoczny, ale tak bliski, że czuła jego zapach. Coś cuchnącego i gnijącego w jego gorącym, dusznym oddechu.

Ten sen przypierał dziewczynkę do ściany. Patrzyła w dół i widziała coś poruszającego się w ciemności. Zostały mu już tylko trzy kroki i ją dopadnie.

– Mamusiu – wyszeptła.

– Mamusi tu nie ma – powiedział stwór głębokim, obcym głosem, ubawiony.

– Mamusiu! – krzyknęła.

Jeszcze jeden krok na schodach. Rączką przegarniała ciemności przed sobą.

I odgarnęła sen. Wróciły wspomnienia. Świadomość, że wciąż jest w tym drugim miejscu, w małej kabinie, do której zabrał ją Zwarte Piet, objijając się na pace starej, przerdzewiałej furgonetki.

– Mamusi tu nie ma.

Natalia Bublik podniosła wzrok przerażona, ale i zaciekawiona, bo kobiety z rodziny Bublików już tak mają. Tak jej powiedziała mama.

To był tylko mężczyzna o ciemnej skórze, gładko ogolony. Miał kurtkę khaki jak żołnierz i czarne dżinsy. Buty za kostkę. Coś w ręku. Spojrzała. Komórka i klucze.

Uświadomiła sobie, że nie nałożył kominiarki i wiedziała, że to niedobrze.

– Kim jesteś? – spytała Natalia Bublik od razu, patrząc w ciemne, bezwzględne oczy, próbując coś w nich dojrzeć.

Nie odpowiedział. Ale odezwał się ktoś za nim, słowami, których nie zrozumiała. I on też

wszedł. Większy niż ten pierwszy. Z brązowym workiem w ręku. Na worku widniały jakieś napisy. Jak nazwa firmy.

Rozwinął worek. Był większy od niej.

– Włóż do środka – rozkazał mężczyzna po niderlandzku, szorstkim i gardłowym głosem.

Wstała gotowa. Zanim zdążyła wejść do worka, naciągnęli na nią grubą jutę.

To właśnie się dzieje, kiedy człowiek zasypia za dnia. Przychodzą po niego potwory. Obcy mężczyźni traktują cię jak własność. Jak rzecz.

Podnieśli ją, nie brutalnie, ale i nie delikatnie. I nagle przestrzegli ją, że ma zachować ciszę, i zabrali z małej łazienki. Została wyniesiona na zimne, świeże powietrze, na miasto.

Na Noordermarkt, kilka minut od domu Kuyperów, Vos nagle się zatrzymał i zsiadł z roweru. Słyszał, że otwarto tu nowy sklep z serami. Śliczny mały przybytek na placu przy kościele. Bakker weszła w ślad za nim, cały czas cmokając. Patrzyła, jak kupuje dwa serowe croissanty i wynosi je na ławkę przed sklepem.

W każdą sobotę plac zapełniał cotygodniowy targ rolników. Ale dziś, we wtorek, zimą, plac był pusty.

Vos podał jej croissanta i poprosił o opinię.

– Nadal myślę, że kłamie – odparła.

– Pytałem o croissanta. – Patrzył bardzo mądrze. – Dobry sposób, by ocenić sklep z serami. Bo wiesz... nie chodzi tylko o ser.

Skosztowała i stwierdziła, że jest cudowny. On spróbował swojego i skinął głową.

– Nie taki dobry jak u mnie na Elandsgracht.

– Naprawdę powinniśmy w tej chwili omawiać zalety croissantów serowych?

– Cały czas myślę.

– O czym?

– Myślę, że szkoda, że nie wzięłaś jednak zwolnienia, jak sugerowałem.

Skrzywiła się i spojrzała na niego paskudnie.

– Wykluczone.

– Wiem. – Odgryzł kolejny kęs. Okruszki stoczyły się po jego niechlujnej zimowej kurtce. – I tak jednak żałuję.

– Bo...?

– Bo coś mi się tu nie podoba. Coś, czego nie widzimy. A co może widzą nasi przyjaciele z AIVD. Wiedzieli, że na Leidseplein coś się stanie.

– I zastrzelili tego durnego Brytyjczyka cholernie szybko – dodała Bakker. – Co nie zmienia faktu, że Henk Kuyper kłamie, prawda? Powinniśmy go zatrzymać.

Vos dojadł croissanta, zmiął papierową torebkę i wrzucił ją do pobliskiego śmietnika. Ona też próbowała, ale chybiła.

– Kłamie. Ale nie w każdym punkcie. Nie widziałaś, jak mówi o swoim małżeństwie? To było prawdziwe. Ma poczucie winy. Czuje się zbrukany. Może nie wie, dlaczego to zrobił. Albo jeśli wie, nie dzieli się tym.

Bakker uśmiechnęła się kącikiem ust i choć raz sprawiała wrażenie, że nie chce nic mówić. Vos nalegał.

– Czy mężczyźni aby nie robią takich rzeczy ot, tak? Po paru piwach... i jeśli ich najdzie ochota?

– Ja nie – zaprotestował.

– Nie mówiłam o tobie. Ty nie jesteś normalny.

– Dzięki.

– W każdym razie pod tym względem. Kuyper pracował w służbach specjalnych. Musi wiedzieć o operacjach, broni i tym podobnych. Nie budzi zaufania za grosz, i oboje wiemy, że nie mówi prawdy. Powinniśmy go zgarnąć.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Nagle zadzwonił jego telefon. De Groot – potwierdzał uwolnienie Alamy’ego. Imam zostanie wypuszczony z aresztu na Schiphol jeszcze tego samego dnia po południu i przekazany swoim adwokatom. Ku wściekłości AIVD, nic już nie można było zrobić, żeby powstrzymać jego uwolnienie. Jeśli zechce, może przejść na drugą stronę drogi, wejść do terminalu i opuścić Holandię.

– Mówili o tym w wiadomościach? – spytał Vos.

– Jeśli jeszcze nie mówili, to powiedzą lada chwila. Mamy coś w sprawie dziewczynki?

– Nie.

– Ani słowa z telefonu tej kobiety? Z rozmowy z Kuyperem?

– W zasadzie nie.

Długa chwila milczenia.

– Chcę być na Schiphol, gdy wypuszczą Alamy’ego – powiedział Vos. – Może wyduszę z niego jakieś oświadczenie. Coś, co moglibyśmy przekazać porywaczom, prosząc, żeby ją wypuścili.

– Dobra – odrzekł de Groot.

– I chcę podsłuch na komórce i telefonie stacjonarnym Henka Kuypera. Może tam się znajdzie coś ciekawego.

De Groot westchnął.

– O to muszę poprosić AIVD. Kiedyś był jednym z nich. Nie mogę ich zlekceważyć. Jesteś pewien?

Tym pytaniem zaskoczył Vosa.

– Oczywiście, że jestem pewien. Przecież bym nie prosił, gdybym nie był. Dwukrotnie poszedł do Hanny Bublik. Rozmawiał o oglądaniu parady na Leidseplein. Dał jej tę kurtkę. Mówi, że to z poczucia winy i współczucia. Może tak. A może nie.

– Pogadam z nią. – De Groot znowu westchnął i się rozłączył.

Ramię przy ramieniu, chyba że rozdzielił ich zbłąkany pieszy, jechali wzdłuż kanału. Tuż przed Elandsgracht, niedaleko Drie Vaten, w kieszeni zniszczonej granatowej kurtki Vosa zadzwonił telefon.

Myślał o tej rozmowie bez przerwy, odkąd usłyszał, że Alamy może niedługo wyjść na wolność. Musiał być przygotowany, to ważne. Krok przed nimi, jeśli się dało. Cztery kroki, gdyby szczęście mu dopisało.

– Oglądałem wiadomości. Przegraliście – powiedział spokojnie rozmówca. – Teraz już wiecie, jak to smakuje.

Ten sam człowiek. Obcokrajowiec. Pewny siebie.

– Jak się czuje Natalia? – spytał. – Mogę z nią rozmawiać?

W tle słyszał miasto. Ludzi. Mężczyzna był gdzieś na ulicy, ruchliwej i anonimowej. Brak cienia szansy, żeby go znowu namierzyć przez zbłąkany dźwięk. Może wiedział, że w ten sposób właśnie znaleźli go w Westerdok.

Piknął sygnał wiadomości i nadeszło nowe zdjęcie. Natalia ciągle w różowej kurtce, siedząca na wąskim łóżku. W rękach trzymała tablet, w którym wyświetlały się wiadomości telewizyjne. Najważniejsza informacja: Ismail Alamy wychodzi na wolność.

– Nie masz już się o co targować – powiedział Vos ze szczerym przekonaniem. – To ośmioletnie dziecko. Mała dziewczynka. Puść ją. Wypuść ją gdzieś, powiedz, żeby weszła do jakiejś knajpy i zadzwoń do nas. Zanim zaczniemy jej szukać, dawno znikniesz. – Musiał to powiedzieć. Wcale nie dlatego, że to była w połowie prawda. – W tej chwili obchodzi mnie tylko Natalia. Nie Ismail Alamy. Nie ty. Ona powinna wrócić do mamy.

Po drugiej stronie usłyszał śmiech.

– Co to ma być, Vos? Jesteś policjantem czy pracownikiem społecznym?

– Chcę, żebyś ją uwolnił.

– Naprawdę? To dlaczego jesteście wszyscy tacy powściągliwi.

To było coś nowego. Nieoczekiwanego.

– Porwano dziecko. A wyście nie powiedzieli o tym obywatelom. Co to za kraj? Kraj, w którym znika mała dziewczynka, a nikt się tym nie przejmuje?

– Kiedy o porwaniu robi się głośno, to w niczym nie pomaga – odrzekł Vos.

– Tobie nie pomaga.

Mówił kulturalnie, lekko, z rozbawieniem.

– Powiedz, czego chcesz – rzekł Vos.

– Pieniądzy.

– Hanna Bublik jest biedną emigrantką. Nie ma nic. Nie ma...

– Wiem, kim jest matka. Wiem, czym się zajmuje.

– Skąd wiesz?

– Nieważne. Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć to dziecko, musicie zapłacić. Nie obchodzi mnie, skąd weźmiesz pieniądze. Może od waszych bogatych obywateli. Na przykład od Kuyperów. Jutro znowu zadzwonimy i omówimy szczegóły.

– Możemy je omówić teraz – przerwał Vos. – Ile?

– Jutro – powtórzył mężczyzna stanowczo. – Wtedy ta... przygoda się skończy. Tak czy inaczej. Miłego dnia.

Rozłączył się. Vos oparł się o mur.

Bakker podeszła do niego.

– Domyślam się, że nie poszło najlepiej.

– Dlaczego, u diabła, on nie chce podać ceny?



– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę? – burknął i ku jej złości nic już nie powiedział.

Od razu zadzwonił do centrali, sprawdzić, czy udało im się namierzyć numer. Ani trochę się nie zdziwił, gdy okazało się, że nie.

Już po chwili mejl ze zdjęciami i nagraniem wideo dotarł do pierwszych adresatów. Wszystkie gazety w mieście. Stacje informacyjne międzynarodowe i lokalne. Blogi newsowe. Amatorskie witryny radykalistów, nigdy zresztą nieuczestniczące w blokadzie, do której doprowadził AIVD w tradycyjnych mediach.

Zanim dotarli do Marnixstraat, o sprawie donoszono wszędzie oprócz Holandii. Miejskowe media niedługo będą musiały się nią zająć, choćby nie wiadomo jak władze naciskały na ich milczenie.

Tak wyglądał nowoczesny świat. Niektóre sprawy nie mogły pozostać tajemnicą. Wkrótce zdjęcie Natalii Bublik będzie w holenderskiej telewizji tak samo jak było w tej chwili w CNN czy BBC. To samo zdjęcie, które Vos już widział, jak również inne.

– Muszę zadzwonić do jej matki – powiedział. Ale połączył się tylko z pocztą głosową.

W jadalni z widokiem na park, po powrocie Saskii do szkoły, Renata Kuyper słuchała, co ma do powiedzenia jej mąż.

Mówił, odrobinę ujawniając emocje, jakby była to rozmowa biznesowa. Transakcja do dopięcia. Relacja do poprawienia.

Gdy już skończył, spojrzał jej w oczy i spytał, czy ma jakieś pytania.

Cały milion.

– Dlaczego? – jedynie tyle wydusiła.

– Bo byłem znudzony – odrzekł. – I zciekawiony. Rozżalony, że wymykasz się do pokoju gościnnego, gdy tylko uznasz, że Saskia zasnęła. Myślałem, że już mnie nie pragniesz. Chciałem... – Na chwilę zabrakło mu słów. To rzadkość. – Chciałem wiedzieć, jak to jest być obojętnym. Odciętym od emocji. Od miłości. Chciałem zobaczyć, czy jest jeszcze jakiś sens.

– Był?

– Ja nie zauważyłem.

Kiwnęła głową.

– Poszedłeś więc do dzielnicy czerwonych latarni i przeleciałeś pierwszą z brzegu kurwę z intelektualnej dociekliwości? Nie dlatego, że śpimy osobno, a tobie się tak zachciało?

Nie słuchał jej.

– Dałem jej kurtkę, którą kupiłem dla Saskii. Pomyślałem, że może to zagłuszy ból. Mój. Nie jej. Miałem wyrzuty sumienia. Czuję wstyd. A to tylko pogorszyło sprawę.

– Ale miałeś sumienie kupić nową kurtkę? – spytała. – Przynieść ją tutaj? W ten sposób wyrównałeś rachunki?

Nie odpowiedział. Wstała, podeszła do wieszaka na płaszcze, wzięła kurtkę z kucykami i wepchnęła ją do śmietnika.

– Pomogło? – spytał.

– Czego ode mnie oczekujesz? Co mam powiedzieć?

– Że będziemy nad tym pracować – odparł ze wzruszeniem ramion. – Saskia potrzebuje matki i ojca. Jest pogubiona. Przestraszona. Nie mogę jej wychowywać sam. Wiem, że popełniłem błąd. Przyznaję. To się już nie powtórzy. Ja...

Odwrócił się do okna, gdzie wisiały martwe i nieme światełka bożonarodzeniowe.

– Poświęcę ci więcej czasu – powiedział, nie patrząc na nią. – Zrobię, co trzeba. Pójdę na terapię...

– Nie powiedziałaś mi, prawda? Gdyby cię nie przyłapano, nigdy byś mi nie powiedziała. Gdyby ta kurwa nie zobaczyła cię na Marnixstraat...

– Włosi mają takie piękne powiedzenie, Renato. Lepsze piękne kłamstwo niż brzydka prawda.

– Nie można budować małżeństwa na kłamstwach!

– Litości, nie jesteśmy dziećmi.

Przeszył ją dreszcz strachu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Pokręcił głową i przymknął na chwilę oczy.

– Wiesz, co ja myślę? Czy ja siedzę w twojej głowie? Nie. I nie chcę. Godzimy się na uległość i niewiedzę. Ty. Ja. – Podniósł rękę do okna. – Cały świat.

– Henk...

– Nie powiedziałem ci, bo się bałem. I się wstydzilem. I jestem na tyle próżny, że nie chciałem wyjść na głupca. Ale przede wszystkim dlatego, że to by nic nie dało. Wiadomo, że takie coś zabija. Nie twoja niewiedza.

Wstała.

– Ty odrażający dupku...

– Świetnie. – Kiwnął głową. – Zasłużyłem sobie. Mów, co chcesz. Pewnie mi się należy. To, że chyłkiem uciekłaś z naszego łóżka...

– Nie uciekłam! Ja tylko... – To się stało bez ustaleń, nawet bez namysłu. – Zdałam sobie sprawę, że cię nie poznaję. Że utknąłeś na amen w tym swoim gabinecie.

– Więc to zmienię. Dla dobra Saskii. Dla twojego dobra. – Usiłował patrzeć jej w oczy. – I dla mojego. Jesteśmy rodziną. Musimy zostać rodziną.

Podszedł do niej, wziął ją za ręce, przysunął się. Zastanawiała się, czy widzi mężczyznę, którego poślubiła w tamtym pośpiechu po nagłej śmierci ojca. Kogoś, kogo utraciła przez te lata. Jakoś tak od narodzin Saskii, jakby to właśnie wydarzenie zdecydowało o ich relacji. Pojawienie się dziecka. Coś, co powinno przynieść radość.

– Potrzebuję cię. Saskia cię potrzebuje. Wszystko, co chcesz... postaram się to spełnić.

– A jeśli jest za późno? – To pytanie postawiła i sobie, i jemu.

Nie odpowiedział. Tylko mruknął coś, że wyjdzie na chwilę i da jej czas do namysłu.

Nagle piknął jego telefon, a Henk porwał go ze stołu. Włączył telewizor. Nadawano wiadomości z Schiphol, raport na żywo spod wejścia do aresztu.

Renata słuchała podekscytowanego głosu reportera i spytała:

– Co to oznacza? Dla tej dziewczynki?

Stał pogrążony w rozmyślaniach. Znowu bardzo żałosny.

– Henk?

– Nie wiem – burknął, w jednej chwili wracając do niedawnego wcielenia.

Zostawiła go wpatrującego się w ekran, wyszła na ulicę, spojrzała na plac zabaw i na szkołę.

To strach trzymał ich razem, obustronny strach. Jak zawsze w jego argumentach wybrzmiało coś logicznego, chłodnego, niezaprzeczalnego. Ale było coś jeszcze: obraz w jej głowie. Obraz, którego nie mogła zapomnieć. Mężczyzna, którego poślubiła, za zasłoną kabiny w dzielnicy czerwonych latarni. Dyszący nad kobietą, która obsługiwała... ilu mężczyzn dziennie? Dziesięciu? Dwudziestu?

Z każdym krokiem miasto się zmieniało. Szybko zniknęły drobnomieszczańskie atrybuty Herenmarkt. Zaczęły się ulice bardziej niechlujne, parszywe. Ludzie też. Bardziej niechlujni i nędzniejsi.

Szła Oude Nieuwstraat, krzyżując palce. Zaklinając nadzieję. Zastanawiała się, jak te kobiety wyglądają rankiem.

Było wczesne popołudnie. Niewiele zasłon zastała opuszczonych, w zajętych kabinach. Większość kobiet siedziała na wystawie, na sprzedaż. Półnagie postaci za szybą, śmiałe pod czerwonym światłem. Wszelkiego rodzaju. Duże i drobne. Białe, czarne i pośrednie. Wszystkie ze zdumieniem reagowały na jej badawczy wzrok.

Wreszcie w przedostatniej kabinie zobaczyła kobietę, która skuliła się zaskoczona. Szczupła, długie blond włosy, czerwona szminka. Stanik i majtki z kremowej satyny. Rozstępy na brzuchu, widoczne, gdy siedziała na wąskim taborecie w oknie. Ale może mężczyźni tego nie zauważali.

Renata Kuyper przyłożyła palec do interkomu i czekała.

Z okna komisariatu Vos i Bakker patrzyli, jak dwójka z AIVD opuszcza Marnixstraat głównym wejściem, jak wsiada do długiego czarnego mercedesa, który na nich czekał.

– Niech no zgadnę – odezwała się Bakker. – Schiphol.

– Będzie cyrk – powiedział Van der Berg. – Na zewnątrz czekają dziennikarze. I mamy manifestantów. Ludzi, których zdaniem facet powinien zawisnąć na najbliższej latarni. Oraz paru, których zdaniem ten sam los powinien spotkać nas.

Przedstawił im postępy w poszukiwaniach Natalii Bublik. Na krypie w Westerdok znaleziono odciski palców. Nie ma ich w systemie. Pobrano próbki DNA. Najwyraźniej tej dziewczynki. Reszty nie można było zidentyfikować, ale stwierdzono, że na łodzi przebywały trzy osoby, pomijając właściciela i sprzętaczkę. Mieszkaniec pobliskiego domu widział poprzedniego ranka, jak ktoś tam chodził. Niewiele miał do powiedzenia, tyle że był biały i około trzydziestki.

Vos podszedł do swojego biurka i podkręcił głoś w telewizorze. Bakker otworzyła stronę „Telegraaf”. Zwolnienie Alamy’ego było tematem dnia, wraz z doniesieniami o porwaniu. Holenderskie media zgodnie podjęły decyzję o złamaniu embarga zarządzonego przez władze, po tym jak artykuły o Natalii Bublik opublikowały media międzynarodowe.

– AIVD podsłuchuje telefon Kuypera? – spytał Vos.

Van der Berg ściągnął brwi.

– Piękna Mirjam nie za bardzo się tym zainteresowała. Ma ważniejsze sprawy na głowie. – Ujął palcami podbródek. – Oni naprawdę chcą położyć łapy na Alamy. To się wiąże z tym Barbonem, którego ścigają. Jest zdesperowana.

– Gdybyśmy mieli jakikolwiek dowód, osobiście przekreśliłbym klucz w celi – powiedział Vos, przeglądając artykuł w „Telegraaf”. – Mamy?

– Ja o żadnym nie wiem – odparł Van der Berg. I po chwili wahania spytał: – Co się stanie z dziewczynką? Jeśli Alamy odzyska wolność? Bo nie rozumiem...

Vos czekał.

– Czego nie rozumiesz? – spytała Bakker.

– Ci ludzie narobili szumu. Wysłali to wszędzie. Zdjęcia. Szczegóły. Nazwiska. Całe to propagandowe gówno. Ale... – Rozejrzył się po biurze. – Nie podali ceny. Po co to robią?

Bakker ruchem głowy wskazała Vosa.

– On wie. W każdym razie tak mu się wydaje.

– A można by nas wtajemniczyć? – spytał Van der Berg.

Vos zamknął przeglądarkę. Nie chciał już tego oglądać.

Zgodnie z komunikatem z Schiphol Alamy miał być zwolniony o siedemnastej trzydzieści. Spodziewano się tłumów.

Mnóstwo czasu.

– Załatw nam wóz – powiedział, a gdy Bakker się za to zabrała, ponownie zadzwonił do Hanny Bublik.

I tym razem połączył się z pocztą głosową.

– Mówi Vos – powiedział. – Proszę do mnie zadzwonić. Gdy tylko pani będzie mogła.

– Nie obsługuję kobiet – powiedział słaby głos w interkomie.

Renata Kuyper wyciągnęła portmonetkę i drżącymi palcami wyjęła z niej kilka banknotów.

– Ile to kosztuje? – spytała, starając się nie patrzeć na szczupłą blondynkę w białym za szybą.

– Nie... nie obsługuję kobiet.

– Na miłość boską, musimy porozmawiać. Mój mąż...

– Niech pani porozmawia z nim.

– Ile on pani zapłacił? Proszę. – Machnęła dwoma stueuroowymi banknotami w zimnym zimowym powietrzu. – Mam więcej, jeśli pani chce.

Długa cisza, wreszcie drzwi zwolniły się z brzęczeniem.

W małym pomieszczeniu było gorąco, pachniało potem i tanim żelazem pod prysznic. Hanna Bublik zaciągnęła czerwoną zasłonę, by nie było ich widać z ulicy, po czym usiadła na łóżku i patrzyła, jak Renata Kuyper zajmuje miejsce na stołku przy oknie.

– Jeśli chce pani przeprosin, musi pani iść do niego. Nie do mnie.

Renata położyła banknoty na stole. Dołożyła jeszcze pięćdziesiąt.

– Nie szukam przeprosin – powiedziała szybko. – Próbuję po prostu zrozumieć.

Hanna znalazła lichy szlafrok na haczyku za łóżkiem, zarzuciła go na siebie, wzięła puszkę coli, otworzyła ją, zaproponowała Renacie Kuyper, a gdy ta odmówiła, wypila ją szybko.

– Co zrozumieć?

– Dlaczego on to zrobił.

– Proszę jego spytać.

– Pytam panią. Co powiedział?

– To co zawsze mówią. W domu się nie układa. Żony nie robią tego, co oni chcą. Są znudzeni. Samotni. Muszą się poczuć... pożądanymi.

To brzmiało tak żałośnie. I zupełnie nie pasowało do Henka.

– I za pięćdziesiąt euro to dostają?

– Nie. Za pięćdziesiąt euro kupują pozory. Odrobinę ulgi. Potem się ubierają, wychodzą na ulicę. Idą do domu. Do swoich biur albo do baru. Nie mam pojęcia.

Pytania. Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Podobało mu się?

– Nie sądzę. Myślałam, że mi nie zapłaci. Za drugim razem nawet nie doszedł.

Skrzywiła się. Kobieta patrzyła na nią ubawiona.

– Przepraszam. To panią obraża? Myślałam, że chce pani wiedzieć. No bo inaczej... dlaczego?

– Zmarszczyła nos. – Po co pani tu przyszła?

Renata wstała.

– To był błąd.

Kobieta wstała i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Pytała pani...

– Dlaczego pani pracuje? Jeśli można to tak nazwać. Pani córkę porwano...

– Myśli pani, że nie pamiętam?

W głębi kabiny pod ścianą leżała komórka, ładowała się. Wyglądała na wyłączoną.

– Dlaczego pani nic nie robi?

Na twarzy Hanny Bublik pojawił się niemiły wyraz. Zniechęcający. Te słowa były okrutne i Renata o tym wiedziała.

– Robię, co mogę. Nie jestem... nie jestem jak pani. Nie zauważyła pani?

Wzięła pieniądze i podała gościowi.

– Nie chcę tego, nie zarobiłam ich.

– Dlaczego on dał pani tę kurtkę?

To pytanie chyba ją zainteresowało.

– Nie wiem. Myślałam, że może z poczucia winy. Mówił, że widział nas na ulicy. Natalia przypomniała mu własną córkę. Tylko dużo biedniejszą. – Wzruszyła ramionami. Wzięła ubrania z małej komódki w głębi. – Mam dość.

– Gdyby jej nie dał tej kurtki...

Kobieta wybrała czarne dżinsy i czarny sweter.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, moim zdaniem on nie miał do tego przekonania. Gdy ktoś coś robi z przekonaniem, to widać. Tacy ludzie wiedzą, czego chcą. Ile to kosztuje. O co prosić. On nie miał pojęcia. Nie mogłam uwierzyć, kiedy przyszedł drugi raz. Jak powiedziałam...

– Nie doszedł – przerwała jej Renata Kuyper. – Zrozumiałam. Dziękuję.

– Zabawne... Zwykle dają jednak radę. Jeśli nie, są problemy. Przecież po to tu przychodzą. Ale... – Wciągnęła sweter przez głowę, ściągnęła włosy, związała w kucyk, po czym włożyła

dżinsy. – On był tylko znudzony i ciekawy. Nic poza tym.

Podniosła swoją komórkę. Zaczęła przeklinać na kabel. Renata podeszła i spojrzała. Wyświetlacz był ciemny. Najwyraźniej gniazdko się zepsuło.

– Nawet telefony są przeciwko mnie – wyszeptała Hanna Bublik. Wyglądała, jakby chciała cisnąć aparatem o podłogę.

Renata ją powstrzymała. Wyciągnęła swój.

Następnie powiedziała jej, co słyszała. O uwolnieniu Alamy’ego.

– Myślałam, że pani wie. Przykro mi. Dlatego tak ostro się wyraziłam.

Sama miała nowy smartfon. Wszystko tam można było zobaczyć. Nawet filmiki.

Wyglądało na to, że dziennikarze z Amsterdamu rozbili obóz przed aresztem deportacyjnym na Schiphol, czekając na uwolnienie imama.

Gdy Hanna się wściekała, Renata wybrała numer Vosa i połączyła się. Następnie bez słowa podała telefon Gruzince.

Policyjny radiowóz jechał na lotnisko. Ciemnymi ulicami, niebieskie światła włączone, by przedrzeć się przez korki. Bakker siedziała obok Vosa na miejscu pasażera, dzwoniła po drodze. Kazał się jej uciszyć.

– Próbuję się z panią połączyć – powiedział, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to jak wyrzut.  
– Dużo się dzieje.

W gorącej kabinie, pod okiem Renaty Kuyper, w powietrzu gęstym od tanich zapachów, powiedziała:

– Wypuszczają tego człowieka. Ci dranie już nie potrzebują Natalii. Mogą ją wypuścić. –  
Dłgie, pełne udręki milczenie. – Prawda?

– Obawiam się, że to nie jest takie proste. Nadal chcą pieniędzy.

Krzyknęła. Tak głośno, że krzyk ten zabrzmiał boleśnie w niewielkim pomieszczeniu.

– Za kogo oni mnie mają?

– Tym niech się pani nie przejmuje – powiedział. – Znajdziemy rozwiązanie. Oni zadzwonią. Jutro się ze mną skontaktują.

– Jutro...

– Wiem, wiem. Będziemy się starali znowu pogadać z Ismailem Alamym. Może zaapeluje do nich, żeby ją wypuścili bez warunków. Jeśli mnie wysłucha...

– Dlaczego miałby słuchać? Wczoraj nie słuchał.

Zapadła cisza. Nie wiedzieć czemu źle się poczuła, że na niego nakrzyczała.

– Proszę – odezwał się w końcu. – Niech pani jedzie na Marnixstraat. I zaczeka tam na mnie. Będę panią informował. Jeśli coś osiągniemy z Alamym na Schiphol, od razu do pani zadzwonię.

Przerwało. Vos zniknął i już nie wrócił.

Renata Kuyper wpatrywała się w Hannę Bublik. Miała wyrzuty sumienia, że tak ją potraktowała.

– Co powiedział?

– To samo co zawsze. Mam siedzieć i czekać. Oni wiedzą lepiej.

Wpatrywała się w kobietę. Miała na sobie ubrania codzienne, ale drogie. Tak samo jak fryzurę i staranny makijaż.

– Rzeczywiście – powiedziała Renata Kuyper. – Zawsze tak mówią.

– Chcę jechać na Schiphol. Chcę tam być, gdy wypuszczą tego mężczyznę. Jeśli mogę go przebłagać, by coś zrobił w sprawie mojej córki...

Renata zerknęła na zegarek.

– Ja panią zawiozę – powiedziała i nie czekała na odpowiedź.

Zanim nieoznakowany radiowóz zajechał przed wejście do sekcji aresztu, tłum urósł. Operatorów i reporterów trzymano za tymczasowym ogrodzeniem wzniesionym przez rój krzątających się mundurowych. Znali Vosa. Zaczęli wykrzykiwać pytania, gdy tylko wraz z Bakker wysiadł z samochodu.

Nic nie powiedział, tylko się rozejrzał. Wyglądało na to, że mundurowi kontrolują sytuację. Po jednej stronie dziennikarzy grupa prawicowych manifestantów trzymała transparenty z tradycyjnymi antyislamskimi hasłami, wykrzykując obelgi o włos dzielące ich od aresztowania. Po drugiej stronie, odgradzona dziennikarzami, otoczona policjantami stała grupa wymachująca transparentami potępiającymi nielegalny areszt, dyskryminację rasową i religijną i kilkoma antywojennymi sloganami przywołującymi Irak, Syrię, Somalię i Afganistan.

– Nikt nigdy nie wspomina o Libii – burknęła Bakker, przeglądając je. – Mieliśmy wtedy rację czy nie?

– A kto to wie? – odparł Vos, wzruszając ramionami. Podeszli do strzeżonego wejścia, które znał już z wizyty z Hanną Bublik, pokazał legitymację i został wpuszczony do holu.

Nigdzie nie było widać Alamy'ego. Ani nikogo, kto by wyglądał na jego adwokata. Tylko Mirjam Fransen, jej pomagier Geerts i trzech prawników, dwóch mężczyzn i kobieta, a wszyscy szepotali coś niespokojnie do swoich telefonów.

– Ciągłe próbują? – spytała Bakker.

Wokół prawników unosiła się zubożniała atmosfera klęski, charakterystyczna dla przedstawicieli tego zawodu doznających porażki.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy, Vos – odezwała się Fransen. – Musi pan znaleźć coś, dzięki czemu go tu zatrzymamy. Nie obchodzi mnie, co to będzie. Jeśli go wypuścimy, to koniec, on przejdzie na drugą stronę ulicy, wsiądzie w dowolny samolot i tyleśmy go widzieli. Diabli wiedzą, dokąd ucieknie...

Bakker pokręciła głową.

– Myślałam, że chcecie się go pozbyć.

Fransen kazała prawnikom opuścić pomieszczenie. Zostali w czwórkę. Dwoje policjantów. Dwoje funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa.

Vos nie był pewien, czy to nie podstęp. Ale Mirjam Fransen wyglądała na rzeczywiście bezradną.

Spojrzała na Geerts. Ten wziął głęboki oddech i skinął głową.

– Mogę za to stracić pracę – powiedziała Fransen. – Nikomu nic nie mówcie. Nie..

– Niech więc pani nam nic nie mówi – przerwał jej Vos i ruszył do drzwi.

Geerts był szybszy, zastąpił mu drogę.

– De Groot wie – powiedział. – I nikt poza nim na Marnixstraat. Teraz jest was troje. I niech tak zostanie.

Wielki oficer wywiadu ani drgnął. Vos pokręcił głową i wrócił do Bakker. Ona słuchała z natężeniem z całym entuzjazmem właściwym młodości.

– Ismail Alamy jest ważniejszy, niż sądzicie – mówiła Fransen bezbarwnym, zmęczonym głosem. – Naszym zdaniem jest człowiekiem Barbonego. Jego prawą ręką. Zajmuje się pieniędzmi, rekrutacją. Planowaniem operacji. – Wychyliła się do przodu i powiedziała trochę też do siebie: – Gdybyśmy mogli go przekabacić... Jezu, gdyby nam się udało go nakłonić, żeby obrócił się przeciwko Barbonemu...

Bakker kiwnęła głową.

– Mówi pani, że to on stoi za obecnymi atakami?

– Za ich planowaniem – przyznał Geerts.

– Ale nie możecie tego udowodnić?

Znowu się obrócili skrzepowani.

– Musielibyśmy nadstawić karku – odparła Fransen. – To grząski grunt. Nie możemy go przekazać Amerykanom, którzy chcieli go przesłuchać. Sąd odrzucił ten wniosek. Nie możemy go oskarżyć o nic poważnego. Pozostaje nam go powstrzymywać. Trzymać go tutaj. I ciągle stawiać przed sądem.

Sięgnęła po krzesło i usiadła.

– Jeśli Alamy wyjdzie, może wsiąść do samolotu i udać się do jakiegoś państwa neutralnego. Wtedy zniknie. Na dobre. Gdyby musiał wrócić do któregoś z naszych sojuszników na Bliskim Wschodzie, ja bym wywierała naciski. Ma wybór. Jeśli pomoże nam znaleźć Barbonego, będzie wolnym człowiekiem.

Bakker milczała, czekając, aż odezwie się Vos.

– Co powiedział de Groot? – zapytał.

Fransen westchnęła.

– Że wasi prawnicy wydali tę samą opinię co nasi. Nie ma jak go zatrzymać. – Dotknęła ramienia Vosa. – Więc niech mi pan znajdzie powód. Zmyśli go. Nieważne. Niech mi pan da tylko kilka dni, to zdążymy przygotować prawdziwy zarzut, który go zatrzyma. Jeśli...

– A Natalia Bublik?! – krzyknęła Bakker. – Co się z nią stanie, jeśli sklecimy jakiś pretekst, żeby go zatrzymać w więzieniu? Myślała pani o tym?

Geerts wzruszył wielkimi ramionami.

– Tu nie chodzi o bezpieczeństwo żadnej jednostki. Alamy to zamachy bombowe, porwania, zabójstwa. Jeśli go wypuścimy, zniknie z Amsterdamu na dobre. Zaszyje się w miejscu, w którym nie będziemy go mogli tknąć, i stamtąd będzie knuł nieskończone gówna.

– A dziewczynka? – spytała Bakker ponownie. – Macie coś dla nas?

– Mówiłam już – odparła bez wahania Fransen. – Gdybyśmy mieli, wiedzielibyście o tym. Niewykluczone, że ona nie żyje, i to od samego początku. – Kiwnęła na Vosa. – On to rozumie, nawet jeśli pani nie.



Cisza.

Vos spojrział na Bakker, następnie wyjął swój telefon. Wcisnął guzik i zaczął odtwarzać rozmowę, którą właśnie odbyli.

– Proszę mi to dać – rozkazał Geerts.

– Nie mam na to czasu – odparł Vos, wrzucając telefon do kieszeni. – Wy też nie. Proszenie funkcjonariusza policji o fabrykowanie dowodów jest przestępstwem. Uznajcie to za ostrzeżenie.

Geerts zablokował mu wyjście. Bakker podeszła i kazała mu zejść z drogi. Niemal dorównywała mu wzrostem. Kiedy chciała, sprawiała imponujące wrażenie.

– W życiu panu nie pozwolą oskarżyć nas o cokolwiek, Vos – zawołała Fransen za nimi, gdy wychodzili. – Niech pan zejdzie na ziemię. To teraz nasz świat, nie pański.

Przeszli długim korytarzem, Vos za Bakker, żeby się upewnić, że Geerts niczego nie wywinie.

Na zewnątrz dwa przeciwne tłumy stały się tymczasem jeszcze głośniejsze.

– A jeśli oni mają rację? – spytała Bakker, gdy stali przy bramkach bezpieczeństwa. – Jeśli... jeśli mają rację?

Zatrzymał się gwałtownie.

– Naprawdę o to pytasz?

Nie słuchała. Wskazywała na tłum. Dwie kobiety przepychały się między ludźmi, kłócąc się cały czas z dwójką mundurowych.

– Czy to nie...?

Inna furgonetka. Inni mężczyźni. Trzech. Już nie starali się ukrywać twarzy.

Obcy. Ciemni. Nieśli ją w jutowym worku, kazali milczeć, gdy taszczyli ją do środka.

Potem krótki przejazd w nowe miejsce. Gorsze. Zniszczone, śliskie schody do piwnicy. Włączono światło, jedna żarówka. Ściany ociekające wilgocią. Zimno pomimo grzejnika pod oknem rozpalonego do czerwoności. Szyba zaklejona czarnym plastikiem.

– Masz. – Ten duży położył zimny, tłusty kebab na czerwonym plastikowym stoliku przy materacu na podłodze.

Z plastikowej torby wyjął butelkę wody. Na torbie widniała chińska nazwa, orientalne liternictwo i nad tym smok ziejący płomieniami.

Po czym ją zostawili. Koniec z długopisami i książeczkami. Pewnie nie było sensu o nie prosić. Ci mężczyźni byli zupełnie inni.

Rozejrzała się.

Musiał to być jakiś stary budynek. Posadzka ze zniszczonych cegieł, ściany też. Magazyn. Piwnica. Centrum miasta. Okolica ze sklepami. Mama mówiła, że w takim miejscu będą kiedyś mieszkać. Nieprędko. Ale może nigdy. Nie pasowały tu. Natalia zrozumiała to i po raz pierwszy od chwili, gdy została porwana, poczuła łyzy pod powiekami.

Spotkała je w życiu krzywdą, której ona się tylko domyślała, bo w tamtej chwili była bardzo mała. Śmierć jej ojca stanowiła część potwora. Ale to nie koniec, bo gdy podróżowały z miejsca na miejsce, nigdzie nie znajdując pieniędzy ani przyjaźni, nigdzie nie zostając na dłużej, spotkało je coś jeszcze.

Coś je opuściło po drodze i ta strata przeraziła jej matkę. Natalia się zastanawiała, czy

kiedykolwiek odzyskają dawne życie, szczęśliwe jej zdaniem.

Zrozumiała to, gdy zobaczyła mamę za oknem, prawie bez ubrania. Czasami, kiedy wracała ze szkoły, widziała ją, nawet jeśli bardzo nie chciała. Chociaż zawsze pilnowała, by zostać poza zasięgiem wzroku, w cieniu, za innymi dziećmi. Powiedziały jej, kim jest jej matka. Nie dokuczały jej. W każdym razie niedużo. Takie było to miasto. Złe rzeczy działały się obok dobrych. Czasami ciężko było je rozróżnić.

Jej młode bystre oczy wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach, gdy stała w zimnej piwnicy, wiedząc, że z nadejściem nocy zrobi się jeszcze zimniej.

Nie płacz. Zrób coś.

Tak mówiła jej mama, gdy w przeszłości robiło się źle. Natalia wytarła policzki. U góry panowała cisza. Stojąc na materacu, zdołała sięgnąć do zakratowanego okna. Jeśli się bardzo wysiliła, dotykała do krawędzi czarnego plastiku przyklejonego za kratą, by zasłonić widok na świat.

Na czubkach palców odchyliła odrobinę plastik, przylgnęła do mokrych cegieł i spróbowała wyjrzeć.

Jasnoczerwony neon w kształcie smoka ledwie widoczny na budynku po drugiej stronie wąskiej ulicy. I szyld, pobłyskujący czerwono-żółto-zielono. „Restauracja Złoty Raj. Najlepsza kuchnia sycuańska”. Pod napisem widniała błyskająca miska z elektryczną parą unoszącą się znad makaronu.

Poczuła się głodna, obejrzała się na zimny kebab. Nie była w stanie go zjeść.

Zrób coś.

Nie mogła bardziej unieść plastiku, więc zeszła z materaca i wyruszyła na oglądanie piwnicy. Pomieszczenie było większe od ich pokoju na Oude Nieuwstraat. U szczytu schodów znajdowały się drzwi, mocne, metalowe, zamknięte od zewnątrz. Obok nadproża znalazła coś, co wyglądało na włącznik światła, zaklejony czarnym plastikiem, tak że nie mogła się do niego dostać. Wróciła na dół. W rogu najdalszym od drzwi, obok wiadra, które pewnie miało jej służyć za toaletę, niewysoko nad podłogą wisiała na ścianie niewielka szafka.

Metalowa. Szara i stara. Niewielki przerdzewiały uchwyt, który ani drgnął. Ale w pomieszczeniu nie było nic innego i zamknięta szafka bardzo Natalię irytowała.

Więziono ją już dwa dni, prawie nikt się do niej nie odzywał. A teraz opierał się jej także głupi kawałek metalu.

Kopnęła więc w niego i krzyknęła, gdy nie drgnął ani o milimetr.

Z góry nie dobiegał żaden dźwięk. Nie było ich. Coś jej mówiło, że jest tam pusto. Tylko ona i głupia zamknięta szafka.

Znowu kopnęła. I jeszcze raz. Coraz silniej, głośniejsz z każdym ciosem.

Wreszcie pękł zawias. Mogła wsunąć palce pod krawędź, ostrożnie, żeby nie poranić się o ostre pordzewiałe krawędzie, potem owinęła dłoń brudną różową kurtką i wyważyła drzwiczki.

Samotna żarówka rzucała do środka słabe żółte światło. Narzędzia. Dłuta i śrubokręty. Mała piła. Kilka noży tapicerskich. Za nimi zestaw bezpieczników i przełączników oraz licznik prądu.

Zastanowiła się, co jej mama by zrobiła z tymi rzeczami.

Usiadła na jakiś czas na materacu, nasłuchiwała dźwięków z góry, wciąż nic, po czym wróciła do szafki na ścianie i spojrzała na tablicę elektryczną i na obracającą się tarczę licznika.

Wyciągnęła rękę i spróbowała pierwszego przełącznika. Nic się nie stało. Drugi. Nic. Zostały dwa. Przeszła czwartą i wydało się jej, że tarcza trochę zwolniła.

Potem trzeci. Jedyna żarówka w pomieszczeniu zgasła. Usiadła w zimnych ciemnościach i myślała.

Zgadywała. Nic więcej nie było trzeba. Umościła się wygodnie przy ścianie, przyłożyła palec do trzeciego włącznika i zaczęła podnosić go i opuszczać miarowym, nużącym rytmem. Żarówka rozbłyskiwała i gasła.

Nie miała pojęcia, czy ktoś to zobaczy. A jeśli zobaczy, to czy uzna, że to nie tylko uszkodzone światło.

Po kilku minutach usłyszała głosy. Mężczyźni. Wściekli. Zaskoczeni.

I kroki na kamiennych schodach nad głową. Zostawiła światło włączone, postarała się jak najdokładniej zamknąć szafkę, położyła się na materacu i udawała, że śpi.

Na Schiphol sytuacja się rozwijała. Wyczerpały się wszystkie możliwości.

Mirjam Fransen kazała Geertsowi odprowadzić Alamy'ego aż do kliki zwolenników, a potem go nie opuszczać.

Krępy agent kiwnął głową, niezadowolony.

– O co chodzi? – spytała.

– A co z imigracyjnymi? Jeśli spróbuje wyjechać z kraju, mogą go zatrzymać.

– Chciałabym...

Pokazała mu w telefonie wiadomość z Hagi. Trzy różne państwa zaproponowały Alamy'emu wizy tranzytowe. Same „neutralne”. Mógł poczekać na lot bezpośredni – albo znaleźć charter – i wyjechać. Nie znali sposobu, żeby go zatrzymać.

– Amerykanie mają nakaz – przypomniał Geerts. – Mogą go śledzić w przestrzeni powietrznej. Ktoś może zmusić samolot do lądowania.

Skrzywiła się.

– Tak jak próbowali ze Snowdenem? Zejdź na ziemię. To nie wchodzi w grę. Teraz to my jesteśmy źli, pamiętasz? Nie możemy wykręcać takich numerów.

Z głębi korytarza dobiegły ich jakieś dźwięki. Zbliżała się do nich grupa ludzi.

– Pomęcę znowu Vosa – powiedziała. I ruchem głowy wskazała tamtych ludzi. – Ty załatw to.

Burknął coś, czego nie usłyszała, i oddalił się w stronę ludzi Alamy'ego. Dwóch prawników, których mgliście pamiętał. Jedna działaczka od praw człowieka, która zawsze występowała w telewizji. Dwóch osiłek wyglądających na wynajętych ochroniarzy.

Drobny imam był w ciemnym garniturze, brodę miał starannie uczesaną, szedł promienny, szczęśliwy. Niósł niewielką walizkę. Wybierał się dokądś.

– Kim pan jest? – spytał jeden z ochroniarzy.

– AIVD. – Geerts odchylił marynarkę i pokazał odznakę. I broń w skórzanej kaburze. – Na zewnątrz jest zamieszanie, stoi parę osób, które nie uważają pana Alamy'ego za bohatera. Zostanę z wami, póki nie miniecie tłumy.

– Nie jest pan mile widziany – powiedziała działaczka.

– Rzadko mi się to zdarza – odparł pogodnie Geerts. – Ale będę wam towarzyszył i pogóździcie się z tym.

Milczeli.

– Zadzwoń po taksówkę? – spytał.

– Mamy spotkanie – powiedziała kobieta. – Gdy już wydamy oświadczenie dla prasy.

– Nie radziłbym – odrzekł Geerts. – Jak mówiłem, tam jest niespokojnie.

Minęli go. Alamy nawet na niego nie spojrzali. Nie miał na sobie płaszcza, a na dworze było zimno i padało.

Geerts zaczekał, aż oddalą się kawałek, po czym zadzwonił do Mirjam Fransen. Sprawa była oczywista. Alamy nie zamierzał opuszczać lotniska. Wyjeżdżał z Holandii.

Zgrzyt klucza w zamku. Metalowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Wielki zszedł na dół i wbił w nią wzrok. A potem w żarówkę.

Nic nie powiedział. Podeszedł do szafki. Zobaczył wyłamane drzwiczki. Wrócił do niej, usiadł obok na materacu. Chwycił silną ręką jej nogę i ścisnął.

– Zrób to jeszcze raz, a pożałujesz. – Wskazał szafkę. – Nie dotykaj jej. Ja się o wszystkim dowiem.

Pomyślała o chińskiej restauracji. Tam był. Musiał zobaczyć.

Natalia wskazała kebab.

– To jest zimne. Obrzydliwe. Chcę coś ciepłego.

Popatrzył na nią i roześmiał się.

– Mówili, że jesteś twarda.

– Ciepłe jedzenie – powtórzyła.

– Na przykład?

Zastanowiła się chwilę.

– Makaron.

Kiwnął głową.

– A jeśli przyniosę ci makaron – obejrzał się na szafkę – nie będziesz nic kombinować? Zostajesz tu. Jesteś cicho. Grzeczna dziewczynka. Wtedy niedługo zobaczysz mamę.

– Dobra – zgodziła się. Ciekawe, czy jej uwierzył.

Pięć minut później wrócił z plastikową tacą jedzenia i butelką wody. Rzuciła się na makaron, a on patrzył. Następnie wziął wiadro, poszedł na górę, opróżnił je gdzieś, wrócił i odstawił do kąta.

Gdy jadła, on wyjął telefon i zrobił jej zdjęcie. Natalia zamrugła powiekami na błysk flesza, z plastikowym widelcem w dłoni, buzią pełną jedzenia.

– Daj mi kurtkę – rozkazał.

– Dlaczego?

– Bo niegrzeczne dziewczynki mogą tu sobie marznąć w ciemności. Dawaj.

Pogroził jej pięścią. Zsunęła kurtkę. Spojrzała na różowy materiał i kucyki. Kurtka robiła się coraz brudniejsza.

– Będziesz miała nauczkę – dodał i wyszedł.

Z zewnątrz dobiegł hałas. Żarówka się wyłączyła i Natalia wiedziała, że nie może jej już włączyć.

Nie jest tak zimno, pomyślała. Mogła się skulić pod kocami.

Przez szczelinę w zaklejonym oknie widziała maleńki blask kolorowego neonu.

Było na tyle jasno, że dała radę rozpoznać narzędzia, które wykradła z szafki, zanim zaczęła się bawić przełącznikami. Noże. Piła. Dłuta i śrubokręty. Ukryte pod posłaniem.

Rzadka okazja. Mnóstwo ludzi. Grupka neonazistów po jednej stronie. Pośrodku media. Zwolennicy Alamy’ego i wrogowie trzymali się osobno. Tak jakby.

Zero księżyc. Zbierały się chmury. Z czarnego nieba zaczynał padać deszcz.

Decyzje.

W wojsku ktoś je za ciebie podejmował. Żołnierze tacy jak on, szeregowcy, nie mogli mieć własnego zdania. Musieli podporządkować się bez pytania. Robił to przez większość swojego życia. A co dostał w zamian? Koszmary i przerastające go poczucie winy.

Ferdi Pijpers spojrział na dwie przeciwne strony przed sobą i zastanawiał się, do których dołączyć. Do tych, którzy nienawidzili imama? Czy do tych, którzy go wielbili?

Nic pośrodku. Pośrodku chciała stać policja, a było to miejsce zimne, samotne i pełne bólu.

Dołączył więc do zwolenników. Nie zadawali pytań, gdy podszedł niespiesznie, wmieszał się w nich, dołączył do ich bezmyślnego, monotonnego skandowania. Bardzo przypominali neonazistów po drugiej stronie. Ten sam tępy rytm. Tylko inne tępe słowa.

Czasami w Afganistanie też były takie tłumy. Zawsze zbierały się na lincz.

Błagania nie leżały w naturze Hanny Bublik, ale i tak błagała, a pani Kuyper powtarzała jej każdą prośbę.

– Daj mi się z nim spotkać, Vos. Porozmawiać z nim.

Bakker wykroiła dla ich czwórki jakąś przestrzeń poza zasięgiem kamer. Renata słuchała uważnie u boku Hanny.

– Nie mogę – odrzekł. – Sąd uwolnił Ismaila Alamy’ego. Nie mamy żadnej prawnej kontroli nad jego poczynaniami. Nie mamy prawa niczego się od niego domagać...

– Co to oznacza dla mojej córki?

Nie odpowiedział. Bakker wbiła wzrok w ziemię.

– Muszę wiedzieć...

– To oznacza, że dalej szukamy – rzekł wreszcie. – A jutro porywacze przedstawią żądania. Pewnie będą chcieli więcej pieniędzy. Zmieniają... zmieniają strategię.

– Alamy wyda oświadczenie – dodała Bakker. – Rozmawiałam z kilkoma dziennikarzami. Przycisną go w sprawie Natalii. Może powie coś przydatnego. Lepiej, żeby to oni pytali niż policja. Naprawdę.

– Myśli pani, że to poskutkuje? – spytała Renata Kuyper.

Vos nie pojmował, co ona tu robi. Jakim cudem te dwie kobiety pojawiły się tu razem.

– Myślę, że warto spróbować. Myślę...

Jego słowa zagłuszył harmider, gdy dziennikarze dostrzegli swoją zdobycz.

Po drugiej stronie szarego podwórka otworzyły się bramki. Zwolennicy Alamy'ego wiwatowali jak szaleni. Protestujący po drugiej stronie wyli z wściekłości. Flesze aparatów rozpalały czarną noc niczym błyski błyskawic.

Wykrzykiwano pytania.

Mirjam Fransen podeszła do Vosa, chwyciła go za ramię, odciągnęła od pozostałych.

– To nasza ostatnia szansa – prosiła. – Kończą mi się możliwości. Jeśli nie znajdzie pan sposobu, żeby go zatrzymać, stracimy całe lata pracy. Musi być...

Przerwał jej jakimś wykrętem, coś o prawie i właściwym procesie. Potem zabrakło mu słów.

Dziennikarze ruszyli do przodu z taką siłą, że ogrodzenie się przerwało. Kilkoro podeszło. Mundurowi próbowali ich cofnąć.

Ismail Alamy szedł przed siebie ze zwyczajnym uśmiechem na twarzy. W eleganckim garniturze, bardziej pasującym do biznesmena niż imama, gotów opuścić kraj i zagubić się w dalekiej wylęgarni dżihadystów, pewnie w Rogu Afryki.

Prawnicy zebrali się tuż za nim, gdy wyciągnął z kieszeni przygotowane oświadczenie i zaczął czytać.

Bakker się skrzywiła. Hanna próbowała przedrzeć się przez tłum. Alamy przemawiał donośnym głosem, po angielsku, z akcentem, głośno i wyzywająco.

– Co z dziewczynką? – spytała dziennikarka na przodzie, wpychając mikrofon Alamy'emu w twarz. – Z Natalią? Co z nią, panie Alamy?

Uśmiechnął się szeroko. Rozłożył ręce. Thom Geerts kręcił się za nim, rozglądając się wśród tłumu.

– Nic nie wiem o tym dziecku. Jestem człowiekiem pokoju i sprawiedliwości. Dlatego chcą mnie uwięzić. Żeby ukryć prawdę. Żeby zapobiec...

– To moja córka!

Głos Hanny zadźwięczał w powietrzu, gdy próbowała przedrzeć się przez tłum.

Zapadła dziwna cisza. Nawet gorliwi wyznawcy wyglądali przez chwilę na zagubionych.

– Moja córka – powtórzyła, prawie już przy przerwanym ogrodzeniu, z wyciągniętymi rękoma, sięgając do niego.

Mikrofony i aparaty zawisły pomiędzy tą dwójką: kobietą w taniej czarnej kurtce; mężczyzną, niemal ubawionym widowiskiem, w eleganckim szarym garniturze.

Alamy się uśmiechnął. Wzruszył ramionami. I rzekł:

– Muszę zostawić ten zniszczony kraj samemu sobie. Żegnajcie.

Geerts stanął u jego boku. Vos przyglądał się potężnemu agentowi. Próbował rozgryźć, co się dzieje w jego głowie. Mirjam Fransen znowu gdzieś zniknęła. Na tym etapie rozgrywanie sztuczek ostatniej szansy nie leżało w zasięgu możliwości wywiadu.

Tłum zwolenników Alamy'ego ruszył, by go otoczyć.

Wtedy padł pierwszy strzał.

Vos go usłyszał i odruchowo prawą ręką pomacał się po kurtce w poszukiwaniu broni. Tak jak kiedyś.

Za plecami wysokiego mężczyzny w szarym garniturze Thom Geerts zatoczył się w tył. Z jego szyi tryskała krew.

Drugi strzał.

Alamy padł. Jakaś postać, powłócząc nogami, podeszła i stanęła nad nim, wykrzykując obelgi, wyrwana na chwilę z tłumu.

Ekipy telewizyjne wyczekiwały, kamery pracowały, błyskały flesze. Przerażeni ludzie nie mogli się odwrócić.

Trzeci strzał.

Rannym ciałem imama szarpnęło kolejne uderzenie.

Dopadli go policjanci w mundurach. Z wyciągniętą bronią. Otoczyli człowieka z bronią, krzyczeli, żeby padł na ziemię, podniósł ręce do góry. Jak zwykle.

Później w Drie Vaten, oglądając w telewizji powtórkę krótkiego i krwawego dramatu, Vos pogodził się z faktem, że to wszystko nie miało znaczenia. Czasami wydarzenia po prostu toczą się siłą rozpędu. Nic ich nie powstrzyma. Choćby nie wiadomo jak się starać.

Ferdi Pijpers ani myślał rzucić broń. To był kres długiej podróży, która zaczęła się na końcu świata, na tle posępnej, wyschniętej, nienawistnej mu krainy.

Jeszcze jeden strzał do imama na ziemi. Wtedy mundurowi otworzyli ogień i Pijpers padł, podrygując, i też umarł.

Trzy ciała. Ismaila Alamy'ego. Thoma Geerts. Pogubionego oficera wywiadu wojskowego, wydającego ostatnie tchnienie na asfalcie Schiphol.

Nie wiedzieć skąd pojawiła się Mirjam Fransen, krzykiem wzywając pomocy. A Laura Bakker patrzyła na tę rzeź. Może po raz pierwszy widząc koszmar, który będzie ją prześladował.

Zawyły syreny. Kamery, światła, dziennikarze ze swoimi mikrofonami i notatkami, uwieczniający każdą chwilę.

Vos patrzył i myślał.

Nie oglądaj się za siebie. Nie myśl, że jesteś mały albo się nie licysz. A przede wszystkim: nigdy się nie poddawaj.

Nie zajmował się martwymi. Znalazł natomiast Hannę Bublik i Renatę Kuyper i zabrał je z miejsca rzezi. Odprowadził je na obrzeża koszmaru, gorączkowo szukając słów.

Nie znajdował ich. Znalazła je natomiast matka Natalii.

– Co oni teraz zrobią? – spytała z pobladłą twarzą. Ręce jej drżały.

Pieter Vos zupełnie nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Następnego ranka Vos został obudzony przed szóstą trzydzieści. Wilgotny nos na policzku. Robotny język wylizywał mu ucho. Policjant objął Sama ramieniem, westchnął, pogłaskał go i powiedział coś o niewchodzeniu do łóżka. Po raz kolejny.

Pies pachniał tym swoim wilgotnym futrem. Musiał być w deszczu na pokładzie.

Vos wstał, włożył świeże dzinsy, świeżą szarą koszulę i czarny sweter. Gdy wyrzął na zewnątrz zza postrzępionych zasłon, stwierdził, że od wczoraj pogoda w zasadzie się nie zmieniła. Wilgotny poranek. Mżawka i posepne niebo.

Sam nie odstępował swego pana na krok, gdy ten robił kawę, tosty, sprawdzał wiadomości, włączał telewizor, oglądał materiały o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

– O co chodzi? – spytał, gdy mały terier nagabywał go bardziej natarczywie niż zwykle.

Głośno wychłaptana miseczka mleka. Róg tosta zjedzony u stóp Vosa. Psie śniadanie. A wzburzony zwierzak nadal skomlał i biegał wokół nóg pana, gdy ten szykował się do pracy.

Od czasu do czasu Vos schylał się, by poklepać Sama jedną ręką. Drugą sięgał po tosta, kawę, telefon. Aparat Renaty Kuyper leżał przy gniazdku podłączony do ładowania. W nocy nic się na nim nie pojawiło. Wpłynęło natomiast mnóstwo mejli do skrzynki odbiorczej. Od de Groota. I od Rijndera pracującego nad ranem.

Od Hanny Bublik nic. Siedziała z Renatą Kuyper, aż stało się oczywiste, że wydarzenia na Schiphol niczego nie zmieniły. AIVD już prowadziła sprawę, zamykała teren, rządziła mediami, mundurowymi, wyprowadzała gapiów z terminala. Zjechały się ich nocne ekipy i zajęły się zwłokami.

Około dwudziestej pierwszej w końcu zgodziła się, żeby Bakker odwiozła ją i Renatę do miasta. Vos zastanawiał się, co się dalej dzieło. Żadnej rodziny. Żadnych przyjaciół, o ile wiedział. Potrzebowała pieniędzy. Czogoś, by wypełnić czas. Nie zamierzała siedzieć na Marnixstraat jak zrozpaczona ofiara. To nie leżało w jej naturze.

Podał Samowi kolejny kawałek tosta, w nadziei, że to go uciszy, i zadzwonił na Marnixstraat. AIVD wycofała się do swojej skorupy tajemniczości. Policjanci z nocnej zmiany wykonali dobrą robotę, zbierając informacje o Ferdin Pijpersie, człowieku, który stojąc w tłumie, zastrzelił Alamy'ego i Thoma Geertsza. Były oficer wywiadu wojskowego. Dwa lata temu zwolniony z wojska z zespołem stresu pourazowego. Ku konsternacji Vosa okazało się, że wczoraj przyszedł na komisariat i rozmawiał z Koemanem, rzucając ogólnikowe oskarżenia pod adresem Alamy'ego. Koeman spławił go jako świra. Pewnie nie bez powodu. Co nie znaczy, że teraz nie będą go dręczyć wyrzuty sumienia.

– Macie adres Pijpersa? – spytał dyżurnego.

Wynajmował pokój w Oud-West. Miał żonę, ale ona przeprowadziła się do Turcji. Nie wpadli na ślad żadnej innej rodziny.

Poprosił, żeby go powiadomili, gdyby pojawiło się coś nowego. Właśnie de Groot napisał mu esemesa. O ósmym spotkaniu z AIVD w jego gabinecie.



W wiadomościach nie padło ani słowo o Natalii Bublik. Nie dlatego, że się nią nie przejmowali. Ta sprawa po prostu toczyła się poza ich zasięgiem.

Zanim Vos przejrzał całą swoją pocztę i sprzątnął po śniadaniu, zrobiła się prawie siódma. Sofia Albers była już na pewno na nogach i mogła odebrać Sama. Może nawet jeszcze zdąży się z nim przejść nad kanałem, zanim to nastąpi.

Bakker czekała na niego w Drie Vaten, skubiąc croissanta i popijając. Stawiła się w swoich starych ciuchach, tych, które uszyła jej ciocia w Dokkum. Bładozielony kostium, workowaty i brzydki. Zupełnie jakby szukała czegoś znajomego i pokrzepiającego.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Wkurzona. – Zawahała się. – I zaskoczona.

– Czym?

– Na przykład tym, dlaczego nie powstrzymaliśmy tego szaleńca.

– Trudno zapobiec nawet rzeczom, które umiemy przewidzieć, Lauro. A takim ni stąd, ni zowąd...

Cisza. Nie o to chodziło.

– Co cię naprawdę martwi?

– Nie rozumiem tego. To są terroryści. Sądziło się, że porywają córkę znacznego amsterdamskiego arystokraty. Wojskowego. Dziecko, za które mogą zażądać okupu.

– Tak to wygląda – przyznał Vos.

– Ale spieszyli sprawę. Porwali niewłaściwą dziewczynkę. A kiedy się dowiedzieli, że Alamy wychodzi, nie wypuścili jej. Zażądali pieniędzy.

– Musisz myśleć tak jak oni – podsunął.

– To samo powiedziałam wieczorem Van der Bergowi. A on zabił mnie wzrokiem i odparł, że nie chce.

– Dirk to Dirk. A ty to ty. Co byś zrobiła?

– Szybko bym się postarała o jakieś pieniądze. – Ciche przekleństwo nad kawą. – Matka jest przedmiotem handlu, prawda? Więc dlaczego by nie pohandlować córką?

Vos popatrzył przez okno, po czym sięgnął po swoją kurtkę, smycz i plastikową torebkę. Czas na spacer. On go potrzebował, a Sam wciąż kręcił mu się u nóg. Przyszło mu do głowy, że wie, dlaczego pies się tak denerwuje. Wyczuwał coś w powietrzu. Przygnębienie, niemal rozpacz, która nadciągała nad ich zniszczoną łódź, nad ich dom na Prinsengracht.

Może bał się, co z tego może wyniknąć. Vos zaczynał się bać, gdy się nad tym długo zastanawiał.

– Jestem blisko? – spytała Bakker.

– Dość. Gdybyś była sprytna, przekazałabyś ją komuś, kto się zajmuje wymuszaniem, w zamian za jakiś procent. Sprzedaż wiąże się z negocjacjami, z ryzykiem zupełnie innego rodzaju. Oni nie mają na to czasu, ani nie są na tyle zacięci.

– To musiałyby oznaczać, że ponownie ją przenieśli.

– Pewnie tak.

– Albo ją zabili. W szkole analizowałam sprawy porwań. Czasami porywacze targują się o okup, kiedy porwane osoby już nie żyją.

– Czasami tak jest – przyznał.

– Mogę trzymać Sama?

Bakker wyciągnęła rękę. W tej chwili wyglądała jak nastolatka. Zbolała.

– Nie ma na to czasu. Mam spotkanie na Marnixstraat. Chcę, żebyś z Dirkiem przeszukała pokój tego żołnierza. Ferdiego Pijpersa. Zadzwoń, jeśli coś znajdziecie.

Długa cisza, milczenie, które już chyba znał.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Chcę, żebyś pojechała do Oud-West. Jak już powiedziałem.

– Ty nigdy nie rozmawiasz z ludźmi, Vos! Zupełnie jakbyś chciał nas trzymać w niewiedzy, dopóki nie uznasz za stosowne nas oświecić.

Jęknął, znalazł psa, przypiął mu smycz i wyszedł na dwór. W powietrzu czuć było nadciągającą zimę: zimną, wilgotną, bezlitosną.

Ruszyła za nim, nie odpuszczała.

– Przez ciebie wciąż się czuję jak outsider.

– Przykro mi. Nie chciałem.

Podeszła do roweru i ruszyła w szary poranek, wyprostowana sztywno na solidnym batavusie.

– Już idę, już – burknął, gdy rozgorączkowany futrzak zaczął szczeleć. Sofia Albers wracała z piekarni z naręczem chlebów dla klientów na cały dzień. Uśmiechnęła się, pomachała mu. W tym zakątku Jordaanu wszystko zawsze wydawało się tak normalne, tak prozaiczne, cokolwiek działo się w pozostałych częściach miasta.

Sam szarpnął tak mocno, że Vos puścił smycz. Mały terier pognął na dziób łodzi. Do srebrnej figurki, którą zwykle ignorował.

– Co znowu? – westchnął Vos.

Po czym spojrzał i już znał odpowiedź.

Rankiem mieli gościa. Z ramienia baletnicy zwisała zwykła biała plastikowa torba.

Vos podszedł, nałożył lateksowe rękawiczki, odczepił pakunek i zajrzał do środka.

Kartka papieru. Litery wycięte chyba z kolorowego magazynu i przyklejone do kartki tworzyły wiadomość. I stary samsung, naładowany.

Tak się kiedyś załatwiało sprawy. Ktoś najwyraźniej nie chciał ryzykować, że zostanie namierzony przez komórkę.

Wiadomość brzmiała: „Dwieście tysięcy euro. Bo będziemy musieli ją zabić”.

Pod literami znajdował się atramentowy wydruk zdjęcia kiepskiej jakości: Natalia na niskim posłaniu, w różowej kurtce, zabiera się za jakieś jedzenie.

Samsung zadzwonił.

Vos podskoczył. Rozejrzał się. Wiedzieli, kim jest. Musieli go obserwować.

– Skąd mam wiedzieć, że ona żyje? – spytał od razu.

Śmiech. Głęboki i pewny.

– Znajdź dwieście tysięcy euro. I mam nadzieję, że masz też dla mnie inteligentne pytania.

W głosie rozmówcy brzmiało okrucieństwo i doświadczenie.

– Ile mam czasu?

– Dzisiaj o szesnastej zadzwonię na ten telefon. Ani minuty wcześniej. Ani minuty później. Ty odbierzesz. Pieniądze mają być wtedy gotowe. Dopniemy sprawę jeszcze dzisiaj.

Usiadł ciężko na mokrej, połamanej drewnianej ławce na pokładzie.

– Dajesz mi osiem godzin na zebranie fortuny? Matka nie ma ani grosza.

– Osiem godzin i ani chwili więcej. Punkt szesnasta.

– Na miłość boską, daj nam szansę. Ty chcesz pieniądze, ja chcę Natalię. Nie utrudniaj tego.

Ciche, bezduszne westchnienie.

– To da się zrobić, jeśli zechcesz.

– Posłuchaj...

– Nie. Nie ma już co gadać. Poza...

Cisza. Vos próbował sobie wyobrazić, co tamten myśli.

– Poza?

– Podstawą jest zaufanie. Jeśli w którymkolwiek momencie uznam, że mnie zwodzisz... że nie masz poważnych zamiarów, zapomnij o umowie. Już o mnie nie usłyszysz. Wiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście.

Znowu ten bezduszny, ponury śmiech.

– Nie sądzę. Mówię, że od ciebie zależy, czy to dziecko przeżyje.

Elektroniczne kliknięcie i w słuchawce zaległa cisza. Vos wpatrywał się w zdjęcie Natalii Bublik, samotnej nad plastikowym pojemnikiem z jedzeniem. Zastraszonej, ale nie przerażonej. Nieodrodna córka swej matki. Widział to w jej oczach.

Odprowadził Sama do Drie Vaten.

– Wybacz, chłopie – rzekł. – Nie dzisiaj.

Sofia go wyprowadzi. Nie po raz pierwszy. Nie po raz ostatni.

Osiem godzin i ani słowa o zastrzeleniu Ismaila Alamy'ego.

To niemożliwe. I zastanawiał się, czy oni o tym wiedzą.

Gdy zostawił psa, zadzwonił do Hanny Bublik. Najwyraźniej wstała już dawno temu.

– Musi pani przyjechać na Marnixstraat – powiedział.

Lucas Kuyper co rano jadł śniadanie w tym samym miejscu: w szykownej knajpce w rejonie Negen Straatjes, na rogu Wolvenstraat i Herengracht. Dobra kawa i świeżo wyciskany sok z pomarańczy. Dzisiaj zamówił *wentelteefjes*, smażony chleb maczany w jajkach, z cukrem i cynamonem, podany z domowym dżemem morelowym.

I wziął egzemplarz „Telegraaf”, chociaż nie za bardzo miał nastrój do lektury. Bardziej odpowiadało mu europejskie wydanie „Financial Times”. I kilka stron mejli, które wydrukował sobie dzisiaj rano, żeby je załatwić przy swoim ulubionym cichym i ustronnym stoliku w kącie.

Na ulicach trwały przygotowania do Bożego Narodzenia. Nad wąskimi ulicami rozpięto sznury lampek. W witrynach zawisły plakaty. Do klientów i dzieci zewsząd uśmiechały się promiennie postaci Sinterklaasa i Zwarte Pieta.

Podczas pobytu we Francji, pełniąc służbę w niewielkiej i tajemniczej bazie NATO, Kuyper

rozmiłował się we francuskiej wersji dania, które stało przed nim. Nazywało się ono *pain perdu*, chleb stracony, przed obtoczeniem w masie mleczno-jajecznej nasączano ów chleb koniakiem. W ten chłodny poranek, pełen ponurych myśli, tęsknił za tamtą nutą alkoholu. W kawiarni go znano. Może by dodali łyk brandy, gdyby poprosił. Ale wówczas już przez cały ranek miałyby w ustach posmak trunku. A może by kogoś spotkał...

Zajął się „Financial Times”. Śmierć Alamy’ego, agenta AIVD i mściwego byłego oficera wywiadu wojskowego zajęła trzy akapity na pierwszej stronie. Czuł gniew, że w ogóle ten temat się tam znalazł. Nie po to czytał tę gazetę.

W knajpce oprócz niego był tylko jeden klient – kobieta w średnim wieku, opatulona, jakby spodziewała się epoki lodowcowej. Siedziała przy oknie. Przyglądał się jej uważnie. Zawodowo. Wyjęła z torebki jakiś tablet i zaczęła grać.

Znudzona. Tak jak on. Wyjął kartki wydrukowane rano i zaczął je przeglądać. Nagle usłyszał znajomy głos przy drzwiach i szybko wepchnął kartki do kieszeni.

Renata Kuyper zamówiła kawę i usiadła.

– Tak myślałam, że cię tu znajdę.

– Tu jem śniadania. Więc gdzie miałabyś mnie znaleźć?

– Dzwoniłam do ciebie. Zostawiłam wiadomości. Nie oddzwoniłeś.

Z małego telewizora wiszącego na ścianie w rogu dobiegały monotonne dźwięki. Leciały wiadomości. Wyglądało na to, że jedyny temat w Amsterdamie to zastrzelenie Ismaila Alamy’ego w obecności kobiety, której córkę porwano, by wymóc na władzach jego uwolnienie. Co prawda nie przeprowadzili wywiadu z Hanną Bublik, nie mieli nawet jej zdjęcia. Odmówiła kontaktu z mediami.

– Oglądałem rano wiadomości – powiedział. – Byłaś tam. Na Schiphol. – Skrzywił się i złożył różową gazetę. – Myślałem, że mam halucynacje.

– Oczywiście, że tam byłam. Przecież to nasza wina. Henk dał tej kobiecie kurtkę, którą kupił dla Saskii. Gdyby nie my...

Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Zamilkła.

– Ani ty, ani Henk nie ponosicie za nic odpowiedzialności. Ponoszą ją ludzie, którzy porwali to dziecko. Tak samo jak ten obłąkany żołnierz ponosi winę za to, co się stało na lotnisku. – Znowu się skrzywił. – Ale chociaż za to zapłacił.

Podano kawę. Zaczekała, aż kelnerka odejdzie.

– Ty wiesz, prawda? – powiedziała. – O Henku? O tym, co zrobił.

Kuyper lubił swoją synową, ale czasami uświadamiał sobie, jaki ciężar musi dźwigać jego syn.

– Zadzwoił do mnie wczoraj. Martwił się. Nie wiedział, co się z tobą dzieje. Potem zobaczył materiał z Schiphol. – Skubnął słodkiego tosta. Apetyt mu minął. – Nawet do niego nie zadzwoniłaś. Czego oczekujesz?

– Oczekuję, że mój mąż nie będzie posuwał prostytutkę na ulicy.

W milczeniu wpatrywał się w talerz.

Przechyliła głowę na bok. Ostatnio nieustannie wydawała się napięta i wściekła. Ale chwilami ten niepokój uchodził i wtedy widział cień kobiety, którą jego syn poślubił. Chociaż już wtedy

dostrzegało się pewne problemy. To było dziwne małżeństwo. Pospieszne, oparte raczej na namiętności niż na rozsądku.

– Uważasz, że to wygórowane wymaganie, Lucasio?

– Każde małżeństwo przechodzi próby, takie czy inne. Życie to nie bajka. Tylko dzieci sądzą inaczej.

– Myślisz, że w tej chwili życie Natalii Bublik przypomina bajkę? Albo życie jej matki?

Podniosła głos. Kelnerka za barem najwyraźniej się zaniepokoiła.

– Ta dziewczynka tak się nazywa?

– Nie czytasz gazet?

– Nie czytam takich wiadomości. Już i tak dość ich na świecie. Nie potrzebują mnie, żeby się urzeczywistnić.

Dopił kawę.

– Gdy musiałem walczyć z tymi wszystkimi absurdami dotyczącymi Srebrenicy, Ruth odeszła. Henk pewnie nigdy ci o tym nie mówił.

Wyraz zaskoczenia na jej twarzy wystarczył za odpowiedź.

– Mój mąż niewiele mi mówi, prawda?

– Może uważa, że tak jest lepiej.

– Sądziłam, że ty i Ruth byliście najszczęśliwszą parą na ziemi. Dopóki ona nie zachorowała.

Ściągnął brwi.

– Bywaliśmy. Nie wtedy, gdy prasa siedziała pod naszym domem, czekając na informacje, czy jestem kimś na kształt masowego mordercy. Albo tchórzem. Albo... Bóg jeden wie czym. Odeszła. Gdy najbardziej jej potrzebowałam.

Chciał, żeby wiedziała, że na to wspomnienie wciąż czuje wstręt i że ta rozmowa mu się nie podoba.

– Przykro mi, Lucasio.

– No właśnie. Gdyby nie zachorowała, nie wróciłaby. – Pochylił się do przodu, by podkreślić swój punkt widzenia. – Ani też ja bym jej nie przyjął. To by nie przyniosło nic dobrego. Ale kiedy wróciła... – Skubnął jednak kawałek słodkiego chleba i wsunął do ust. – Po jakimś czasie zdaliśmy sobie sprawę, że szczęście nie pojawia z własnej i nieprzymuszonej woli. Czasami trzeba je mozolnie zbudować. Czasami od zera. Albo na zgliszczach. I jeden szczęśliwy dzień w całym żalonym roku to niekiedy wszystko, na co możesz mieć nadzieję.

– Nie przyszedł tu na wykład.

– Więc po co?

– Hanna Bublik będzie potrzebowała pieniędzy.

Pokręcił głową.

– Myślisz, że płacenie przestępcom to rozwiązanie problemu? A co z następnym dzieckiem, które zostanie porwane przez te szumowiny? Spadnie na twoje sumienie? Powinno. Nie zgasisz ognia, podlewając go benzyną.

Zawahała się. Inteligentna kobieta. Kuyper był pewien, że synowa zrozumie problem.

– To argument intelektualny. Mój jest emocjonalny. Poznałam ją. Nie zasługuje na taki los,

tak samo jak jej córka.

Westchnął, a zanim się zdążył odezwać, synowa podjęła:

– Gdyby porwali Saskię, też byś tak uważał? Pozwoliłbyś jej umrzeć w imię... w imię tych zasad? Tak byś im właśnie powiedział?

Jęknął zniecierpliwiony.

– Oczywiście, że wówczas uważałbym inaczej. Ale to nie jest Saskia, prawda? To nic złego słuchać głosu serca, ale czasami trzeba też słuchać rozumu.

– A więc życie dziecka wschodnioeuropejskiej prostytutki jest warte mniej niż życie twojej wnuczki?

– Nie jestem bogaczem. Cokolwiek ludzie gadają. Wojsko nigdy nie płaciło dobrze. Wybór takiej kariery podyktowała mi tradycja rodzinna.

Uśmiechnął się pod nosem. Renata, szczupła, ciągle śliczna, pod kruchą fasadą skrywała ogromną siłę. Od początku to widział.

– Odchodzę od Henka – powiedziała. – Musimy gdzieś zamieszkać. Saskia i ja. Nie mam do kogo się zwrócić. U ciebie jest tyle miejsca...

Pokręcił głową.

– Chcesz, bym pomógł ci odejść od mojego syna?

– Lucanie! Nie mogę zostać z nim pod jednym dachem! Po tym wszystkim.

– Henk cię kocha. Kocha Saskię. Nie wezmę udziału w rozbijaniu mojej własnej rodziny.

– Jeśli mnie kocha, dlaczego uprawia seks z prostytutką?

Machnął ręką lekceważąco.

– Dość. Wybaczenie wymaga czasu. Ważne, by nad nim pracować. Znasz moje zdanie.

Wstał i uregulował rachunek za nich oboje. Poszła za nim do drzwi i chwyciła go za ramię.

– Lucanie...

– Jeśli pozwolisz – rzekł kwaśno – na chwilę przestanę się zajmować twoją urażoną dumą i zadam ci pytanie. Nie widzisz, że Henk cię potrzebuje? Teraz bardziej niż kiedykolwiek? Czy też uważasz, że tylko ty jedna na świecie jesteś zdolna do odczuwania odrobiny bólu?

– Odrobina bólu? – powtórzyła. Skłęła go, po raz pierwszy w życiu. – Dostanę od ciebie jakieś pieniądze czy nie?

– W zamian za co? – spytał. – Nic za darmo.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś dała Henkowi szansę. Jeśli zapłacę za tę chorą mrzonkę, zrobisz to dla mnie?

Wpatrywała się w niego.

– Czy to oznacza również sypianie z nim? Bo jeśli tak...

– Jesteście mężem i żoną! To się wiąże z obowiązkami i odpowiedzialnością. Za siebie nawzajem. Za Saskię.

– Jezu... nie wierzę...

– Jeśli przekażę ci pieniądze, dasz mu chociaż szansę naprawienia błędów? I spokój na jakiś czas?

– Mam wybór?

– Możesz odmówić. Przegrasz swoje małżeństwo. Córkę. Dom. Ten wariacki plan, żeby pomóc jakiejś prostytutce, której w ogóle nie znasz... Twój wybór.

Zastanawiała się chwilę.

– Dobrze. Zrobię to. Myślę, że sami zdołamy zebrać jakieś trzydzieści tysięcy. Rozumiem, że dołożysz chociaż tyle samo, tak?

– Powiedz, kiedy musisz je dostać.

Kuyper patrzył, jak synowa oddała się ulicą szybkim krokiem w swoim drogim płaszczu.

Czy ona w ogóle kiedykolwiek zastanawiała się, kto za to zapłacił?

Gdy stracił ją z oczu, podszedł nad kanał i znalazł spokojne miejsce. Zadzwoił, odebrano pod drugim sygnale.

– Co teraz, kurwa, zrobimy z tym całym burdelem? – spytał. I czekał na odpowiedź.

W mieszkaniu Ferdiego Pijpersa, skromnej kawalerce w suterenie zniszczonej kamienicy w jednej z mniej przyjemnych ulic Oud-West, panował nieskazitelny porządek. Typowy lokal socjalny dla ubogich – wąskie łóżko, stół, dwa krzesła, kilka garnków, patelni, talerzy, niewiele więcej.

Nocna zmiana już przeszukała pomieszczenie. Jeszcze się tu kręciło dwóch techników w białych kombinezonach. Towarzyszył im Van der Berg, który wyglądał nieco zabawnie w białym plastiku.

Gdy pojawiła się Bakker, kobieta z działu kryminalistycznego odwróciła się do niej i powiedziała, że nie musi wkładać kombinezonu ochronnego, jeśli chce do nich dołączyć.

– Prawie już skończyliśmy – wyjaśniła. – Niewiele tu do oglądania.

Znaleźli jeszcze jedną sztukę broni, stary pistolet, i trochę amunicji. Pewnie ukradzionej z wojska.

Van der Berg zdjął kombinezon i spytał ją, czy zechciałaby przynieść cztery kawy z knajpki za rogiem.

– Nie za bardzo – odparła.

Obrzucił ją wzrokiem.

– No to ja pójdę – rzekł i wyszedł.

Technicy szurali osłoniętymi plastikiem stopami. Bakker spytała, co znaleźli. Niewiele. Sąsiedzi prawie nie znali Pijpersa, a zakwaterowała go tu organizacja zajmująca się weteranami. Sądząc po zawartości kuchni, żył na szynce, jajkach i piwie.

Bakker włożyła rękawiczki, podeszła do szafki przy łóżku i otworzyła pierwszą szufladę.

– Już tam sprawdzaliśmy – powiedziała kobieta.

– Świetnie. – Bakker przejrzała stare ubrania, majtki, skarpetki, bluzy. Nic nie znalazła.

W kolejnej szufladzie leżało mniej więcej to samo. I w trzeciej.

– Najbardziej interesujące znalezisko mamy tutaj – odezwała się znowu technik.

Podeszła do pudła i wyjęła niewielkie zdjęcie w ramce, teraz zapakowane do plastikowej torebki dowodowej. Bakker je rozpakowała. Przedstawiało chłopca w niechlujnych ubraniach, siedmio- może ośmioletniego. Miał oliwkową skórę i szczerbaty uśmiech. Za nim rozciągała się

pustynia i w pewnej odległości manewrował wielki wojskowy pojazd, wyrzucając pył spod kół.

Wrócił Van der Berg z kawą i postawił cztery kubki na stole. Ona swojego nie tknęła.

– Afganistan – rzekł. – Rijnder przez noc rozpytał w wojsku. Chłopiec był sierotą, żołnierze go niejako adoptowali. Mieszkał z nimi. Trochę robił za gońca. Uczyli go angielskiego i niderlandzkiego.

Upił łyk kawy.

– Najwyraźniej Pijpers szczególnie się o niego troszczył. Chciał wystąpić o zezwolenie, żeby go tu przywieźć. Mówił, że jeśli go zostawią, nie będzie bezpieczny. Skoro mieszkał u nich w obozie i uczył się języka. Przełożeni mu odmówili.

Wiedziała, co zaraz usłyszy.

– I?

– Któregoś dnia chłopak oddalił się od obozu i nie wrócił. Dwa dni później znaleźli go w odległości kilku kilometrów. Nie chcesz znać szczegółów. – Znowu się napił kawy. Wyglądał, jakby jej bardzo potrzebował. – Ferdi Pijpers oszalał. Oskarżał dowódcę o porzucenie chłopca. Potem się zwolnił i po powrocie do domu usiłował żyć z żalosnego zasiłku.

Van der Berg wziął zdjęcie i wsadził je z powrotem do torebki. Nie fatygował się z rękawiczkami. Może słusznie. Sens wydarzeń wydawał się oczywisty. Chory weteran wrócił do domu pełen nienawiści. Widział, co się działo w sprawie Alamy'ego. Postanowił zemścić się na nim. I może na Holandii.

– Głupiec nie przysłużył się tej małej Gruzince – mruknęła pod nosem techniczka.

– Ferdi Pijpers był wariatem – zauważył Van der Berg. – Nie można w jego działaniach szukać logiki. I sami go do tego pchnęliśmy. – Dźgnął się w pierś palcem wskazującym. – My.

Zapadła cisza. Trochę zakłopotany swoim wybuchem Van der Berg spytał, czy są jakieś wiadomości z Marnixstraat.

– Ja nic nie wiem – odparła Bakker. – Ale ja zawsze wiem tylko tyle, ile mi powiedzą. Czyli niewiele.

– Lauro... może wszyscy byśmy po prostu kupili znaczki „Przepraszam” i przypięli je sobie na piersi, jeśli chcesz. To by pomogło?

Roześmiała się. Lubiła tego zabawnego, porządnego faceta.

– Niewykluczone. Wybacz. Czuję się po prostu... trochę odsunięta. Jestem trudna?

– Czasami.

Dwoje techników się pakowało.

– Już koniec? – spytała. – Fotografia nieżyjącego chłopca? Nic więcej nie mamy?

Kobieta podeszła do pudła i wyjęła większą torbę dowodową. W środku znajdował się stary, ciężki laptop.

– Ma hasło. Musimy go przekazać informatykom. Może się dostaną do środka.

– Mogę zerknąć?

Kobieta burknęła coś pod nosem, ale położyła laptop na stole. Palcami w rękawiczkach Bakker wyjęła go z torebki i odwróciła. Brakowało baterii. W gniazdku w ścianie tkwił jeszcze kabel zasilający. Ignorując jęki kryminolożki, podłączyła go i wcisnęła włącznik.

Po długiej chwili i głośnych szumach pojawił się ekran logowania.



– Jak mówiliśmy – powiedział drugi oficer – jest zahasłowany. Przekażemy go informatykom. Oni sobie z tym poradzą.

Bakker wcisnęła guzik „podpowiedź hasła”.

– No na miłość boską – jęknął technik.

Wszyscy patrzyli, jaki tekst się pojawi. Bardzo długa podpowiedź. Jeden wers o treści: „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego”.

Laurze Bakker przypomniały się zajęcia szkółki niedzielnej. Jeśli dobrze pamiętała, był to cytat z Ewangelii św. Mateusza. Ferdi Pijpers musiał się wychowywać w religijnym środowisku.

– Jak się nazywał ten chłopiec? – spytała. – Ten Afgańczyk?

Van der Berg zerknął do notatek.

– Farshad. Sprawdzaliśmy w translatorze. Zdaje się, że to oznacza szczęśliwy.

Wpisała imię.

Farshad.

Nic.

– To absurd – burknęła kryminolog. – Proszę mi to oddać. Trafi do ludzi, którzy wiedzą, co z tym robić.

FARSHAD.

Ostatnia próba.

farshad.

Ekran się rozjaśnił.

Pojawił się pulpit.

Przebiegła palcami po klawiaturze.

– I już – powiedziała.

Biuro de Groota. Komisarz, Vos i Mirjam Fransen siedzieli niespokojnie, świadomi, że lada chwila pojawi się Hanna Bublik. Na stole kawa i ciasteczka. Nikt ich nie tknął.

Vos zerknął na zegarek. Zostało jeszcze siedem godzin z małym okładem, zanim stary samsung w jego kieszeni znowu zadzwoni. Omawiał strategię z de Grootem. Fransen będzie musiała zatwierdzić ofertę okupu. I będą musieli poczekać, aż powie wszystko, co ma do powiedzenia.

Przyszła z czerwonymi oczami, blada. Większość nocy zajmowała się rodziną Thoma Geerts. Był rozwiedziony. Miał dwójkę dzieci, dziesięcio- i dwunastoletnie. Żona nienawidziła AIVD, winiła ją za rozpad małżeństwa. Śmierć Geerts była kolejną rzeczą, o którą ją obwiniła.

– Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci – powiedział de Groot. – Jeśli możemy coś zrobić...

– Na przykład? – spytała ostro.

– Na przykład cokolwiek – odrzekł i spojrzał na Vosa wzrokiem „musiałem zaproponować”.

Przejrzeli akta Ferdiego Pijpersa. Jak powiedział Koemanowi, służył w wywiadzie wojskowym. Swego czasu był oficerem łącznikowym z AIVD. Ale kontakt był minimalny i urwał się, gdy Pijpers odszedł ze służby.

– Nie ma powodu, żebyśmy prowadzili dochodzenie w jego sprawie – dodała Fransen.

– Ja też żadnego nie widzę – zgodził się z nią Vos.

Wbiła w niego wzrok.

– Był tutaj wczoraj. Rozmawiał z jednym z waszych ludzi.

Tym zajął się de Groot. Koeman zachował się właściwie, oznajmił stanowczo. Mężczyzna rzucał mgliste uwagi o wydźwięku rasistowskim, jakie na co dzień słyszy się na ulicy. Nie było powodu, by potraktować go poważnie.

Mirjam Fransen kiwnęła głową w milczeniu.

– Nie mieliśmy informacji o podsłuchach u Henka Kuypera – odezwał się Vos. – Prosiłem o to wczoraj. Ciągłe nam się coś nie podoba w jego poczynaniach na Leidseplein. I jego sympatie ekstremistyczne. Ta sprawa z kurtką...

– Mam na głowie pogrzeb kolegi – przerwała mu Fransen. – Pograżoną w żałobie rodzinę. Postępowanie wyjaśniające. Tego łajdaka Barbonego, po którym nie ma śladu. Nie mam czasu pieprzyć się z podsłuchiowaniem takich ludzi jak on. Jego ojciec był wyższym oficerem w wojsku, na miłość boską. To jego dziecko niemal porwano...

– Niemal – zauważył Vos. – Podsłuch może go wykluczyć. Sam to załatwię.

Pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy. To musi przejść przez nas. Polowaliśmy na grubą rybę. A teraz nie mam nic, tylko zabitego oficera.

Czekał. Ale ona skończyła.

– Barbone... kimkolwiek jest... to jest wasza sprawa – podjął Vos. – Reszta to czyste dochodzenie kryminalne. Jedno wyjaśnione zabójstwo. Jedno porwane dziecko.

Posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Niech pan nie będzie naiwny. Rozmawiamy o terroryzmie. W tej chwili mam na głowie ministra i wszelkiej maści ważniaków z Hagi. Gdy się od tego uwolnię, zobaczę, co da się zrobić.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła umundurowana policjantka z informacją, że zgłosiła się Hanna Bublik.

Fransen spojrzała na nich groźnie.

– Nie płacicie żadnego okupu. Nie pozwolę na to.

– Doskonale – rzekł de Groot. – Posłuchajmy, jak mówi jej to pani w twarz.

Tym razem przyniósł jej jedzenie jakiś nowy. Chudy, niski, mizerny. Ledwie mówił po niderlandzku. Sprawiał wrażenie przerażonego i mamrotał coś do siebie w języku, którego Natalia nie umiała zidentyfikować.

Przyniósł karton soku pomarańczowego, ciasto i mleko. I brudną różową kurtkę z kucykami. Patrzył, jak dziewczynka ją wkłada, a potem opróżnił wiadro i przyniósł miskę z ciepłą wodą, mydło oraz ręcznik.

Wtedy przyjrzała mu się uważniej. Przypominał jednego ze starszych braci, którzy przychodzili po maluchy do szkoły. Na pewno nie miał dwudziestu lat. Ciemnie oczy, gładka czysta skóra. Zaczynała się czuć odizolowana od świata za zasłoniętym oknem. Czuła, że musi powtarzać sobie, że już niedługo wróci do tego świata. Jednym ze sposobów było zastanawianie

się nad mamą. Martwienie się, co mama myśli. Wyobrażanie sobie, co robi.

Nie miała przyjaciół. Natalia zdobyła chociaż kilku w szkole. Małego Ollie, zabawnego chłopca, którego mama wychowywała samotnie i też pracowała nocami. Miała też Toma, poważnego chłopca, co to zawsze ją beształ, jeśli nie zjadła brei, którą rozdawano za darmo biednym dzieciom na długiej przerwie.

Chłopcy. Zawsze wołała chłopców. Dziewczynki wydawały się słabe, przestraszone albo po prostu głupie. Lubiły plotkować o ciuchach i innych dzieciach. Tworzyły sojusze i wszczywały zemsty. Pędziły przez plac zabaw, szepcząc o aktualnie znienawidzonej dziewczynce.

Czasami o niej.

Tak to właśnie wyglądało. Ona była obca. Nie miały pieniędzy, nie miały ładnych ubrań. Mama wykonywała pracę, o której Natalia niewiele wiedziała. Wiązała się z jakimiś sprawami, tajemniczymi sprawami; to było jednocześnie konieczne i złe. Akceptowane przez ludzi. Mile widziane przez nielicznych mężczyzn, bo widziała, jak się kręcą, pukają do drzwi, szepczą coś, i zawsze temu towarzyszyło pojawienie się pieniędzy. A potem mama przeproszała i wychodziła na pół godziny. Wracała, wyglądając na zadowoloną i smutną jednocześnie.

To życie oddzielało je od innych. Nawet poważny Tom, którego samotna mama była nauczycielką w szkole, miła, czasami trochę surowa, wracał do domu, do świata tak różnego od jej życia. Ale tak było zawsze. Były same, odkąd pamiętała, podróżowały, uciekały, wyruszały w drogę nocą, bez grosza przy duszy. Życie się nie zmieni. Na pewno nie zmieni się szybko.

Na domiar złego zaczynała się nudzić.

Zerknęła na chudego chłopaka, który patrzył, jak ona je śniadanie.

– Jak masz na imię? – spytała.

Sam dźwięk jej głosu go chyba poruszył.

– Co to ma być? – spytał szorstkim, dziwnym głosem.

– Próbuję się zaprzyjaźnić.

– Niepotrzebne ci moje imię. Siedzisz tu w więzieniu. Ludzie w więzieniu nie zadają pytań.

Szafkę na ścianie zakleili grubo taśmą, żeby już nic nie robiła ze światłem.

– Do więzienia się idzie, jak się zrobi coś złego – powiedziała Natalia. Wymierzyła w niego paluszek. – Ty robisz coś złego, ja nie.

Przestraszył się, widziała to wyraźnie.

– Mogę dostać książkę? – spytała. – I kredki? Chcę coś narysować.

– Co?

I tak nigdzie się nie wybierał.

– Mogłabym narysować ciebie. Nawet jeśli mi nie podasz swojego imienia.

Roześmiała się. Wielkie zęby, trochę żółte, z przodu szczerba. Czasami odnosiła wrażenie, że jej głowa zamienia się w aparat fotograficzny. Zapamiętywała wszystko, co zobaczyła.

– Mała dziewczynka umie rysować?

– Umie, jeśli ma czym.

Wstał i wspinał się na schody. Pięć minut później wrócił z plastikową torbą. Na boku czerwony smok. Blok rysunkowy i tanie kredki.

– Mam być ładny – zastrzegł.

Wyjęła kredkę czarną i czerwoną. Szybko nakreśliła coś na pierwszej kartce i pokazała mu.

Był to prymitywny rysunek zwierzęcia. Wielki pies. Może wilk. Czerwone ślepią, czerwone pazury, czerwone zęby wytrzeszczone w lubieżnym uśmiechu.

Roześmiał się jakoś tak, że ona też się uśmiechnęła.

– Wiedziałem, że gadasz głupoty – powiedział. – Ach, te małe dziewczynki.

– Skąd jesteś?

– Z daleka. Z Anadolu.

– W życiu nie słyszałam.

– Tutaj mówią Anatolia. Holendrzy wszystko płaczą.

Narysowała coś jeszcze. Coś, czego on nie zobaczył.

– A ty? – spytał.

– Ja jestem znikąd.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź.

– Każdy skądś jest.

Nie odpowiedziała. Nie zwracała uwagi. Pochyliła głowę nad blokiem, wyjęła kredki, cztery w palcach lewej ręki. Była zajęta.

Szybko się znudził obserwacją.

– Dziewczynki – prychnął i zostawił ją w półmroku wilgotnej, zimnej piwnicy.

Natalia spojrzała na swój rysunek. Przedstawiał Zwarte Pieta. Zresztą był niezły. Pod spodem wyraźnymi, starannymi literami napisała „Anatolia”.

Mama lubiła patrzeć, jak ona się bawi kredkami. Powiedziała, że to talent i że ma go po tacie. Nie po niej. Żartowała sobie. Że umie narysować tylko jedno. Czarnego kota nocą. A potem zamalowywała czarnym długopisem prostokąt. Nic tylko tusz. I śmiały się.

Natalia się rozplakała. Szybko otarła łzy, wyrzucała sobie, że tak się dała im podejść.

Potem zajrzała pod łóżko i znalazła narzędzia, które schowała poprzedniej nocy.

Noże. Piła. Dłuta i śrubokręty.

Gdyby zobaczył to ten duży, znowu miałyby kłopoty. Był silny, brutalny. Rozpoznała to spojrzenie. Mógłby zrobić coś gorszego niż zabranie tej durnej kurtki.

Ale mały z Anatolii...

Wzięła do ręki największy nóż i ostrożnie przejechała palcem po jego ostrzu.

Pojawiła się cieniuteńka linia krwi, Natalia z trudem stłumiła kwilenie.

Ostry.

Vos zrelacjonował postępy w poszukiwaniach Natalii, na koniec zostawiając poranną wiadomość na kartce. Hanna Bublik słuchała uważnie. Sceptycznie. Gdy skończył, powiedziała:

– Oni wiedzą, gdzie pan mieszka?

– Na to wygląda.

– Jak to możliwe?

Wzruszył ramionami.

– To nie jest żadna wielka tajemnica. Brygadier z łodzią na Prinsen. Poza tym... Przez jakiś czas zajmowałem się przestępczością zorganizowaną. Przy okazji kilku spraw trafiłem do prasy. Jeśli ktoś chce, wszystkiego może się dowiedzieć.

Na biurku leżało zdjęcie wiadomości zostawionej w torbie na jego srebrnej baletnicy. Hanna wzięła je do ręki i przyjrzała się uważnie.

– Gdy ją znalazłem, zadzwonili do mnie – mówił dalej Vos. – Obcokrajowiec, mówił dobrze po niderlandzku. Pewnie mieszka tu od jakiegoś czasu.

– Nie może go pan znaleźć?

Westchnął.

– Ciągle szukamy. Przyszło pani coś do głowy od wczoraj?

– Na przykład?

– Cokolwiek.

– Musi być pan zdesperowany – powiedziała, odkładając zdjęcie. – Jeśli u mnie szuka pan odpowiedzi.

– Badamy każdą ewentualność – wtrącił de Groot.

Rozzłościł ją tym.

– Uczą was takich zdań w szkole policyjnej?

Komisarz przeprosił.

Popatrzyła z wyrzutem, po czym powiedziała:

– Dwa dni temu dzwonił do pana na telefon Renaty Kuyper. A teraz zostawiają kartkę, i ma pan w ogóle inny telefon. Ich imam nie żyje. Myślałam, że chodzi im o niego. Po co trzymają moją córkę? Potrzebują tych pieniędzy?

Vos się nie dziwił, że już to rozpracowała. Zastanawiał się, co jeszcze przyszło jej do głowy.

– Niewykluczone, że Natalię komuś przekazano – rzekł. – Że ludzie, którzy ją porwali, przekazali ją ludziom mającym więcej doświadczenia z wymuszaniem i szantażem.

– Co to za ludzie? – dopytywała.

– Gdybyśmy mieli zgadywać, stawialibyśmy na miejscowy gang – podsunął de Groot. – Mają doświadczenie. Ogromne. Organizacje terrorystyczne od czasu do czasu wykorzystują takie gangi do prania pieniędzy. Zdobywania broni. Fałszywych dokumentów. Oni mają powiązania.

Gdy Vos zobaczył, jakie wrażenie zrobiły na niej te rewelacje, pożałował, że ich nie przemilczeli.

Spojrzała na Mirjam Fransen.

– Pani nie ma dużo do powiedzenia – zauważyła.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – odparła agentka. – Uwolnienie Natalii jest sprawą najwyższej wagi.

Hanna wskazała de Groota.

– Chodziła pani z nim na wykłady?

Bez odpowiedzi. Popatrzyła na każde z nich po kolei, kończąc na Vosie.

– Renata Kuyper mówi, że mi pomoże w zbieraniu pieniędzy. Nie wiem, czy to będzie tyle, ile oni chcą, ale a nuż wezmą mniej. Możemy zwrócić się do ludzi z apelem. Ludzie tutaj są mili.

Ona mówi, że to nie ma znaczenia, że jesteśmy cudzoziemkami. Jeśli zdołamy...

– Nic takiego nie będzie miało miejsca – przerwała jej Fransen.

– Dlaczego? – Tylko tyle Hanna Bublik z siebie wydusiła.

– Ponieważ istnieją pewne zasady – odparła Fransen. – Władze nie zaaprobują zapłacenia okupu z dwóch prostych powodów. Po pierwsze w ten sposób nagradzamy bezprawie. A po drugie to zachęca do kolejnych porwań.

– To nie pani pieniądze – zaproponowała Bublik. – Ani pani córka.

– Nieważne. Zapłacenie tym ludziom byłoby czynem karalnym. Policja... – wskazała de Groota, a potem Vosa – policja powie pani to samo. Jeśli pani...

– Nie będziemy tu nikomu grozić – warknął de Groot.

– Świetnie! Więc sami jej to powiedzcie. Wyrazicie zgodę na zapłacenie okupu?

– Zgodzimy się na wszystko, czego żądają, pani Hanno – odezwał się Vos. – Będziemy w stałym kontakcie. Oni chcą pieniędzy. Nic poza tym. To dobrze. Może lepiej niż wcześniej. Jeśli będziemy dalej z nimi pertraktować... umawiać transakcję... Gdy oni będą sądzili, że transakcja jest w toku, znajdziemy Natalię.

Hanna Bublik na chwilę zamknęła oczy.

– A jeśli nie znajdziecie? Jeśli znowu się wam nie uda?

– Uda się – powiedział z przekonaniem de Groot.

– Jeśli się wam nie uda, nie zapłacicie im, Vos. – Nie odrywała od niego gorliwego płonącego spojrzenia. – Prawda?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – odezwał się de Groot.

– Od tego zależy życie mojej córeczki? Od waszych... nadziei?

Wstała, wzięła torebkę i czarną kurtkę.

– Hanno – Vos próbował ją przekonać, żeby usiadła z powrotem. – Niech pani mnie posłucha...

– Dlaczego? – krzyknęła. – Żeby usłyszeć, jak pan opowiada, że robi wszystko, co może? To dla mojego dobra? Czy dla waszego?

Usłyszeli potok przekleństw w języku, którego nie rozumieli. Następnie Hanna Bublik wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Po pewnym czasie pierwszy odezwał się Vos:

– Głównie dla naszego.

Zadzwoił jego telefon.

Laura Bakker siedziała w samochodzie jadącym z mieszkania w Oud-West.

– Jezus Maria – niemal krzyczała – możesz odbierać, gdy dzwonię? Nawet nie włączyłeś poczty głosowej.

Ściszył dzwonek, gdy zaczęło się spotkanie, podejrzewając, że zrobi się ciężko.

– Przepraszam.

– Czy jakaś kamera złapała Ferdiego Pijpersa, gdy został zastrzelony?

– Nie wiem, a co?

– Powiem ci, gdy wrócę. Czy ktoś może sprawdzić jego rzeczy w kostnicy? To ważne.

– O co chodziło? – spytała Fransen, gdy się rozłączył.

– O nic. – Zerknął na zegarek. – Muszę już iść.

Wstała i zatrzymała go przy drzwiach. Obejrzała się na de Groota.

– Chcę, żebyście obaj panowie coś zrozumieli. Kiedy porywacze zadzwonią dzisiaj po południu, zgadzacie się na okup. Załatwiacie wszystko po kolei, po czym próbujecie złapać tych kolesi, kiedy przyjadą okup odebrać. Ale ta kobieta nie ma pieniędzy. Nawet gdyby miała, powstrzymałabym ją od zapłacenia okupu.

– Mirjam... – zaczął.

– Nie. Nie próbuj się teraz spoufalać. Nie wiemy, kim są ci ludzie. Czy to są pospolici przestępcy, czy tamci, którzy ją porwali. Tak czy owak to jeden pies. Przekazujecie fikcyjny okup i zgarniacie ich, zanim to odkryją.

– Jeden telefon – zauważył z goryczą de Groot. – Jeśli się zorientują, że to fikcja, wystarczy jeden telefon i to dziecko będzie martwe.

– Dopilnujcie więc, żeby tym razem wszystko poszło dobrze – odparła, po czym zerknęła na zegarek, na swój telefon i wyszła.

Hanna Bublik była w połowie drogi nad Prinsengracht, gdy zadzwoniła jej komórka. Renata Kuyper. Sprawiała wrażenie zniechęconej i zdecydowanej jednocześnie.

– Możemy się spotkać? – spytała.

– Po co? Policja i tak się nie zgodzi, żebym zapłaciła okup.

– Zawsze robi pani to, co pani każą?

W jej głosie brzmiało coś dziwnego. Mówiła po niderlandzku, ale z akcentem. Wspominała, że pochodzi z Belgii. Niedaleko, a jednak inaczej. Jakby też była w Amsterdamie obca. Tylko obca z pieniędzmi.

Dziesięć minut później siedziały w małym, pustawym lokalu wychodzącym na odkrytą przestrzeń Noordermarkt. Jednostajny wiatr przetaczał kartki papieru i śmieci po wilgotnym bruku. Kilku pracowników magistratu rozwieszało światełka bożonarodzeniowe. Wielki Sinterklaas w czerwono-zielono-białym stroju stał w otoczeniu dwóch niższych, zadowolonych Zwarte Pieten. Piąty grudnia, święto holenderskiego Sinterklaasa, nadchodził wielkimi krokami. W szkole Natalii organizowano zabawę dla biedniejszych dzieci. Szukanie skarbu. Worki prezentów. Tak bardzo chciała, żeby jej córeczka wzięła w tym udział.

Renata ubrana była w długi tweedowy płaszcz. Drogi. Brązowe włosy uczesała nienagannie. Twarz miała ułożoną, spokojną, gdy zamieszała herbatę earl grey i wzięła do ręki czekoladowy pierniczek.

– Dlaczego ciągle ze mną pani rozmawia? – spytała Hanna. – Spałam z pani mężem. Za pieniądze. Powinna mnie pani nienawidzić.

– Chcę pomóc.

– Dlaczego?

Potrząsnęła głową.

– Muszę to wyjaśnić? Henk dał tę kurtkę dla Natalii. Gdyby tego nie zrobił...

– Czuje się pani winna. Teraz rozumiem.

– A to ważne? Pomoc to pomoc. Kogo obchodzi, skąd pochodzi?

Cisza.

– Co powiedziała policja?

Hanna wzięła ze stolika ciasteczko i skubnęła je. Ostatnio prawie nic nie jadła. Posiłki należały do spraw wspólnych z Natalią, zawsze tak było. Teraz stanowiły tylko okrutne przypomnienie, że jest sama.

– Uważają, że porywacze przekazali ją jakimś przestępcom. To oni teraz żądają okupu. Chcą dwieście tysięcy euro. Vos powiedział, że zadzwonią dokładnie o szesnastej i powiedzą, jak ma dostarczyć pieniądze. W przeciwnym razie...

Kawa była gorzka i mocna. Jak kara.

– Możemy iść do mediów. Zapomnieć o politykach, o policji. Zwykli ludzie są mili. Zrozumięją. Mogę znaleźć kogoś...

Postanowiła to powiedzieć.

– Naprawdę? Nawet nie wiedziała pani, że pani mąż chodzi do dzielnicy czerwonych latarni.

Twarz Renaty zmarkotniała, zgorzkniała.

– Mówił, że to ten jeden raz. Że pił. To była pomyłka.

– Zawsze tak mówią. A swoją drogą: dwie pomyłki.

– Mam pani pomóc czy nie?

– Dwieście tysięcy euro? Nawet gdyby policja pozwoliła mi zapłacić ten okup... skąd bym wzięła takie pieniądze?

– To pierwsza oferta. Nie oczekują aż tyle. Stargujemy do połowy. Znajdziemy coś.

Hanna wpatrywała się w filiżankę kawy i opakowanie świątecznego pierniczka.

– Chyba że ma pani jakieś inne sugestie? – dodała Renata. – Jeśli chce pani wrócić do tej swojej nory i tam się schować... czekać, aż przyjdzie następny facet i zapłaci, żeby pani rozłożyła nogi.

– Mówiłam już – wymamrotała skarcona. – Nie pozwolą nam go przekazać. Chyba że... – Nie mogła zapomnieć Cema Yilmaza. Zastanawiała się, jaki jest naprawdę. Kogo zna. – Chyba że znajdę sposób, żeby się do nich zbliżyć, skontaktować się.

Kobieta poklepała ją po ręce.

– Już lepiej.

– Może – szepnęła, i od samego tego zastrzeżenia poczuła się winna. – Ale potajemnie.

Przemyślała to w czasie rozmowy.

– Ostatnie, czego Natalia potrzebuje, to zdjęcie w każdej gazecie.

– Świetnie – powiedziała Renata. – Zbiorę parę osób, z którymi możemy porozmawiać dyskretnie...

– Nie ma czasu! Zadzwonią do Vosa dzisiaj o szesnastej. Chcą dostać pieniądze do wieczora.

Za oknem stanęła ciężarówka. Kilku mężczyzn zaczęło rozładowywać rusztowanie i dekoracje świąteczne.

– A więc najlepiej w ogóle niech pani nie rozmawia z Marnixstraat – orzekła Renata. – Same zrobimy, co trzeba.



Wstała od stolika. Hanna ani drgnęła.

– Ta kobieta ze służb specjalnych... Ona mnie nie cierpi. Na pewno nas powstrzyma.

Renata pokręciła głową.

– Mówili też, że nie dopuszczą, by Ismail Alamy wyszedł z aresztu.

– Ale ktoś nie dopuścił, prawda? – odparła bez wahania.

Chwilę panowało milczenie.

– Niech pani nie traci nadziei.

– Mówi pani jak policja.

– Proszę zapomnieć o policji. Jeśli uda się przekazać wiadomość...

Hanna się nie odzywała.

– Uda się?

– Spróbuję – odparła, po czym podeszła do drzwi, spojrzała na światelka, na postać Sinterklaasa i na wszechobecne podobizny Czarnych Piotrków.

Renata zapisała na serwetce numer komórki.

– Znajdę jakąś gotówkę – powiedziała. – Pani zajmie się resztą.

Po powrocie na Marnixstraat Van der Berg i Bakker usiedli nad laptopem z Vosem i Aishą Refai, młodą informatyczką z wydziału kryminalistycznego.

– Rany. Chyba chodziłam do przedszkola, gdy to urządzenie powstało. – Miała dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na dziewiętnaście. Była błyskotliwa, śliczna i kontaktowa, w chuście na głowie, czerwonym swetrze i džinsach. – Jak już z nim skończymy, może odkupi go od nas Rijksmuseum?

Bakker wsadziła wtyczkę do gniazdka i uruchomiła urządzenie. Gdy w okienku wyświetlił się okno logowania, wpisała hasło.

– Skąd je masz? – spytała Aisha, nie czekając na odpowiedź na pierwsze pytanie.

Bakker wyjaśniła, dodając:

– Zgadywałam.

– Świetnie. Chociaż szczerze mówiąc... – Przebiegła lekko palcami po klawiaturze, wchodząc do systemu. – Dostałabym się do tego grata w ciągu trzydziestu sekund. Bez hasła.

– Należał do Ferdiego Pijpersa – wyjaśniła Bakker. – To były wojskowy. Pracował między innymi w wywiadzie. Ciężko się pozbyć starych nawyków. Jeśli spojrzysz na te zdjęcia...

– Czekaj, czekaj. – Aisha niemal dała jej po łapach, gdy Bakker sięgnęła do klawiatury. – Są tu pewne procedury. I tym ja się zajmuję.

Vos odchrząknął, po czym zerknął na zegarek. Co prawda niewiele to zmieniło.

– No dobra – powiedziała informatyczka, kończąc rozeznanie. – Ten człowiek dostał laptop piętnaście dni temu. Wcześniej został wyczyszczony. Jest w fatalnym stanie. Mam nadzieję, że nie zapłacił za niego dużo. Nie ma Wi-Fi, nie ma śladu, żeby kiedykolwiek się łączył do sieci. Więc naturalnie nie ma poczty elektronicznej. Nic poza...

– Nic poza folderem ze zdjęciami – przerwała Bakker.

– Właśnie.

Aisha go otworzyła. Szesnaście zdjęć zrobionych w poprzedni czwartek. Na każdym te same dwie osoby.

– To jest Martin Bowers – powiedziała Bakker. – Albo Mujahied Bouali, jeśli wolicie. Tak czy owak, dzięki AIVD już nie żyje.

Vos przechylił się do przodu i zerknął na ekran. Był na nich młody pulchny Anglik z rudą brodą, ubrany w czarny skafander. Znał go ze zdjęć, które mieli w aktach. Bowers rozmawiał z uśmiechniętym mężczyzną o egzotycznym wyglądzie w średnim wieku, w eleganckim ubraniu, z brodą i starannie uczesаныmi włosami. Jeśli godzina na zdjęciach była prawdziwa, spotkali się około południa. W tle widniał znajomy owalny, wysoki, średniowieczny budynek. Otoczony turystami.

– Munttoren – zauważył Van der Berg. – Dobre miejsce, by wpaść na kogoś przypadkiem. Albo udawać, że tak się stało.

– Ferdi kogoś śledził – powiedziała Bakker. – Bowersa. Tego drugiego mężczyznę. Musiał mieć jakiś powód.

Informatyczka przegrała zdjęcia na pendrive i podała je asystentce.

– Przekaż je wywiadowi, koordynatorom miejskim i AIVD – polecił Vos. – Może uda nam się ustalić nazwisko tego drugiego.

Van der Berg przesunął palcem po ekranie.

– Pewnie Ferdi nie miał nic innego do roboty prócz pracy nad swoją obsesją. Skoro stracił tego chłopca w Afganistanie, nic dziwnego, że zwariował, kiedy porwano małą Bublik. Powinniśmy byli go wysłuchać, gdy tu przyszedł.

– Powinniśmy – przyznał Vos. – Aisha?

Znowu zajmowała się zdjęciami, patrząc na daty plików.

– Pewnie nie miał porządnego aparatu, co? – spytała Bakker.

– W ogóle nie miał aparatu – odparła Aisha. – Użył telefonu. Nokia N96. Drogie cacko w czasach, gdy była nowością. W tej chwili niespecjalnie imponująca. Problem w tym...

Robiła z urządzeniem rzeczy, których Vos zupełnie nie rozumiał. Nagle na ekranie pojawił się nowy komplet zdjęć. Dziewięć. Każde wielkości połówki znaczka pocztowego.

– Albo ten wasz człowiek nie wiedział, jak przegrać zdjęcia na stary laptop, albo miał do chrzanu oprogramowanie. – Wskazała na ekran. – To była sobota. Dzień przed Leidseplein.

– Świetnie – włączył się Van der Berg. – Możesz je powiększyć?

W odpowiedzi uśmiechnęła się z przekąsem.

– To by mi nie przyszło do głowy – odparła.

Znowu przebiegła palcami po klawiaturze. Zdjęcia zrobiły się większe. Ale były tak pikselowane, że nie dało się na nich zobaczyć żadnych szczegółów.

Zrobiono je na dworze, sądząc ze słabego światła dziennego, na tle ściany, która mogła znajdować się w zaułku. Na każdym widniały trzy postaci, trzech mężczyzn. Jeden wielkością i wyglądem przypominał Bowersa. Drugi był zbyt wysoki jak na mężczyznę z poprzedniej serii, spod wieży. Trzeci był odpowiedniego wzrostu, ale chyba szczuplejszy. Ten sam mężczyzna? Ktoś inny? Nie dało się określić.

– Popraw je – poprosił Vos.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Oryginalne pliki nie zostały załadowane. Mam tu tylko miniaturki. Mogę je powiększyć, ale one mają sto na pięćdziesiąt pikseli. To pięć tysięcy punktów. Mamy oprogramowanie, które może interpolować, ale szczerze mówiąc... – Spojrzała spode łba na laptop. – Tam jest po prostu za mało danych. Przykro mi.

– Cholera – powiedziała Bakker.

– Jest inny sposób – zasugerowała Aisha. – Gdybyście znaleźli mi tę nokię.

Van der Berg zadzwonił na dół do kostnicy, poprosił o spis rzeczy, które Pijpers miał przy sobie.

– Zaraz ją przyniosę – powiedział i poszedł na dół po aparat. Dysząc i sapiąc, wrócił z torebką dowodową, w której spoczywała wielka nokia. Na obudowie widać było plamy krwi.

– To wygląda interesująco – powiedziała Aisha i wyjęła telefon rękoma w rękawiczkach. – Zobaczmy, czy trzeba ją naładować. – Wyglądało na to, że instynktownie wie, który guzik nacisnąć. – Nie!

Ekran się rozjaśnił, a twarz Aishy zmarkotniała.

– To jakiś żart, Dirk? Prosiłam o jego telefon. A nie o aparat z second-handu.

Van der Berg się zjeżył.

– To jego aparat. AIVD zawiozła go do szpitala. Myśmy go odebrali, gdy został stwierdzony jego zgon. W kostnicy zrobili inwentaryzację. Ta nokia z nim przyjechała.

Odwróciła telefon ekranem do nich. Widniało tam pytanie: „Uruchomić kreator konfiguracji?”

– Został wyczyszczony. Nie ma zdjęć. Nie ma połączeń. – Zdjęła klapkę z tyłu i zajrzała do środka. – Cholera, nie ma nawet karty SIM. I co?

Bakker patrzyła na Vosa. Van der Berg też.

– Aisha, jesteś geniuszem – powiedział Vos. – Możesz coś zrobić? – Sądząc po minie, chyba nie zdołał jej pochlebić. – Możesz?

– Nie wiem. Muszę popytać. Jedna rzecz to wyciągać dane z twardego dysku. – Odwróciła telefon. – To jest bardziej skomplikowane. Zwłaszcza jeśli ktoś go zresetował.

– Dlaczego on jest wyczyszczony? – spytała Bakker. – Można to zrobić niechcący? To się stało tutaj? Czy na Schiphol? Czy...

Zadzwonił telefon Vosa. Dał jej znak, by zamilkła.

– Te wszystkie pytania zadamy później – powiedział, skończywszy rozmowę. – Wywiad ustalił nazwisko przyjaciela Boualiego.

Sprzątacze kończyli pracę w dzielnicy czerwonych latarni. Zmywali brukowane uliczki szykujące się na kolejną noc intensywnego handlu. Hanna Bublik weszła na Spooksteeg od strony Oudezijds Voorburgwal i stanęła pod drzwiami budynku Yilmaza, wahając się, myśląc.

Nagle u jej boku pojawiła się potężna postać. Tak szybko, że Hanna aż podskoczyła. Stanęła twarzą w twarz z uśmiechniętym szeroko Turkiem.

Yilmaz miał na sobie czarny skórzany płaszcz sięgający mu do łydek. W prawej ręce trzymał torbę z jednego z pobliskich orientalnych sklepów.

– Chciałaby pani skosztować tajskiego jedzenia, pani Bublik?

– Nie jestem głodna.

– Lepsze niż chińszczyzna. Zdrowsze.

Skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się o ścianę.

– Mamy coś do omówienia? – spytał.

– Pan niech mi powie. Dowiedział się pan czegoś?

Znowu się roześmiał.

– Ile razy będziemy przez to przechodzić? Zanim się włączę, musimy dobić transakcji. – Wyjął z torby jabłko i odgryzł wielki kęs. – W przeciwnym wypadku marnuje pani i swój, i mój czas. A pani czas jest chyba cenniejszy.

Wyciągnął rękę i wstukał kod do wejścia. Patrzyła. Uważnie.

– No i?

– Dobrze – powiedziała. – Należę do pana.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Świetnie. Wreszcie panią oświeciło. Nie będzie pani żałować.

– Ma pan jakieś informacje?

– Najpierw musimy załatwić formalności. Proszę wejść do środka.

Zawahała się. Nie ze strachu. Nigdy się nie bała.

– Proszę – powtórzył i wziął ją za ramię, wprowadził do windy, wbił inny kod, na jej oczach.

– Na dworze jest zimno. Ja mam kominek. Pani się czuje jak w domu.

W swoim gabinecie Vos przeszedł do szczegółów. Mężczyzna na zdjęciach z Martinem Bowersem to Saif Khaled. Wywiad miał jego akta. Podejrzewali, że AIVD może mieć więcej, ale Mirjam Fransen nie odbierała telefonów. Jej asystentka powiedziała, że szefowa znowu zajmuje się rodziną Thoma Geertsy i w tym momencie nikt inny nie pomoże policji.

Odniosł wrażenie, że winią ich za wczorajszą strzelaninę na Schiphol, ale nie mówią tego głośno. Wyglądało też na to, że nie ma co pytać o podsłuch na telefonach Henka Kuypera. O ile wiedział, agencja nic nie zrobiła w tej sprawie.

Khaled miał czterdzieści siedem lat, urodził się w Egipcie, działał w Palestynie i Syrii, aż dziesięć lat temu wystąpił o azyl polityczny w Holandii. Podobnie jak Henk Kuyper określał się mianem aktywisty. Podobnie jak w wypadku Kuypera nie wiadomo było, co to znaczy. Informacja, którą Vos zdołał znaleźć, wskazywała, że sympatyzuje od lat z ugrupowaniami ekstremistycznymi. Ale nic nie wskazywało na działalność nielegalną, zbiórkę funduszy ani żadne publiczne wystąpienia, które mogłyby skutkować zarzutami. Udzielał się też w prasie, przemawiał na spotkaniach publicznych. Zgodnie ze słowami jednego z sąsiadów Ferdiego Pijpersa, w taki właśnie sposób były żołnierz zaczął go śledzić, a także ludzi, którzy się z nim spotykali. Stało się to jego obsesją.

Mieszkał w wąskiej kamienicy na obrzeżach Chinatown. Dom należał do spółki wydmuszki z Jemenu. Od czasu do czasu ktoś z nim pomieszkiwał. Nigdy długo. I to wszystko.

– No i? – spytała Bakker, gdy dotarli do końca skąpych informacji z komputera.

Vos spytał Van der Berga, czy wywiad znalazł jakieś powiązanie pomiędzy Khaledem

a miejscowymi gangami. Albo czy może obili im się o uszy jakieś plotki, że jeden z gangów ma nowego specja od wymuszeń.

– Teraz to im się o uszy obijają tylko kolędy – odparł detektyw z westchnieniem. Dotknął grubym palcem zdjęcia Khaleda na ekranie. – Czy ci się to podoba, czy nie, nic więcej nie mamy.

– Na to wygląda – przyznał Vos. – Zostań tu i zobacz, czy dasz radę wykopać coś jeszcze. – Wstał i dał znak Bakker. – Ustawcie dyskretną obserwację wokół domu Khaleda. Niech ludzie popytają. My weźmiemy rowery.

Dochodziła dwunasta.

– A jeśli twój człowiek zadzwoni wcześniej? – spytała Bakker.

Vos wyjął z kieszeni starego samsunga i pokazał jej. Bateria była naładowana prawie do pełna.

Wszedł de Groot z kilkoma osobami z wydziału operacyjnego. Nieśli małe czerwone walizki. Komisarz poprosił, by położyli je na biurku i otworzyli.

Na wierzchu leżały banknoty o nominale pięćdziesięciu euro. Tyle, żeby wyglądały przekonująco. Prawie tysiąc.

– Domyślam się, że są znaczone? – spytał Vos.

– Każdy jeden – przyznał oficer operacyjny. – Ultrafioletem. Możemy je wysledzić.

Włożył rękawiczkę lateksową i ostrożnie odsunął na bok prawdziwe banknoty. Pod spodem leżały gładkie kartki przycięte do tego samego rozmiaru.

– Muszą ich zwieść tylko na tyle długo, żebyśmy zdążyli wkroczyć do akcji – powiedział de Groot. W jego głosie slychać było nutkę ubolewania. – To wszystko. Gdy będziemy wiedzieli, gdzie się odbędzie przekazanie, wyślemy na miejsce ekipę.

Cisza. A potem długie westchnienie Bakker.

– No chyba że macie inne pomysły – dodał komisarz.

– Wciąż badamy tropy – odparł Vos. – Wolałbym ją wysledzić, gdybyśmy dali radę. Lauro?

– Dokąd...? – zaczął de Groot.

– Dirk, powiedz mu. – Vos skierował się do drzwi.

Renata Kuyper nieczęsto wchodziła do gabinetu swojego męża. On tego nie lubił. Mówił, że potrzebuje przestrzeni dla siebie, żeby pomyśleć. Chyba że przynosiła mu kawę. Wtedy było OK.

Przyniosła mu więc filiżankę, postawiła na biurku przy oknie i przysunęła sobie krzesło. Najwyższe piętro budynku, bezpośrednio pod dachem. Małeńki pokój. Henk chyba lubił się zamykać w tym pomieszczeniu wychodzącym na Herenmarkt, na plac zabaw dla dzieci, drzewa i stary pisuar.

Nie odrywał wzroku od komputera. Był nadzwyczajnie cichy tego ranka. Może nękały go wyrzuty sumienia, chociaż starał się je wyprzeć. Co tylko by zwiększało ból, chociaż jako mężczyzna nie miał szansy tego zrozumieć.

– Henk...

– Nie mam siły na kolejną kłótnię, wybacz.

Wyciągnęła rękę i na chwilę dotknęła jego ramienia. Uśmiechnęła się do niego tak, jakby chciała wyrazić żal nad nimi obojgiem.

Zimą w tym pokoju zawsze panował chłód. Henk chyba tak lubił. Siedział tutaj, jakby się ukrywał, niczym pustelnik, niemal mnich.

– Nie chcę kłótni. Musimy porozmawiać.

Zamknął to coś, nad czym pracował – krótki mejl, chociaż nie widziała zawartości – po czym odsunął krzesło od niewielkiego biurka.

– Jeśli chcesz, żebym pomógł swojego tatę, by ci pozwolił mieszkać u siebie, powiedz. Wolę, żebyś nie została tu pod przymusem.

Mogła się domyślić, że Lucas do niego zadzwoni. W końcu był jego ojcem. I pomimo wszystkich różnic łączyła ich jakaś więź. Czowała pewność, że teść powiedział też o warunkach łączących się z przekazaniem pieniędzy na okup. Nie miała wyboru. Zresztą i dobrze. Lucas pewnie miał rację. Warto było jeszcze raz spróbować.

– Ja naprawdę nie mam żadnych tajemnic, co? – powiedziała. – Nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć?

– Martwi się o nas. Czego się spodziewasz?

Wzięła jakieś dokumenty z biurka. Nudne raporty dotyczące środowiska. Zawsze miał dokoła takie rzeczy. Pewnie na pokaz.

– Nad czym pracujesz?

– Nad kolejną cholerną sprawą wyrębu na Sumatrze. Organizacja opiekująca się orangutanami prosi o pomoc. – Skrzywił się. – Oczywiście nie stać ich na honorarium.

Niedługo po ich ślubie pojechał na Borneo. W każdym razie tak powiedział. Nigdy w sumie nie wiedziała, dokąd się udaje na swoich wyjazdach. Przywoził z tych wypraw prezenty dla niej i dla Saskii, ale było to standardowe lotniskowe gówno. Równie dobrze mógłby je kupić na Schiphol.

– Szkoda, że nie możemy zacząć wszystkiego od nowa, nie sądzisz?

Skrzyżował ramiona.

– Że nie możemy znaleźć miejsca, w którym źle skręciliśmy – dodała. – I wybrać innej drogi.

Westchnął, wpatrywał się w swoje ręce.

– Nie odwrócę tego, co się stało.

Wszystko traktował tak dosłownie.

– Możemy pracować nad pokonaniem kryzysu. Dla dobra Saskii. I dla naszego.

Kiwnął głową.

– A to możliwe?

– Lucas uważa, że powinniśmy spróbować. Nawet jest pewien, że nam się uda.

Roześmiał się, przez chwilę znowu był młody.

– Mojego ojca nigdy nie nękały wątpliwości. Na żaden temat. Prawda?

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Chcę zebrać pieniądze dla tej dziewczynki. Lucas mówi, że pomoże. Chcę też, żebyśmy i my przekazali, ile możemy.

Ku jej zdumieniu nie skrzywił się. Ani nie powiedział, że jest głupia.

– W banku nie mamy dużo, kochanie. Bez mojego ojca...

Kochanie.

Kiedy po raz ostatni tak powiedział? Jak bardzo by go zabolalo, gdyby roześmiała mu się w twarz?

– Sprawdziłam wyciągi – powiedziała tylko. – Możemy zebrać trzydzieści tysięcy. Będzie bolało. Ale damy radę.

Nie krzyknął.

– Wspomniałaś o tym policji? Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł? Tata chyba uważa, że władze na to nie pozwolą.

– Może nie do nich należy decyzja. Rozmawiałam z Hanną. Z tą kobietą. – Omal nie wymknęła się jej zjadliwa uwaga. – Ona nie ma nikogo innego.

Wychylił się do przodu i ujął ją za rękę.

– Nie pozwolą wam zapłacić. To policja. Państwo. Oni tu rządzą.

– Mną nie rządzą – powiedziała stanowczo. – Ani tobą. Prawda?

Znowu jej nie ochrzanił.

– Chcesz powiedzieć, że zapłacicie bez ich wiedzy?

– Może.

– Jakim cudem? – spytał.

– Ona skontaktuje się z kimś z otoczenia tych bandytów. Sądzi, że ma dojsście. Musimy spróbować. Nie mogę siedzieć z założonymi rękoma, wiedząc, że jej córka... a to miała być Saskia. Muszę coś zrobić.

Z komputera dobiegł dźwięk. Nowy mejl. Henk nawet nie spojrział na monitor.

– Co mam zrobić?

– Idź do banku. Wypłać, ile możemy. Przynies tu te pieniądze. Ja mogę porozmawiać z ludźmi. Z twoim ojcem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Sprawił wrażenie ubawionego.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – powiedziała.

– Nie? No popatrz. Król i królowa spraw przegranych. Ja próbuję uratować jakieś zagrożone gatunki w lasach deszczowych. A ty... – wycofał się, zabrał ręce – próbujesz pomóc... komuś... kto...

Sięgnął ręką do czoła. Zastanowiła się, czy kiedykolwiek widziała u niego taki oczywisty ból. I czy ją też to bawi.

– Idź po prostu do banku i zrób to, Henk.

– Dobrze. – Od razu wstał, pocałował ją nieśmiało w policzek, po czym ruszył na dół wąskimi schodami.

Drzwi wejściowe zatrzęsły się głośno. Ściany starego domu jak zawsze zadygotały od wstrząsu. Podeszła do okna, patrzyła na męża podążającego Herenmarkt. Odwrócił się i pomachał do niej.

Więc też pomachała. Nic wyjątkowego ani oczywistego. To by nie było w porządku.

Z komputera dobiegł kolejny dźwięk. Przyszedł następny mejl. Normalnie był taki ostrożny. Zawsze się wylogowywał, nigdy nie zostawiał telefonu, o ile go wcześniej nie zablokował.

A teraz nie.

Usiadła na krześle przy biurku. Zniszczony, skrzypiący mebel. Tyle godzin przy nim przepracował. Na rzecz miejsc, o których nigdy nie mówił. Spotykał się z ludźmi, których nigdy nie poznała.

Renata poruszyła myszką i przebudziła ekran. Następnie zapamiętała pozycję wszystkiego na ekranie. Ważne, żeby nie przyszło mu go głowy, że myszkowała. Ta część jego życia, „praca”, należała wyłącznie do niego.

Powoli, uważnie, przejrzała pliki. Nie było tego wiele oprócz mejli i paru dokumentów. Jakieś zdjęcia Saskii. Kilka jej zdjęć z miesiąca miodowego, przy dziedzińcu Alhambry w Grenadzie. Jedno ujęcie, które ją poruszyło: oni dwoje na hiszpańskiej plaży, on obejmuje ją ramieniem. Wyglądał młodo, przystojnie, naga klatka piersiowa, kuse kąpielówki, świetna sylwetka. Ona w bikini. Jednym ze swoich ulubionych, chociaż już go nie miała. I tak zresztą teraz by na nią nie pasowało.

Na długo przed jego powrotem wstała od komputera, zeszła na dół, znowu zaczęła robić kawę. I myśleć o tym, co widziała.

Nic o Sumatrze ani jakichkolwiek orangutanach.

Zastanawiała się, czy powinna czuć się zaskoczona.

Vos zatrzymał się przy Kaashuis Tromp i kupił dwa croissantsy serowe. Następnie przejechali obok Drie Vaten, przez delikatnie wygięty most Berenstraat, i dotarli do centrum, gubiąc po drodze łuskowate okruchy. Kilka metrów przed Spui Vos dokończył swojego rogalika i cały czas jadąc, zwinął papierową torebkę, wycelował prosto do najbliższego śmietnika, nawet nie zwolnił. Bakker spróbowała to powtórzyć, chybiła, przeklinając, zsiadła z roweru, podniosła śmieć i uprzętnęła go.

Przyglądał się jej, oparłszy stopy na ziemi.

– Nigdy mi się nie uda – jęknęła.

– Owszem, uda ci się. To wymaga treningu. Jak wszystko.

Ani drgnęła. Coś tu było do zrobienia.

– Gdzie jest matka? – spytała.

– Nie wiem – odrzekł Vos zgodnie z prawdą. – Chciałbym wiedzieć. Chciałbym, żebyśmy mogli ją po prostu namierzyć i schować w bezpiecznym miejscu pod czujnym okiem paru mundurowych. Ale nie możemy. Ona taka nie jest. I nie możemy jej zmusić. Na to jest za sprytna.

Milczała. To dziwne.

– Co ty byś zrobiła na jej miejscu? – spytał Vos.

– Wszystko, co w mojej mocy. Nie czekałabym, aż my załatwimy sprawę. No wiesz... – Odgarnęła włosy i związała je gumką. – Do tej pory niewiele zrobiliśmy, nie sądzisz? Tylko pogorszyliśmy sytuację.

Laura Bakker tak bardzo chciała, żeby świat widział w niej pewną siebie, utalentowaną młodą



policjantkę. Którą na ogół była. Ale nadal emanował z niej brak pewności siebie. Siedziało to w niej od samego początku, gdy myślała, że zostanie wyrzucona z Marnixstraat jako niezdatna do tej pracy. Jeszcze nie znalazł sposobu, żeby sobie z tym poradzić.

– To nie jest jakaś nauka ścisła. Nie wypełniamy arkusza kalkulacyjnego. Czasami jedno z drugim się nie zgadza. W każdym razie nie tak, jak powinno.

– A wtedy?

– A wtedy musimy wrócić do początku i próbować raz jeszcze. Nawet jeśli można to zrobić w inny sposób, to ja jestem za głupi, żeby go znaleźć.

Nadal nie ruszała się z miejsca.

– Nie mogę znieść myśli, że nie znajdziemy tej dziewczynki, Pieter. Nie wiem, co...

– Znajdziemy ją.

– A jeśli nie znajdziemy?

– Jak mam odpowiedzieć na to pytanie? Co chcesz usłyszeć?

Ani drgnęła. W tej chwili niewiele się różniła od nastolatki.

– Z czasem jest łatwiej? Czy ty... czy ty się jakoś uodporniłeś na to całe gówno? No wiesz...

– Nie – uciął i zerknął na zegarek. – Nie można się uodpornić. Przestań mnie straszyć. Za trzy godziny mam się dowiedzieć, jak przekazemy ten niby-okup i uratujemy życie małej dziewczynce. Zdecydowanie wolałbym, żebyśmy nie musieli tego robić. Możemy już jechać?

Zjeżyła się.

– To ty się zatrzymałeś po croissanty. Nie ja.

Tym razem Vos zaklął, łagodnie i pod nosem. I zanim Bakker zadała następne pytanie, na które nie znalazłby odpowiedzi, wsiadł na rower i ruszył.

W salonie Cema Yilmaza było za gorąco. Czują zapach polan w kominku. Smak gęstego dymu, który się z nich unosił. Na dnie jej torebki leżał skradziony pistolet i przyzywał ją cicho. Wiedziała już, jak go użyć. Sprawdziła na komputerze w kafejce niedaleko domu.

Oczywiście chciał czegoś. Jakiegoś czynu. Dowodu oddania. Wszyscy sutenerzy to robili, a Yilmaz był najważniejszym, największym w mieście sutenerem. Nie jak reszta, w każdym razie we własnym mniemaniu. „Biznesmen”. Legalny. Miał dawać innym to, czego pragnęli.

Usiadła i napiła się jego za mocnej kawy. Wysłuchiwała, gdy przedstawiał w skrócie, co robi. Wybada grunt u swoich kontaktów, proponując, że zapłaci okup bezpośrednio, bez udziału policji. Żaden z nich, podkreślał, nie jest kryminalistą. Ale mieli znajomości. Słyszeli to i owo.

Jeśli szczęście jej dopisze, któryś z nich dostarczy kontakt do ludzi przetrzymujących Natalię. A potem postarają się umówić transakcję.

Zrelacjonowała mu, co Vos powiedział o nowym żądaniu. Ani razu nie podważył przypuszczenia Vosa, że pierwotni porywacze przekazali Natalię przestępcom lepiej znającym się na zawłościach wymuszeń. Albo coś wiedział i nie mówił. Albo to rzeczywiście było tak oczywiste, jak sugerował Vos.

– Mam w domu młodszą siostrę – rzekł, gdy skończyła. – Wiem, jak to jest z rodziną. Co innego się liczy jak nie rodzina?

– Chcę tylko ją odzyskać.

Kiwnął głową.

– Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy.

– Pieniądze...

– Ta suma, której żądają, jest niedorzeczna, i oni na pewno o tym wiedzą.

– Ale czegoś muszą chcieć. Teraz, gdy ten człowiek nie żyje.

Uśmiechnął się. Wielkie zęby. Okrągła twarz. Potężny, władczy mężczyzna.

– Każdy czegoś chce. Tak świat jest urządzony. Zobaczę, czy uda nam się nawiązać jakiś kontakt. Czy oni będą z tobą gadać. Potem... – Spojrzał na nią ciemnymi, inteligentnymi oczyma. – Będziesz musiała coś wymyślić.

– Postaram się. Pomożesz?

– Chcesz prezent?

– Nie, pożyczkę.

Yilmaz zmierzył ją wzrokiem.

– Jesteś atrakcyjną kobietą. Byłabyś jeszcze bardziej, gdybyś nauczyła się uśmiechać. Zostało ci cztery, pięć, może siedem lat pracy. W każdym razie takiej pracy, którą ja jestem zainteresowany. Jak sądzisz, ile zarobisz przez ten czas?

Chciała się na niego rzucić.

– Nie mam pojęcia.

Znowu te badawcze oczy, jakby była propozycją biznesową, którą on musi sprawdzić.

– Mogłabyś przynieść mi dziesięć tysięcy rocznie na czysto. Gdybym zapewnił ci utrzymanie, oddałabyś mi każdego centa? Żeby uratować swoje dziecko?

– Każdego centa – odparła bez wahania.

– A jeśli poproszę, będziesz wieczorami pracować jako kelnerka? Nie będziesz przyjmować prywatnych zleceń? Na to nie pozwolę.

– Jeśli tak trzeba.

– Dobrze. – Zamyślił się. – Siedemdziesiąt tysięcy euro to dużo pieniędzy.

– Za mało – szepnęła.

– Więc znajdź więcej. I ja negocjuję.

Yilmaz wstał i stanął przy kominku, ogrzewając sobie zadek. Znała to spojrzenie.

– Muszę wiedzieć, za co płacę – powiedział z kpiącym wyrazem twarzy. – Na pewno rozumiesz.

Zdjęła czarną kurtkę.

– Czego chcesz?

Wskazał niski skórzany szezlong ustawiony we wnęce, niewidoczny z okna.

– Zdejmij ubranie. Połóż się tam. Na brzuchu. – Wziął z kominka coś, co wyglądało jak słoik kremu, sprawdził palcami, po czym odstawił na drewnianą półkę. – To nie potrwa długo.

W małej kabinie mogła choć trochę kontrolować sytuację. To miejsce należało do niej, na godzinę czy dwie. Mogła wybierać, powiedzieć nie, jeśli chciała.

Tu nie.

Zdjęła sweter. Buty, skarpetki i dżinsy. Patrzyła na swoje nagie ciało. Widziała wszystkie

niedoskonałości, znamiona, rozstępy, jedną bliznę. Skóra i włosy. Dotykana, obłapiana i tarmoszona wiele razy, chociaż ona już w zasadzie nie zwracała na to uwagi.

Nigdy nie wiadomo, czego oni chcą. W innych okolicznościach zawsze pytała i mówiła: „To tak, tego nie”.

Ale przypomniała sobie wczorajsze zapasy Yilmaza z ogromnym młodzieńcem. Nie mogła się domyślić, czego by pragnął jako dowodu, jako wpisowego. Nie było co się zastanawiać.

Szezlong wyglądał drogo i tanio jednocześnie. Skóra lśniąca, ale miękka od częstego używania. Położyła się, podłożyła ramiona pod brodę, głowę trzymała w górze, nawet nie próbowała się oglądać. Odrobinę rozsunęła nagie nogi.

Miała nadzieję, że nie kłamał, gdy mówił, że to nie potrwa długo.

Jakiś dźwięk, którego nie umiała zidentyfikować. Jakby polana w kominku poruszyły się, by mieć lepszy widok. Potem kroki. Poczula jego obecność nad sobą, usłyszała cichy, rytmiczny świszczący oddech.

– Mężczyzna musi zostawić swój znak – powiedział Cem Yilmaz i mocno wcisnął wielkie kolano w jej plecy. Twarz wduśił jej w szezlong, przekręcił ją, prawy policzek wcisnął się mocno w obicie.

Potem nadeszła udreka tak potężna, tak nieoczekiwana, że Hanna zaczęła krzyczeć i wyć, wic się, walczyć, gdy coś gorącego i potwornego paliło ją i piekło.

Dopiero po chwili w tej udreke rozpoznała unoszący się w powietrzu zapach. Zapach palonej skóry.

Niedługo, powiedział. Ledwie kilka sekund w męczarniach. Puścił ją, wstał, krótki urywany oddech.

Odwróciła się na lewy bok. Bolało mniej.

Wrócił do kominka i odłożył na kratę długi pogrzebacz. Wyglądał jak cienka szpada z godłem na końcu, właśnie gasła jego czerwoność. Znowu wziął do ręki słoik kremu, z drewnianej skrzynki nad kominkiem wyjął coś, co wyglądało na sterylny opatrunek.

Potem lustro na podstawce. Podobne do tych z brytyjskich filmów, dla kobiet z klasy wyższej.

– Usiądź – rozkazał, a ona posłuchała, dławiąc się z gniewu i nienawiści.

Zapach palonego mięsa nie zniknie. To jej zapach.

Yilmaz podszedł z lusterkiem i kazał jej się obejrzeć.

Jedno zerknięcie do tyłu i wiedziała, co zobaczy w owalnym zwierciadle. Na prawej łopacie miała wypalony ozdobny kształt, źródło całej tej wściekłej udreki. Wyglądał jak fantazyjnie napisane litery CY. Krwisto-brązowe krawędzie widniały na skórze w miejscu, gdzie ją napiętnował.

Mogła się domyślić. Co prawda to nie miało znaczenia. I tak by pozwoliła się napiętnować. Gdyby o tym wiedziała, gorsze byłoby czekanie.

– Trzymaj – rzucił jej krem i opatrunek. – W łazience są środki przeciwbólowe.

W głowie się jej mieszało. W tej chwili w ogóle nie myślała o Natalii. Tylko o tym, jak się teraz czuła: mała, słaba i pokonana przez tego człowieka.

– Ubierz się. Idź wziąć te pigułki, jak kazałem. Teraz jesteś jedną z moich dziewczyn. Razem z całą resztą. Każdy będzie wiedział. Tak samo mężczyźni, których przysię.

Dygocząc, z otwartymi ustami, zgięta w pół, z ramieniem tętniącym z bólu, chwyciła swoją tanią kurtkę, jakby ta dawała jej jakąś ochronę.

– Wynoś się! – krzyknął. – Nie chcę cię widzieć w takim stanie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pięćdziesiąt euro.

– Do piątku nie będziesz pracować. To ci wystarczy. Potem ktoś zadzwoni i powie ci, co masz robić, z kim się spotkasz. – Wymierzył palec w żywy znak na jej plecach. – Jeśli jakiś mężczyzna to zobaczy, a to nie ja go przyślę, dowiem się. Pamiętaj. A teraz idź.

Zgarnęła banknoty i wbiegła do łazienki. Rana była zbyt wrażliwa, zbyt świeża na maść. Ostrożnie zamocowała więc tylko opatrunek, umyła twarz, pozbyła się śladu łez. Usiadła na sedesie.

Płacz.

Strach.

Nienawiść.

I wreszcie – zaczęła myśleć.

Miała ze sobą torebkę. Wyjęła długopis. Na lewym nadgarstku zapisała kody do wejścia i do windy.

Nawet na nią nie spojrział, gdy piętnaście minut później wychodziła. Szła Spooksteeg, chwiejąc się na nogach, potykając się na bruku.

Następnie zrobiła coś, czego nie próbowała nigdy wcześniej, chociaż wielu mężczyzn jej to proponowało. Weszła do pobliskiego coffee shopu, należącego do Yilmaza, jak wiedziała, i poprosiła o skręta.

Nie miała pojęcia, co z nim trzeba zrobić ani za co dokładnie płaci. Czy jest mocny. Jak szybko da jej upragnione zapomnienie.

Już nie wolno jarać na miejscu. Ona nie paliła nawet papierosów. Wyszła na ulicę i usiadła na zimnym, wilgotnym zimowym powietrzu obok dwóch ujaranych kretynów. Poprosiła jednego z nich o ogień, zaciągnęła się mocnym, gęstym dymem.

Zamknęła oczy. I ujrzała czarne puste miejsce w środku. Miejsce, które wydawało się wieczne.

Saif Khaled mieszkał przy wąskim deptaku, niedaleko Zeedijk. Chińskie sklepy i supermarkety. Powietrze wypełniały egzotyczne zapachy z pobliskiej restauracji.

Bakker postawiła rower pod brudnym ceglany murem i zadzwoniła. Vos stanął nieco za nią, rozglądał się. Cztery kondygnacje, piwnica z zaklejonym oknem i osobnym wejściem u stóp schodów.

Dopiero po chwili ktoś zareagował. Khaled wyglądał mniej więcej jak na zdjęciach zrobionych przez Ferdiego Pijpersa. Czarna broda, faliste lśniące włosy. Koło pięćdziesiątki, spokojny. Burknął coś, gdy Bakker pokazała odznakę, a następnie, na swoim tablecie, zdjęcia z poprzedniego tygodnia.

– Dziwię się, że to trwało tak długo – powiedział i zaprosił ich do środka.

Schludny dom. Czyste podłogi. Czyste pokoje. Zapach środków dezynfekujących zmieszany z kadzidełkiem. Zaprowadził ich do pokoju od frontu, wyszedł do kuchni i wrócił z trzema

szklankami herbaty miętowej.

Vos upił łyk, walcząc z gorącym szkłem. Bakker wskazała Bowersa na zdjęciach.

– Bouali – poprawił ją, gdy wypowiedziała jego nazwisko. – Tak się przedstawił.

Popłynęła opowieść. Bez zająknięcia i szczerza. Khaled od czasu do czasu przyjmował muzułmanów w trudnej sytuacji. Załamani, zagubieni, szukający pomocy. Tymczasowe mieszkanie, żeby mogli stanąć na nogi. Zwykle nie zadawał żadnych pytań. Nikt nie zostawał dłużej niż na tydzień. To była sztywna zasada.

– Kto za to płaci? – spytała Bakker.

– Mam krewnych, których na to stać. I na o wiele więcej. – Podniósł szklankę niejako w toaście. – Dobroczynność nie kosztuje dużo. Powiedział, że musi się gdzieś zatrzymać. Nie prosił o pieniądze. Tylko o łóżko.

Khaled znowu spojrzął na zdjęcia Bakker.

– Kto to zrobił? Wasi ludzie?

– Niepoczytalny żołnierz – odpowiedział Vos. – Człowiek, który zastrzelił Ismaila Alamy’ego.

Znowu na nie spojrzął.

– Śledził mnie? Czy Boualiego?

– Nie wiemy.

Nie uwierzył.

– Naprawdę? Ten Anglik miał skądś moje nazwisko. Zadzwoił i poprosił o spotkanie. Nie wpuściłbym go tutaj. Spotkaliśmy się więc na ulicy. Wysłuchałem go. I odmówiłem.

– Dlaczego? – spytał Vos.

– Nie był ze mną szczery. Ja nie zadaję wielu pytań. Ale jeśli je zadaję, oczekuję odpowiedzi. On się nawrócił niedawno. Nie umiałbym powiedzieć, co go tu sprowadziło...

– Więc dlaczego się pan nas spodziewał? – spytała Bakker.

Uprzejma fasada zniknęła.

– Czytam gazety. Widziałem, co się z nim stało.

– Mógł się pan sam zgłosić – zasugerowała Bakker.

– I co powiedzieć? Widziałem się z tym człowiekiem dziesięć, piętnaście minut. Raz. Wiedziałem o nim tyle, że szukał mieszkania. Może jeszcze chciał z kimś pogadać.

– Powinien pan był się zgłosić – powiedział Vos.

To go zirytowało.

– Dlaczego? Z jakiegoś niewłaściwie pojętego obowiązku? Ten wariat robił mi zdjęcia. Naprawdę mam wierzyć, że o tym nie wiedzieliście? Tylko dlatego, że jestem muzułmaninem. Potem zastrzeliliście Ismaila Alamy’ego...

– Nie zastrzeliliśmy go – przerwał mu Vos. – Już mówiłem. To chory weteran. Sądzymy, że trafił na pańskie nazwisko w prasie. Gdyby Alamy przyjął naszą propozycję ochrony, nie zginąłby.

– Ochrony? – Khaled popatrzył na nich gniewnie. – Żartujecie sobie?

– Ani trochę. Znał pan też Ismaila Alamy’ego?

Fasada przyjaznego nastawienia również zniknęła.

– Ze słyszenia. Nie znaliśmy się osobiście. Żałuję. Ale potem wasi ludzie wsadzili go do więzienia. Bez powodu, jak orzekł ostatecznie sąd.

– Chcielibyśmy się rozejrzeć – powiedziała Bakker.

– Macie nakaz? – Roześmiał się. – Nie. Gdybyście mieli, nie prosilibyście, prawda?

– Skoro nie ma pan tu nic do ukrycia... – zaczęła Bakker.

– Podstawa waszego prawa, o ile rozumiem, orzeka jasno, że najpierw musicie wykazać moją winę. Nie, że ja muszę udowodnić swoją niewinność. Oczywiście tak się nie stało w wypadku Ismaila Alamy'ego. Ale dlaczego dalej nie próbować?

Wstał i zdjął okulary.

– Gdzie pan był w niedzielę? – spytała Bakker, przyglądając mu się.

Khaled zastanawiał się chwilę.

– Nie mam teraz żadnych gości. Poszedłem nad kanał i patrzyłem na te bzdury. Człowiek z białą brodą. Małe uczernione trolle biegające w kółko na jego rozkaz. Że też to was bawi...

– A potem?

– Potem wróciłem do domu i czytałem. Sam. Nie wybrałem się na Leidseplein, jeśli o to pytacie. Ileż można znieść przedstawień?

– Sam? – powtórzyła.

Odłożył okulary na tacę.

– Odpowiedziałem na wasze pytania. Spotkałem się z Boualim na kilka minut. Nigdy nie rozmawiałem z Alamy ani nie kontaktowałem się z nim. A teraz jeden i drugi nie żyje. – Patrzył na nią groźnie. – Zadowolona?

– Zaginęła mała dziewczynka – warknęła Bakker. – Porwana przez ludzi powiązanych z nimi. Nie obchodzi to pana?

Wzruszenie ramion.

– Na świecie jest tyle rzeczy, którymi trzeba się przejmować... Próbuję się skupić na kwestiach, które są mi bliskie. Na sprawach, na które mogę jakoś wpłynąć. Dla tego dziecka nic nie mogę zrobić. Przykro mi.

Ruchem ręki wskazał drzwi.

– Może gdzie indziej dopisze wam szczęście?

Wyszli na zewnątrz, Bakker kipiała z wściekłości. Vos znowu oglądał budynek. Wielki jak na jednego człowieka. Przed pobliską restauracją dwóch chińskich kelnerów właśnie pokłóciło się z klientem. Kimś, kto uciekł bez płacenia. Niezbyt dobry pomysł w tej części miasta. Szukał po kieszeniach pieniędzy, starając się nie przyciągać uwagi.

– Co sądzisz? – spytał Vos.

Bakker odpięła rower.

– Myślę, że z przyjemnością zmarnował nam trochę czasu. Nie damy rady zdobyć teraz nakazu, prawda?

Pokręcił głową, podszedł kawałek i przeczytał menu. Uciekający konsument cisnął w kelnerów pieniędzmi i zwiął.

– Lubisz chińszczyznę?

– To nie jest dobry moment, Vos.

– Rzeczywiście, nie jest.

Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na dom.

– Przeoczyłam coś? – spytała.

– Pewnie nie. Wracajmy na Marnixstraat.

W połowie drogi zadzwonił telefon. Vos zjechał na bok i odebrał.

Znajdowali się w rejonie Negen Straatjes. Vos bezwiednie wpatrywał się w witrynę pełną zimowych ubrań dla dzieci. Śnieżynki i renifery. Grube wełniane czapki. Drogie zabawki.

Kolorowe kurtki. W tym różowa z kucykami.

Mirjam Fransen, wściekła jak zwykle.

– Na miłość boską, co pan wyprawia, Vos? Saif Khaled jest na naszej liście obserwowanych. Nie powinien pan się do niego zbliżać bez naszego pozwolenia.

Zastanawiał się, czy powinien kupić coś Laurze Bakker na Gwiazdkę.

– W życiu nie widziałem na oczy waszej listy obserwowanych. Szukam małej dziewczynki. – Opowiedział jej o zdjęciu Khaleda i Bowersa, które znaleźli w telefonie Pijpersa. – Musimy sprawdzić to wszystko.

– Znaleźliście coś?

Kurtka z kucykami kosztowała siedemdziesiąt pięć euro. Hanna Bublik mogła pewnie tyle zarobić w godzinę, dwie.

– Znaleźliśmy informację, że wasi agenci mają zwyczaj wychodzić z chińskich knajp bez płacenia. Co tam robią wasi ludzie?

Cisza.

– Powiniennem coś wiedzieć? – spytał.

– O czym?

– O Saifie Khaledzie? Martinie Bowersie? O tym podsłuchu u Henka Kuypersa, o który prosiłem?

– Dość tego gówna, Vos. Tylko pogarsza pan sprawę.

– A to w ogóle możliwe?

– Tak.

– Gdy porywacz zadzwoni, musimy mu dostarczyć okup. – Silił się na przekonujący ton. W nadziei, że to poskutkuje. – Nie te fałszywki, które zebrał de Groot. Możecie zgromadzić pieniądze. Oznaczyć banknoty. Wsadzić nadajnik do torby. Robić różne rzeczy, które mnie nawet nie przyjdą do głowy...

– Nie ma mowy.

Vos miał dość jasne wyobrażenie, jak może wyglądać taka wymiana. Znał mnóstwo przykładów wymuszeń i porwań. Jakiegoś pachołka, czasami bogu ducha winnego, wysyłano po odbiór okupu. On sprawdzał pieniądze na miejscu i dopiero je zabierał szczebel wyżej. Stos kartek mógł ich zwieźć najwyżej na kilka minut. Potem łącznik zadzwoni.

Odszedł kawałek, żeby Bakker go nie słyszała.

– Jeśli nie załatwimy tego tak, jak oni chcą...

– To pańska sprawa, Vos – powiedziała i nie próbowała nawet ukryć wzgardy. – Sam pan tak mówił. Niech pan sobie z tym radzi. Ale nie przekaże pan przestępcom państwowych pieniędzy.

Powolnym krokiem podeszła Bakker. Vos zadzwonił do Hanny Bublik. Połączył się z pocztą głosową.

– Jezu, Hanno – wyszeptał. – Gdzie jesteś?

I zostawił kolejną wiadomość.

Nokia znaleziona w kieszeni zastrzelonego Ferdiego Pijpersa leżała teraz na plastikowej tacy rozebrana na kawałki. Aisha Refai grzebała w tych elementach pęsetą, biedząc się z szesnastogigową kartą pamięci, gdy wszedł Thijs, dorabiający sobie u nich maniak telefoniczny. Dwadzieścia trzy lata, wysoki i poważny. Pracował jako doradca firm telekomunikacyjnych. Zadzwoniła do niego dopiero, gdy utknęła. On też wiedział, że jest ostatnią deską ratunku.

Popatrzył na rozłożony aparat na biurku.

– Co ty wyprawiasz, na miłość boską? – spytał. – N96? To jak dzieło sztuki.

– To telefon – odparła. – Po prostu telefon.

– Teraz telefon w kawałkach.

Powiedziała mu, co się stało. Że nokię znaleziono w kieszeni zastrzelonego człowieka. Już wyczyszczoną.

– Twardy czy miękki reset? – spytał.

– Twardy... – odparła niepewnie.

Usiadł, wyjął rękawiczki lateksowe i zaczął z powrotem składać aparat.

– Więc włączyłaś go i nic nie znalazłaś?

– Właśnie – odrzekła, siląc się na cierpliwość. – A jak sądzisz, dlaczego po ciebie zadzwoniłam?

– Bo potrzebujesz geniusza. – Uśmiechnął się szeroko. Gdy się uśmiechał, wyglądał ładnie. – A swoją drogą, kawa niezłe stymuluje komórki mózgowe geniusza. – Ruchem głowy wskazał nowy automat. – Podwójne espresso.

Burknęła coś, ale podeszła do maszyny i przygotowała mu napój. Zanim wróciła, telefon na powrót stanowił całość. Thijs wysuwał właśnie klawiaturę. Nokia wyglądała zgrabnie. Mały ekran, wczesny smartfon, zrobiony w 2008 roku, z tego co czytała. Ale już zabytek.

Thijs podłączył ładowarkę i wcisnął włącznik.

– N96 można zresetować na dwa sposoby. Na twardo i na miękko. Twój przypadek... – Podrapał się po głowie, jakby próbował coś sobie przypomnieć. – Gwiazdka, hasz, osiem, siedem, osiem, zero, hasz, na twardo. Trzy zero na miękko.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ta wiedza wzbogaca moje życie.

Chwycił kawę, wzniosł radosny toast i napił się.

– UDP.

I tyle.

– Słucham?



– UDP. User Data Protection, ochrona danych użytkownika. Sprytny drobiażdżek, który Nokia wymyśliła, żeby człowiek nie stracił danych. Nawet jeśli telefon ulegnie zniszczeniu. Dopóki karta pamięci jest nietknięta, nic ci nie grozi. Więc... – Patrzył, jak ekran budzi się do życia. – Wszystko nadal tu jest. Trzeba tylko umieć szukać.

Skrzyżowała ramiona, kopniakiem odsunęła stołek od biurka i przyglądała mu się.

Wyniosły uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, gdy tylko poklikał po klawiszach.

– I jak? – spytała, gdy ewidentnie skończyły mu się możliwości.

Odłożył telefon, wziął głęboki oddech i spytał, gdzie jest karta SIM.

– Nie było karty SIM.

– Naprawdę? I tak to znaleźliście? W kostnicy? Wyczyszczony?

– Na wypadek gdybym musiała się powtarzać... tak.

– To niemożliwe. Ten telefon wyczyszczono całkowicie. Dane. System. Totalna pustka. Nie da rady zrobić tego za pomocą samego telefonu. Trzeba użyć kodów, które ci podałem.

To było interesujące.

– Ale ty byś mógł, prawda?

Machnął ręką.

– Naturalnie. Ale nie bezpośrednio z telefonu. Trzeba się podłączyć do laptopa. Wejść głęboko. Jeśli się na tym znasz, to robota na minutę. Ale musisz mieć sprzęt.

Próbowała to poskładać do kupy.

– Mógł to zrobić sam. W domu. Zanim wyszedł.

– To po co by brał aparat?

– Żeby dzwonić?

– Ty nie słuchasz, malutka.

– Nie mów do mnie...

– To urządzenie jest puste. Nie ma ustawień. Moja teoria...

Od czasu do czasu lubił widzieć w sobie detektywa. Co ją doprowadzało do szaleństwa.

– Ktoś zabrał telefon, po tym jak ten człowiek został postrzelony. Albo w drodze z lotniska, albo tutaj podłączyli go do laptopa. Znali się na tej robocie.

– Więc nie ma na nim nic zupełnie?

– Pozbawiony danych. Ani śladu, ani bita. – Obrócił telefon w dłoniach. Niemal z czułością. – Kiedyś to było niezłe urządzenie. Aparat pięć mega pikseli. GPS. Obiektyw Carla Zeissa. Wi-Fi. HSDPA. DVB-H, z którego co prawda akurat nikt za bardzo nie korzystał...

– Dość, dość.

Miał płacone od godziny i lubił wydłużać konsultacje żargonem, ile się dało.

– Przepraszam – powiedział, odkładając nokię na tacę. – Rozumiem, że nie znalazłaś karty microSD.

– Że co?

Zerknął na zegarek. Ściągnęła brwi na ten widok.

– Kim on był?

Wprowadziła go odrobinę.

– Więc był Sekretną Wiewiórką? – spytał Thijs.

– Kiedyś służył w żandarmerii wojskowej. Pewnie w wywiadzie.

Obrócił telefon w dłoniach.

– Dobry sprzęt do tej roboty. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli robił zdjęcia, zapisana jest na nich pozycja GPS? Dokładna lokalizacja. Ta mała bestia ma też A-GPS. Pewnie z dokładnością do pięciu metrów, jeśli masz szczęście.

– Najwyraźniej nie mam szczęścia.

Z boku znalazł mały slot. Wziął do ręki szkło powiększające i przyjrzał mu się bacznie.

– Gdybym był strachliwy, nie przechowywałbym ważnych danych na karcie pamięci. Trzymałbym je na karcie mikro i wyjmował, gdyby nie była mi potrzebna. Te karty są mniejsze niż paznokcie noworodka. Nikt nigdy ich nie szuka. Widzisz?

Podał jej szkło powiększające i wskazał otwarty slot w telefonie.

Zadrapania. Wyglądały na czyste i świeże.

– Więc ktoś usunął również microSD – powiedział.

– I wyczyścił telefon? Dlaczego?

– Był ostrożny?

– Ostrożny podejrzliwiec ukryłby kartę, prawda? – Wstała. – Idziemy.

– Dokąd? – spytał trochę nerwowo.

– Do kostnicy. Przeszukać ubrania zmarłego.

Thijs pobladł.

– Nie, nie, nie. Ja się zajmuję telefonami. Zwłoki to nie moja działka.

– Płacą ci i jeszcze dostajesz darmową kawę – odparła, poklepując go po ramieniu. Mocno. – Jeśli coś tam na dole znajdę, musisz na to rzucić okiem.

– Ale...

Oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego tak groźnie, że zamilkł.

– Nie dotkniesz żadnego paskudztwa – dodała. – To moja robota.

Jeden sztach i Hanna Bublik wiedziała, że próbuje się ujarać po raz pierwszy i ostatni. Na jej telefonie błyskała dioda wiadomości. Vos chciał, by przyjechała na Marnixstraat o piętnastej trzydzieści. Mówił, że to ważne. Porywacz miał dzwonić o szesnastej. Wyraźnie to podkreślił. Gdyby mogła z nim porozmawiać, to może...

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do niego i nie spytać, czy ludzie ze służb specjalnych zmienili zdanie na temat okupu. Ale odrzuciła ten pomysł. Miała wybór. Pomiędzy Cemem Yilmazem, który ją właśnie naznaczył jako swoją własność, a znanie to wciąż paliło ją w ramię, a Pieterem Vosem, porządnym policjantem, ograniczonym przez system, z którego wad zdawał sobie sprawę. Bezsilny nie mógł zrobić tego, co uważał za słuszne.

Czyli w sumie żaden wybór.

Ruszyła wąską brukowaną ulicą, próbując ominąć wieczór kawalerski Brytyjczyków, którzy dzierżyli puszki z piwem i skręty. Tacy co to w ramach popisów dobijali się do jej kabiny.

Gdzieś po drodze zadzwonił telefon. Usłyszała stanowczy, jasny głos Renaty Kuyper.

– Musimy się spotkać.

– Dlaczego?

Tamta chwilę milczała.

– Nic pani nie jest? – spytała w końcu.

– A na co wygląda?

– Gdzie pani jest?

Rozejrzała się. Spuistraat.

Chwila milczenia. Renata Kuyper szukała czegoś w komputerze.

– Dwie ulice dalej jest kawiarnia. Florian. Spotkajmy się tam za dziesięć minut.

W eleganckim lokalu stały cukierkowe meble, na ścianie wisiały widoczki z Wenecją. Gdy Hanna weszła do środka, kobieta za barem spojrzała na nią dziwnie. Hanna zamówiła kawę i usiadła.

Pewnie zalatywało od niej marihuaną. Od tego jednego sztacha czuła gęsty smak na języku. Mieszał się w głowie z bólem po rozgrzanym żelazie Turka.

Od samego początku, od tamtej dziwnej, okrutnej niedzieli na Leidseplein zadreżczała się jednym prostym pytaniem: co robić? I nie znajdowała odpowiedzi. Była tu obca. Sama. Nielegalna. Podejrzana. Przez niektórych znienawidzona. W niedzielę policja powiedziała jej, że ma cierpliwie czekać. Patrzeć. Ufać im. Teraz była środa, a oni nadal nie wiedzieli, kto porwał Natalię. Ani kto ją przetrzymywał teraz, gdy powód jej porwania, uwolnienie Ismaila Alamy'ego, przestał istnieć.

Cem Yilmaz mógł być jej jedynym wyjściem, jakkolwiek tej myśli nienawidziła. A jego siedemdziesiąt tysięcy nie wystarczy. Potrzebowała Renaty Kuyper. Nie miała nikogo innego.

Właśnie się zjawiła, nieskazitelna jak zawsze. Zapłaciła za kawy, usiadła, chwyciła ją za rękę.

Hanna zabrała dłoń.

– Coś ty zrobiła, na miłość boską? – spytała Renata. – Wyglądasz strasznie. I cuchniesz czymś.

Wzruszyła ramionami, skubnęła ciasto, które tamta jej kupiła. Ramię bolało jak diabli. I musiała do toalety. Zerwała się z miejsca i pognała. Gdy już była w środku, usłyszała, że drzwi za nią się ponownie otwierają i zamykają.

Wymiotowała do umywalki. Dyszała, brakowało jej tchu, wypłukała usta i stanęła przed lustrem. Zdjęła kurtkę, sweter i tanią bluzkę.

– Jezu – wyszeptała Renata, patrząc na jej plecy. – Co to jest?

– Wpisowe – odparła, gdy odzyskała dech. – Dzięki temu zdobyłam część pieniędzy na Natalię. Od kogoś, kogo znam. Siedemdziesiąt tysięcy, jeśli mnie nie podpuszcza.

Znalazła pudełko z kremem. Renata wzięła je i nałożyła mazidło na ranę, a Hanna krzywiła się, niemal krzyczała z bólu. Potem nakleiła opatrunek. Nałożyła go luźno i zapowiedziała, że zajdą do apteki i dokupią świeże. Trzeba było go zmieniać często, żeby nie wdała się infekcja.

– Infekcja? – spytała Hanna. – A to ma jakieś znaczenie? Potrzebuję pieniędzy.

– Henk wypłacił, ile mógł. Trzydzieści tysięcy. Jego ojciec obiecywał tyle samo. To nam daje sześćdziesiąt. Sto trzydzieści. To ponad połowa tego, ile żądają. Dużo.

Ubrała się.

– Nadal nie wiemy, jak do nich dotrzeć, Hanno. Masz jakiś pomysł? Bo ja nie.

Dama z Herenmarkt nie zadawała się z przestępcami. Ale nielegalna imigrantka z Gruzji, prostytutka...

– Staram się – odparła. I nic nie dodała.

Długi wypięgnowany palec wskazał jej łopatkę.

– I to była część ceny?

Niektórych spraw nie dało się opłakać. Ból do nich nie sięgał.

– Co panią to obchodzi? – To ją ciągle zastanawiało. – Jestem zwykłą kurwą, pochodzę z kraju, którego nie wskazałaby pani na mapie. Nie jest mi pani nic winna.

Renata spojrzała na Gruzinkę, kiwnęła głową.

– To prawda.

– Więc dlaczego?

– Na miłość boską, a to ważne? – Niespodziewany wybuch gniewu zaskoczył Hannę. Uciszył ją. – Może jestem samolubna. Tak może być? Może szukam jakiegoś zajęcia. Czegós... od czego poczuję się lepiej sama ze sobą. – Oparła się o lustro. – A niewielki mam wybór, szczerze mówiąc. Zadowolona?

– I już?

Renata milczała, nie patrzyła na nią.

– Jeśli chcesz, pójdę sobie...

Hanna włożyła czarną kurtkę, przeszła przez kawiarnię i zadzwoniła do Vosa. Zadał standardowe pytania. Gdzie jest? Czy on może w czymś pomóc?

– Mógłby mi pan powiedzieć, że coś ustaliliście – wypaliła. W głowie już się jej przejaśniło. W pewien sposób pomagało w tym piętno Cema Yilmaza.

– Musi pani przyjechać na Marnixstraat – powiedział cierpliwym, troskliwym głosem. – Chcę, żeby pani z nim porozmawiała, gdy zadzwoni. I z Natalią.

Współczucie. To było właściwe słowo. On wiedział, co to jest, i na swój sposób wiedziała też ta wrażliwa młoda ruda kobieta, która z nim pracowała. Ale czy to było coś warte? Ile znaczyła dobroć w świecie, który tę dobroć miał za nic?

– Myśli pan, że oni mają sumienie?

Długa chwila ciszy.

– Myślę, że musimy wypróbować wszystkie możliwości – rzekł w końcu. – Możemy załatwić wymianę...

– Czym? Fałszywkami? – krzyknęła. Renata stała obok niej na ulicy, patrzyła, słuchała. – Co się stanie, gdy oni się zorientują?

– Proszę... – Vosa zawodził głos od zakłopotania. – Niech pani przyjedzie na komisariat. Jest mi tu pani potrzebna.

Podejrzewa, pomyślała. Bystry człowiek, rozumiał, że ona szuka innego wyjścia.

– Przyjadę – zgodziła się potulnie, po czym schowała telefon do kieszeni.

Renata podeszła do niej.

– Mam nasze trzydzieści tysięcy – powiedziała. – Ojciec Henka obiecał drugie tyle. Powinien mieć te pieniądze w ciągu godziny. Proszę zadzwonić tylko z informacją, co mam robić.

Cisza.

– Hanno?

– Dobrze. Zadzwoń.

O piętnastej piętnaście, gdy w gabinecie de Groota Vos po raz kolejny próbował ubłagać przez telefon Mirjam Fransen, żeby się zgodziła na prawdziwe pieniądze, Koeman został wezwany na recepcję komisariatu. Czekala tam drobna Azjatka. Stare ubrania. Na kolanach torba z supermarketu. Twarz, która zdradzała lata ciężkiej pracy, oczy, które nie chciały patrzeć wprost na niego.

Chciała porozmawiać z kimś o porwaniu. Koeman wziął głęboki oddech, zdecydowany tym razem wysłuchać gościa.

Kobieta sprzątała dla Smitsa, właściciela wynajętej łodzi z Westerdok, na której Natalia spędziła pierwszą noc po porwaniu. Kiedy Vos przyjechał, myśląc, że dziewczynka jeszcze tam jest, ona prawie już kończyła pracę.

– Nie powie pan panu Smitsowi, że tu byłam, dobrze? – spytała cichym, przestraszonym głosem.

– Nie widzę powodu, żeby mu mówić – odrzekł Koeman. – A to problem?

Nie wyjaśniła dokładnie, dlaczego miałby być. Ale Koeman zrozumiał, o co chodzi. Smits zajmował się wynajmem łodzi na boku, oficjalnie prowadził biuro turystyczne. Wszystkie należności z tego biznesu uiszczano gotówką i prawdopodobnie nie były księgowane.

– Więc kiedy przyjechała policja, nie wiedziała pani, czy to nie dlatego? – spytał, gdy już uznał, że zdobył odrobinę jej zaufania.

Kobieta kiwnęła głową.

– Nie wiedziałam, że jakaś dziewczynka zaginęła. Dopiero gdy zobaczyłam wczoraj w wiadomościach.

– I?

– Już wcześniej wyniosłam większość śmieci. Były w śmietniku na ulicy. Nikt mnie o to nie spytał. – Wzruszyła drobnymi ramionami. – A powinniście.

– Powinniśmy – przyznał.

– Jak tylko się dowiedziałam, wróciłam i wyjęłam stamtąd część rzeczy.

– Kiedy to było? – spytał.

Popatrzyła na niego.

– Dzisiaj rano. – Rozejrzała się po poczekalni. – Pan Smits nie lubi policji. Myślałam, że może znajdziecie tę dziewczynkę.

Koeman skrzyżował ramiona na piersi i powtarzał w myślach, że musi zachować spokój.

– I? – spytał.

Sięgnęła do torby i zaczęła wyjmować z niej rzeczy.

Zgnieciony kartonik po soku pomarańczowym.

Kilka zmiętych chusteczek w woreczku plastikowym.

– Świetnie – powiedział – to na pewno się przyda.

– Nie ma za co – wymamrotała pod nosem. – I to.

Książeczka do kolorowania. Znowu w plastikowej torebce. O wszystkim pomyślała.

– Dziękuję – powiedział Koeman bez przekonania.

– Przejrzałam ją – dodała kobieta. – I znalazłam to...

Pokazała mu wewnętrzną stronę okładki. Zerknął na nią i podziękował raz jeszcze, tym razem z przekonaniem.

Przy recepcji rozległ się czyjś głos. Hanna Bublik pytała o Vosa.

– To ona? – spytała sprzątaczką. – Matka? Kobieta, która...

– Dziękuję pani – powtórzył, uśmiechnął się, wstał i podał jej rękę. Zanotował nazwisko, numer telefonu i adres.

– Pan Smits nie dowie się, że to ode mnie, prawda? – spytała raz jeszcze.

– Dopilnuję tego – odrzekł i podszedł do kontuaru.

Do rozmowy zostało dwadzieścia minut. Hanna Bublik siedziała w jakimś pokoju z mundurową policjantką. Vos wraz z Bakker i Van der Bergiem udali się do kostnicy i patrzyli, jak Aisha i jej kolega od telefonów wyjmują rzeczy Ferdiego Pijpersa.

Na biurku rósł stosik zakrwawionych ubrań. Przeglądała je rękoma w rękawiczkach. Thijs patrzył szeroko otwartymi oczyma, odrobinę pozieleniały.

Młody technik z wydziału kryminalistyki zarekwirował nagranie kamery z karetki, która zabrała umierającego Pijpersa do szpitala. Właśnie się odtwarzało na komputerze stojącym na końcu biurka. Dwóch ratowników walczyło o życie Pijpersa w pędzącym ambulansie. Mirjam Fransen cały czas patrzyła na nich z siedzenia w głębi.

– Można by sądzić, że powinna się zająć swoim kolegą – zauważyła Bakker.

– Thom Geerts już nie żył – przypomniała Aisha Refai. – Pijpers... jeszcze nie do końca. Nasza przyjaciółka z AIVD tylko siedzi. W każdym razie ja nie widzę, żeby robiła cokolwiek innego. – Na chwilę zostawiła ubrania i zrobiła zbliżenie. Fransen opierała się o ścianę karetki, oczy miała szkliste, była wyraźnie wstrząśnięta. – Powiedziałabym, że jest nieźle roztrzęsiona.

– Tak czy owak...

Bakker chwyciła myszkę i przesuwała nagranie to w przód, to w tył. Fransen siedziała i patrzyła, jak ratownicy uwijają się przy krwawiącym mężczyźnie leżącym na noszach. Ani drgnęła, dopóki karetka się nie zatrzymała. Wtedy załoga wyniosła Pijpersa, a ona zniknęła w ślad za nimi.

– Musimy zdobyć nagranie ze szpitala – powiedziała.

– Próbowałam – odparła Aisha. – To niełatwe. W większości miejsc nie ma kamer. – Uśmiechnęła się do Vosa. – Obawiam się, że będziecie musieli to załatwić po staremu. Iść i wypytywać ludzi.

– W odpowiednim momencie – odparł Vos. – Skąd wzięliśmy jego rzeczy?

Zajrzała do komputera.

– Tuż przed północą zadzwonił dyżurny z AIVD i zasugerował, żebyśmy odebrali ciało wraz z rzeczami na rutynową autopsję tu u nas. Zabraliśmy je po dwóch godzinach. Każdy mógł coś

stamtąd zwinąć. – Po chwili wahania dodała: – Albo stąd.

– To musiała być AIVD – krzyknęła Bakker. – Od samego początku nas przerabiają. Wcześniej...

– Lauro – przerwał jej Vos.

– Tu się nic nie zgadza. Skoro ja to widzę, ty na pewno też.

Nie odpowiedział. Aisha Refai i jej kolega od telefonów wyraźnie się zmieszali.

– A nie powinniśmy ich przesłuchać? Czy oni stoją ponad prawem? Bo chyba tak sądzą.

Spór przerwały im ciężkie kroki i nikotynowy kaszel. W drzwiach stał Koeman. W ręku trzymał plastikową torebkę z książeczką.

– Nie przeszkadzam?

– Nie – odrzekł Vos. – O co chodzi?

– Pamiętacie sprzątaczkę z łodzi w Westerdok? Znalazła coś.

Położył znalezisko na biurku. Na okładce książeczki widniał obrazek z krową przeskakującą nad księżycem. Jasny i barwny.

– Aisha – poprosił detektyw. – Ty masz rękawiczki...

Stanęli wokół niej, gdy otwierała torebkę. Zaczęła przewracać kartki.

Na większości stron widniały tylko drukowane obrazki. Koty i psy. Matki i ojcowie. Dzieci bawiące się na słońcu.

– Z tyłu – podpowiedział Koeman.

Przewróciła kartki. Pismo było staranne i wyraźne. Każda litera drukowana, jakby była bardzo ważna.

*Jeden z nich się nazywa Carleed albo jakoś tak.*

*Chyba jest jakby szefem.*

*Ma ciemną skórę, wielką brodę, jest czarny i błyszczący jak pirat.*

*Chyba wie, że go widziałam.*

– Jakim cudem to przeoczyliśmy, do cholery? – spytała Bakker.

– Zanim tam dotarliśmy, już leżała w śmietniku. – Koeman obejrzał się na drzwi. – Ta kobieta jest na dole, gdyby ktoś chciał z nią rozmawiać. Strasznie się boi. Pan Smits chyba nie jest najmilszym pracodawcą na świecie. I chyba nie zgłasza dochodów z wynajmu tej łodzi. Wolałaby, żebyśmy mu nie mówili, że tu przysła.

– Carleed – powiedziała Bakker. – Saif Khaled. Broda...

– To naprawdę popularne nazwisko – zauważyła Aisha. – Bardzo, bardzo popularne. Jak Smits. A jeśli chodzi o brody...

– Wiem – wtrącił Koeman. – Sprawdzalem. Ale po rozmowie z nią odebrałem zgłoszenie od zespołu w Chinatown.

Zerknął do notatek.

– Rozmawiali ze wścibską starą babcią, która mieszka na tej ulicy. Mówi, że wczoraj wieczorem widziała w oknie piwnicy dziewczynkę. Długie blond włosy. Okno jest zaklejone, ale

dziecko, zdaje się, odkleiło folię. Niedługo później spotkała w sklepie naszego przyjaciela Khaleda. Kupował sok owocowy i słodczyce. A, i książeczkę do kolorowania oraz kredki. Wspominał o tym?

Vos zerknął na zegarek. Dziesięć minut. Musiał porozmawiać z Hanną Bublik.

– Powiedział, że nikogo tam nie ma. Że gości jedynie młodych muzułmanów w trudnej sytuacji.

Van der Berg wyjął telefon.

– Zadzwoń do de Groota, może załatwi nam nakaz.

Vos pokręcił głową.

– Nie ma czasu. Musimy odebrać ten telefon. Rozstaw ludzi w pobliżu domu Khaleda. I wóz dowodzenia za rogiem.

Van der Berg ani drgnął.

– Czy ja mówię szyfrem? – spytał Vos.

– Mamy to w raportach czarno na białym, Pieter. Saif Khaled jest na liście obserwowanych AIVD. Nie powinniśmy bez ich zgody się do niego zbliżać.

– Więc załatw to, jasne? – rzucił Vos i zerknął na zegarek. – Muszę odebrać telefon.

Znalazła kryjówkę. Wnękę pod schodami.

Dzieciak z Anatolii był słaby i powolny. Zaczeka, aż chłopak zejdzie na dół z jedzeniem w ręku i rozejrzy się. Potem ona wyjdzie i go zaskoczy.

Miała osiem lat. On może dwa razy tyle. Ale ona miała najostrzejszy nóż spośród narzędzi z szafki. I użyje go.

Drżąc w różowej kurtce, przez szparkę w folii na oknie widziała, że robi się ciemno. Niedługo chłopak wróci, z jedzeniem i opróżnić wiadro. Znała już tutejszą rutynę.

Od szczytu schodów dobiegł ją zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Nawet ich za sobą nie zamknął. Leń. Bo na dole była tylko mała dziewczynka, przestraszona i cicha.

Natalia podeszła ostrożnie do schodów i czekała. Nie wiedziała, ile to potrwa. Nie miała zegarka. Zabrali jej go, zanim dojechała do tego pierwszego miejsca, gdzie słyszała kaczki i wodę pluskającą o drewniany kadłub.

Teraz nie słyszała nic, tylko kroki kłapiące po bruku na ulicy nad głową, a widziała wyłącznie czarne cegły.

Głosy. Rozmaite głosy. Mężczyzn i kobiety. Czasami dzieci. Holenderskie. Inne. Może chińskie. I coś jeszcze.

Czekała.

Nie miała nic innego do roboty.

Zostanie w kryjówce, jak długo będzie trzeba.

Pokój przesłuchania. Duszny i ciasny. Ze stołówki na dole dolatywał zapach tłuszczu do smażenia i gryzącej pary.

Vos, Hanna Bublik, Bakker i Van der Berg. Kobieta ze specjalistycznego zespołu interwencyjnego zaangażowana do przekazania okupu. Czerwona walizka, zamknięta,



w gotowości. Vos miał ją wziąć, nadajnik GPS w kurtce, kolejny wszyty pod podszewkę walizki. Trzy zespoły gotowe do pościgu z miejsca, w którym dojdzie do wymiany. Śmigłowiec wzbija się w powietrze, gdy tylko poznają czas i miejsce.

De Groot był na spotkaniu gdzieś poza Marnixstraat, nie dało się z nim skontaktować. To było dziwne, ale miało pewne zalety.

Na zegarze ściennym zrobiła się czwarta. Vos wpatrywał się w starego samsunga na stole, podłączonego do ładowarki, głośność ustawiona na maksimum. Cztery kreski zasięgu. Wszystko gotowe.

Powiedział Hannie, ile mógł. Głównie prawdę, chociaż niecałą. Wysłuchała go bez słowa. Coś tu się nie zgadzało. Odnosił wrażenie, że cierpi. Fizycznie i psychicznie. Bakker też to zauważyła, spytała, czy wszystko w porządku. zaproponowała, że sprowadzi lekarza.

Gruzinka poprosiła tylko o szklankę wody. Vos odniósł wrażenie, że czuje od niej marihuanę, ale nie chciał o tym myśleć.

Więc czekali.

Pięć po czwartej spojrzała na Vosa i spytała:

– Co się dzieje?

– Nie zawsze trzymają się planu – odrzekł, improwizując jak zwykle.

– Mówił pan, że podkreślał, że szesnasta. Punktualnie.

– To prawda.

Patrzyła na niego.

– I co jeszcze?

Decyzje. Prawda czy białe kłamstwo w dobrej wierze. Teraz to było nieważne.

– Powiedział, że nie zadzwoni, jeśli uzna, że nam nie może zaufać.

– Jesteście z policji. Oczywiście, że wam nie ufają.

– Mieli na myśli – powiedziała Bakker – że jeśli uznają, że nie zamierzamy przekazać okupu. Jeśli...

Hanna Bublik wstała, chwyciła walizkę, zanim ktokolwiek z nich zdołał ją powstrzymać. Rozpięła ją w mgnieniu oka i przebiegła palcami po banknotach.

Szybko natknęła się na zwykły papier.

– Cholera – odezwała się kobieta z operacji specjalnych. – Wolałabym, żeby pani tego nie robiła. One są pokryte tuszem.

– Tuszem? – krzyknęła Hanna. – Jakim tuszem?

Funkcjonariuszka wyjęła lampę z torby i poświeciła na banknoty. Na wszystkich pojawił się kod, również na kartkach pod spodem.

– Dopadniemy ich – powiedziała. – Postawimy tych drani przed sądem.

– Przed sądem?! – Hanna znowu krzyknęła. – Gównu mnie obchodzi sąd. Chcę odzyskać córkę. Tylko to się liczy. Nie...

Zepchnęła walizkę ze stołu. Prawdziwe pieniądze i puste kartki rozsypały się dokoła. Nikt się nie ruszył, dopóki Vos nie wstał. Przekonał ją, by usiadła na miejscu. Kobieta od operacji specjalnych westchnęła i zaczęła zbierać banknoty, próbując ułożyć je z powrotem w walizce.

Hanna machnęła ręką na ten cały bałagan.

– Więc nie zadzwonią, jeśli uznają, że chcecie ich oszukać? A wy to właśnie robicie?

– Standardowa procedura – powiedziała kobieta.

– Standardowa procedura to wszystko spierdolić?

Vos odczekał chwilę, nim odpowiedział z lekkim wzruszeniem ramion:

– Tak się zdarza.

Nienawidził kłamać. Laura Bakker też. Była to jedna z nielicznych rzeczy, która ich łączyła.

I nienawidził czekania. Oboje nie znosili czekać, chociaż z różnych powodów. Bakker była młoda. W jej wypadku chodziło o zwyczajną niecierpliwość. Vos, starszy, we własnej opinii wcale nie mądrzejszy, tylko bardziej doświadczony, wiedział, że godziny bezczynności tylko podsycają jego ciekawość, jego instynktowną skłonność do nieufności, czasami wobec spraw, które były całkowicie niewinne.

Patrzyli na telefon.

Telefon nie dzwonił.

– Mówiliśmy, że nie możemy zapłacić całej sumy – powiedziała Bakker jak najdelikatniej.

Hanna nie zwróciła na nią uwagi, znowu wylała swoją wściekłość na Vosa.

– Zrobił pan coś? Coś, o czym oni mogli się dowiedzieć?

– Nie – odrzekł Vos i popatrzył na nią. – A pani?

Pytanie wprost. A gdy zobaczył, jak jej zboląta twarz się zarumieniła, zrozumiał, że ona też nienawidzi kłamstwa, tak samo jak on. Co musiało być trudne, jeśli wziąć pod uwagę, jakie życie prowadziła.

– Powinniśmy porozmawiać – orzekł. I gestem poprosił resztę o opuszczenie pokoju. – Sami.

Bakker zamrugała powiekami i wbiła w niego oburzony wzrok.

– Vos! Czekasz na telefon!

– Mogę odebrać telefon bez ciebie. No już. – Ruchem głowy wskazał drzwi. – Wyjdź.

Kręcąc głową, odrzucając gniewnie swe rude włosy, wstała. Van der Berg i funkcjonariuszka podążyli za nią.

Zostali sami. Walizka. Milczący telefon. Gryzące zapachy dolatujące ze stołówki. Klimatyzacja wyła, tłocząc za dużo ciepła do ciasnego pokoju przesłuchań.

– Nie mogę zmusić tych ludzi, by mi zaufali, Hanno – powiedział. – Mogę tylko mieć nadzieję, że to zrobią.

– Nadzieję. Tak często używa pan tego słowa.

– Bo nadzieja jest nam potrzebna. Tak samo jak potrzebna mi pani wiara we mnie.

Na jej szczupłej twarzy wciąż widział rumieniec.

– Właśnie – dodał. – Wierzy pani we mnie?

Wpatrywała się w samsunga.

– Hanno?

– Czego pan chce ode mnie?

– Czy powinienem o czymś wiedzieć? O czymś... związanym z tą sprawą? – Nie wiedział dokładnie, o co chodzi. Tylko że coś się w Hannie Bublik zmieniło. – Wygląda pani na chorą.

Wygląda pani inaczej.

– Moją córkę porwano cztery dni temu. Jak mam wyglądać? Podobnie do Renaty Kuyper? Umalowana i w eleganckich ciuchach?

– Ja tylko...

Opadła na oparcie i zamknęła oczy.

– Nie spytała mnie pani – powiedział.

– O co?

– Dlaczego telefon nie dzwoni.

– A pan wie?

– Nie. Ale my się tu specjalizujemy w pytaniach bez odpowiedzi. To część naszej pracy.

– Zabawne – warknęła. Potem zerknęła na zegar na ścianie. Szesnasta piętnaście. – Jak długo będzie pan czekał?

– Aż zadzwoni. W końcu... ktoś zadzwoni.

Wstał i zawołał ich z powrotem. Polecił Van der Bergowi wycofać jeden z zespołów interwencyjnych. Kazał im czekać na nowe rozkazy. Śmigłowiec miał na razie zostać na ziemi.

De Groota wciąż nie było na komisariacie.

– Chcę, żeby Koeman siedział tu przy telefonie. Jeśli zadzwoni, on odbierze i powie, że musiałem się zająć spotkaniem, bo oni się spóźnili. – Spojrzał na kobietę w sfatygowanej czarnej kurtce. – Przynies pani Bublik coś do picia. I coś do jedzenia, jeśli zechce.

Wstała.

– Co się dzieje?

– Muszę iść – odrzekł i sięgnął po kurtkę.

– A ja mam tu zostać?

– A gdzie by pani chciała być? – spytał.

Wyszli i z korytarza słyszeli, jak krzyczy na kobietę ze wsparcia, czekając, aż pojawi się Koeman.

– Co to miało być, do cholery? – spytał Van der Berg.

– Chciałbym wiedzieć – odrzekł Vos. – Złóżmy Saifowi Khaledowi drugą wizytę. Chcę się rozejrzeć po jego domu.

Mirjam Fransen miała biuro za placem Dam. Niewielki gabinet. W całym budynku silna ochrona. Dzisiaj wszyscy byli nieszczęśliwi. Może Thom Geerts nie był za bardzo lubiany, ale na pewno cieszył się szacunkiem. A teraz trzeba było organizować mu pogrzeb. Niezręczna sprawa z negocjowaniem renty i odszkodowania dla rodziny. Z żoną się rozwodzili. Zdaniem haskich biurokratów to komplikuje sytuację. Że to niby wymówka, żeby zapłacić mniej.

Po krótkiej odprawie z de Grootem teraz musiała się spotkać z ludźmi od ubezpieczenia i omówić odszkodowanie. Za rogiem. Okazja, by wyrwać się z budynku.

Ściemniało się. Zbierało się na deszcz. Na ulicach zagaściło się od mieszkańców, którzy wyprawili się na świąteczne zakupy. W niedzielę paru Czarnych Piotrków spuszczało się na linach z budynku. Ludzie z operacji specjalnych w czarnych perukach i kostiumach, uśmiechający się nieustannie, jakby to była zabawa.

Może była, pomyślała, wychodząc na zimną ulicę. Tylko przestała być zabawna.

Fransen nie przeszła nawet dziesięciu kroków, gdy ją dopadł. Odwróciła się, nie dowierzając własnym oczom, szybkim krokiem weszła do zaułka za budynkiem.

Henk Kuyper podążył za nią, ponure oblicze, zimowa kurtka, kaptur naciągnięty na głowę.

– Zwariowałaś? – spytała.

– Może.

– Jezu... – Chwyliła go za połę kurtki i wciągnęła głębiej w cień. – Naprawdę nie powinniśmy się razem pokazywać.

Wyglądał fatalnie. Zmęczony i przygnębiony.

– Nikt mi nic nie mówi. Więcej się dowiaduję od policji niż od was.

– Tak to działa. Tak musi być. Za głęboko umoczyliśmy, żeby teraz likwidować przykrywkę.

Na Kuyperze chyba nie zrobiło to wrażenia.

– Uwolnią ją?

– Kogo? – spytała bez namysłu. Ciągle w szoku i wściekła, że tak po prostu się tu pojawił.

– A jak sądzisz? Tę dziewczynkę. To nie miało...

– Żadnego obwiniania – przerwała i przesunęła dłonią po przodzie jego ciemnej kurtki. – Nie teraz. Później będzie na to mnóstwo czasu. Uwierz mi. Ci dranie z Marnixstraat już tego dopilnują. – Zamilkła na chwilę. – Jak się czujesz?

Odsunął się od niej. Ona się roześmiała.

– Już się nie przyjaźnimy, Henk? Nie będziemy się spotykać, gdy to wszystko się skończy? Podobało mi się. Myślałam, że tobie też się podoba.

Oparł się plecami o zimną wilgotną ścianę i przymknął oczy.

– To jest jeden wielki syf. Nigdy...

– Posłuchasz mnie choć raz?

Mówiła głosem przenikliwym, władczym. Nie potrafił się jej przeciwstawić. Zawsze tak było.

– Tak? – spytał Kuyper.

– Siedzisz cicho. Nie wychylasz się. Wracasz do pracy, jakby nic się nie stało. Niedługo wszystko przycichnie. Zobaczają, o co chodzi. Że to prosta sprawa kryminalna. Która kończy się krwawo po obu stronach.

– Dziewczynka...

– Dziewczynka to teraz problem Vosa. Żadne z nas nie może tego zmienić.

Nie ruszył się.

– Nie masz pojęcia, gdzie ona jest? – spytał.

– A ty?

– Dałem Renacie trochę pieniędzy. Tyle, ile miałem. Chyba sądzi, że jakoś dadzą radę zapłacić okup.

Miała ochotę go uderzyć.

– Na miłość boską, Henk. Nie głupiej mi teraz. To groźny moment.

Spojrzał na nią wściekły.

– To nasza wina, że to dziecko tam siedzi!

– Z Barbonem też. Zapomniałeś już?

Czekała.

– Naprawdę nic dla mnie nie masz?

– Nic.

Wzięła głęboki oddech.

– Czasami ludzie zapominają, po której stronie stoją. Gubią się na pustkowiu. Nie mają punktów odniesienia. Żadnych współrzędnych. Jeśli zacznę myśleć...

– Wiem, kim jestem. I wiem też, kim ty jesteś. – Chwila milczenia. – Wiem, co jesteśmy winni tej dziewczynce.

– W każdej wojnie padają niewinne ofiary. Tylko głupiec o tym nie wie. A to jest wojna. Wojna, która nigdy się nie skończy.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma.

– Więc nic nie zrobisz?

– Nadal próbuję zlikwidować siatkę Barbonego. To nic?

Henk Kuyper odwrócił się. Chwyciła go za ramię.

– To niebezpieczne i głupie. Nie rób tego już nigdy. Jeśli będę chciała z tobą porozmawiać, nawiążę kontakt zgodnie z ustaleniami.

– A jeśli ja będę chciał pogadać z tobą?

– To będziesz musiał poczekać na właściwy moment. Idź do domu, Henk. Do żony i córki. Zachowuj się normalnie. Nie dawaj mi powodów do zmartwienia.

Skrzywił się, zaklął i odszedł w stronę ulicy.

Ona podeszła na koniec zaułka i odprowadzała go wzrokiem. Potem zadzwoniła do biura i połączyła się z wywiadowcami.

– Henk Kuyper wychodzi z placu Dam. Kieruje się w stronę Nieuwe Kerk. Myślę, że wraca na Herenmarkt.

– I?

– Chcę, żeby go obserwowano. Meldujcie mi, gdzie idzie. Z kim się spotyka.

Po chwili milczenia głos po drugiej stronie spytał:

– Czy to nie jest aby nasz człowiek?

– Wykonać.

W drodze do wyjścia Vos zadzwonił do Aishy i poprosił, by dalej szukała zaginionej mikroarty. Dwie minuty później siedział w furgonetce z czterema ludźmi z oddziału szturmowego w pełnym uzbrojeniu, kamizelkach, hełmach, pasach z gadżetami, gotowymi na trudy i przeszkody.

– To, że nie powiadamy de Groota... – zaczął Van der Berg.

– On ciągle jest gdzieś na spotkaniu.

– I omijamy raporty...

– Jeśli nie chcesz jechać... – rzekł Vos, gdy usadowili się na ławce w głębi.

– Za Boga bym tego nie chciał przegapić – odparł Van der Berg, patrząc, jak policjant naprzeciwko zapina kamizelkę i sprawdza broń.

Furgonetka wypadła na ulicę.

– Zatrzymujemy Hannę Bublik? – spytała Bakker.

Vos pokręcił głową.

– Nie mamy jak. Nie wiemy, czy ona zrobiła coś złego.

Bakker nie odrywała od niego bystrego wzroku.

– Nie wiemy.

– Zastanów się, Lauro. Myśl jak ona. Porywacz nie dzwoni. Nawet gdyby zadzwonił, my zamierzamy przekazać walizkę wypełnioną głównie papierem. – Spojrzał jej w oczy. – Co ty byś zrobiła?

Nie odpowiedziała.

Furgonetka zwolniła. Dojeżdżali do dzielnicy czerwonych latarni. Za kuloodpornymi szybami widzieli neony. Sex-shopy i coffee shopy. Zapadły już ciemności, deszcz padał w wąskich, krętych uliczkach. Skulone postaci przechodziły od jednej witryny do drugiej, leniwie oglądając ofertę. Wreszcie Chinatown. Jaskrawe neony. Egzotyczne zapachy. Gromadki rozgadanych mężczyzn zebranych przed sklepikami.

Vos zdążył przejrzeć akta. Nic nie wskazywało na powiązania wschodniego syndykatu z ekstremistami. Za bardzo ich pochłaniało zarabianie pieniędzy, żeby się angażowali w politykę. Bardziej prawdopodobne, że chodziło o którąś z grup z Bliskiego Wschodu albo Afryki Północnej. A tych było całe mnóstwo.

Ale to wszystko tylko spekulacje. Jeśli chodziło o sprawę Saifa Khaleda, mieli suche fakty. Nazwisko w książeczce Natalii. Zgłoszenie sąsiadki, że widziała blondwłosą dziewczynkę w oknie jego piwnicy. Zakupy.

Musieli zarządzić tę akcję. Nie było wyboru. Nawet jeśli miał co do niej złe przeczucia.

Furgonetka się zatrzymała. Dowódca na przodzie – w pełnym rynsztunku, cały na czarno, z paralizatorem i gazem pieprzowym za pasem, z bronią samopowtarzalną opartą o prawe ramię – wyjrzał i przeprosił, że musi im przerwać.

Schludny dom Khaleda stał po drugiej stronie drogi.

– Co mamy robić? Możemy szybko wyważyć drzwi. I wpaść do środka.

– Zostańcie tutaj – polecił Vos i wysiadł.

Podeszło dwóch tajniaków, którzy dyskretnie obserwowali dom. Stanęli przed chińską restauracją, w której wtyczka Mirjam Fransen odbyła niepotrzebną kłótnię. AIVD też ma tu ludzi. Pewnie już do niej dzwonią.

Dołączyli do niego Bakker i Van der Berg.

– W piwnicy coś się dzieje – zameldował jeden z tajniaków. – Widzieliśmy, jak przemieszcza się tam światło. Chyba nie mamy co czekać.

Vos spojrzał na drugą stronę drogi. Jeden z policjantów siedzących w furgonetce bawił się taranem do wyważania drzwi. Dowódca podszedł i znowu spytał, co mają robić.

Vos zerknął na zegarek. Szesnasta czterdzieści pięć. Zadzwonił do Koemana na Marnixstraat. Telefon dalej milczał. Hanna coraz bardziej się denerwowała. De Groot wrócił ze spotkania,

które go zatrzymało. Chciał wiedzieć, co się dzieje.

Wszyscy chcemy, pomyślał Vos.

Wiedział, czego ona potrzebuje. Informacji. Pewności. Wątpliwość była okrutnym towarzyszem w takich ponurych sytuacjach jak ta. Służyła tylko udreć. Szczerze mówiąc, zadreć ich wszystkich.

– Czekacie – powiedział Vos do mężczyzny w czerni. – Wszyscy. Zostańcie w wozie, dopóki was nie wezwę.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, ignorując ich ciche przekleństwa, wcisnął guzik dzwonka, stanął na pierwszym stopniu na tyle blisko, by w razie potrzeby nogą zablokować drzwi. W pokoju od frontu widać było jakąś postać. Wyglądała na Khaleda. W dole Vos widział schody prowadzące do piwnicy. Zasłonięte okna. Ale światło za nimi migotało, jakby ktoś się tam poruszał.

Saif Khaled ich okłamał. I może to jego nazwisko widniało w książeczce, którą sprzątaczką znalazła na łodzi Smitsa w Westerdok.

Wreszcie drzwi się otworzyły i stanął w nich Egipcjanin, zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Musimy pogadać – oznajmił Vos. Kiwnął głową w głąb korytarza. – W środku. Natychmiast.

Mężczyzna był zdenerwowany. To chyba dobrze.

Bez słowa zatrzasnął Vosowi drzwi przed nosem.

Decyzja zapadła.

Machnął na furgonetkę. Oddział dołączył do niego w ciągu kilku sekund, niosąc ze sobą ciężki taran, dwóch mężczyzn dzierżyło długi stalowy cylinder.

Vos odsunął się i patrzył. Na wąskiej uliczce De Wallen hałas, który wywołali, grzmiał bardzo głośno. A zrobiło się jeszcze głośniejsze, gdy wpadli do środka.

Ostry nóż. Bystra myśl. Natalia Bublik umiała posłużyć się trzema językami. Swoim. Niderlandzkim. I angielskim.

Żadne z dzieci w szkole jej nie dokuczało. Parę próbowało. I już nigdy tego nie powtórzyły.

Pochodziła z Gruzji. Nazywała się Bublik. Była nieodrodną córką swojej matki. Odkąd pamiętała, jej życie to walka. Kiedy pojawiają się kłopoty, nie uciekasz. Walczysz z całą siłą, jaką możesz zmobilizować.

Może już powinna to zrobić. Zrobiłaby, gdyby nie tamten pierwszy mężczyzna. Ten, który mówił jak nauczyciel. Który wydawał się nią interesować. Nie mocno. Nawet był miły, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Ale on zniknął, a ona znalazła się w jakimś nowym miejscu.

Kucając przy zimnych, kamiennych schodach, słuchała ludzi na zewnątrz, na ulicy za zaklejonymi oknami.

Dzieciak z Anatolii wróci. Musiał przynieść jedzenie. Zabrać wiadro, które służyło jej za toaletę.

Musi czekać.

W zimnie.

Przerażona.

Zapadła noc. Widziała błyski neonu z restauracji po drugiej stronie ulicy.

U góry usłyszała hałas i głosy. Chyba wściekle.

Wciąż ścisnęła niewielki nóż. Teraz był ten moment. Jedyny moment. To się musiało stać. Natalia chciała do domu.

W wąskim budynku na Herenmarkt przy stole w jadalni inna ośmioletnia dziewczynka uczestniczyła w niechcianej konfrontacji.

Saskia Kuyper dygocząca w koszulce i dżinsach. Jej matka, w płaszczu, zdyszana od chodzenia po zimnej nocy. Na stole świece. Nietknięte jedzenie. Świąteczne lampki w oknie, czerwono-zielono-niebieskie.

– Gdzie on jest?

Pokręciła głową. Wymówki.

Odrabiała pracę domową. W swoim pokoju.

– Saskio!

Wyciągnęła rękę i chwyciła drobną, zimną dłoń córki. Nigdy nie było za dużo miłości między nimi. Ciężko przechodziła strasznie. Boleśnie, z trudnościami. A Henk przez większość czasu pracował. Gdy tylko wrócili ze szpitala, zawsze był między nimi dystans. Nie bez powodu. To się czasami zdarza.

– Tatusz wyszedł – powiedziała dziewczynka, wrywając rękę. – Nie wiem dokąd.

– Masz osiem lat. Nie powinien zostawiać cię samej. To niezgodne z prawem.

– Z prawem – warknęła dziewczynka. – Kogo to obchodzi?

Zadzwoiła do niego. Znowu tylko poczta głosowa.

– Nie jesteśmy twoją własnością – odezwała się znowu Saskia. – Może tak myślisz, ale tak nie jest.

Trzeba to było powiedzieć.

– Dlaczego mnie nienawidzisz? Co ja takiego zrobiłam?

Oczy miała małe i niespokojne. Tak bardzo przypominała Henka. Fizycznie i pod innymi względami.

– Zadałam ci pytanie.

– A dlaczego ty nienawidzisz tatusia?

– W życiu nie zawsze się dzieje tak, jak człowiek by chciał.

– Powiedział, że chcesz odejść. I zabrać mnie ze sobą.

– Kiedy ludzie się kłócą, mówią różne rzeczy. A naprawdę wcale tak nie myślą.

Spojrzenie pełne dziecięcej wściekłości.

– Tatusz przynajmniej się mną zajmuje... – szepnęła Saskia.

– A ja nie?

Cisza.

– Kto cię zabrał do Sinterklaasa, jak tatusz był zajęty? Kto się zajmuje twoimi ubraniami? Kto przyprowadza cię ze szkoły? Odprowadza na wszystkie przyjęcia?



Grymas niezadowolenia.

– Jakby tatuś chciał, wzięłby do tego służącą.

Słowa Henka. Nieraz rzucał jej coś takiego w twarz, gdy się kłócili.

– Nie. Nie wzięłby. Nie mamy na to pieniędzy.

– Dziadek może zapłacić.

To Renata też już słyszała.

– Dlaczego miałyby płacić? Jesteśmy dorośli, prawda? Lucas i tak już bardzo nam pomaga. Może za bardzo.

Nagle z wściekłością i całą brutalnością dziecko uśmiechnęło się szyderczo.

– To nie wina tatusia, że jesteś zawsze nieszczęśliwa.

Milczała chwilę, zastanawiając się, jak to się stało, że ona się taka stała. Zjadliwa, opryskliwa. Bardzo nieszczęśliwa. To było najgorsze.

– Wiem.

– Więc dlaczego go winisz?

– Nie winię.

Znowu chwyciła córkę za zimne dłonie, pochyliła się i spojrzała w jej zboląłą, skrępowaną twarz.

– Co mam zrobić, żebyśmy znowu były przyjaciółkami?

Znowu?

To słowo się jej wymknęło tak po prostu. Obie wiedziały, że to kłamstwo.

– Ja się nie wyprowadzam – oznajmiła Saskia stanowczo. – Nie zabierzesz mnie do dziadka. Zostaję z tatusiem.

Kiwnęła głową.

– Ja też. Powinniśmy być razem. Jak rodzina.

Znowu? Małe palce się nie cofnęły. Renata ścisnęła je i uśmiechnęła się.

– Powinniśmy coś robić w święta. Pochodzić gdzieś. Gdzie chcesz. Powiedz mi, co byś chciała. Dla odmiany będziemy szczęśliwi. Nikt nie lubi być smutny.

Osiem lat. Boże, pomyślała, jaka ona będzie jako nastolatka?

– OK.

Cichy, pojednawczy dźwięk. Ale nadziei było w nim niewiele.

– Tata pewnie poszedł na piwo. Pewnie wróci pijany i śmierdzący. I będzie śpiewał.

Zaśpiewała kawałek jednej z prymitywnych piosenek, które słyszała w barze w Jordaanie. Saskia się roześmiała. Miała takie równe zęby. Prawie jak małe dziecko.

– Tatuś się nie upija!

– Owszem, upija. Tylko ty tego nie widzisz. Czasami... – Pogłaskała blond włosy córeczki, a ta w końcu się nie uchyliła. – Czasami jest taki zabawny. Musimy go znowu rozśmieszyć. Wszystkim nam tego trzeba. Prawda?

Dziewczynka skubnęła trochę jedzenia. Jadła za mało. Była za chuda. Może już dawno powinna zauważyć ten problem.

– Wiesz, że tego wieczoru – dodała Renata – kiedy wróciliśmy z Leidseplein po całym tym

zamieszaniu, upiliśmy się razem. Gdy już poszłaś do łóżka.

Pokręciła blond głową.

– Ty nie pijesz, mamusiu. Nie kłam.

– Tamtego wieczoru piłam. Zgubiłaś się nam. Nie mogłam się uspokoić. A tatuś tak strasznie nie mógł znieść, że jego mała córeczka zginęła.

Nóż opadł na stół. Widelec też. Renata wciąż się uśmiechała, jakby to wszystko należało do przeszłości i nie miało żadnego znaczenia.

– Tatuś mi powiedział, co się stało – dodała.

– Co ci powiedział? – spytała Saskia cichym, zdenerwowanym głosem.

Głowa pochylona. Wymieniły porozumiewawczy uśmiech. Tak jak powinna rozmawiać matka z córką, w tajemnej poufałości.

– Że robiłaś sztuczki, znikając na placu.

Oczy otworzyły się szeroko.

– To była tylko zabawa, mammo. Tatuś mówił, że nie będziesz się gniewać.

Renata się roześmiała i poklepała ją po głowie.

– Oczywiście, że się nie gniewałam. Czasami jestem za poważna. Powinnaś mi dać nauczkę. No... – Zowu się uśmiechnęła. – Powiedziałam to.

– Tatuś mówił, że mam pobiec i spotkać się z Zwartie Pietem. Ale ja wybrałam niedobrego, prawda? To nie był kolega tatusia. I wcale nie był miły.

– Rzeczywiście – przyznała. – Wtedy chodziło tam tyłu Zwartie Pieten. Łatwo się pomylić.

Dziewczynka wyglądała na zmartwioną. I zawstydzoną.

– To nie nasza wina, że ta druga dziewczynka się zgubiła. Tak tatuś powiedział.

– Rzeczywiście, nie nasza.

– Ale. Ale... – Mała rączka Saskii chwyciła ramię matki. – Nie możesz nikomu powiedzieć, mamusiu. Oni wszyscy będą myśleli, że to jego wina. Policja. I tak już go nie lubią. To nie była nasza wina.

– Oczywiście, że nie powiem! Dlaczego miałabym to robić?

– Żeby tatuś wpadł w kłopoty.

Pokręciła głową.

– A dlaczegóż miałabym tego chcieć?

Dziewczynka spojrzała ze skruchą.

– Ja go nie nienawidzę, Saskio. Kocham twojego tatę. On kocha mnie. Oboje kochamy ciebie. Ale czasami miłość się psuje. To jak... jak z rowerem. Jeździsz nim wszędzie. Przyzwyczajasz się do niego. Uważasz, że zawsze będzie. A on pewnego dnia się psuje i myślisz... że to jego wina. A tymczasem to twoja wina, bo o niego nie dbałaś.

– Mój rower się zepsuł.

– I naprawiliśmy go, prawda?

– Tatuś naprawił.

To prawda.

– I to też naprawimy. Ty, ja i tatuś. – Uśmiech. – OK?

Najdelikatniejszy, najpotulniejszy uśmiech.

– OK.

Pochyliła się i po raz ostatni popatrzyła córce w twarz.

– A ty już z nikim nie będziesz rozmawiać o tym, co się działo na Leidseplein. Ani ze mną. Ani z tatą. Z nikim. To już koniec. Na zawsze. Jeśli o tym wspomnisz... nawet jemu... on się znowu zdenerwuje. Nie chcemy kłopotów, Saskio. Już i tak ich mamy dużo.

Saskia skinęła głową.

– A tamta dziewczynka? Którą porwali? Ta, co miała kurtkę jak ja? Ta z telewizji?

– Co z nią?

– Ona nie żyje?

Renata pokręciła głową.

– Nikt tak nie powiedział, prawda?

– Tatuś...

– Tatuś tego nie wie, kochanie. Nikt nie wie, tylko ci źli ludzie, którzy ją porwali. – Palcem postukała w talerz. – A teraz jedz kolację. Jeśli chcesz, kupimy ci grę na iPada. Albo wideo.

– Tatuś mówił...

– To, co się wtedy wydarzyło, jest skończone. Myślmy o Bożym Narodzeniu. O Sinterklaasie. Jutro kupimy tatusiowi prezent, żeby go rozweselić. I możesz mu do tego prezentu napisać wierszyk.

Saskia zachichotała.

– Jeśli wróci do domu pijany, mogę powiedzieć, że go widziałyśmy!

To dziwny holenderski zwyczaj. Wraz ze świętami pojawiały się wierszyki, czasami zuchwałe, niegrzeczne kuksańce o wybaczeniu występków.

– Możesz.

Gdzieś tam w środku jest miłe dziecko, pomyślała. Nie bystre. Nigdy nie będzie bystra. I to wcale nie miało znaczenia.

Renata zerknęła na zegarek, znowu zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Henk.

– Musisz to zachować w sekrecie. Tak jak to, co się wydarzyło na placu...

Podniosła palec do ust.

Saskia zrobiła to samo. I wyszeptała:

– Ćśśś...

Vos patrzył, jak czterech policjantów oddziału szturmowego zabiera się do dzieła, i zastanawiał się, czy w wolnym czasie zajmują się czymkolwiek poza oglądaniem filmów akcji.

Huk i wściekłość. Wreszcie drzwi ustąpiły. Wpadli do środka. Odpychając Saifa Khaleda, który krzyczał na nich i wygrażał pięściami.

Dirk Van der Berg śledził to z chodnika, przestępując z nogi na nogę. Laura Bakker mniej więcej tak samo.

Rzucili Khaleda na kolana, twarzą do ściany, wtedy wszedł Vos, a za nim dwójka jego współpracowników.

Na końcu korytarza były drzwi. Pewnie schody prowadzące do piwnicy. Egipcjanin klął, na czym świat stoi. Ale żadne z tych przekleństw nie było nieprzyzwoite. To nowość.

Jeden ze specjalistów sprawdzał kolejne pomieszczenia, z bronią wymierzoną przed siebie, jakby się spodziewał kłopotów. Wreszcie nacisnął klamkę drzwi na końcu korytarza. Zamknięte. Zawołał znowu po taran.

– Czekaj, czekaj – Vos wyciągnął rękę uspokajająco.

Spojrzał na wściekłego mężczyznę leżącego na podłodze. Zachodnie ciuchy. Zachodnia fryzura. Nienaganny niderlandzki.

– Khaled. Przeszukujemy dom. Czy ci się to podoba, czy nie. Wyłamiemy drzwi, jeśli wolisz. Przekleństwo. Albo coś, co brzmiało jak przekleństwo.

– Myślę, że na dole jest mała dziewczynka – dodał Vos. – Nie chcę jej przestraszyć jeszcze bardziej, bo i tak się bardzo boi.

– Pierdol się, Vos! Czemu nie zostawicie nas w spokoju?

– Bo szukamy dziecka, które ktoś porwał matce – powiedziała Bakker. – Czego oczekujesz?

Vos uciszył ją ruchem dłoni. Następnie dał znak funkcjonariuszom trzymającym Khaleda, żeby go puścili.

Puścili. Mężczyzna wyskoczył na nich, krzycząc i wymachując pięściami. Największy ze szturmowców dopadł go w jednej chwili. Jeden mocny cios pięścią w twarz powalił Egipcjanina na podłogę. I jeszcze but wciśnięty w brzuch na dokładkę.

Krew lała mu się z nosa. Wyglądał na złamany.

– Cudownie – mruknął Vos i zerknął na drzwi. – Wywalcie je.

Były stare. Mocne. Pokonali je z większą trudnością niż słabsze, zdobne wejściowe.

– Idę pierwszy – zarządził Vos, gdy zaczęły puszczać przy zawiasach.

Za późno. To oni mieli swoje pięć minut. I ten wielki je wykorzystał.

Postać na schodach. Natalia Bublik ukryła się w cieniu i patrzyła. Przesunęła się na bok, gdy ten ktoś schodził. Podniosła wzrok. Wyciągał rękę i wołał ją. Tak samo jak mama. Tak jak wszyscy dorośli, wszędzie, gdy chcą cię zabrać jak swoją własność, gdzie im się spodoba.

Wyciągnęła nóż, trzymając go mocno, cięła nim przed sobą, trafiła na ciało. Krzyk bólu. Postać stoczyła się ze schodów. Niczym gibki kot przemknęła obok niego, między jego uginającymi się nogami. Pognała w górę kamiennymi schodami, na zimną noc.

Ludzie. Światła. Hałas.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. W którym kierunku biec.

Byle dalej.

I nic więcej. Uciec stąd. Znaleźć ciepło. Znaleźć kogoś, kto mieszka w świetle i wysłucha jej.

Frank de Groot wrócił na Marnixstraat po spotkaniu z AIVD. Po spotkaniu, bez którego mógł się obyć. Niczego tam nie powiedziano, co chciał usłyszeć. Nic, co mógłby zmienić. A ci ludzie mieli nad nim władzę. Mieli za sobą posłusznych polityków i mroczne tajemnicze osoby w Hadze.

Na koniec wygrali. Tak czy inaczej.

Poszedł prosto do pokoju Vosa, prawie nikogo w nim nie było. Jeden z młodszych funkcjonariuszy opowiedział mu o akcji na dom Saifa Khaleda. Z trudem utrzymał nerwy na wodzy.

Koeman siedział z Hanną Bublik w pokoju przesłuchań. Walizka, samsung na stole. Nikt nie zadzwonił. Nikt nie miał wiadomości z domu Khaleda.

Wyciągnął detektywa z tego pokoju, odszedł z nim kawałek korytarzem, tak żeby kobieta ich nie słyszała.

– Byłbym naprawdę bardzo wdzięczny, gdyby ktoś mnie poinformował, co tu się, do cholery, dzieje – warknął, po czym przysunął twarz do Koemana tak blisko, że ten czuł tanią wodę po goleniu szefa.

– Nie mieliśmy od nikogo informacji – powiedział detektyw. – Znalazło się coś na temat Egipcjanina. Uznali, że lepiej, by byli tam niż tu.

De Groot umiał na zawołanie niejako włączać i wyłączać groźną stronę swojej natury.

W tej chwili była włączona na maksimum.

– Czy ktoś zwrócił Vosowi uwagę, że Khaled znajduje się na liście obserwowanych AIVD?! I że bez ich zgody nie możemy się do niego zbliżyć?

Koeman ruchem głowy wskazał drzwi pokoju przesłuchań.

– Ktoś powinien z nią siedzieć. Mnie nie za bardzo lubi, ale Vos powiedział...

– Mirjam Fransen powiadomiła mnie o tej akcji – przerwał mu de Groot. – Byłem w siedzibie AIVD, gdy odebrała telefon z informacją, co się dzieje. – Klepnął Koemana w plecy. – Lepiej, żeby Vos nie wrócił z pustymi rękoma.

Koeman rzucił w odpowiedzi coś bez znaczenia. Następnie pospieszył do pokoju przesłuchań. Hanny Bublik nie było. Policjantka zbierała kubki po kawie.

– Gdzie ona jest, do cholery?

Spojrzała z urazą.

– Odebrała telefon i powiedziała, że musi wyjść.

Samsung ciągle leżał na stole. Milczący.

– Ten telefon? – spytał.

– Czy ja wyglądam na idiotkę, Koeman? Własny telefon. Nie była aresztowana, prawda?

– Ściągnij ją z powrotem – rozkazał. – Gdzie ona jest?

– Czy ja wyglądam na wróżkę?

Bez odpowiedzi.

– No? – nalegała. – Wyglądam?

– Co to jest? – spytał Vos, kiedy przedarł się na dół.

Piwnica Saifa Khaleda nie była ponurą norą, jakiej się spodziewał. W pomalowanym na jasno pomieszczeniu stała kanapa, dwuosobowe łóżko, lampy. Telewizor, komputer. Wszystko zabezpieczone od ulicy białą plastikową folią przyklejoną do okna.

– Przyprawdźcie go tu – rozkazał i słuchał, jak Khaleda ciągną na dół.

W rogu siedziała kobieta w długiej czarnej sukni, przerażona, harda, obejmując ramionami

dziecko. Dziewczynkę, która nie miała blond włosów. Ale żółtą chustę. Obie wyglądały na cudzoziemki. Bliski Wschód. Dziecko miało spuszczone wzrok. Wydawało się jeszcze bardziej przerażone niż kobieta.

Vos podszedł do nich, Bakker za nim, Van der Berg prowadził Egipcjanina.

– Jesteśmy z policji – powiedział Vos, wyciągając legitymację. Zbliżał się do kobiety powoli, ostrożnie. – Prowadzimy śledztwo. Kim wy jesteście?

– Gośćmi – warknął Khaled, ocierając krwawiący nos chusteczką. Przesunął się do przodu. – Gośćmi, których nie muszą zastraszać tacy jak wy.

Bakker się uśmiechnęła, przykucnęła przed nimi, spojrzała na dziewczynkę. Wyciągnęła rękę.

– Mogę zobaczyć twoje włosy? – spytała łagodnie. – I wtedy sobie pójdziemy.

Dziewczynka podniosła wzrok na matkę. Ta zgromiła wzrokiem Bakker, ale kiwnęła głową przyzwalająco. Następnie delikatnie odwinęła z głowy dziecka żółtą chustę.

Laura Bakker pewnie się sama domyśliła. Nie było żadnych włosów. Dziewczynka, chuda i blada, była zupełnie łysa.

– Przepraszam. – Policjantka ścisnęła dłoń małej.

– Na górę – rozkazał Vos, i całą drogę szedł za Saifem Khaledem.

Zanim weszli do salonu, Egipcjanin rzucał już soczyste gromy.

Koniec z tajemnicami. Wszystko już wiedzieli. Matka była Syryjką, dziewczynka urodziła się w Amsterdamie. Miała raka mózgu. Włosy straciła na skutek chemioterapii. Wyrzucił je z domu ojciec, Holender, który stracił cierpliwość do kosztów leczenia w prywatnej służbie zdrowia. Khaled je przyjął, znalazł kogoś, kto płacił rachunki za leczenie.

Pewnie z własnych funduszy, pomyślał Vos. Chociaż nie mówił nic o tym.

– Dlaczego nam pan o tym nie powiedział, na Boga? – spytał.

To pytanie go w ogóle nie rozzłościło.

– Ten mąż to świnia. Brutalny łajdak. Ona się go boi. W tej chwili tego jej najmniej potrzeba.

– Powinna zgłosić się do nas – odezwała się Bakker. – Od tego jesteśmy.

Khaled na chwilę przymknął oczy, pokręcił głową.

– Zgłosiła się do was. Pięć razy. Kiedy jej groził, że ją uderzy. Powiedzieliście, że nic nie możecie zrobić. Że dopiero jak się to stanie.

Van der Berg odebrał telefon i wyszedł na korytarz.

– Słuchajcie... – Khaled starał się mówić rozsądnie. – Naprawdę nam nie trzeba tu tego zamętu.

Vos kazał szturmowcom naprawić drzwi.

– Zostaną tu na kilka dni – dodał Egipcjanin. – Potem chyba je przeniesiemy do bezpiecznego domu w Leiden. Jeszcze dwie sesje w szpitalu. Potem Lisa może mieć przerwę.

– Wyzdrowieje? – spytała Bakker.

Kiwnął głową.

– Przy odrobinie szczęścia. I mnóstwie modlitw. – Czekał. – Wy się pewnie nie modlicie, prawda?

Wszedł Van der Berg i zawołał ich na bok.

– Musimy wracać na Marnixstraat. De Groot się wścieka. Hanna Bublik wyszła z budynku. Nie mogą jej znaleźć. AIVD szaleje, że tu przyjechaliśmy.

Vos wyszedł na ulicę i zadzwonił na jej komórkę. Deszcz padał miarowo i zdecydowanie. W chińskiej restauracji po drugiej stronie ulicy robiło się tłoczno.

Odebrała po trzech sygnałach. Silny głos. Stanowczy jak zawsze.

– Nie chce pani wiedzieć? – spytał.

– O czym?

Była gdzieś na dworze. Słyszał w tle samochód. Nawet dzwonek roweru.

– Co znaleźliśmy.

– Proszę mi powiedzieć.

– Małą dziewczynkę. Chorą. Ktoś ją ukrywał. Z powodu problemów rodzinnych. Nie chcieli, żebyśmy wiedzieli.

Cisza.

– Dlaczego pani wyszła, Hanno?

– Bo nie mogę tak siedzieć i nic nie robić. Vos, naprawdę myślał pan, że na tę walizkę ktoś da się nabrać?

Dobre pytanie.

– Mogliby się nabrać na tak długo, żebyśmy zdążyli ją znaleźć.

– A dzwonił?

– Do mnie nie. A do pani?

Teraz spytał wprost. I bardzo dobrze.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła i rozłączyła się.

Nie zauważył, że Bakker tymczasem wyszła z budynku i stanęła obok niego, opierając się o ścianę z rękoma splecionymi na piersi.

– Musimy ją śledzić – powiedziała. – Załatwię wywiadowców.

– Nie.

– Pieter!

Vos rzadko tracił cierpliwość. Teraz niewiele brakowało. Niepotrzebna akcja u Khaleda. Chora dziewczynka w piwnicy. Hanna Bublik zagubiona, znowu sama.

Wymierzył palec w jej twarz.

– Powiedziałem nie, Lauro. I nie mów nikomu, że odbyłem tę rozmowę. Jasne? W przeciwnym wypadku...

Przerwał.

– W przeciwnym wypadku? – spytała.

Szturmowcy oglądali wyłamane drzwi. Opryskliwi i zakłopotani. Jakby to wszystko była wina Vosa.

– Dość już się tu naoglądałem – rzekł i zastanowił się, gdzie najszybciej znajdzie taksówkę.

Na górę schodami. Na ulicę. Zimny deszcz rozpryskiwał się na jej buzi. Czuła wolność.

Kamienie lśniące odbitymi błyskami neonu restauracji, czerwono-zielone, niebiesko-żółte.

Cudzoziemskie twarze patrzące na nią, mówiące coś w obcych językach.

Natalia Bublik tęskniła za mamą, chciała ją znaleźć.

Biegnij.

Ale którądy?

W zaułku unosił się egzotyczny zapach, jedzenia i przypraw. Glazurowane kaczki zwisały z haków w witrynie jak ściśnięte ozdoby. Obok kawałki mięsa, które widziała chyba pierwszy raz w życiu. Flaki i tłuszcz, żywe na okrutnych i lśniących szpikulcach.

Biegnij.

Skręciła w prawo, ruszyła biegiem. Wielka postać zagroziła jej drogę.

Podniosła wzrok. Zobaczyła uśmiechniętą twarz. I sięgającą ku niej rękę.

– Chodź, malutka – powiedział mężczyzna, uśmiechając się promiennie. – Znajdziemy twoją mamusię, dobrze?

Rękę miał w kolorze martwych, poharatanych kaczek po drugiej stronie drogi. Ale i tak ją przyjęła, a gdy to zrobiła, na jej maleńkich palcach zamknęła się pięść, a wolna ręka zacisnęła się na jej szyi, na brudnej różowej kurtce.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Wiedziała, że to koniec.

– Chodź. – Z jego głosu zniknęło wszelkie ciepło.

Zaciągnął ją z powrotem na schody. Natalia krzyczała całą drogę.

Mężczyzna po drugiej stronie ulicy obejrzał się i wpatrywał się w okna. Podwieszony tusze. Ich odbicia w szkle.

Z powrotem po zimnych stopniach. Zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Chłopiec z Anatolii na dole trzymał się za nogę, łkając.

Bardziej ze strachu przed mężczyzną niż z powodu rany.

Na zewnątrz rozległa się muzyka. Głośny pop, może z knajpki. Zastanawiała się, o co chodzi. Jakby ktoś, kto to zrobił, wiedział o czymś. Jakby odebrał wiadomość od wielkiego mężczyzny, zrozumiał, co jest potrzebne.

– Siadaj, Natalio – powiedział i pchnął ją na niskie, małe posłanie. – Siadaj i patrz.

Następnie odwrócił się do oniemiałego nastolatka, który miał jej pilnować ukrytej pod ślepymi, zimnymi ulicami miasta.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens muzyki.

Mężczyzna potrzebował czegoś, żeby zagłuszyć krzyki.

Bakker podążyła za nim do taksówki i wepchnęła się do środka, zanim zdążył zatrzasnąć drzwi. Pojechali na Marnixstraat w milczeniu, z jego wyboru, nie jej, ulicami zapełnionymi świątecznym tłumem.

Gdy dotarli na komisariat, on zdecydowanym krokiem wszedł do pokoju przesłuchań, w którym powinna znajdować się Hanna Bublik. Powiedział Koemanowi, by zajął się walizką, prawdziwymi pieniędzmi, przyciętym papierem, bezcelowym urządzeniem, które wszyto pod podszewkę.



Wsadził samsunga do kieszeni, choć nie wiadomo po co, i poszedł do kostnicy, sprawdzić, czy Aisha i Thijs coś osiągnęli w poszukiwaniach mikrokarty z telefonu Ferdiego Pijpersa.

– De Groot zdecydowanie chce cię widzieć – mówił Koeman po drodze. – Jest wściekły. Myślę, że ta Fransen daje mu popalić.

– Frank może poczekać.

Aisha i Thijs przejrzyli wszystkie rzeczy Pijpersa. Nie znaleźli zupełnie nic.

– Niech no ja spojrzę – powiedziała Bakker i zaczęła przeglądać zakrwawione ubrania, które wzięli ze szpitala.

– Vos... – podjął Koeman.

– AIVD wyczyściła jego telefon – przerwała mu Bakker, przeszukując kurtkę Pijpersa. – Diabli wiedzą, co jeszcze planowali, gdy my staraliśmy się odszukać tę dziewczynkę.

– Powiedzą, że wykonywali swoją robotę – warknął detektyw.

– No nie wątpię – dodał Vos.

I znowu Aisha:

– Jesteś pewien, że microSD w ogóle istniała?

Thijs potwierdził ruchem głowy.

– Chyba że wyjął ją przed postrzeleniem. Jeśli tam było coś obciążającego, mógł ją ukryć, prawda?

Bakker znalazła puszkę z tytoniem.

– O Jezu – stęknął Koeman – chciał palić to śmierdzące gówno wczoraj w recepcji. Bardzo się uniósł, gdy mu nie pozwoliłem.

– Fajki – powiedziała Bakker. – Mój wujek Kees palił fajkę z sepiolitu. – Powąchała puszkę. – Lubiłam ją.

– Bo byłaś dzieckiem – odparł Koeman. – Nie znałaś się.

Spojrzała na niego kąśliwie, otworzyła puszkę, powąchała tytoń. Był mocny. W nagrzanym, zatłoczonym pomieszczeniu rozniósł się ziemisty zapach.

Bakker wyjęła ze środka paczkę bibulek papierosowych i podniosła ją do góry.

– Po co to człowiekowi, który pali fajkę?

– Może zwija skręty? – podsunęła Aisha, pocierając opuszkami palców. – No wiesz...

– Nie zwija się ich z tytoniu fajkowego – włączył się Vos.

Bakker otworzyła szparkę, przez którą wysuwa się wąskie papierki. Następnie wyjęła ze środka małej plastikowy futerał.

– Alleluja! – krzyknął Thijs i sprawnie odebrał od niej znalezisko, zdjął okulary i obejrzał je z bliska. – Dwa giga. Stara. Ale to microSD. – Wyjął z kieszeni kurtki adapter. – Zapraszamy na widowisko.

Podeszli do najbliższego komputera. Do pomieszczenia wpadł Frank de Groot i powiedział Vosowi, że chce z nim pogadać.

– Za chwilę – odrzekł tamten.

– Czy ja powiedziałem, że chcę pogadać za chwilę? – warknął komisarz.

Thijs wsadził adapter do komputera i zaczął przebierać palcami po klawiaturze.

– Natychmiast – rozkazał de Groot.

Vos ani drgnął. Dołączył do reszty tłoczącej się wokół komputera. De Groot podniósł głos o kilka tonów.

– To zdjęcia – powiedziała Aisha – te które mamy w miniaturkach.

– Zgadza się – potwierdził Thijs. – Zrobione w sobotę. Niektóre o czternastej. Inne o szesnastej. Patrzcie. Widać, że zmierzcha.

Vos wpatrywał się w zdjęcia pojawiające się na ekranie.

– Do diabła ze zmierzchem – odezwała się Bakker. – Kto na nich jest?

Komisarz roztrzącił ich, kazał Aishy i jej koledze opuścić pomieszczenie.

Jej ciemne oczy zapłonęły gniewem.

– Ale... ale...

– Proszę natychmiast wyjść – rozkazał. – Na dzisiaj skończyliście. Koniec zmiany. Do widzenia.

Koeman przestępował z nogi na nogę, przestraszony i skrępowany.

– Ty też – dodał de Groot, a policjant wyszedł w mgnieniu oka.

Bakker sięgnęła do klawiatury.

– Zostaw to – rozkazał. – Chcę wiedzieć, co się stało w domu Khaleda. Coście tam, do cholery, robili?

Vos wyjaśnił.

– Nie mieliśmy żadnego innego tropu, Frank. Porywacz nie dzwonił. Wiedzieliśmy... a w każdym razie sądziliśmy, że wiemy... tam się działo coś podejrzanego.

– Czy ja tu jestem do ozdoby? Nie zasługuję na informacje?

– Nie było cię. Należało podjąć decyzję. Więc ją podjąłem.

– I nic nam teraz nie zostało? Ani śladu pomysłu, dlaczego ten łajdak nie zadzwonił? Co kombinuje?

Vos postukał w klawiaturę.

– Mamy to, prawda?

Laura Bakker nie czekała już na dalsze wywody, tylko wyświetliła zdjęcia, przeglądając je po kolei.

Jako pierwsze pokazało się najnowsze, z szesnastej. Martin Bowers, Mujahied Bouali, tym razem bez przebrania. Po prostu blady młody człowiek z niechlujną rudą brodą stojący gdzieś w cieniu. Rozmawiał z... Nie. Nie rozmawiał. Słuchał wysokiego, onieśmielającego mężczyzny w długim szarym płaszczu.

Thom Geerts. Ponad wszelką wątpliwość.

– Jezu – szepnęła Laura Bakker. – On mu coś pokazuje. Patrzcie. Torba.

Wielka torba. Taka, której się używa do wyposażenia biwakowego. Nawet z tej odległości widać było, że Anglik patrzy na jej zawartość z przerażeniem.

Następne ujęcie. Geerts trzyma coś, co do złudzenia przypomina granat błyskowy.

De Groot się nie odzywał, gdy ona przeskakiwała z jednego zdjęcia na drugie.

– Kto to jest, do cholery? – spytała, trafiając na inną postać. – Nie znam go. Mam to posłać do

wywiadowców?

– Nie musisz – rzekł komisarz.

– Ale...

Vos zakrył ręką jej dłonie, by powstrzymać ich ruch na klawiaturze.

– To Lucas Kuyper – powiedział. – Ojciec Henka.

– Ten wojskowy? – spytała. – Ten od Bośni?

De Groot podszedł do komputera i wyjął mikrokartę i w akompaniamencie jęków maszyny schował ją do kieszeni.

– Musisz wyjść – powiedział do Bakker. – Chcę porozmawiać sam na sam z Vosem.

– Świetnie, doskonale. – Myślała gorączkowo. – Mam zwołać ludzi i go zgarnąć? Powinniśmy też zwinąć Mirjam Fransen. Geerts pracował dla niej. Ona musi...

– Bakker – warknął de Groot. – Proszę wyjść. Natychmiast. Nie mówisz nikomu, co tu widziałaś. Nikomu. Czy wyraziłem się jasno?

Laura Bakker niemal dorównywała mu wzrostem. Potrząsnęła głową, oparła ręce na biodrach i patrzyła na szefa groźnie.

– Niezupełnie. Mamy tylko to. Mam o tym zapomnieć?

Poczerwieniał na twarzy. Sumiasty wąs drgał.

– Chcę...

Vos interweniował, delikatnie położył rękę na jej plecach i pchnął ją w stronę drzwi.

– Pieter – wyszeptła. – Co tu się dzieje, do cholery?

– Po prostu...

Próbował ją wypchnąć za drzwi.

– Od początku nie chciałeś, żebym pracowała przy tej sprawie, prawda? Nie chciałeś. Nie... – Zerknęła wściekłymi oczyma na stojącego przy komputerze mężczyznę w ciemnym garniturze. – On też nie. Co oni...

Vos zamknął drzwi, machając jej przy tym palcami na pożegnanie.

Niedługo później zaczęła się kłótnia. Tak głośna, że jej echo niesło się przez cały długi korytarz.

Hanna Bublik weszła do domu na Oude Nieuwstraat, strząsnęła wodę z czarnej kurtki, stanęła w wąskim holu.

Ramię znowu bolało. Poszła na górę do maleńkiego pokoju, w którym kiedyś mieszkała z Natalią. Nie chciało się jej zamykać drzwi, gdy zdejmowała ubrania i spojrzała na siebie w lustrze. Odwróciła się. Zobaczyła opatrunek, który założyła jej Renata Kuyper.

– Zagoi się – powiedział głos z korytarza.

Chantal. Młoda. Głupia. Pełna żalu. Tym razem może współczująca.

– Nie miałaś wiadomości o Natty? – spytała.

– Nie.

Ruchem głowy wskazała plecy Hanny.

– Zagoi się. To tylko tatuaż.

– To nie jest tatuaż – odparła. – Na pewno nie.

W ciemnych oczach pojawił się strach.

– O, słyszałam, że czasami robi co innego. Kiedy myśli, że jesteś wyjątkowa.

– Wyjątkowa?

Ten dzieciak był taki tępy. Czasami Hanna Bublik chciała nią potrząsnąć, żeby zobaczyć, czy z tych głupich, ślicznych ust wydostanie się coś sensownego.

Zamknęła drzwi. Zmieniła opatrunek. Zastanawiała się, czy Vos będzie ją dalej dręczył. A jeśli tak, to co ona zrobi.

Jeszcze się nie ubrała, gdy zadzwonił jej telefon. Cem Yilmaz. Mówił radośnie, pewnie, jak zwykle.

– Miałaś jakieś wiadomości?

– Zadzwonił do mnie. Kiedy byłam na Marnixstraat.

Pełna napięcia cisza.

– Powiedziałaś policji?

– Nie. O niczym nie wiedzą.

– Niech tak zostanie. To ważne. Ich interesuje co innego niż nas. Dopóki Natalia nie wyjdzie na wolność...

– Nie mów mi oczywistości – przerwała mu.

Chwila przerwy w rozmowie. Nie lubił, gdy mu się odszczekiwała.

– A pieniądze? – spytał Yilmaz. – Co powiedział o pieniądzach?

– Ja mogę zebrać sześćdziesiąt. Jeśli ty dasz sto...

Cisza.

– Powiedziałaś, że mogę zebrać sto sześćdziesiąt.

– Proponowałem ci siedemdziesiąt. Tyle jesteś warta.

Rozumiała, dlaczego padł ten argument.

– On nie weźmie ani grosza mniej. Brakuje mi trzydziestu. Jeśli dołożysz, zrobię... – Wszystko, pomyślała. – Zrobię wszystko, co chcesz.

– Twoja córka...

– Tak. Natalia.

Zastanawiał się chwilę.

– A więc umówione. Dostaniesz ode mnie sto. Nie zażądam niczego od dziecka, dopóki jest mała. Nie jestem zwierzęciem.

Ściany pokoju zacisnęły się wokół niej, gdy zrozumiała, co on mówi.

– Nie, nie. Proszę, Boże, nie. To moja córeczka...

– Chcesz, żeby żyła, prawda?

– Oczywiście, ale...

– Nie rozumiem cię, kobieto. Skoro ten zawód jest dobry dla ciebie, dlaczego nie dla twojej córki. Poza tym... to zwykle rodzinne. – Roześmiał się. – No chyba że widzisz ją w zawodzie prawnika?

Zabrakło jej słów. Potworność tego, co właśnie nieumyślnie zaakceptowała, odebrała jej głos.

– To moja propozycja. Ostateczna – dodał Yilmaz. – Nie myśl o tym, proszę. Umowa to umowa.

Cisza. Nie wiedziała, co na to powiedzieć.

– Jestem zapracowany – dodał opryskliwie. – Chcę odpowiedzi teraz. Tak albo nie.

– Tak – powiedział słaby głos. Jej głos.

– Świetnie. A więc mamy porozumienie. Co jeszcze mówił ten człowiek?

– Zadzwoń do mnie rano i umówimy się na wymianę. Potem wypuści Natalię.

– A ja dodaję sto do twoich sześćdziesięciu. Przynies swój wkład, żebym go zobaczył. Zrób, co mówi ten człowiek. Cem Yilmaz przyprowadzi ci córkę. Mojego nazwiska nie podajesz, jasne?

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jesteś tam? – spytał. – Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Policja nie może nic podejrzewać. Masz się zachowywać normalnie. To nie są idioci. Może będą cię obserwować.

Hanna Bublik pochyliła się nad łóżkiem. Chciało się jej płakać.

– Normalnie?

– Nie rób nic, co by wzbudziło ich podejrzenia. Idź dzisiaj do pracy. Znajdź kabinę. Niech cię widzą. Wiem, że mówiłem, że z tym koniec. Ale tak będzie łatwiej zachować pozory. Ja się dopomnę o swoje, gdy twoja córka wróci do domu. Wtedy pogadamy o przyszłości.

Myślała gorączkowo. Najbardziej na świecie nie chciała teraz pracować i on na pewno o tym wiedział.

– Nie dzisiaj...

– Ja też tu dużo ryzykuję. A zysk niepewny. Zrobisz, co mówię, albo ci nie pomogę.

Wyszeptała coś. Nie była pewna co.

– Zadzwoń jutro, gdy się czegoś dowiesz – powiedział. – Dobranoc.

Łóżko Natalii stało w rogu pokoiku, pod oknem. Zasłane. Podeszła i poprawiła pościel. Czowała się, jakby jej córki nie było od tygodni, nie od kilku dni. Pokój wydawał się pusty bez tego bystrego, pytającego głosu, nagłego śmiechu znad książki czy kreskówek w ich małym telewizorze.

Zadzwoiła do Renaty Kuyper z informacją, że rano musi mieć pieniądze.

– Dobra – powiedziała, chociaż głos miała niemrawy.

– Może pani to zrobić?

– Mam nasze trzydzieści. Ojciec Henka drugie tyle. Przyniosę je, kiedy przyjdzie czas.

– Dziękuję. – Ciężko było wypowiedzieć to słowo. – Jeśli będę mogła, odwzajemnię się...

– To chyba mało prawdopodobne, co?

– Rzeczywiście.

Renata Kuyper zawahała się chwilę.

– Muszę o coś zapytać – powiedziała wreszcie. – Widziała się pani z nim?

– Z kim?

– Z Henkiem.

– Dlaczego miałabym się widzieć z pani mężem?

– Wyszedł dzisiaj po południu. Od tego czasu nie dał żadnego znaku. Nie odbiera telefonu. – W jej głosie brzmiało coś dziwnego. Bardziej zdumienie niż niepokój. – To do niego niepodobne.

– Nie widziałam się z nim. Zadzwoń jutro.

I już. Koniec z wykrętami. Yilmaz powiedział jej, czego chce i podał cenę, której nie mogła odrzucić. Niewątpliwie jego ludzie sprawdzą, czy wykonała polecenie.

Podeszła do szafy i wyjęła rzeczy do pracy. Tani satynowy stanik. Kondomy. Żele. Chusteczki i dwa czyste ręczniki.

I stary szal, który towarzyszył jej aż z Gruzji. Owinęła nim ramiona, żeby ukryć ranę na plecach.

Następnie wyszła na Oude Nieuwstraat. Tylko jedna kabina była wolna. Czerwone światło migotało jak szalone, wiedziała, że od tego jeszcze bardziej rozboli ją głowa. Ale kilka minut później siedziała na stołku w oknie, półnaga, wpatrując się w twarze przechodniów i modląc się, by nikt nie wcisnął dzwonka.

Dwadzieścia minut Vos i de Groot rozmawiali w kanciapie techników. Deszcz przybrał na sile, niebo poczerwiało. Ulewa bębniła miarowo za zakratowanym oknem. Nawet to jednak nie zagłuszało podniesionych głosów. Wznosiły się i wznosiły, aż słyszeli je wszyscy w sąsiednich biurach.

Laura Bakker i Dirk Van der Berg bardzo się starali pracować. Koeman sprawdzał zgłoszenia w poszukiwaniu nowych tropów. Nic się nie pojawiło. Hanna Bublik nie odbierała.

Na horyzoncie majaczyło widmo porażki. Tylko Vos mógł pchnąć sprawę na nowe tory. A Bakker sądziła, że rozumie doskonale, jak to zrobić.

Musieli sprowadzić Lucasa Kuypera, jego syna, synową, i wnuczkę. Przeanalizować wszystko, co się wydarzyło w niedzielę na Leidseplein. Oddzielić prawdę od fałszu. I wtedy zdecydować, co dalej.

Patrzyła na twarz Van der Berga, gdy raz jeszcze to wszystko przedstawiała. Miał czterdzieści parę lat, parę więcej od Vosa. Detektyw, który nigdy nie awansował wysoko. Mało ambitny. Zadowolony ze swojego miejsca u dołu drabiny. Przy dobrych układach za kilka lat mogłaby być jego szefową. I w pewnym momencie pewnie musiałaby mu się dobrać do skóry.

– Nie możemy zignorować tych zdjęć – dodała. – Prawda?

Otworzył szeroko oczy.

– Jakich zdjęć? – spytał.

– Kuypera. Thoma Geertsza. Co to znaczy „jakich zdjęć”?

Pokręcił głową.

– Komisarz zabrał kartę, Lauro. Teraz wszystko zależy od niego i od Vosa. My tylko robimy, co nam każą. Tak to działa.

– To najstarsza wymówka świata, prawda?

– Jedna z najstarszych – przyznał. – Jeszcze trochę tu posiedzisz, a nauczysz się mnóstwa innych.

– Gdzieś tam jest porwana dziewczynka...

– Myślisz, że de Groot o tym nie wie? Albo Pieter?

– A więc...

Twarz mu zmarkotniała. Zobaczyła coś u niego rzadkiego: gniew. Umiarkowany.

– Jedna walka naraz, Lauro. Ta, która jest ważna. Cokolwiek ci dranie z AIVD kombinują, na pewno nie wiedzą, gdzie jest Natalia Bublik. Teraz na pewno nie wiedzą.

– Wydajesz się tego bardzo pewien.

– Dowiemy się, co się tam wydarzyło. A kiedy się dowiemy...

Urwał. Korytarzem zbliżały się głosy. Donośne. Wściekłe krzyki.

Dopiero po chwili Bakker zrozumiała, kim jest jedna ze stron. Słyszała de Groota ryczącego z gniewu dziesiątki razy. Vos nigdy nie podnosił głosu na nikogo. Teraz pojęła, że mógłby zakrzyczeć komisarza w dowolnym momencie, stosując właściwe słownictwo.

Posiniały, z zaciśniętymi pięściami, de Groot podążył za nim do gabinetu.

– Opróżnij biurko, Vos – ryczał. – I oddawaj odznakę. Byłem głupcem, sądząc, że w ogóle zasługujesz na powrót.

Bakker i Van der Berg patrzyli wstrząśnięci. Vosa w tym stanie Bakker od dawna nie widziała. Pokonany, zrozpaczony. Tak wyglądał, gdy de Groot wysłał ją, by zwabiła go na policję, po latach spędzonych na wpatrywaniu się w domek dla lalek Petronelli Oortman w Rijksmuseum.

– Zawsze uważałem, że takie rozmowy lepiej toczyć w czasie wolnym, nad piwem – podsunął Van der Berg. – Możemy się trochę uspokoić?

– Właśnie! – wrzasnął de Groot, wymierzając palec w Vosa, który podszedł do biurka i zbierał jakieś rzeczy. – Idź się nawalić z tymi frajerami, którymi się otaczasz. Zamknij się na tej swojej durnej łodzi i puść z dymem całe swoje życie. Tu jesteś skończony...

Podszedł, chwycił Vosa za ramię, strzelił palcami. Wielki mężczyzna, imponujący. Vos w porównaniu z nim wypadł słabo.

– Odznaka – rozkazał de Groot. – I broń.

Vos sięgnął do kurtki i wyjął odznakę. Następnie podał szefowi klucz z szuflady.

– Broń cały czas leży w szafce, Frank. Wiesz, że nie przepadam za takimi rzeczami.

– Myślisz, że jesteś dla nas, kurna, za mądry, co? Przy okazji tej dziewczynki nie za bardzo się popisales.

Dokoła kłócących się powoli zbierał się tłum. Łowił każde gorzkie słowo.

Vos spojrzał w zaczerwienioną twarz przełożonego. Chciał coś powiedzieć. Rozmyślił się.

– Nie – przyznał w końcu. – Nie popisałem się.

Następnie chwycił swoją kurtkę i ruszył w stronę schodów.

– Koniec przedstawienia! – krzyknął de Groot do mężczyzn i kobiet, którzy zebrali się popatrzeć. – Wracajcie do swoich zajęć.

Ciągle był wściekły, oddychał ciężko.

– A skoro o tym mowa – powiedziała Bakker lodowato – zakładam, że mamy tu dowieźć Lucasa Kuypera i panią Fransen?

De Groot zerknął na zegarek.

– Wy dwoje skończyliście swoją zmianę. Idźcie do domu. Czekam na was w swoim gabinecie o ósmej rano. Od teraz osobiście zajmuję się tą sprawą.

Ani drgnęła.

– Nie może pan tego zatuszować – powiedziała. – Nie ma mowy. Nie dopuszczę do tego.

Stojący obok niej Van der Berg westchnął i zakrył na chwilę oczy. Komisarz podszedł do nich.

– Doprawdy? – spytał.

– Tak. Prawo to prawo. Wszyscy ci ludzie je złamali.

– Jezu – warknął de Groot. – Dość się nasłuchiwałem pouczeń od Pietera Vosa. Nie muszę słuchać jeszcze jego dziewczynki.

– Nie jestem dziewczynką, panie komisarzu. Ani jego.

– Nie. Ale jesteś równie upierdliwa jak on. – Wskazał drzwi. – Ósma rano u mnie. A teraz dobranoc.

Potwór był prawdziwy. W tym małym pomieszczeniu piwnicznym. Wielki mężczyzna, z obcego kraju. Z okrutnym śmiechem i czymś podłym w oczach.

Kopał tego głupiego dzieciaka z Anatolii. Walił go pięścią. Krwawiącą głową uderzał o ścianę. A kiedy chłopak zamienił się już w worek połamanych kości i leżał przy kamiennych schodach, podszedł do łóżka i usiadł obok dygotającej Natalii.

Silną ręką objął jej wąskie, drżące ramiona.

– Widzisz, mała – powiedział potwór. – Tak się dzieje, gdy dziewczynka nie robi tego, co jej powiedziano.

Wielka ręka ścisnęła jej nadgarstek. Myślała, że się zsika.

– Nie chcesz mnie rozzłościć, Natalio. Musiałbym powiedzieć twojej mamie.

Zesztywniała, wbiła w niego wzrok.

– Tak – powiedział. Puścił ją. Wielkie dłonie położył na kolanach i kiwnął głową. – Znam ją. To...

Ruchem ręki wskazał pomieszczenie.

– To jest świat dorosłych. Prawdziwy świat. Mój świat. Złe miejsce dla dzieci i ich marzeń. Pewne sprawy cię nie dotyczą. Ważne sprawy. Życie i śmierć.

Natalia obejrzała się na schody i żałowała, że nie ma siły uciec z tego pomieszczenia.

– Twoja mama i ja zawarliśmy porozumienie – dodał. – Zostaniesz tu aż do właściwego momentu. Tak jest najbezpieczniej.

Pochylił głowę. Wwiercał się w nią spojrzeniem spokojnych, ciemnych oczu.

– Bezpieczniej dla ciebie i dla niej. Chcesz tego, prawda?

Kiwnęła głową. Tego oczekiwał.

– Więc zrobisz to, czego chce twoja mama. Bądź grzeczna. Koniec problemów. – Ruchem



głowy wskazał leżący w bezruchu kształt po drugiej stronie pomieszczenia. – Ty to zrobiłaś, Natalio. Jesteś bystrą dziewczynką. Rozumiesz, że to twoja wina.

Znowu spojrział na nią. Chciała płakać, ale nie mogła.

– Kto to zrobił? – spytał.

– Ja – powiedziała cichym, pewnym głosem.

Wielka dłoń poklepała ją po udzie. Potem potwór wstał. Idąc w stronę nieruchomego ciała, rzucił:

– Przyślę kogoś innego do ciebie. Jeśli będziesz grzeczna, jutro zobaczysz swoją mamę.

Potwór wtaszczył po schodach dzieciaka z Anatolii. Chłopak nie ruszał się, nie wydał żadnego dźwięku, nawet nie oddychał. W każdym razie tak się jej wydawało.

Potem potwór zniknął, zostawiając za sobą ostry i przenikliwy zapach krwi.

Van der Berg wyszedł za Laurą Bakker na ulicę. Na dworze lało. Wiedziała, dokąd udał się Vos. Prosto nad Elandsgracht, do ciepłych, znajomych wnętrz Drie Vaten. Tam usiadł przy którymś zniszczonym stoliku i będzie się wpatrywał w swoje piwo, z Samem zwiniętym u stóp.

Wzięła rower. Van der Berg dogonił ją, zanim ruszyła.

– Dokąd jedziesz? – spytał.

– A jak sądzisz?

– Lauro... Możesz mnie choć raz posłuchać?

Wyglądał tak rozpaczliwie, że się zgodziła. Tak więc poszli we dwójkę do miejsca, którego nie znała, kilka ulic od Elandsgracht. Zdaje się że do baru dla gejów. I lesbijek. Urocza kobieta ostrzyżona na jeża podała im dwa piwa, których Laura w życiu na oczy nie widziała.

Van der Berg podziękował jej, zwracając się do niej po imieniu, po czym znalazł im stolik w rogu.

– Znasz każdą piwną knajpę w Amsterdamie? – spytała Bakker.

– Duże miasto. Muszę być na bieżąco.

Podniósł szklanę. Piwo miało kolor miodowy. Nagle kobieta podeszła do nich z dwoma świeżo ugotowanymi jajkami, solniczką i serwetkami.

– My to umiemy zaszaleć, prawda? – wyszeptała.

Roześmiał się, podniósł szklanę.

– Miło słyszeć, jak żartujesz. To znaczy, że czujesz się swobodnie.

– To był żart?

Rozdzielił jajko na pół, zanurzył kawałek w soli i wrzucił do ust.

– Co się dzieje? – spytała Bakker.

– Tym razem daliśmy ciała. Ktoś naciska Franka de Groota. Więc on robi to, co kierownictwu wychodzi najlepiej. Kopie pierwszą osobę, która jest pod nim.

Przesunął drugie jajko w jej stronę. Odmówiła.

– Gdyby Pieter był normalnym brygadierem, w tej chwili kopałby nas. Ale nie jest.

– Nie możemy tak siedzieć i patrzeć, jak on bierze to na siebie. Wszyscy daliśmy dupy. Poza tym... te dranie z AIVD...

Staranność, z jaką podniósł szklanę z piwem i podziwiał płyn, zamknęła jej usta.

– Prawda – rzekł.

– Więc?

– Więc zrobimy to, o co prosi komisarz. Jutro stawimy się w jego gabinecie. Wysłuchamy, co ma do powiedzenia. Spróbujemy znaleźć Natalię Bublik. Może za tydzień de Groot zmieni zdanie. Nie po raz pierwszy tak wybucha.

– I zostawimy Pietera na pastwę losu? Bez słowa wsparcia? Nie...

– Kiedy Pieter wstąpił do policji, był podległym mi aspirantem – przerwał jej Van der Berg. – To ja miałem robić karierę. Pieter był bystrym, miłym dzieciakiem, wszyscy go lubili. Szczerze wszystko przeżywał.

– Co się stało?

Van der Berg uśmiechnął się do niej.

– Wtedy był taki sam. Nie dało się z nim pogadać. Nic mu powiedzieć. Wszystko robił po swojemu. Wykonywał robotę. I po kilku latach awansował. A ja... ja nie.

Piwo się skończyło. Barmanka przyniosła następne, bez pytania.

– Wszystko przeżywa w środku. W samotności. Nauczyłem się tego dawno temu. Musisz go z tym zostawić. Z jego małym pieskiem i dręczącym sumieniem. Nic nie poradzimy. Ani ty, ani ja. Możemy tylko czekać.

Nalał trochę z butelki do jej szklanki i stuknął w nią.

– Zrobisz to?

– A jakie jest inne wyjście? – spytała.

– Wpadamy tam ze łzami w oczach i pełni współczucia, a on się chowa w swojej skorupie. Czyli tam, gdzie go znalazłaś kilka miesięcy temu. Pamiętasz?

Wypiła trochę piwa, smakowało jej.

– Nie cierpię tego uczucia, że nic nie mogę zrobić.

Van der Berg uniósł swoje gęste brwi.

– Powiedziałem, że poczekamy. To nie to samo, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Odprowadzę cię do domu – dodał. – Mam po drodze.

Dwie ulice dalej Vos robił dokładnie to, co wyobrażała sobie Bakker, czyli siedział przy swoim ulubionym stoliku, z psem u stóp, piwem i szklaną starego jenevera. Sofia Albers zerkała na niego zza baru.

Dochodziła dwudziesta trzecia. Był ostatnim klientem w Drie Vaten i chyba nie szykował się do wyjścia.

– Jak twoja matka? – spytał, wiedząc, że gospodyni chce już go wyrzucić.

– O wiele lepiej, dziękuję. A co u ciebie?

Podniósł szklanę w toaście, po czym ją wychylił.

– Wystarczy – zdecydowała.

Pies, rozpoznając to słowo, poruszył się u jego stóp, wstał i otrząsnął szorstkie futro.

- Chyba ja decyduję, co? – spytał Vos.
- Przestań, Pieter. Zaczynasz mnie martwić.
- Z czym mam przestać?
- Wyglądasz jak kiedyś.
- Jak będę chciał, będę pił całą noc.
- Pewnie. Ale nie tutaj.

Vos dojrzał postać na dworze przy łodzi. Szczupła, znajoma. Zachowywała się podejrzanie. Duże ryzyko.

Wstał, podprowadził Sama do baru i podał jej smycz.

– Mam robotę. – Uchwyt zaczepił o najbliższy nalewak. – Już niedługo Sam uzna, że tu mieszka.

– Bardzo śmieszne! Ja tylko się nim zajmuję. On jest twój.

Jak zawsze pies wiedział, kiedy o nim rozmawiają. Oparł łapy o bar, wymachując ogonem, w nadziei na jakieś resztki jedzenia.

– On słyszy, gdy nadchodzisz – dodała – na długo przede mną. Powinieneś to zobaczyć...

– Nie mam na to czasu – odrzekł. – Nie teraz. – Wskazał smycz. – Proszę.

Wzięła Sama za bar. Pies wydawał się bardziej zaskoczony niż przygnębiony.

– Chodzi o tę dziewczynkę, prawda? Wiem, że nie możesz mówić o pracy...

– Praca. Właśnie.

Była atrakcyjną kobietą. Rozwódką. Od dawna samą. Mniej więcej w jego wieku. Szukała kogoś, ale nie za wszelką cenę. Kiedy jego świat się zawalił, a on zaszył się w swojej kabinie na łodzi po drugiej stronie ulicy, poniekąd go uratowała. Nigdy jej nie podziękował. Mogło się to wydawać aroganckie. I niekonieczne. Pochodziła z Jordaanu. Ludzie jej pokroju pomagali innym bez zastanowienia i niczego w zamian nie oczekując.

– A co z twoją córką, Pieter? – spytała Sofia Albers. – Miałeś od niej ostatnio wiadomości?

Z kieszeni kurtki wyjął pocztówkę i podał jej. Plaża na Arubie, gdzie Anneliese mieszkała teraz z matką.

Wysłano ją sześć tygodni temu. Nie wiedzieć czemu nosił ją przy sobie. Na odwrocie widniało jedno zdanie, prosty komunikat: „Tęsknię za Tobą, Tatusiu. Kiedy przyjedziesz nacieszyć się słońcem?”.

– Kiedy?

– Nie lubię... – Vos się zawahał, szukając wymówki – nie lubię za bardzo upałów. Ona wróci. Kiedy będzie gotowa.

– A tymczasem ty będziesz sobie dokładał, ratując innych? W pojedynkę?

Wsadził pocztówkę do kieszeni.

– Wróciłem do policji, prawda? To przecież moja robota.

– Nie znajdziesz tej małej, jeśli znowu pójdziesz tą czarną drogą, wiesz?

Vosa zatkało. Jeszcze nigdy nie słyszał z jej ust tak surowych i potępiających słów.

Rozejrzał się po zaniedbanym barze, spojrzął na kobietę, która go prowadziła.

– Nie jestem całkiem sam, prawda? – rzekł, po czym uśmiechnął się z zażenowaniem, uchylił

nieistniejącego kapelusza i wyszedł w noc.

Samotna postać, która tyle ryzykowała, czekała przy mostku. Wziął to, co przyniosła, i pożegnał się.

Lodowaty zimowy deszcz padał jednostajnie. Pstrzył punkcikami wody kanału połyskujące w świetle latarni. Stateczek turystyczny przeciął czarną tafłę. W środku mężczyźni w smokingach, kobiety w barwnych sukniach. Z kieliszkami szampana w dłoniach. Wokół nich śmiech i muzyka. Miasto żyło swoim życiem bez względu na okoliczności. Nie miało czasu przejmować się rannymi stworzeniami w rodzaju Hanny i Natalii Bublik. To nie było okrucieństwo ani brak empatii. Tylko zwyczajny pragmatyzm zrodzony z doświadczenia. Po co się martwić, skoro nic nie można zrobić? Niech inni coś robią, jeśli mogą.

Z mostu Berenstraat widać było kolorowe światła Negen Straatjes, odbite w pierzastych zmarszczkach kilwatuera znikającej łodzi turystycznej. O tej porze miasto nabierało dziwnego opustoszałego piękna. Piękna, które nie mogło trwać.

Wyciągnął swoją czapkę żeglarską, włóczkową, nie za bardzo przydatną w deszczu. I wyruszył w trasę, którą cały czas planował.

Gdyby chciał, ciągle działało mnóstwo barów. Chociaż nie mógł tego powiedzieć Sofii Albers, to nie alkoholu potrzebował teraz najbardziej, ani czarnej drogi, o której wybór go podejrzewała.

Po dziesięciu minutach dotarł do Oude Nieuwstraat, szukając adresu Hanny Bublik. Drzwi otworzyła młoda kobieta. Wyglądała na Malezyjkę albo Filipinkę, miała pewną kruchą niewinność, charakterystyczną dla importowanych prostytutek. W każdym razie jeszcze ją miała. Dopóki czas i miasto jej tej niewinności nie pozbawi.

– Hanny nie ma – powiedziała. – Poza tym ona nie pracuje w domu.

Nie miał odznaki, żeby się wylegitymować. Nic dziwnego, że się pomyliła.

– Gdzie ją znajdzie? – spytał.

– Nie wiem. Ja jestem tutaj. Ja pracuję w domu – powiedziała z kokieterijnym uśmiechem.

Na widok jego rozczarowanej miny zamknęła mu drzwi przed nosem.

Gdzieś kawałek dalej wybuchła kłótnia. Klienta i kobiety. Może brał w niej udział alfons. Bijatyka, pijacy, krzyki, wrzaski. W tych okolicach wszystko to rozkręcało się dobrze przed północą. A do rana cichło. Tą samą ulicą rodzice prowadzili dzieci do szkoły, nie patrząc, jak sprzątacze usuwają wymioty i śmieci, strzykawki i zużyte prezerwatywy.

Vos ruszył w stronę harmidru, zastanawiając się nad ewentualną interwencją. Załagodzeniem sytuacji. Może by przekonał tych ludzi, żeby zachowywali się rozsądnie, choć on sam niekiedy miał z tym problem. Jego własne życie cofnęło się znad krawędzi urwiska, gdy szansa odkupienia złożona przez Franka de Groota i siła przekonywania Laury Bakker wciągnęły go z powrotem w szeregi policji. Ale tamto urwisko nie przestało istnieć. Oni też to wiedzieli.

Wzrokiem powędrował do witryny po lewej. Czerwone światło. Jasna neonówka. Postać w oknie, głowa pochylona, oczy zamknięte, twarz pełna bólu. Stary szal zarzucony na nagie ramiona. Lśniący satynowy stanik i majtki, nogi skrzyżowane, ręce splecione. Pozycja, która mówiła „Odejdź. Nie teraz”.

W tych okolicach rzadki widok.

Vos puścił w niepamięć kłótnię na ulicy. Podeszedł do szyby. Ona ciągle miała oczy

zamknięte. Wcisnął guzik dzwonka. Wtedy Hanna Bublik spojrzała, a on usiłował zrozumieć, co widzi. Dziwne połączenie nienawiści i rozpacz. I może straszną odrobinę nadziei.

Przemknęła wzrokiem po ulicy, niespokojnie kogoś wypatrując.

Potem podeszła do interkomu.

– Nie, Vos. Odejdź. Błagam.

W strugach deszczu rozchylił kurtkę, wyjął portfel, a z niego wszystkie banknoty, może w sumie trzysta euro i przycisnął je do szyby.

Nie ruszyła się od aparatu wiszącego na ścianie. Spojrzała w głąb ulicy. Ktoś ją obserwował i Vos zdał sobie sprawę, ku swojej konsternacji, że zmusił ją, by go wpuściła. Gdyby odmówiła, cierpiałyby jeszcze bardziej.

– Proszę... – powiedział.

– Nigdy nie zostawisz mnie w spokoju?

– Nie w tej chwili.

– Idź do domu.

– Nie mogę...

Zaklęła. Pewnie w swoim ojczystym języku.

Patrzył, jak przechodzi przez wąską kabinę. Szal zsunął się z ramion. Skóra wokół opatrunku na łopatce była czerwona.

Opadła długa czerwona zasłona. Wąskie szklane drzwi zaburczały i ustąpiły pod naciskiem jego palców.

Vos wszedł do środka, z ulgą rozstając się z deszczem.

O siódmej rano Henk Kuyper wymeldował się z hotelu w Zeedijk, ogolony, ubrany. Poszedł na śniadanie do jednej z knajpek na obrzeżach Chinatown.

Czwartek. Jasny zimny poranek. Ciężka zima pukała do drzwi.

W środku było pusto. Zamówił kawę i dwa croissanty. Poprzedniej nocy starał się nie pić. Tylko kilka piw w obskurnym barze niedaleko Oude Kerk. Potem poczuł się lepiej. Dwie godziny zajęło mu pozbycie się ogona, który śledził go od domu na Herenmarkt. Mężczyzna i kobieta, pracujący na zmianę.

Sam ich nauczył tej techniki. Nie byli w tym dobrzy. Pewnie Mirjam Fransen zarządziła obserwację. Wkurzona, że miał czelność porozmawiać z nią w pobliżu biura.

Jakby to wszystko miało jeszcze jakieś znaczenie. Operacja zastawienia pułapki na Barbonego legła w gruzach. Musiałby się zdarzyć cud, żeby przyniosła owoce. Z Natalią Bublik była inna sprawa. Tu sam zawinił. Niewinna istota narażona na niebezpieczeństwo bez powodu. A Fransen miała to gdzieś. Z uporem widziała tylko szerszy kontekst, nigdy jednostki. Tak ich wytrenowano. Na szkoleniu nauczył się pewnej mantry.

„Staramy się chronić zwyczajnych ludzi. Oni muszą po prostu nie wchodzić nam w drogę”.

Kiedyś prawie w to wierzył.

Pięćset euro w kieszeni, zabrane z puli, którą wypłacił dla Renaty poprzedniego dnia. Na koncie zostały nędzne grosze, niezbędne do jego istnienia. Zanim wpadł do tej nory, poszedł do jednego z tych tanich zagranicznych sklepów w dzielnicy czerwonych latarni. Takich, co to zrobią dla ciebie wszystko.

Tam za sto euro kupił tanią komórkę z prepaidem. Nie ośmielił się skorzystać z własnego telefonu. Nawet nie odważył się sprawdzić swojej poczty. AIVD będzie wszystko śledzić, tak jak zawsze.

Mirjam Fransen była w tym dobra. Na jednym ze szkoleń poszli z sobą do łóżka. Nigdy nie zebrał się na odwagę, by powiedzieć o tym Renacie. To nie był romans. Tylko przypadek. Sposób na ulżenie nudzie, zaspokojenie ciekawości. W każdym razie dla niego. Dla niej zaś przemyślany ruch zawodowy. Taki, który ułatwił sprawy, gdy postanowiła wyciągnąć go z AIVD i zrobić z niego przynętę: zdrajca, aktywista przyciągający uwagę ludzi, do których chcieli dotrzeć.

Nie było co się spierać o koszty, które musieli ponieść i on, i jego rodzina. Próżne wysiłki. I żeby bardziej skomplikować sytuację, wciągnęła do akcji jego ojca. Lucas Kuyper, zhańbiony tchórz ze Srebrenicy, bez powodu zlinczowany przez media. Teraz samotnik, płatny doradca AIVD w nowej, bardziej potajemnej wojnie.

Jak miał im odmówić?

Henk Kuyper poprosił kelnera o włączenie telewizora. Zbliżała się pora głównych wiadomości. Najważniejszy temat: wiadomości gospodarcze. Jakieś nowe postaci twierdziły, że kraj wychodzi na prostą. Recesja dobiega końca. Nadchodzą dobre czasy. Dla niektórych, mówił dziennikarz, już nadeszły.

Materiał przeskoczył na Negen Straatjes. Zamożni ludzie oglądali wystawy, drogie ubrania i nowinki. Bezsensowne ostentacyjne luksusy, których wcale nie potrzebowali.

Zaginiona gruzińska dziewczynka stanowiła temat numer trzy, zaraz po problemach na meczu piłki nożnej. Natalia Bublik zniknęła ze świadomości publicznej. Świat koncentrował się jedynie na krótko. Dzięki temu życie było łatwiejsze.

Dokończył śniadanie, po czym wyszedł na dwór, naciągnął kaptur, dotarł do Nieuwmarkt i znalazł ławkę w cieniu podobnego do zamku budynku o nazwie Waag.

Rozejrzał się po placu. Z tego, co widział, nikt go nie śledził. Był sam. Tak miało być. Mirjam i ojciec powiedzieli mu na samym początku: jest samodzielnym agentem. Mógł dokonywać ustaleń, jakie uzna za stosowne. Odpowiadał przed wydziałem wyłącznie za ostateczne rezultaty. A te mogły przyjść po latach, jeśli w ogóle.

Jeszcze tydzień temu sukces wydawał się w zasięgu ręki. Sinterklaas i jego Zwarte Pieten mieli być zwiastunem wyjątkowego zwycięstwa. Rozbicia siatki, która nie dawała im spokoju od lat.

Potem nadgorliwe Marnixstraat popsuło imprezę.

Wyjął nowy telefon, uruchomił Skype'a. Modlił się, by miała przy sobie iPada.

Długa chwila, gdy rozmowa się łączyła, a wreszcie Renata spytała, z pogłosem, bo rozmawiała przez mikrofon:

– Gdzie jesteś, do cholery? Gdzie byłeś?

– Myślałem.

– Możesz myśleć w domu, prawda?

Musiała być zmęczona i wściekła na niego.

– Nie zawsze. Jak Saskia?

Znowu cisza.

– Zdziwiona. Ja też. – Słyszał, jak bierze głęboki oddech. – Powiedziała mi. O grze. Na Leidseplein.

– Och.

– I to całe gówno z orangutanami. Kłamstwa, które przychodzą ci z taką łatwością...

Jakiś włóczęga szedł przez plac, zatrzymywał przechodniów, prosił o pieniądze. Kuyper przyglądał mu się, myślał.

– Kim ty jesteś? – spytała. – Wiesz chociaż?

Pięć lat żył w tym kłamstwie. Próbując osiągnąć cel. Przekonać ludzi, z którymi nawiązywał kontakty, że jest tym, za kogo się podaje: byłym łajdakiem przeobrażonym w anioła. Ich anioła.

– Czasami. Gdy patrzę z dystansu.

– To właśnie teraz robisz? – spytała ostro.

Podszedł włóczęga, w brudnej garści trzymał puszkę heinekena. To nie był człowiek Mirjam.

– Jezu, Henk! Jak możesz igrać życiem dziecka! Saskii? Tej dziewczynki?

– Nie igrałem życiem Saskii. Dopilnowałem, żeby jej nie zabrali.

– Zmusiłeś mnie, żebym ją tam zaprowadziła!

– Nie miałem wyboru. Obserwowali mnie. Gdybym tylko...

Tyle operacji na szkoleniach. Prawdziwe życie było inne. Przemyślał to wszystko na tyle, na ile się dało. Saskia musiała pojawić się na placu. Bouali musiał porwać najpierw ją. A potem, kierowany jego zaleceniami – znanymi wyłącznie im – miał ją puścić i wezwać pozostałych. Powiedzieć im, by szukali dziewczynki w różowej kurtce.

– Ty nic nie rozumiesz – szepnęła. Zabrzmiało to tak żałośnie. – To miało wyglądać inaczej.

– Ale wyglądało tak – warknęła. – Płacimy okup. Hanna Bublik ma też pieniądze z jakiegoś innego źródła.

– Od policji?

– Policji nie ufa. Dzwoniła do mnie w nocy. Vosa zawieszono, a tylko on miał dla niej czas. Nawet nie wie, kto w tej chwili prowadzi jej sprawę.

Zastanowił się chwilę i poprosił ją o numer Vosa. Wpisał go do swojego telefonu.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Takie krótkie zdanie. Takie wielkie pytanie.

– Musiałem. Tego wymagało moje zadanie. I nie mogłem dopuścić do porwania Saskii. To nigdy...

Otoczył go szary dzień. W głowie miał pustkę.

– Jesteś tam, Henk? Dzwoniłam dzisiaj trzy razy do twojego ojca. Nie odbiera. Co się dzieje, do cholery?

Życie, pomyślał. Takie, jakie wybrał. Albo jakie mu wybrano.

– Później. Później ci wszystko powiem. Obiecuję.

– Obietnice...

Ten gorzki, rozczarowany ton, którego nie było w jej głosie, gdy się poznali. Jemu go zawdzięczała. Kolejny niechciany prezent.

– Dasz im pieniądze? – spytał.

– Taki jest plan. Jaki mamy wybór?

Nie wiedział.

– Kiedy wrócisz do domu? – spytała.

– Niedługo.

Pożegnał się. Wiatr przybrał na sile. Na jasnym horyzoncie pojawiły się białe chmurki. Nadchodziła zmiana.

– Uważaj na siebie – powiedziała i rozłączyła się.

Henk Kuyper spojrział na numer Vosa.

Najpierw musiał się zająć innym nazwiskiem. Jedyнным powiązaniem, jakie miał z Barbonem.

Z kulawego krzesła na dziobie łodzi Vos oglądał powolny zimowy świt. Błade promienie jakby ubawione biegały po sfatygowanej girlandzie na srebrnej baletnicy. Znalazł gdzieś zagubionego papierosa. Zapalił. Próbował myśleć. Ale jedyna myśl, która go naszała, to że nie lubi już palić.

Niedługo później usłyszał znajomy stukot na trapie. Sam podbiegł, ciągnąc za sobą smycz, przysiadł na pokładzie, wystawił nos w powietrze, poniuchał, wytężył wzrok.



Wciąż patrzył na papierosa, aż Vos zareagował.

– Mogę palić. OK?

Długi nos teriera ani drgnął.

– Wspaniale – jęknął Vos. – Teraz jeszcze pies mi zrzędzi.

Wrzucił papierosa do kanału. Sam słuchał cichnących syków, a potem pomachał ogonem.

– Nie chcemy, żebyś do tego wracał, Pieter – zawołała z ulicy Sofia Albers.

– Wyrzuciłem, prawda?

– I nie wyzywaj swojego kaca na mnie i Samie.

– Nie mam kaca – burknął.

Z kabiny dobiegł jakiś dźwięk. Otworzyły się drzwi. Hanna Bublik wystawiła głowę na zewnątrz. Zawinięta w ręcznik. Miała na sobie czarny szlafrok Vosa.

– Przepraszam – szepnęła Sofia. Wyglądała na wstrząśniętą i zakłopotaną. – Nie chciałam...

Vos wstał i odprowadził Sama na ulicę. Pies burczał przy każdym kroku.

– Jeszcze jeden dzień. – Podał smycz przyjaciółce. – I wszystko wróci do normy.

– A ty wiesz, co to takiego?

Hanna Bublik patrzyła na nich, susząc blond włosy ręcznikiem w porannym słońcu.

– Nie mogę tego wyjaśnić – powiedział Vos.

– Nie musisz. Nie mnie.

Wzięła smycz i próbowała nakłonić Sama do powrotu do Drie Vaten. Pies zaparł się, dopóki nie powiedziała słowa „smakołyk”.

Vos wrócił na łódź, a Hanna kiwnęła głową w stronę ulicy.

– Ona cię lubi.

Spędził noc na kanapie na dziobie, jej zostawiając sypialnię. Postanowił, że nie spuści z niej oka. W każdym razie do chwili zapłacenia okupu. Do chwili, gdy on go nie przekaże, jeśli się uda.

– Wszyscy mnie lubią. Należę do osób popularnych.

Nie roześmiała się.

– Gdy on zadzwoni, chcę usłyszeć głos Natalii – powiedziała. – Chcę jakiś... dowód.

Vos wskazał ruchem ręki kabinę. Czas wracać do środka.

– O co chodzi? – spytała, gdy milczał.

– O nic.

– Więc dlaczego nie chcesz, żeby to zrobiła?

Uruchomił ekspres do kawy. Wskazał kilka ciastek, które kupił wcześniej, gdy otworzyła się mała piekarnia na Elandsgracht.

– Dlaczego?

– Zachowajmy ostrożność – powiedział. – Potem możemy już nie mieć szans. Dajmy im po prostu, czego chcą. Niech ona wróci. Zapomnijmy o reszcie. Ja zapomniałem.

– A ci wszyscy inni? Na Marnixstraat?

Omawiali to wszystko w nocy, gdy ona ubierała się w kabinie na Oude Nieuwstraat.

Wywiadowcy pewnie mieli pojawić się rano, by ją śledzić. Kolejny powód, by uciekła z nim na łódź.

– Niczego nie komplikujmy. Nie naciskajmy ich. Nie spieraj się. Przekażemy pieniądze. Znajdziemy Natalię. Potem de Groot może ruszać na polowanie. AIVD też, nie mam nic przeciwko.

Skrzywiła się, zaczęła zdejmować szlafrok, po czym sięgnęła po swoje ubrania. Vos westchnął i zasłonił oczy.

– Jezu – stęknęła Hanna. – Zapomniałam, że po świecie chodzą jeszcze takie świętoszki.

– Jeszcze nikt mnie tak nie nazwał – poskarżył się, po czym wziął swój telefon, podszedł do drzwi kabiny i sprawdził wiadomości.

Nic nowego, tylko krótki, niezręczny esemes od Laury Bakker.

„Źle się stało wiadomo. chcesz pogadać to napisz. Przyjedziemy z Dirkiem”.

Dzieci. Żyją w świecie pozbawionym interpunkcji, składni i gramatyki. Na samą myśl poczuł się dziwnie. Skasował esemesa, sprawdził, czy telefon naładował się przez noc, po czym odłożył go do kieszeni kurtki.

Zanim wrócił do środka, ona się ubrała. Właśnie kończyła kawę i ciastko.

Zastanawiał się, co powiedzieć. Hanna Bublik nie bawiła się w gadki szmatki. Nie chciała opowiadać, skąd pochodzi. Co ją tu sprowadziło. O poprzednim życiu.

Włosy miała wilgotne. Znalazł gdzieś suszarkę, której sam nigdy nie używał. Ona ją podłączyła do prądu. Na próżno.

Przeprosił i znalazł jej świeży ręcznik.

Znowu spróbował zagaic. Nic nie wskórał.

Wreszcie ona spytała:

– Dlaczego to robisz?

– „To”, czyli?

– Pomagasz. Akurat mnie.

– Nie wiem, co innego miałbym robić. Sposób na zabicie czasu.

– To powód?

– Chyba tak. Myślałem, że rozumiesz. To, że nie wiem, co innego miałbym robić.

W odpowiedzi uśmiechnęła się krótko i cierpko.

– Ach. Już rozumiem.

Musiał spytać, chociaż wiedział, że ona nie chce tego słyszeć.

– Po tym wszystkim... gdyby była jakaś praca. Zwyczajna praca. Wzięłabyś ją?

Zamknęła oczy. Wyglądała, jakby miała ochotę krzyczeć.

– Przepraszam – dodał szybko. – Pewnie w kółko słyszysz takie rzeczy.

– To pewnie pomaga na poczucie winy. No wiesz... nie musisz się czuć źle, jeśli po wszystkim jesteś miły, prawda?

Nic nie powiedział.

– Dobra – przyznała. – To nie jest po wszystkim.

– Zastanawiałem się tylko...

Zdjęła ręcznik. Blond włosy zawinęły się jej na szyi.

– Ostatnie siedem lat w zasadzie spędziłyśmy z Natalią w drodze. Większość jej życia. Walcząc o życie tu i tam. Kiedy musiałam, szłam żebrząc. Ona nie. Nigdy. Kilka razy byliśmy bezdomne. To wszystko, co wiem i umiem, Vos. Do czego jeszcze się nadaję?

– Może do wielu rzeczy, gdybyś spróbowała...

– Nie mów tak! – krzyknęła. – Sądźysz, że nie próbuję? Mamy dom. Mamy trochę pieniędzy. Odrobinę bezpieczeństwa, w każdym razie tak sądziłam. Może pewnego dnia, jeśli będę oszczędzać, skończę z tym gównem. Ale jeszcze nie. Nie teraz. Może nigdy.

Głos jej ucichł, aż prawie umilkła.

– Hanno...

Wtedy zadzwonił telefon.

– Oto jak wygląda sytuacja – zaczęła Mirjam Fransen. – Mam nieograniczone pełnomocnictwa od ministra. Musicie to wszyscy zrozumieć. To nasza operacja. Cały czas byłaby nasza, gdybyście tylko sobie to uświadomili.

Ósma rano w gabinecie de Groota. Bakker, Van der Berg, Fransen i Lucas Kuyper w szarym garniturze i ciepłym grubym płaszczu. Zaraz po przyjściu rozdał im swoje wizytówki, żeby wszystko było jasne. Konsultant AIVD. Zaprezentował je w taki sposób, jakby widniał na nich dopisek „Nietykalny”.

– Prawo... – zaczęła Bakker, ale komisarz spojrzał na nią karcąco.

– Prawo jest dla zwyczajnych ludzi – przerwał jej Lucas Kuyper. – A tu nic nie jest zwyczajne. Od początku nie było. Gdybyście wy tutaj to uszanowali, sytuacja wyglądałaby o wiele lepiej.

Teraz nawet Van der Berg się zjeżył. Na stole leżały dwa zdjęcia z telefonu Ferdiego Pijpersa. Kuyper i nieżyjący już Thom Geerts rozmawiali z Boualim, pokazując mu coś, co wyglądało jak granat.

– Powinniśmy was oboje aresztować – powiedział.

Fransen zakłęła.

– Nie możecie. Znajdujemy się w bardzo delikatnym położeniu. Zagrożone jest życie ludzkie. Lata niebezpiecznej pracy.

– I zaginęła mała dziewczynka – dodała Bakker.

– Pewnie już nie żyje – odparła agentka, kręcąc głową. – Dopilnowaliście tego w chwili, gdy Vos wtarabanił się do Westerdok. – Zerknęła na de Groota. – Gdzie on jest?

– Zawieszony – odrzekł komisarz. – Później się z nim rozliczę. Ta wczorajsza farsa z Khaledem...

– Oni wiedzieli! – krzyknęła Bakker, wymierzając oskarżycielski palec we Fransen. – Wiedzieli, że marnujemy czas.

– Przynajmniej nie nasz – burknął Kuyper.

De Groot patrzył spode łba na dwójkę z AIVD.

– Nie podoba mi się to. Ani trochę.

Mirjam Fransen wychyliła się do przodu.

– My się nie mamy podobać. Henk Kuyper należy do mnie. – Zerknęła na jego ojca. – To śledztwo też. – I po chwili dodała: – A teraz również wy.

Nie odezwał się.

– Chcę, by wasza ekipa siedziała cicho, udając, że ma jakąś robotę w sprawie tej małej Bublik – podjęła. Następnie skinęła na Bakker i Van der Berga. – Oni dwoje mogą się ze mną kontaktować. Nic, w czym biorę udział, nie ma prawa wyjść na zewnątrz. Nigdy.

Frank de Groot nadal milczał.

– Świetnie – podsumowała. – Teraz zrozumieli. Lucas?

Kuyper splótł ramiona na piersi, odchylił się na oparcie, zamknął oczy i po raz pierwszy od niedzieli i od Leidseplein Laura Bakker pomyślała, że zaraz usłyszy prawdę.

Hanna Bublik odebrała telefon. Znowu twardy i zdecydowany głos.

Spytała o te wszystkie rzeczy, których Vos kazał jej unikać. Żądała rozmowy z córką. Kiedy odmówili, tylko się wściekła.

Machał ręką. Mówił bezgłośnie: „Uspokój się”.

Odpowiedziała wściekłym spojrzeniem.

– Daj mi z nią porozmawiać, łajdaku, bo nie dostaniesz ani grosza – warknęła.

Vos złapał się za głowę.

Hanna myślami była zupełnie gdzie indziej, gdzieś blisko swojej córeczki, wzrok miała nieobecny.

Słuchała.

Potem wypowiedziała kilka słów w języku, którego nie rozumiał.

Garść krótkich zdań i rozmowa dobiegła końca.

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Dworzec Główny w południe. Wszystkie pieniądze mają być w torbie. Ja mam je dostarczyć. Nikt inny.

Serce mu zamarło. Dworzec był ogromny. Zawsze pełen ludzi. Z ich punktu widzenia – doskonały. Mogli odebrać okup i rozplątać się w tłumie.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem. Powiedział, że zadzwoni, gdy tam dotrę. – Poszła po płaszcz i torebkę. – Muszę odebrać pieniądze. Ty nie idziesz.

– Hanno...

– Zapomnij, Vos. To moja część.

Wiedział, że część gotówki pochodzi od Kuyperów. Ale istniało jeszcze jedno źródło i na jego temat nie miał żadnej wiedzy. Bo ona nie chciała, żeby miał.

– Moim zdaniem to niebezpieczne. To mnóstwo pieniędzy. I ty sama.

– Przyzwyczaiałam się, że jestem sama. Poza tym uzgodniliśmy wszystko w nocy. Muszę zrobić pewne rzeczy, o których ty nie powinienesz wiedzieć.

– Natalia ci coś powiedziała?

– Kazali jej mówić po angielsku. Mogła powiedzieć tylko to, na co jej pozwolili.

A więc nic.

– Czyli? – spytał.

– Nic jej nie jest. Kocha mnie. Nie może się doczekać powrotu do domu.

– A ty?

Patrzył, jak sięga po zieloną plastikowo-płócienną torbę podróżną, którą tu przyniosła. Nie zaglądał do środka. To było z jego strony głupie zaniedbanie.

– Powiedziała jej to samo. A jak sądzisz?

Na trapie zerknęła na zegarek.

– Kiedy zbiorę pieniądze, zadzwonię. Nie przychodź popatrzeć. Gdzie jest najbliższy tani fryzjer? Chcę zmienić wygląd.

– Dlaczego?

Spojrzała posepnie.

– Żeby waszym ludziom trudniej było mnie zauważyć.

Zaprowadził ją dwie ulice dalej na Elandsgracht do pierwszego fryzjera, który przyszedł mu do głowy. Weszła do środka i słyszał, jak się domaga najtańszej uczennicy w zakładzie.

Vos poszedł do knajpki naprzeciwko, gdzie go nie znali. Patrzył przez okno. Znowu sprawdził telefon.

Na Marnixstraat coś się działo. Może mieli jakiś trop.

Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Hanna Bublik wyszła zadziwiająco szybko. Ledwie ją rozpoznał. Długie blond włosy zniknęły. Teraz były krótkie i pofarbowane na ciemny brąz. Gdy podszedł bliżej, wyjęła z torebki staromodne okulary i założyła je. W prawej ręce trzymała zieloną torbę, tanią i zniszczoną.

W kilka minut przeobraziła się z kurwy w nauczycielkę. Dobra w tym była. Wyćwiczona umiejętność.

– Podoba ci się? – spytała.

– Wyglądasz, jakbyś się szykowała do ucieczki.

– Już nie uciekam – odparła. – Skończyłam z tym.

Sięgnęła ręką do włosów.

– Tak wyglądają naprawdę. Nie jestem blondynką. Zrobiłam to dla pracy.

– Przydałoby się, żebym wiedział, dokąd się wybierasz.

– Niestety – odrzekła. – Nie dowiesz się.

W zimnej piwnicy palce Natalii zaciskały się na telefonie. Musiał je poodginać, by zabrać jej aparat.

Inny mężczyzna. Tak samo wielki. Tym razem czarny. Szorstki głos, mówiący po angielsku. Miał dredy związane kolorową gumką.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział. – Zrobiłaś, co mówiłem.

Wielką dłonią poklepał ją po głowie jak zwierzątko. Teraz miała brudne włosy. W tym nowym więzieniu nie było żadnego prysznicza.

Wszystkie myśli o ucieczce uleciały jej z głowy. Wciąż miała przed oczyma zakrwawionego chłopaka z Anatolii bezwładnie leżącego przy schodach. Skopanego, zdeptanego, pobitego.

Martwego, pomyślała.

Tak to wyglądało. Z ostatnim ciosem wielkiego buciora coś uleciało z ciemnej i zimnej piwnicy. Umknęło jak ptak wypuszczony z klatki.

Martwy.

– Co powiedziała twoja mama? – spytał mężczyzna.

Mówiła po gruzińsku, który to język teraz brzmiał tak dziwnie. Staromodnie. Jakby należał do innego miejsca, miejsca, którego nie pamiętała.

„Jesteś światłem mojego życia, córeczko. Jeśli cię zranią choćby odrobinę, zapłacą za to. Dopilnuję tego. Ale najpierw cię uwolnię”.

– No? – nie ustępował. – Co mówiła?

– Chce, żebym wróciła do domu.

Wielka dłoń znowu sięgnęła do jej głowy.

– Wszyscy tego chcemy, kochanie.

– Kiedy?

Roześmiał się. Głębokim śmiechem, dobiegającym z trzewi.

– Kiedy dostaniemy pieniądze. A jak sądzisz?

Rozległo się pukanie do drzwi u szczytu schodów. Podszedł otworzyć. Głosy. Przyszedł ten drugi. Przyniósł coś.

Nowy niósł torbę. Takiej samej używały z mamą, gdy uciekały z miejsca na miejsce. Nawet ich nie była tak stara i brudna jak ta. I nie miała mocnego zamka i kłódki na końcu.

Natalia wpatrywała się w torbę. W jej wielkość, kształt.

Spojrzała na siebie.

I na niego.

W tej chwili nie patrzył jej w oczy.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział.

Lucas Kuyper powiedział im, że AIVD od pięciu lat usiłuje umieścić jego syna w organizacji Barbonego. Stanowił jedyny bezpośredni kontakt Henka z agencją. Uznano to za rozwiązanie bezpieczne, ponieważ byli rodziną. W ramach tworzenia przykrywkę sfabrykowali historię o wydaleniu ze służby po przecieku dokumentów, które były nieważne albo ogólnikowe.

Zrobili z niego przynętę. I zostawili samego.

Przed miesiącem zameldował, że ktoś w końcu zamierza się na tę przynętę nabrać.

– Zrozumcie – dodała Fransen. – Mówimy tu o wielkich graczach. – Ściągnęła brwi. – Barbone spotkał się z Henkiem raz. Nagle i bez powodu. Dopadł go po drodze, gdy zabierał Saskię ze szkoły. W tym małym parku naprzeciwko domu.

– Barbone wiedział, gdzie on mieszka? – spytała Bakker.

– Pewnie dużo więcej – odrzekł Lucas Kuyper. – To gra w szachy. W pokera. Dlatego właśnie wasi ludzie powinni się trzymać z dala od tej sprawy. Barbone chciał dowodu. Dowodu, że Henk

jest po ich stronie. Pojawiła się sprawa Alamy'ego. Chcieli, by załatwił uwolnienie imama. Chyba rozumieli, że Alamy może ich wszystkich wydać, by ocalić skórę.

De Groot siedział bez ruchu, z kamienną twarzą. Napił się kawy, cały czas się nie odzywając.

– Poprosili go, żeby poświęcił Saskię – podjął Kuyper. – Wiedzieli o mnie. O mojej przeszłości. Sądzieli, że ją wymienią na Ismaila Alamy'ego. Zapewniali, że nic się jej nie stanie.

Van der Berg nie odrywał wzroku od komisarza.

– Więc pański syn się na to zgodził, a potem się postarał, żeby jego córkę zastąpiło dziecko prostytutki?

Fransen wzruszyła ramionami.

– Henk jest niezależnym agentem. Podejmuje decyzje na własną odpowiedzialność. Daliśmy mu sprzęt, o który poprosił. Nie prowadziły do niego żadne ślady. Do nas też nie, gdyby coś się nie udało.

Bakker wzięła do ręki zdjęcia: Bouali z Thomem Geertsem i jeszcze jednym człowiekiem.

– To są ślady.

– Gdybyśmy dopuścili do tego, by sami szukali broni, sądzicie, że użyliby granatów błyskowych? – spytał Lucas Kuyper. – Nikomu nie miała stać się krzywda.

– Poza dumnym młodym Brytyjczykiem, którego okantowaliście.

Fransen się skrzywiła.

– Bouali był trutniem, którego przydzielili Henkowi, żeby z nim pracował. Ten idiota ruszył na nas z bronią. Gdyby tego nie zrobił, zabrałabym go stamtąd... – zawahała się – w bezpieczne miejsce.

– Z dała od nas? – spytał Van der Berg.

– Dlaczego musimy się powtarzać? To nie była wasza sprawa – powiedział Kuyper wyniośle.

– Poza tym kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Moja rodzina od stu pięćdziesięciu lat służy w holenderskim wojsku. Mamy świadomość ryzyka. A Henk...

– Gdyby Vos nie wparował do Westerdok, zachowalibyśmy nad wszystkim kontrolę – wtrąciła Fransen. – Albo Barbone by się pokazał i moglibyśmy go tam pojmać. Albo wrobilibyśmy Alamy'ego i przekonalibyśmy go, żeby mówił i zapewnił sobie w ten sposób wolność. – Wbiła wzrok w de Groota. – Dziewczynka zostałaby uwolniona. To wyście spieprzyli sprawę.

– A wtedy by wiedzieli, że pański syn ich przerabia – powiedział Van der Berg.

Odrzuciła głowę do tyłu, potrząsnęła ciemnymi włosami.

– Jezu. Jakbym gadała z dziećmi. Wiedzieliśmy, że Henk ich nie zinfiltrował, cokolwiek on sobie wyobrażał. Jest Holendrem. W życiu by mu w pełni nie zaufali. Nie braliśmy tego poważnie pod uwagę. – Spojrzała na Kuypera. – Może cały czas sądzili, że z naszej strony to gra. Co naprawdę mnie martwi.

Czekali.

– Jeszcze jeden dzień i by się nam udało. Albo Barbone wpadłby w nasze ręce, albo wrobilibyśmy Alamy'ego w porwanie, a on zdecydowałby się na współpracę. – Twarz jej stężała. – Gdyby wiedział, że nigdy nie wyjdzie na wolność, podałby nam całą siatkę na tacy.

Sięgnęła po leżące na stole zdjęcia i rozrzuciła je.

– To była nasza nagroda. Lata pracy. Wyrzucone w błoto, bo Vos miał ochotę odgrywać bohatera.

– Szukaliśmy porwanej dziewczynki – powtórzył Van der Berg. – Nadal szukamy. – Popatrzyl na de Groota. – Prawda?

Fransen znowu spojrzała z wyższością.

– Nie zadzwonili z żądaniem okupu, pamiętacie? Dziecko zniknęło. Henk też. Gdzieś go wciął.

Obejrzała się na Lucasa Kuypera. Ten kiwnął głową i przejął pałeczkę.

– AIVD próbowało wczoraj namierzyć mojego syna. Zachowywał się... w sposób zupełnie do niego niepasujący.

– Niezależny agent – powtórzyła Fransen. – Próbuje uratować coś z bajzlu, w który go wpakowaliście. W pojedynkę. Idiota.

– Mamy go wam znaleźć? – spytała Bakker.

– AIVD też szuka – odparł Kuyper. – To ważne. Henk jest po naszej stronie. Dużo ryzykuje. Może jeszcze mógłby działać. I... – Znowu wzruszył ramionami. – To żołnierz. Tak jak ja. Jeśli uznają, że cały czas prowadził podwójną grę...

– Też już nie żyje – przerwała Fransen. – Jeśli tak się stało... – wytknęła palcem wszystkich policjantów po kolei – wszyscy za to zapłacicie.

Sięgnęła po telefon i sprawdziła wiadomości.

– Może da się coś jeszcze uratować. Dla waszego dobra mam taką nadzieję. Lucas?

Kuyper wstał. Założył na głowę swój kapelusz filcowy. Znowu wyglądał jak miły starszy pan.

– Ta dwójka... – wskazała na Bakker i Van der Berga – będzie nas informować o wszystkim, czego się dowiecie i co robicie. O Henku. I tej małej Bublik. Pełen raport. Na bieżąco. Wiecie, gdzie mnie znaleźć.

I wyszli. Bakker, Van der Berg i de Groot ani drgnęli.

Zadzwonił telefon na biurku komisarza. Ten odebrał. To była długa rozmowa. De Groot uważnie notował w notatniku.

– Coś nowego? – spytała Bakker, gdy tylko skończył.

– Znaleźliśmy drugą łódź, na której przetrzymywano dziewczynkę – powiedział.

Podsunał jej adres. Następnie wyświetlił na ekranie plan miasta i odwrócił go. Pokazał, w którym to miejscu.

– Jezu Chryste – szepnął Van der Berg. – Była pod naszym nosem.

Czerwona łódź mieszkalna, bez okien, zacumowana przy Bloemgracht kilka ulic dalej.

– Idziemy – zarządziła Bakker, wstając.

De Groot zatrzymał ją z westchnieniem.

– Nie, nie idziecie. Dajecie mi szansę, dobra?

Van der Berg nie ruszył się o krok. Znał tego człowieka.

– Przekażę to AIVD – kontynuował komisarz. – Ewentualnie podeślemy ludzi, żeby im towarzyszyli. Niech ta Fransen ma jakieś zajęcie. Jeszcze może nam podziękuję.

Bakker pokręciła głową.



– Chcemy jej podziękowań? O co...?

Van der Berg wstał.

– Co mamy robić, szefie?

De Groot zapisał nazwisko i adres, po czym podał im kartkę.

– Ta łódź też jest wynajęta. Od tego samego właściciela co w Westerdok. – Wskazał mapę. – Smits. Vos z nim rozmawiał. Ma biuro za Damrak. Idźcie go wypytać, czy może przypadkiem zna Henka Kuypera.

– A co z AIVD? – spytał Van der Berg. – Tamta miła piła uznała chyba, że jesteśmy jej łącznikami.

– Poradzę sobie z tym – odrzekł de Groot.

Vos wrócił do Drie Vaten, starał się pogadać z Sofią Albers, podczas gdy ona robiła mu kawę. Okazało się to niełatwe. Najwyraźniej była wściekła i zażenowana.

Potem uznała, że Vos może spędzić trochę czasu ze swoim psem i przyprowadziła Sama z mieszkania nad barem. Kupiła mu nową zabawkę. Kawałek liny w kształcie kości.

– Musisz się z nim poszarpać – poleciła. – Jesteś w tym dobry. Tak samo jak on.

Poszedł ze swoją kawą i pierniczkami w kształcie choinek na wąskie, wyłożone drewnem pięterko baru, trzymając linę w jednej ręce, a Sam chwycił ją swoimi ostrymi białymi zębami i warczał.

Powiedział Hannie Bublik prawdę: pies się nigdy nie poddawał. Można było go pokonać tylko w jeden sposób, a mianowicie podstępem.

– Och, Sam – powiedział, zerkając na drzwi. – Zobacz, Laura!

Terier od razu porzucił linę i odwrócił się, wymachując ogonem jak szalony.

Vos zachichotał. Kiedy wściekły, oszukany Sam znowu na niego spojrzał, pan cisnął linę na drugi koniec baru.

Tę zabawę pies uwielbiał. Śmignął pomiędzy kulawymi stołami i krzesłami, pędem pokonał schodki do dolnej części i między meblami pognał za zabawkę.

Złapał ją przy drzwiach. Zanim tam dotarł, powalił trzy krzesła, a na podłogę posypało się potrzaskane szkło.

Sofia popatrzyła.

Vos też.

– Ups – powiedział.

Wyskoczyła z miotłą i szufelką i dopadła szkła przed Samem. Potem podeszła do psa, który radośnie dał sobie wyjąć linę z pyska, na co Vosowi nigdy nie pozwalał.

Po czym oboje wrócili.

– Jak ty to robisz? – spytał. – No wiesz... jak go nakłaniasz, żeby się poddał?

– Nie mam pojęcia. – Podała mu zabawkę. Sam usiadł, okazał niezgorszą namiastkę posłuszeństwa i machał ogonem, aż Vos znowu dał mu zabawkę i zaczął się z nim szarpać.

– Naprawdę nic ci nie jest, Pieter? Wiem, że to nie moja sprawa...

– Nic mi nie jest – odrzekł z mocą. – Hanna Bublik nocowała u mnie, bo pracuję nad sprawą

jej córki. I nie chciałem zostawiać jej samej na Oude Nieuwstraat. Jasne?

Milczała. Wyglądała na trochę przekonaną.

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć – dodał. – Niedługo wyjdę. Nie martw się.

– Pójdiesz do pracy? – spytała z nadzieją.

Zasalutował i odrzekł tonem śmiertelnie poważnym:

– Amsterdamska policja nigdy nie śpi, prawda?

Mruknęła coś, co brzmiało jak „cholerny szyderca”, po czym doniosła mu pierniczków.

Jakiś cień pojawił się w drzwiach. Do pracy przyszedł barman pracujący tu dorywczo.

– Chodź, Sam – powiedziała Sofia. – Bert dopilnuje knajpy. Wyprowadzę cię. Gdzie twoja smycz?

„Gdzie twoja smycz?”

Nauczyła go tego małego zaklęcia. Działo natychmiast. Pies upuścił zabawkę i potruchtał do drzwi.

Bert podszedł się przywitać. Wysoki, miał eleganckie siwe włosy i zawsze radosny uśmiech. Kiedy nie dorabiał w Drie Vaten, pracował jako aktor epizodyczny i grał w reklamach.

– Powiedz, czego pragniesz, Vos – rzekł. – Spełnię każde twoje życzenie. Wystarczy, że poprosisz.

Puścił oko i upił z wymaginowanej szklanki.

– Poproszę.

Gdy odszedł w stronę baru, Vos wyjął telefon. Nie zaglądał do zielonej torby Hanny Bublik, ale umieścił nadajnik w małej bocznej kieszeni. Takiej, co to wygląda na nigdy nieużywaną.

Uruchomił aplikację na smartphone’a, którą zawdzięczał Aishy i jej koledze.

Wydawała się prosta. Pojawił się plan miasta. Czerwony punkt przesuwiał się wzdłuż Spui. I nagle na jego oczach się zatrzymał.

Smits. Żadnego imienia. Żadnych szczegółów. Tylko numer komórki i adres firmy. Było to maleńkie biuro na parterze budynku w zaułku w bok od Damrak. Na głównej ulicy hordy turystów kierowały się do coffee shopów i przybytków oferujących szemrane rozrywki. Jezdnię zajmował łomoczący plac budowy. Zaskoczeni przybysze walczyli z planami miasta na jednostajnym wietrze. Krzyczeli naganiacze.

Henk Kuyper minął ich wszystkich, skręcił w wąski zaułek, sprawdzał numery.

Nigdy w życiu tu nie był. Ze Smitsem kontaktował się wyłącznie przez telefon. Spotkali się na chwilę na łodzi w Westerdok, gdzie początkowo przetrzymywali małą Gruzinkę. Kuyper się uparł. Chciał sprawdzić, czy jest dobrze traktowana. Czy na pewno rozumieją wymyśloną przez niego historyjkę: popełnili pomyłkę. On zaproponował swoją córkę jako okup za Ismaila Alamy’ego, zgodnie z żądaniem Barbonego. Ale Bouali coś spieprzył, a pozostali – mężczyźni, których nie znał ani nie chciał ich kontrolować – porwali inną dziewczynkę, w podobnej kurtce.

Uwierzyli mu? Nie był pewien. Smits nigdy nie dopuścił, by Henk poznał kogokolwiek poza nim. Za wcześnie, mówił. Kiedy Alamy wyjdzie na wolność...

Plan zakładał, że AIVD zaatakuje i uwolni dziewczynkę, gdy pojawi się Barbone. Jeśli nie, wpadną tam po dwóch dniach i powiążą wszystko z Alamy. Potem dadzą mu wybór: życie

w więzieniu albo nowa tożsamość, w innym kraju, w zamian za wydanie siatki.

Henk Kuyper miał zaś na koniec wrócić do swojej prawdziwej tożsamości: agenta AIVD. Koniec gierek, pozorów, kłamstw. Wreszcie odzyskałby swoje życie, spróbowałby naprawić małżeństwo. Mirjam Fransen chciała, by przeszedł całą drogę od samego początku. Żeby zobaczyć, czy zdoła przeniknąć bezpośrednio do jednej z komórek jako czynny członek.

Kiedy tworzyli ten plan w szykownym biurze w Hadze pięć lat temu, prezentował się świetnie. Był tam jego ojciec, uśmiechał się z dumą. Tacy właśnie byli Kuyperowie. Poświęcali się dla ojczyzny.

Powinność.

Chytre słowo, w którym można zmieścić wszystko. Ale Lucas Kuyper nosił kiedyś mundur. Wykonywał rozkazy. Sam je wydawał. Rozliczył się przed społeczeństwem, gdy doszło do tragedii i niepotrzebną śmiercią zginęły tysiące ludzi. Potem dyskretnie pojawił się w szeregach AIVD jako doradca w nowym świecie, gdzie granica pomiędzy dobrem a złem, przyjacielem a wrogiem była o wiele trudniejsza do wytyczenia.

Jego syn podjął tę pracę bez namysłu. Był Kuyperem. Członkiem kasty wojowników, jak przypominał mu ojciec. Musiał pełnić służbę. W końcu miał to we krwi.

Żadne z nich nie wiedziało, że uparty amsterdamski policjant wytropi łódź w Westerdok już następnego dnia. Ani że ludzie Barbonego zabiorą stamtąd dziewczynkę, bez wiedzy Kuypera, w nieznane miejsce, zanim służby specjalne zdążą ją uwolnić.

Kuyper znalazł właściwy dom. Wąski budynek, bez szyldu, nieprzejrzyste okna, czerwone drzwi. Tylko dzwonek i domofon. Nacisnął guzik, podał nazwisko, gdy Smits odebrał, w każdym razie chyba był to Smits.

Długa cisza. Zaułkiem przeszła grupka turystów w błazeńskich kapeluszach. Ktoś na budowie wykrzykiwał ostrzeżenia. Wśród tego harmidru brzmiał dzwonek przejeżdżającego tramwaju.

– Czyś ty, kurwa, zwariował?! – spytał Smits przez głośnik.

– Będę tu stał, dopóki mnie nie wypuścisz.

Nic.

– Smits, nie jestem głupcem. Nikt mnie nie śledził. Jestem sam. Musimy pogadać.

– Ja nawet nie wiem, kim ty jesteś, człowieku – jęknął szorstki amsterdamczyk.

– Trzeba powiedzieć pewne rzeczy – Kuyper improwizował. – Twarzą w twarz. W tej chwili.

Drzwi zaburczały. Wszedł. Jedno biuro po prawej za nieprzejrzystym oknem.

Smits był muskularnym mężczyzną z gęstym wąsem i twarzą tak obwisłą, że wydawała się bez wyrazu.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Kto?

– Ta mała.

Smits miał na sobie białą koszulę i zniszczoną czarną marynarkę. Bez krawata.

– Ty to robisz dla pieniędzy, prawda? – dodał Kuyper, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– A ty z jakiego powodu? – odrzekł tamten, najwyraźniej rozłoszczony oskarżeniem.

– Mieliśmy umowę, że dziecko wychodzi na wolność.

– Mieliśmy umowę, że to twoje dziecko. A skoro nie było twoje... – Westchnął, założył ręce

za głowę. – Co mieliśmy sobie pomyśleć, Henk? Tak z ręką na sercu.

– Chcę rozmawiać z Barbonem. On musi wysłuchać paru rzeczy.

– Widziałeś się już z nim. Pewnie tego nie zrozumiesz, ale nie był pod wrażeniem.

Kuyper czuł, że policzki mu się czerwienią. Smits się roześmiał.

– Poprosił cię, żebyś naraził życie własnego dziecka, żeby się wykazać. Własnego dziecka! A ty się nawet nie zawahałeś. – Kpiący uśmiech. – Sądziś, że to go przekonało?

– Muszę pogadać...

– Pogadaj ze mną. Ja wszystko przekażę.

Głosy. Ktoś przechodził ulicą. Zaułek był wąski. Ludzie używali go jako skrótu do ulicy handlowej.

– Chcę odzyskać dziewczynkę. Obiecano mi, że nie stanie się jej krzywda.

Smits popatrzył na swoje palce, pokręcił głową.

– Nie ma dziewczynki. Zwijamy się stąd. Wcześniej niż przewidywał plan. Dzięki tobie...

– Jeśli jej nie wypuszczą, pójdę na policję. Do AIVD. Do kogokolwiek, kto mnie wysłucha. Jeśli...

Smits uśmiechnął się szeroko i wymierzył w niego palec zza biurka.

– Litości, Henk! – roześmiał się. – Masz nas za idiotów? Wyobrażasz sobie, że rozmawialibyśmy z tobą, jak już byśmy dostali tę dziewczynkę?

– To, co zrobiłem...

Uśmiech zniknął.

– Zrobiłeś dla nich. Nie dla nas. Dla ludzi, którzy tobą kierują. – Wychylił się do przodu, nagle śmiertelnie poważny. – Na tym polega problem ze sznurkami. Można je ciągnąć w dwie strony. A ty przychodzisz...

– Sam – wtrącił Kuyper.

– Sam – powtórzył Smits. Z zainteresowaniem.

– To naprawdę proste. Powiedzcie mi tylko, co mam zrobić, żeby ją odzyskać. Potem zniknę. Ty, Khaled, Barbone, wszyscy jesteście bezpieczni. Nic wam nie grozi. Nie ma się czym martwić.

– Doprawdy? – spytał Smits.

– Gwarantuję.

– Sądziś, że możesz cokolwiek gwarantować?

– Tak. To propozycja. Transakcja. Gdyby chodziło o cokolwiek innego, przyszedłbym chyba z ludźmi, żeby was aresztowali, nie sądziś?

Chwila ciszy. Potem Smits sięgnął po telefon i wybrał numer.

Rozmowa się przeciągała. Toczyła się po arabsku, a Kuyper nie znał tego języka.

Coś w tej rozmowie sprawiło, że Smits zaklął pod nosem i spojrzał twardo na Kuypera.

– Zrozumiałem – dodał po niderlandzku i odłożył słuchawkę.

Wziął notes z biurka, zapisał coś i podsunął Holendrowi.

Adres. Rapenburg, blisko tunelu IJ.

Smits wstał i zaczął przeglądać szuflady, wyciągając teczki, papiery. Jakieś rzeczy, których

Kuyper nie widział. Potem podszedł do szarej metalowej szafki, otworzył dolną szufladę i wyjął plastikowy kanister.

– Tego chciałeś, co? – powiedział, ruchem głowy wskazując kartkę. – Weź to i zabieraj się stąd. Mam robotę.

Odkręcił nakrętkę z kanistra i obchodząc pokój, rozlewał wszędzie benzynę. Jej zapach przybierał na sile.

– Jeśli...

– Idź już, dobra?! – ryknął Smits.

Henk Kuyper wyszedł przez czerwone drzwi i wrócił na Damrak. Ruszył na długi spacer przez miasto.

Knajpkę wybrała Hanna. Na ścianach płyty winylowe. Jakieś szumowiny na wąskich stołkach. Przedstawiciele klasy średniej nieczęsto zachodzili do takich przybytków.

Zrobiło się zimniej. Renata przysłała w sztucznym futrze. Do tego miała szkarłatną torebkę, chyba drogą, i szminkę w takim samym kolorze. Hanna położyła swoją tanią torbę na podłodze, by zwolnić miejsce, które dla niej trzymała.

– Tłoczno tu – zauważyła Renata.

Hanna spytała, czego się napije, i przekazała zamówienie mężczyźnie za barem.

– Lubię, gdy jest tłoczno.

Szkarłatna torebka spoczęła na stoliku.

– Tu jest wszystko, co mogłam zdobyć – powiedziała Renata. – Sześćdziesiąt. Połowa od nas, połowa od ojca Henka.

– Jesteście bardzo hojni.

– Jego tatę na to stać. Nas nie. – Skrzywiła się na widok staruszka, który usiłował wstać z miejsca dwa stoliki dalej. – Nie można była wybrać innego lokalu?

Hanna rozejrzała się, by się upewnić, że nikt jej nie obserwuje. Potem rozpięła torbę. W środku leżało pudełko po butach. DKNY. Renata kiwnęła głową. Hanna wyjęła pudełko i przełożyła je do swojej torby.

– Uda się? – spytała Renata.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– A policja..?

– Policja o niczym nie wie. Już to mówiłam.

Renata zamilkła.

Hanna przechyliła głowę na bok.

– O co chodzi?

– Wygląda pani zupełnie inaczej. Włosy, okulary. Dlaczego?

– Nie chcę ułatwiać zadania ludziom Vosa, gdyby chcieli mnie śledzić.

Twarz Renaty Kuyper stężała.

– Vos już nie prowadzi sprawy. Tak mówiłaś wczoraj.

– Nie chcę, żeby się wtrącał. Odebrałam telefon w sprawie dostarczenia okupu. Dzisiaj

w południe.

– Gdzie?

To pytanie wydało się jej dziwne.

– Lepiej nie wiedzieć. Zrobię to sama.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Nie ucieknę z pieniędzmi, jeśli tego się pani boi. Chcę odzyskać córkę. Nie jestem złodziejką.

Renata Kuyper wyglądała, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

– Tu nie powinny się wydarzać takie rzeczy – szepnęła. – To nie w porządku.

– A gdzie powinny? Gdzieś daleko? W obcych krajach? Ludziom mniej ważnym?

To nie zostało dobrze przyjęte.

– Zaczyna pani mówić jak mój mąż. Na pewno się z nim pani nie widziała?

Pokręciła głową.

– Tylko od pani dostałam dzisiaj pieniądze.

– Mogłabym zażądać ich z powrotem.

Hanna Bublik położyła rękę na torbie.

– Ale to byłoby niegrzeczne. Dar do dar.

– Dlaczego pani mnie nienawidzi? – Podniosła głos. Ludzie w knajpce zaczęli się gapić. Gdy zdała sobie z tego sprawę, dodała ciszej: – Staram się pomóc.

– Wiem, przepraszam. Nigdy nie radziłam sobie z wyrażaniem wdzięczności. – Zerknęła na zegarek. – Muszę już iść.

– Mam nadzieję, że się uda.

Krótką chwilą żalu. Była surowa dla tej kobiety.

– Pani mąż wróci do domu. Na pewno. Bo gdzie miałby iść?

– To ma być powód?

– Mnie się wydaje dobry.

Renata Kuyper wstała od stolika, próbowała zapłacić za kawę.

– Ja zapłacę – powiedziała Hanna i już bez słowa odprowadziła wzrokiem drugą kobietę.

Dziesiąta trzydzieści. Czas ruszać na Spooksteeg po wkład Cema Yilmaza.

Potem zadzwoni do Vosa i spotka się z nim na dworcu. Chciała, żeby tam był. Ale nie, żeby decydował.

Płacąc, znowu spojrzała na torbę. Już miała tam sumę na co dzień dla niej niewyobrażalną. Niedługo, jeśli Yilmaz dotrzyma słowa, znajdzie się w niej sto sześćdziesiąt tysięcy euro. Przez chwilę będzie bogata. Bogata i sama. Oddałaby każdy grosz za uwolnienie Natalii. Wszystko to i jeszcze więcej.

– Proszę – powiedział kelner, wróciwszy z jej resztą.

– To dla pana – odparła.

I tak były to grosze.

Kupiła tę torbę na Noordermarkt w którąś sobotę. Z boku było mnóstwo kieszonek. Tak

malutkich, że nie wyobrażała sobie, do czego miałyby się przydać.

Jeden z zamków był niedosunięty. Jako osoba bardzo dokładna na pewno by zauważyła, gdyby wyglądał tak wcześniej.

Otworzyła kieszonkę i wyjęła ze środka płaski czarny krążek. Patrzyła na niego w jaskrawym świetle kawiarni.

Z coffee shopu za rogiem dopływał do środka dym. Ten zapach przypominał jej, jak sama trafiła w takie miejsce po tym, gdy Yilmaz ją napiętnował. Żadnego z tych przeżyć nie chciałyby ponownie doświadczyć.

Krążek był urządzeniem elektronicznym. Co do tego nie miała wątpliwości. Do torby mógł się dostać tylko w jeden sposób. Pod spodem zobaczyła włącznik i już go chciała użyć. Ale wówczas Vos powziąłby jeszcze więcej podejrzeń.

Na zewnątrz panowało zimno. Czuła spory ciężar torby na prawym ramieniu. Pistolet i naboje, które ukradła Turkowi, zajęły większość miejsca w jej torebce.

Zawartość obu toreb była ważna. Ale jedna cenniejsza niż druga. Hanna zarzuciła więc uchwyty torby na ramię i przycisnęła ją do piersi. Weszła do dzielnicy czerwonych latarni, zastanawiając się, jak bardzo będzie musiała się tłumaczyć Yilmazowi z włosów i okularów.

Teraz stanowiła jego własność. Mógł nie zaaprobować zmian.

Od chwili, gdy Henk Kuyper opuścił Damrak, do chwili, gdy przybyli tam Bakker i Van der Berg na rowerach minęło dwadzieścia pięć minut.

– Gdzie to jest, do cholery? – spytała, zerkając na telefon.

Ruchem głowy wskazał zaułek.

Z przeciwka zbliżył się brodaty mężczyzna mocnej budowy ciała o ciemnej skórze i przyjaznej twarzy, z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie czarnego eleganckiego płaszcza.

– Dzień dobry – rzucił ni z tego, ni z owego i się oddalił.

Po drodze odebrali od wywiadu trochę informacji o Smitsie. Jego biuro w Amsterdamie działało od trzech lat. Wcześniej pracował w obsłudze nieruchomości w Arabii Saudyjskiej i Jemenie. W aktach nie było śladu żadnych powiązań z jakąkolwiek organizacją terrorystyczną. Ale z ksiąg rachunkowych wynikało, że obroty firmy są słabe, podczas gdy Smits mieszkał we własnym drogim apartamencie niedaleko Rijksmuseum.

Van der Berg przeleciał przez szczegóły.

– To najemnik. Nieważne, kto mu płaci.

– Miło – skwitowała i ruszyli wzdłuż zaułka.

Zapach.

Zatrzymała się, spojrzęła na kolegę.

– Co to takiego?

– Dym – odparł i puścił się biegiem.

W połowie zaułka dotarli na miejsce. Czerwone drzwi były otwarte. Za nimi płomienie. Na zewnątrz stała z telefonem kobieta w czymś, co wyglądało na fartuch fryzjerski. Wstrząśnięta i bliska płaczu.

Bakker ruszyła do środka.

– Nie wchodźcie tam! – zawołała kobieta, wyciągając rękę. – Wezwałam karetkę. – Jezu... słyszałam krzyk.

Trzy numery obok był zakład fryzjerski.

Van der Berg pokazał jej odznakę.

– Karetkę?

Laura Bakker już wchodziła do środka. Podążył za nią.

Dym pochodził z niewielkiego stosu dokumentów obok szarej szafki na akta. Przed tym ogniskiem leżało na podłodze ciało korpulentnego mężczyzny w średnim wieku. Usta otwarte, ręce rozłożone, nogi ugięte.

Martwe oczy wpatrywały się w sufit. Na środku czoła widniała czerwona dziura po kuli.

– Cholera! – krzyknęła Bakker, szukając oznak życia, bezowocnie. – Cholera.

Van der Berg próbował butami zdusić płomienie.

– Spóźniliśmy się tu dosłownie o minuty, Dirk.

– Tak. – Wielkimi stopami stąpał po papierze. – Spójrz nad drzwi.

– Co?

– Ma monitoring. Pewnie zapis jest na komputerze.

W rogu pokoju wisiała niewielka kamera, wycelowana w biurko. Bakker podeszła do komputera, wyjęła z kieszeni lateksowe rękawiczki i stuknęła w klawisz.

Van der Berg dołączył do niej. Płomienie zgasły. Gdzieś na zewnątrz wyły syreny.

Zaczął się zbierać tłum.

Dziesięć minut później w pokoju zrobił się tłok. Pięciu funkcjonariuszy. Mundurowych. Mirjam Fransen i paru nowych gości z AIVD.

Bakker nie zwracała na nich uwagi. Przedzierała się przez nagranie wideo na komputerze.

– Co macie? – spytała Mirjam Fransen.

– Może Barbonego – odparła.

Przewinęła do momentu kilka minut przed ich przybyciem. Przez drzwi przechodzi potężny mężczyzna z czarną brodą i miłą twarzą. Smits przystaje z kanistrem, z którego rozlewał benzynę, podnosi wzrok. Mówi coś, czego nie słyszą. Chyba jest zaskoczony. I przejęty.

Mężczyzna z brodą uśmiecha się, podchodzi, wyciąga pistolet i strzela mu w głowę. Patrzy na płomienie. Dorzuca do nich kilka papierów. Wychodzi.

– Minęliśmy tego drania na ulicy – dodała Bakker. – Jest wielki. Wyjątkowo. Poznałabym go.

– Minęliście go? – spytała Fransen.

– Tak – odparł Van der Berg. – I mnóstwo innych ludzi.

– Zamknij się, Dirk – rzuciła Bakker.

Detektyw zaniemówił.

– Patrzcie... – Bakker wskazywała palcem ekran – Barbone nie był tu jedynym gościem.

Przewinęła do momentu przyjścia Henka Kuypera. Patrzyli, jak wchodzi. Na mężczyzn odbywających trudną najwyraźniej rozmowę.

– Co tu robił Kuyper, do cholery? – zastanawiała się Bakker.

Nagle zadzwonił telefon Smitsa.



– Wyślijcie to mejlem na mój adres – rozkazała Fransen. – Techniczni rzucają na to okiem. Może uda się rozszyfrować, co oni mówią...

– On coś zapisał! – Znalazła odpowiedni fragment. Smits wyciąga notes i długopis. Zapisuje parę słów. Podaje kartkę. – To dla Kuypera. I jeśli to adres, to tam się udał.

Obraz był bardzo niewyraźny. Zrobiła zdjęcie swoją komórką i wysłała do Aishy na Marnixstraat. Zastanowiła się, przesunęła film w tę i w tę, zapisała ten fragment jako plik wideo. I to też jej wysłała. Może odtworzą coś z ruchu długopisu Smitsa albo ręki, albo...

Wraz z ludźmi z AIVD pojawiło się trzech funkcjonariuszy wydziału kryminalistyki. Zajęli się ciałem na podłodze.

– Ja tu dowodzę – oznajmiła stanowczym tonem Fransen. – Czekacie na moją zgodę.

– To morderstwo – przerwał jej Van der Berg. – A zawiesiliście naszego najlepszego detektywa od zabójstw. Odsuń się.

Zrobiła kilka kroków w jego kierunku.

– Powiedziałem odsuń się! – krzyknął.

– Dirk – odezwał się szef techników.

– Słucham?

– Nie możemy pracować, gdy ktoś krzyczy. Możesz się na przykład zamknąć?

Bakker wyszła na ulicę i zadzwoniła do Aishy.

– Chcę, żebyś jak najszybciej spojrziała na materiały, które ci wysłałam.

– Właśnie patrzę.

– I?

– I co? Nie powiedziałaś, czego mam szukać.

– On coś zapisał w notesie. Chcę wiedzieć, co to jest.

Po dłuższej chwili Aisha odpowiedziała:

– Niestety, pod tym kątem w ogóle nie widać liter.

– Widzisz długopis. Nie możesz z jego ruchów wykombinować, co on zapisuje?

Aisha westchnęła.

– Ja się zajmuję nauką, Lauro. Nie magią.

Bakker zaklęła.

– Znajdź ten notes – zasugerowała Aisha. – Może przycisnął długopis na tyle mocno, że litery odbiły się na kartce pod spodem. Przynieś go...

Wróciła i zaczęła przeglądać spalone papiery przy szafce. Był tam tylko jeden notes. Zwęglona masa spalonego papieru i metalowa spirala. Nic nie dałoby się z niego odzyskać.

Wysłała Aishy zdjęcie.

– No, Niestety – odpowiedziała dziewczyna. – To potrwa. Jeśli w ogóle coś znajdziemy.

– Nie...

– Dość – warknęła Aisha. – Mam Vosa na drugiej linii. Jęczy mi o swoich problemach.

Fransen wciąż kłóciła się z Van der Bergiem. Nie mogła jej usłyszeć.

Bakker przesunęła się w stronę drzwi.

- Vos jest zawieszony – powiedziała.
- Muszę lecieć – odparła Aisha. – Cześć.

– Włóż do środka – rozkazał mężczyzna z dreadami.

Otwarta torba leżała na podłodze. Zmieściłyby się w niej dwie takie jak ona. Zobaczyła, że wsadzili do środka poduszki i koc i nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

– No już – ponaglił ją, potrząsając głową, a długie ciemne dredy kołysały się z boku na bok. – Uprzedzali, że umiesz być wkurwiająca. Nie teraz, mała. Włóż do środka. Nie jedziemy daleko. Po wszystkich twoich wybrykach...

Schylił się i zajrzał jej w oczy.

– Szef wszystko powiedział. Już nie uciekniesz. Ani z torby. Ani w ogóle.

Wyjął coś z kieszeni. Zobaczyła, że to długi czysty bandaż, taki sam mieli w apteczce w szkole. Zanim zdążyła się odezwać, odwinął kawał, wsadził jej do ust i zawiązał pozostałą częścią. Przez chwilę się dławiła od suchego materiału.

Pchnął ją w stronę otwartej torby.

Natalia uklękła na kocu w środku. Obróciła się. Siedziała chwilę. Potem się położyła.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział. – To nie potrwa długo.

A potem zobaczyła, jak zamek się zasuwa i w jej małym świecie zapadły ciemności.

Potwór.

Tu nie było dla niego miejsca. Ani kawałka.

Stygła mu druga kawa. Pies znudził się już kością. Bert włączył swoją muzykę. Vos tego nie cierpiał. Lubił sam wybierać, czego słucha. Nie, żeby ktoś wybierał za niego. A Golden Earring na pewno nie pasowało do jego nastroju.

Czerwony punkt nie przemieszczał się od dwudziestu minut. Vos nękał Aishę, by sprawdziła, czy wszystko działa. Upierała się, że ze sprzętem wszystko jest OK. A to nie było dobrze. Już powiększył obraz i zorientował się, że czerwony punkt znieruchomiał w knajpcie, do której Hanna najwyraźniej poszła. On tego lokalu nie znał.

Ale znalazł nazwę, a nawet numer telefonu. W akcie desperacji wręcz tam zadzwonił, opisał Hannę, krótkie brązowe włosy, okulary, spytał, czy ciągle tam jest.

– Co ja niby jestem? – spytał mężczyzna, który odebrał. – Biuro informacji?

I rozłączył się.

Vos odprowadził Sama do baru, gdzie Bert zaczął się nad nim rozczulać. Pies prawie nie zauważył, gdy jego pan wymknął się za drzwi i zatrzymał taksówkę sunącą powoli pod lipami na Prinsengracht.

Dziesięć minut wzdłuż kanału i już dotarł na miejsce.

Znowu spojrzął na telefon. Punkt ciągle się nie przemieszczał. Jeszcze raz porozmawiał z Aishą. Coś się działo w sprawie Kuypera i AIVD.

– Smits, ten człowiek z agencji turystycznej, został zastrzelony. Uważają, że zrobił to ten ich poszukiwany terrorysta. Henk Kuyper też tam był.

Próbował to sobie ułożyć w głowie.

– No i nie powinniśmy rozmawiać, prawda? – dodała. – Jesteś pewien, że podłożyłeś to dokładnie tak, jak ci w nocy pokazałam?

Przekazała mu transponder przed Drie Vaten, po tym gdy de Groot ją wtajemniczył. Dopilnowała, by nikt jej nie widział, jak wychodzi z Marnixstraat i rusza w mrok. Przede wszystkim AIVD nie mogła wiedzieć, że Vos nadal pracuje nad sprawą.

– Zrobiłem wszystko, co mówiłaś. Jestem tu, gdzie punkt się wyświetla. Nigdzie jej nie widzę.

Sprawdziła coś w systemie. Spojrzał znowu na telefon. Na mapie wskazana była dokładnie kawiarnia.

– Dokładniej ci już nie pokaże – powiedziała Aisha. – Jeśli jej teraz nie widzisz, to ja nic nie poradzę.

Vos spojrział na ekran, zorientował mapę, po czym wszedł do środka.

Z zakurzonej doniczki na parapiecie okiennym przy stoliku sterczało smętne, zasuszone geranium. Na blacie stały jeszcze dwie filiżanki po kawie. Na jednej widniał ślad szminki. Na drugiej tylko brązowy osad.

Przeszukał umierające pędy.

Między korzonkami znalazł czarny plastikowy krążek.

– Znalazłeś ją? – spytała Aisha.

– Niezupełnie – odrzekł, po czym wyszedł na ruchliwą ulicę i rozejrzał się. Nie zobaczył jej.

Hanna stanęła pod budynkiem na Spooksteeg, po czym zsunęła sweter z nadgarstka i spojrziała na zapisane tam długopisem cyfry. Kod do drzwi. Drugi do windy. Trzy piętra w górę i prosto do jego salonu.

Patrzyła wtedy, jak wstukuje te cyfry. Zapisała je sobie w łazience, po tym gdy ją napiętnował. Ale teraz ich nie potrzebowała, więc wcisnęła guzik dzwonka, poczuła, że piecze ją rana na plecach, i czekała. Ten ślad nigdy nie zejdzie. Przez resztę życia będzie nosiła inicjały tego człowieka.

Wkrótce znalazła się na górze. Usłyszała dobiegające skądś dźwięki nieznannej muzyki. Turek siedział samotnie na kanapie. Tym razem w garniturze. W powietrzu nie unosił się zapach potu ani wody kolońskiej. Cem Yilmaz wyglądał... jak biznesmen. Inne jego oblicze. Tego jeszcze nigdy nie widziała.

– Masz pieniądze? – spytał, gdy tylko weszła.

Kiwnęła głową.

– Muszę je zobaczyć – powiedział.

– Dlaczego?

Pokręcił głową i na chwilę zmrużył oczy.

– Przez to, kim jesteś. Czasami ktoś mnie oszukuje. Nie jest mi z tym lekko. Tym, co mnie oszukują, też nie.

Otworzyła zieloną torbę i wyjęła pudełko Renaty Kuyper po butach DKNY. Z metki na boku można się było dowiedzieć, że w kartonie pierwotnie znajdowały się dziewczęce tenisówki. Kosztowały prawie dwieście euro.

Yilmaz podniósł wieczko i spojrział na starannie ułożone pliki banknotów. Następnie je

przewertował, sprawdzając, czy wszystkie są prawdziwe.

– A więc dobrze. Musimy ufać sobie nawzajem. Tak na przyszłość.

Nie trzeba było podchodzić do szuflady. Pieniądze leżały w równych kupkach na stole. Zielone banknoty o nominale stu euro. Jeszcze nigdy nie miała takiego w ręku.

– Bierzesz to – rozkazał – idziesz po swoją córkę. Jutro, gdy wszystko wróci do normy, omówimy nasze sprawy i robotę, którą wykonasz.

Otworzyła szeroko oczy.

– Sądziłam, że już uzgodniliśmy, jaka to będzie praca.

– Ustaliliśmy – Cem Yilmaz się uśmiechnął – że wszystko, czego zażądam.

Ruchem ręki wskazał pieniądze. Wsadziła je do torby, starannie układając je w środku.

– Dlaczego zmieniaś wygląd? – spytał. – Te okulary...

– Nie chcę, żeby policja mnie śledziła.

– A jeśli wiedzą, jak wyglądasz?

Wyjęła telefon i pokazała mu.

– Wiedzą, że tak wyglądam.

Yilmaz coś burknął. I dodał:

– Na przyszłość nie zmieniaj wyglądu bez mojego pozwolenia. – Podeszedł do niej i potężną dłonią przeciągnął po jej głowie. Brutalnie. Potem ujął w palce kosmyki jej włosów, jakby je kupował. – Blond jest lepszy. Mężczyźni bardziej go pożądamy. Kiedy wrócisz do pracy, z powrotem je pofarbujesz. I zapuścisz.

Hanna po chwili wahania przytaknęła.

– Na razie skończyliśmy – rzekł.

Zarzuciła ciężką torbę na ramię.

– Chcesz wiedzieć gdzie? – spytała. – Albo kiedy?

– Nic nie chcę wiedzieć – warknął. – Po co? Ja tu jestem bankierem. Nic poza tym. Rozumiesz?

Mocno chwycił ją za prawe ramię. Ścisnął ranę, znak, który zostawił na jej skórze.

Skrzywiła się. Ale dla niego za mało. Więc ścisnęła jeszcze mocniej. Poczowała, jak krew zaczyna wypływać spod strupa. Wreszcie musiała załkać z bólu.

– Doskonale – warknął. – Rozumiesz. Idź już. Bądź tu jutro rano. O dziesiątej. Omówimy, co dalej.

W wejściu do biura Smitsa Bakker wzięła na bok Van der Berga. W pomieszczeniach śmierdziało, od dymu, krwi i chemikaliów, których używali technicy. Mirjam Fransen i jej ludzie denerwowali się coraz bardziej. Technicy rozgościli się na długo.

– Chciałbyś mi coś powiedzieć? – spytała.

Przestąpił z nogi na nogę.

– O czym dokładnie?

– O Vosie.

Obejrzał się na Fransen rozmawiającą z kimś cicho przez telefon.

– Niezupełnie.

– Dirk...

Westchnął. Długo, głęboko, jak zawsze.

– Później, dobra? I tak mamy dużo na głowie.

Zadzwoiła znowu na Marnixstraat, ale tam doczekała się tylko uników.

– Więc będzie ryzykował i spróbuje sam przekazać ten okup?

Van der Berg ruchem głowy wskazał ludzi z AIVD. Położył palec na ustach.

– Dlaczego ja się ostatnia o wszystkim dowiaduję? – spytała.

– Może się jakoś... stąd wymkniemy? Bardzo by mi się przydała...

– Kawa – podsunęła.

– Kawa – zgodził się.

Bez słowa szli uliczką. Na Damrak znaleźli jedną z sieciówek. Dwie cappuccino, a Van der Berg skusił się też na bułeczkę cynamonową.

Bakker ostatnio ciężko pracowała nad swoją nieporadnością. Na Marnixstraat stała się ona już legendarna. Niestety i tak przewróciła kawę, gdy chciała wykonać jakiś gest. Gorący płyn rozlał się dokoła.

– Cholera! – krzyknęła.

Van der Berg natychmiast rzucił się na pomoc, zbierał kawę serwetkami.

– To bardzo trudne – stęknęła.

– Noszenie kawy? Kwestia wprawy.

– Miałam na myśli niewiedzę.

Wyrzucił mokre serwetki i machnął lepką bułeczką.

– Tak – przyznał. – Pewnie tak.

Mieli widok na zaułek. Ekipa AIVD wyszła na zewnątrz. Dwoje czy troje paliło. Mirjam Fransen znowu rozmawiała przez telefon. Tak wściekła nie była chyba jeszcze nigdy.

– Cokolwiek Vos kombinuje, mam nadzieję, że szczęście bardziej mu dopisuje niż nam – jęknęła Bakker.

Dworzec Główny. Jedenasta pięćdziesiąt. Vos szedł z rękoma w kieszeniach, głową spuszczoną, próbował zebrać myśli.

Zadzwoiła do niego dwadzieścia minut temu. Powiedziała tylko, że będzie na zewnątrz, tam gdzie stają tramwaje. Nie miał się do niej zbliżać. Komunikowali się przez telefon. To wszystko.

Na myśl o tym, że przekazanie okupu odbędzie się tutaj, Vos czuł rozpacz. Ćwierć miliona ludzi przechodziło codziennie przez Dworzec Główny, kierując się do tramwaju, metra, pociągów i autobusów. Rozległy, studwudziestoletni, typowy flamandzki moloch z czerwonej cegły, mrowisko tuneli, peronów, sklepów, biur przypominał samodzielne miasto.

Hanna Bublik czekała w umówionym miejscu, na powietrzu w zimny jasny dzień. Z zieloną torbą na ramieniu. I mniejszą na lewym. Przebrała się. Czarna kurtka zniknęła, podobnie jak wcześniej długie blond włosy. Zastąpił ją gładki brązowy płaszcz. Teraz jeszcze bardziej wyglądała na nauczycielkę czy urzędniczkę.

Minął ją i stanął przy automatach biletowych.

Wtedy zadzwonił.

– Nie mamy czasu – powiedziała. – On zadzwoni lada chwila. Nie przyprowadziłeś nikogo, prawda?

Jęknął.

– Jestem sam. Jak mówiłem. Tak trudno w to uwierzyć?

Patrzyła na niego z przystanku tramwajowego. Też się rozglądała.

– Tak strasznie chcesz, żeby ci ufać, Vos. Ktoś kiedyś musiał cię bardzo zawieść. – Chwila milczenia. – Albo ty kogoś zawiodłeś.

– Pewnie jedno i drugie – odparł.

– Przykro mi z powodu tej zabaweczki, którą mi podłożyłeś. Mam nadzieję, że nie była droga. Mruknął coś pod nosem.

– Masz wszystko? – spytał.

Odrobinę uniosła zieloną torbę.

– Jeśli spytam, skąd masz resztę, to mi odpowiesz?

– Nie. – Cofnęła się trochę, gdy podjechał w jej stronę autobus. Następnie zerknęła na zegarek. – Zadzwonię, gdy się czegoś dowiem.

Vos kupił sobie kawę w budce. Zastanowił się, jak by to załatwił, gdyby był na miejscu porywaczy. Musieli założyć, że Hanna jest obserwowana, nawet jeśli sama o tym nie wie. Proste rozwiązanie – podejść do mężczyzny w czerni, przekazać mu torbę – nie wchodziło w grę.

Dworce miały wielki plus w postaci tłumów. I wiele innych plusów.

Dla spokoju ducha podszedł do najbliższego automatu i kupił dwa bilety na Schiphol. Oczywisty cel. Jedna z najbardziej uczęszczanych krótkich tras na lotnisko prowadziła właśnie stąd. A bilety oszczędziłyby im zamieszania w pociągu.

Nad budynkiem dworca wznosiły się dwie wieże. Hanna patrzyła to na jedną, to na drugą. Zdziwiona. Większość ludzi też. Na jednej wisiał zegar. Na drugiej tarcza, która wyglądała na zegar, a ku zaskoczeniu podróżnych wskazywała jedynie kierunek wiatru.

Północny, pomyślał Vos. Od zawsze znał ten stały przenikliwy chłód.

Nagle Hanna zatrzymała się, podniosła telefon do ucha. Z oczyma utkwionymi w bruku i stalowych torach słuchała z natężeniem.

Trwało to najwyżej kilka sekund. Potem ruszyła pewnym krokiem do budynku dworca, z telefonem przy uchu.

Patrzył, jak go mija, nawet na niego nie spoglądając. Wtem zadzwoniła.

– On mówi, że muszę złapać pociąg do jakiegoś Vlissingen. Peron piąty. Wagon trzeci. Górny pokład. Odjeżdża za cztery minuty. Gdzie jest to Vlissingen, do cholery?

Trzy godziny jazdy na południe.

– Długa trasa – odrzekł. – Po drodze dużo przystanków.

Schiphol. Haga. Delft. Rotterdam. Middelburg. Mogli ją wysłać wszędzie.

– Hanno, mam bilet, z którego możesz skorzystać.

Szła tak szybko, że ciężko było za nią nadążyć.

– Już mam bilet – odparła.

Peron piąty. Piętrowy pociąg właśnie wjeżdżał.

Było to jedno z połączeń dalekobieżnych. Mnóstwo miejsca. Niezbyt zajęty.

Poszła na górny pokład w trzecim wagonie i usiadła na samym przodzie. On udał się w przeciwną stronę.

Szybkie wysiadanie i wsiadanie. I już się rozlegały komunikaty, że zaraz odjazd.

Wreszcie ruszyli. Vos wziął do ręki pozostawioną przez kogoś gazetę. Udawał, że ją czyta. Rozejrzał się.

Jedenaście osób. Cztery kobiety. Sześciu mężczyzn. Jedno dziecko mniej więcej dwunastoletnie. Chłopiec.

Hanna patrzyła za okno. Z telefonem w ręku.

Natalia mogła się znajdować gdziekolwiek w tym pociągu. Gdyby Vos zarządził zatrzymanie składu na pierwszym przystanku, kazaliby wszystkim wysiąść, sprawdziliby wagony i coś by już wiedzieli.

Vos odłożył gazetę i zastanowił się, jakim cudem jest taki tępy.

Dziewczynki nie ma w tym pociągu. To zbyt oczywiste. Zbyt łatwe do wykrycia. Na pewno znaleźli bardziej skomplikowane rozwiązanie. A kiedy sprawy są skomplikowane, trzeba się do nich zabierać powoli. Zaczekać, aż się wyłoni obraz. Przeanalizować go. Zastanowić się, co dalej.

Do następnej stacji, Sloterdijk, zostało jakieś siedem minut. Potem była Lelylaan.

I przystanek na lotnisku, Schiphol.

Nie wierzył, że pojedą dalej.

Ulica Rapenburg była spokojna i wąska. Stare domy. Jakieś biura. Równy bruk. Jak Zeedijk bez ludzi, neonów i korupcji. Kuyper domyślał się, że to zasadniczo okolica mieszkalna. Nie znał dobrze tej części miasta. Większość ludzi w tej chwili najwyraźniej była w pracy.

Dobre miejsce na kryjówkę.

Kolejne czerwone drzwi. Bardzo podobne do tych w biurze Smitsa. Na dzwonku żadnego nazwiska. I tak zadzwonił. Czekał długą chwilę. Wreszcie usłyszał chrzęst odsuwanych rygli i chrobot klucza przekręcanego w zamku. I zobaczył zaintrygowaną twarz, bez śladu wrogości. Gładko ogolona, raczej niedawno. Na policzkach czerwony ślad po usuniętym zarostcie.

Jakieś pięćdziesiąt lat. Masywny mężczyzna miał na sobie obszerny brązowy sweter, o za długich rękawach, i kremowe spodnie. Wydawał się dziwnie duży. I gruby.

– Henk Kuyper – powiedział. – Proszę wejść...

Gość podążył za człapiącą postacią wąskim korytarzem do niewielkiego pokoju na tyłach. Jedyne okno wychodziło na małe podwórko. Nie było tu żadnych mebli poza biurkiem z komputerem i dwoma krzesłami.

Mężczyzna padł ciężko na jedno z nich. Kuyper usiadł na drugim, naprzeciwko. Z komputera dobiegały wiadomości radiowe. Bardziej o gospodarce. I zamieszkach piłkarskich. Nic poza tym.

– Jestem Khaled – powiedział mężczyzna, wyciągając sflaczałą dłoń.

Kuyper ją uściskał. Ciepła, delikatna i sucha. Od pięciu lat usiłował zbliżyć się do tych ludzi.

Teraz wydawało się to nierzeczywiste.

– Napijesz się?

Z butelki stojącej obok komputera nalał wody do dwóch szklanek. San Pellegrino. Ciepła. Zwietrzała.

– Ale bajzel – powiedział Khaled, kręcąc głową. – Na początku tyle było nadziei. Że może uwolnimy naszego brata Alamy’ego. Naprawimy trochę krzywd.

– Dziewczynka...

– I te twoje propozycje. Córka. Wnuczka potwora. Wydawały się... takie szczodre.

– Myślałem, że się spotkam z Barbonem.

Khaled zmrużył oczy.

– Kto to jest Barbone?

– Proszę – westchnął Kuyper. – Smits powiedział...

– Smits to najemnik. Nieważny. Głupiec. Nie powinien mówić bez pozwolenia.

– Dziewczynka...

– ...nie była twoją córką. Broń, którą miał Bouali... oczekiwaliśmy innej. Oszukałeś nas, Kuyper. To wszystko była gra, prawda? Niebezpieczna. Z którejkolwiek strony patrzeć.

Zachowanie tego człowieka go irytowało.

– Jeśli mnie podejrzewaliście, dlaczego to ciągnęliście?

Khaled ściągnął brwi, zdumiony.

– Z ciekawości. I sądziliśmy, że może coś na tym skorzystamy. Po cóż bowiem innego?

– Staralem się wam pomóc – powiedział Kuyper z naciskiem. – Gdybym chciał was wsadzić do więzienia, co bym tu robił sam?

Mężczyzna siedzący przed nim nadął policzki, po czym rozejrzał się po pokoju.

– Jak to leci w tej waszej sztuce? *Tak, to rozwaga czyni nas tchórzami*<sup>[1]</sup>.

– Tchórz by tu nie siedział – zauważył Kuyper.

– To prawda. Ale rozważny jesteś, prawda? Wszystkich nas ta rozwaga drogo kosztowała. Teraz Barbone jest wściekły. Na ciebie. Na mnie. Na wszystkich. Mówi, że muszę wyjechać z Amsterdamu. Z miasta, które bardzo lubię. Barbonego niełatwo zdenerwować. Życie tu nie jest już bezpieczne. Dlaczego?

– Porwaliście niewłaściwą dziewczynkę. To nie moja wina.

Khaled otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę.

– Różowa kurtka. Blond włosy. – Przesunął wydruk w stronę gościa. – To zdjęcie nam przysłałeś. Tę dziewczynkę porwaliśmy. Proszę, Kuyper. Skończ z tym przedstawieniem. Barbone nie jest głupcem. Przejrzał cię tamtego dnia w parku, gdy tylko cię poznał.

Kuyper spojrział na kartkę. Zdjęcie przedstawiało Natalię Bublik. Zrobił je na ulicy ukradkiem, gdy wracała z matką do domu. Matkę usunął ze zdjęcia. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, to nie miałyby znaczenia.

– Musiałem się pomylić – rzucił cicho.

– Bardzo pomylić – przyznał Khaled. – Skoro nie wiedziałeś, jak wygląda twoje własne dziecko.



Powiedział to jakoś dziwnie.

– Dziewczynka, którą porwaliście, nie ma żadnej wartości – podjął Kuyper. – Jeśli ją wypuścicie...

Ubawione spojrzenie, znowu.

– Zakładasz, że ona ciągle jest u nas. Tyle rzeczy zakładasz. Dlaczego?

– Bo nie wierzę, że uważacie ośmiolatkę za wroga.

Wzruszenie ramion. Następnie Khaled wyjął z prawej kieszeni swetra paczkę papierosów i wytrząsnął z niej jednego. Zapalił. Ręka mu drżała.

– Czego chcesz? – spytał Kuyper.

– Wolności. Powiedz swoim ludziom, że chcę wyjechać. Bezpieczny wyjazd z Holandii. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jestem jak Smits. Zwykły pracownik. Nie fanatyk. Robię to, bo muszę. Moja rodzina siedzi u nich w więzieniu w Iraku. Myślisz, że mam jakiś wybór?

Kuyper milczał.

– Wyczuwam, że obaj jesteśmy zdani na czyjąś łaskę, Henk. Poszukajmy rozwiązania, które będzie korzystne dla obu stron...

Przebłysk nadziei.

– Osobiście się tobą zajmę. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Nie, nie, nie – odrzekł Khaled stanowczo. – Po tych wszystkich absurdach, czy mogę się układać z takimi jak ty? Daj mi kogoś, czyje słowo coś znaczy.

– Moje słowo...

Urwał. Gruby mężczyzna naprzeciwno odchylił się na oparcie i wpatrywał się w niego ubawiony.

– Czego chcesz? – powtórzył Kuyper.

– Sprowadź mi swojego szefa. Kogoś, kto nikogo nie udaje. Nie głupca, który nie widzi własnego cienia. Jeśli usłyszę to z jego ust, będziemy mieli o czym rozmawiać. W przeciwnym wypadku nie. Decyzje zapadły. Zwijamy się, człowieku. Rozumiesz dlaczego?

Pomyślał o tym, jak Mirjam Fransen ucieszyłaby się z tej okazji. I że jak zawsze chciałaby podnieść stawkę.

– Jeśli kogoś sprowadzę, zażądam Barbonego. Całą siatkę.

Znowu wzruszenie ramion.

– Jeśli to mi się opłaci, dam wam, czego chcecie. – Przelotny uśmiech. – To dużo. Uwierz mi. On ciągle tu jest. Inni jego ludzie również.

– Powiedziałeś, że mają twoją rodzinę.

Khaled przechylił na bok wielką głowę, ubawiony.

– Jak to wy mówicie? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Czasami człowiek musi się zatroszczyć o siebie. Nie o innych. Już i tak nie mogę im pomóc.

Henk Kuyper wyjął telefon. Od lat nie dzwonił bezpośrednio do Mirjam Fransen. Musiał więc sprawdzić numer. A potem w ciągu kilku sekund się połączył.

Telefon Hanny zadzwonił już minutę po wyjeździe pociągu z Dworca Głównego. Słyszał

cichy trel z drugiego końca wagonu. Ustawiony na maksymalną głośność. Co dalej?

Krótką rozmowa. Hanna patrzyła za okno, na przesuające się za nim szare miasto.

Przez wagon przeszło dwóch wielkich mężczyzn. Czarne skórzane kurtki. Ponure twarze. Mogli być kimkolwiek. Ale patrzyli. Vos nie odrywał wzroku od gazety. Minęli Hannę, zeszli na dół na drugim końcu wagonu.

To wy, pomyślał Vos i zastanowił się, jak bardzo przydatna może być ta informacja.

Do Sloterdijk zostało jeszcze pięć czy sześć minut. I dalej cztery do Lelylaan. Stamtąd do Schiphol jakieś siedem. Potem pociąg zacznie podróż dłuższymi odcinkami, przez Lejdę na południe.

Wiedział, jak sam by to załatwił. A skoro wiedział, umiał sobie wyobrazić, jak oni to zrobią.

Hanna się rozłączyła, przez chwilę wydawała się zamyślona, a potem zadzwoniła do niego.

– Mam zostawić pieniądze pod siedzeniem i wysiąść na następnym przystanku. Za dziesięć minut odjeżdża stamtąd pociąg do miasta. Piąty wagon. Mówią, że muszę iść na górę i zadzwonię do mnie, jeśli wszystko będzie OK z pieniędzmi.

Sloterdijk. Zostały trzy minuty.

– Vos?

– Zrób to – powiedział.

– Myślisz, że nie oszukają?

– Zobaczymy.

Dwaj łącznicy mogli wysiąść z pociągu dopiero w chwili, gdy zostanie obwieszczony następny przystanek, a on gównem mógł z tym zrobić.

– Jeśli oni mnie oszukają...

– Hanno. Teraz oni rządzą. My musimy się dostosować.

Doskonale to wymyślili. Ktokolwiek prowadził tę operację, mógł mieć ludzi w Lelylaan, sprawdzić, czy jest tam policja. Mogli odjechać, zanim uwolnią dziewczynkę.

Tylko że...

Pociągi.

Zbyt publiczne. Na pewno woleliby trzymać ją w ukryciu do momentu uwolnienia. W takim układzie mniej by ryzykowali.

Jeśli w ogóle mieli uwolnić Natalię.

– Wiesz, co robisz? – spytała.

– Tak samo jak zawsze. Zostaw im pieniądze. Idź na drugą stronę peronu i czekaj na pociąg. Ja idę zaraz za tobą.

– Jeśli oni...

– Wiem – przerwał jej. – Usłyszałem za pierwszym razem.

Van der Berg jadł drugą lepką bułeczkę. Okruchy pokrywały cały stolik.

– Może powinniśmy się zająć sprawą morderstwa – zastanawiała się Bakker.

– Komisarz chce, żebyśmy towarzyszyli naszym kolegom z AIVD. A czego chce komisarz...

– ...tego nie dostanie – przerwała mu. – Nie zauważyłeś? Teraz rządzi tu Mirjam Fransen.

Uśmiechnął się promiennie i stał okruchy.

– Na pewno tak sądzi, no nie?

– A Vos?

Van der Berg nie słuchał. Patrzył w głąb zaułka. Fransen właśnie skończyła rozmowę, wzywała swoich ludzi. Opuszczali biuro Smitsa.

– Coś się dzieje – powiedziała Bakker.

– Cały czas coś się dzieje – Van der Berg dokończył ciastko i wypił resztki kawy. – Pytanie tylko, czy to ważne.

Wstał szybko od stolika i obejrzał się na nią.

– Idziesz?

Bakker chwyciła swoją torbę.

– Dokąd?

Ludzie z AIVD wzywali wozy. Dwa czarne osobowe mercedesy i szara furgonetka.

– Tam, dokąd nas zabiorą – odrzekł.

Pociąg wtaczał się na stację Sloterdijk. Hanna wstała i zeszła przednimi schodami. Miała teraz tylko małą torbę na ramię. W brązowym płaszczu, nowej fryzurze, w okularach wyglądała, jakby szła do pracy w biurze.

Vos wziął swoją gazetę i wysiadł tylnymi schodami.

Nigdzie nie widział mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach. Przeszedł do przodu, minął Hannę, szedł dalej. Patrzył, jak pociąg odjeżdża.

Byli, wracali na górę wagonu.

Pieniądze dostarczone.

Teraz, jeśli to nie było oszustwo, czas na nagrodę.

Zostało dziesięć minut.

Innego dnia, w innych okolicznościach, zrobiłby z tego jawną operację pełną gębą. Zespoły funkcjonariuszy obserwujących dyskretnie, po cywilnemu, w mundurach kolejarzy, z wagonów, peronów i wiaduktów. Czekających przed stacją w samochodach.

Teraz wszystkie te środki były mu niedostępne. Mógł winić AIVD. Pecha. Okoliczności. Ale Vos nie należał do takich ludzi. Głównie winił siebie.

Hanna Bublik usiadła na ławce w zimny pogodny dzień. On oparł się o latarnię i czekał.

Dokładnie o czasie wielki pociąg InterCity wjechał na stację, piszcząc hamulcami, dysząc dymem spod zwalniających kół.

Jedynie garstka ludzi szykowała się, by do niego wsiąść. Wysiadały tylko trzy.

Piąty wagon.

Poszła na górę. Zajęła miejsce na końcu. Pociąg sprawiał wrażenie niemal pustego.

Zadzwonił telefon Hanny.

– Pani Bublik – usłyszała.

Otworzyła szeroko oczy. To nie był Cem Yilmaz. Po prostu mężczyzna użył tych samych słów.

- Zostawiłam pieniądze – szepnęła.
- Wiem.
- W jego głosie słyszała ubawienie.
- Zrobiłam wszystko, co pan kazał – prosiła.
- To też wiem.
- Bawił się nią.
- Gdzie moja córka? – spytała.
- Nie odpowiedział.
- Gdzie?

Wewnątrz torby i z kneblem oddychało się niełatwo. Torba była stara, śmierdziała kurzem i stęchlizną. Natalia leżała zwinięta na cienkim kocu, ciągle ubrana w różową kurtkę, która z każdą godziną stawała się brudniejsza.

Dźwięki.

Próbowała je analizować.

Silnik samochodu. Nie, coś większego. Może furgonetka. Stłumione głosy. W radiu muzyka pop. Drogi. Wyboiste. Na początku jechali powoli, jakby w korku. Potem szybciej.

Świat zewnętrzny się od niej oddalił. Nie miała już pojęcia, ile dni minęło od tamtych dziwnych wydarzeń, kiedy poszły zobaczyć człowieka z długą białą brodą otoczonego dziwnymi zabawnymi stworami o czarnych twarzach, ciągle częstującymi ją słodyczami w siatkach na długich kijach.

Mógł to być sen. Albo dziwny koszmar, niczym ten z potworem. On też poniekąd zniknął. Zupełnie jakby jej życie się redukowało, zapadało, żeby zamienić się w nicość.

Jak długo?

Piętnaście minut. Więcej. Potem się zatrzymali.

Stalowe drzwi otworzyły się ze szczękiem. Usłyszała silny powiew. Jęk samolotu w oddali. Głosy. Dwóch mężczyzn rozmawiało cicho, w języku, którego nie rozumiała.

Mówili o niej. Tego była pewna. Chociaż nie wiedziała, skąd ta pewność płynie.

Kiedy wyciągali torbę, Natalia uderzyła w coś głową. Może w nadkole. Było twarde. Bolało.

Zakwiliła.

– Cicho! – krzyknął jeden z nich po niderlandzku.

Natalia Bublik, lat osiem, nie bała się, tylko się koncentrowała, i może była zaciekawiona. Zwinięła się ciasniej w cuchnącej torbie.

Nieśli ją. Dwóch mężczyzn. Dwóch mężczyzn z torbą.

Zastanawiała się dokąd.

Z dygotem i stukotem z powrotem na Dworzec Główny. Inne pociągi dołączyły do nich, gdy linie się zbiegły.

– Gdzie? – spytała Hanna raz jeszcze.

– Rozejrzyj się – powiedział.

Rozejrzała się. Starsza kobieta. Nastolatka ze słuchawkami na głowie. Vos w kącie, udający, że jej nie widzi.

– Na miłość boską, dałam ci pieniądze. Gdzie ona jest?

– Małe dziewczynki lubią zabawę. Może my też się zabawimy? W chowanego. Miłego dnia, pani Bublik.

Mocno walnęła pięścią w okno. Vos na nią patrzył.

Hanna podeszła do niego i przekazała słowa tamtego mężczyzny.

– Czy to znaczy, że ona jest w pociągu? – spytała.

Kręciła głową nerwowo. Ludzie zaczynali na nią patrzeć.

– Gdzie mam zacząć?

– Hanno...

Wyjął swój telefon. Wcisnął guzik.

– Tutaj jej nie ma – mówiła. – Jak duży jest ten pociąg?

– Hanno... – Dotknął jej ramienia. Ledwie zwróciła na to uwagę. – Na dworcu czekają policjanci. Przeszukamy każdy wagon. Jeśli Natalia tu jest...

– Jeśli? – Patrzyła na niego gniewnie jasnymi oczyma. – Jeśli?!

Taka krótka podróż. Już zwalniali. Nad ich głowami zaczynała się wielka czasza Dworca Głównego. Vos połączył się szybko z centralą, a ta z kolei połączyła go z komisariatem na dworcu. Poprosił, żeby czekali na peronie.

– Nie wierzyłeś, że ją wypuszczą, prawda? – warknęła. – Myślisz, że ona nie żyje.

Chciała się rzucić do biegu, dokądkolwiek.

– Przeszukamy pociąg – powiedział. – Przeszukamy pociąg. Przy odrobinie szczęścia...

– Tacy jak ja nie mają szczęścia, Vos! Nie zauważyłeś?

Nieliczni pasażerowie niemrawo pokonywali schody. Na szarym peronie roіło się od policjantów w mundurach.

Prozaiczna codzienna krzątanina na Dworcu Głównym. Komunikaty. Pożegnania w holu. Ludzie zagubieni i znudzeni, ci niechętni podróży patrzyli nieobecnym spojrzaniem, inni czekali podekscytowani.

– Znajdziemy ją – powiedział Vos.

Bakker bez pytania wsiadła do furgonetki, Van der Berg zaraz za nią. Uśmiechnęła się do siedzących z tyłu dwóch funkcjonariuszy AIVD o kamiennych twarzach.

Ruszyli przez miasto, minęli Dworzec Główny, gdzie na szeregu radiowozów ustawionych przed budynkiem błyskały niebieskie światła, wpadli na spokojną brukowaną ulicę. Zobaczyła nazwę Rapenburg. Spojrzała na Van der Berga. Ten wzruszył ramionami. Dla niego to też było coś nowego, a ludzie z AIVD ani myśleli ich oświecić.

Zatrzymali się przed zwyczajnym ceglanym budynkiem. Ciągłe tylko dwa czarne mercedesy i furgonetka. Siedmiu ludzi z AIVD sprawdziło broń, wsadziło słuchawki do uszu. Bakker i Van der Berg przemieszczali się nieśmiało, starając się nie rzucać w oczy.

Fransen zebrała ludzi za furgonetką, spojrzała groźnie na dwójkę policjantów, jakby się nie liczyli, po czym zrobiła odprawę.

Krótką i rzeczową. Khaled był w środku. Tym razem prawdziwy. Był tam z Henkiem Kuyperem, gotów na układ. Negocjował oczyszczenie z zarzutów w sprawie zajść na Leidseplein i porwania Bublik. Potem ma im podać na talerzu siatkę Barbonego.

– Wierzysz mu? – spytała Bakker.

– Nieważne, czy mu wierzę, czy nie – odparła Fransen. – On sądzi, że usiądziemy do grzecznej rozmowy. – Poklepała w broń siedzącego obok wysokiego funkcjonariusza o ostrych rysach twarzy. Nie zauważyła, że jemu się to nie podoba. – Myli się.

Spojrzała po kolei na każdego ze swoich ludzi.

– Gotowi?

Van der Berg podszedł do drzwi. Już miał położyć palec na dzwonku.

– Nie – powstrzymała go Fransen. – Zrobimy to po swojemu. Chcę mieć wejście.

Spojrzała na wysokiego oficera, tego, którego broni wcześniej dotknęła. Wciąż nie dostrzegała, że on najwyraźniej nie jest pod wrażeniem.

– Wyważcie drzwi – rozkazała.

I już taran rozbijał drzwi w kawałki.

W ciągu dziesięciu minut od wjazdu pociągu na dworzec zdążyli sprawdzić każdy wagon. Żadnych dziewczynek szukających mamy. Nikogo, kto by sprawiał choć trochę podejrzanego wrażenie.

Hanna Bublik wyglądała na pokonaną. Wściekłą i wykończoną.

Vos stał z nią na peronie. Wreszcie zadzwonił do de Groota. Dowiedział się o zamordowaniu Smitsa. Mirjam Fransen sądziła, że ma nowy trop. Ale to był trop w sprawie Barbonego, nie Natalii. Nie przekazała też żadnych szczegółów, aczkolwiek dołączyli do niej Bakker i Van der Berg.

– Przynajmniej coś mają – burknął komisarz. – Przykro mi. Warto było spróbować.

– Jeszcze nie koniec...

– Straciliśmy tę dziewczynkę, prawda? – powiedział de Groot cichym i smutnym głosem. – Ciężko mi to mówić. Bóg raczy wiedzieć...

– Nie – przerwał mu Vos. – Tego nie wiesz. Ja też nie...

– Pieter... Rozumiem, co czujesz.

– Tu chodzi o pieniądze, Frank. Cały czas chodziło o pieniądze, odkąd porywacze przekazali Natalię dalej.

Cisza. De Groot słuchał.

– No i? – spytał wreszcie.

– No i wartościowych rzeczy się nie niszczy. Zasoby...

Handel matką, handel córką. Tak powiedziała Laura Bakker i miała rację.

– Zasoby się ceni – dokończył.

De Groot odpowiedział coś ze współczuciem.

– Muszę iść – zakończył rozmowę Vos i wrócił do Hanny Bublik.

Płakała. Tak jak płacze twarda, dzielna kobieta. Łzy stały w jej oczach. Otarła je rękawem

nowego brązowego płaszcza. Zachowywała się, jakby robiła coś wstydliviego. Nie dałaby im spłynąć po policzkach.

– Hanno, muszę wiedzieć...

– Co?

– Skąd wzięłaś resztę pieniędzy?

Zastanawiała się chwilę.

– Od alfonsa. Obiecałam, że będę dla niego pracować.

– Nazwisko?

Odpowiedziała dopiero po chwili wahania:

– Cem Yilmaz. To...

– Turek. Mieszka na Spooksteeg. Lubi udawać, że prowadzi wyłącznie legalne interesy.

– A to nieprawda?

Ta kobieta wyczuwała kłamstwo na odległość.

– O ile wiem – odparł.

– Myślę, że wysłał kogoś do mojego mieszkania, żeby się włamał i mnie okradł. Próbował mnie zmusić, żebym dla niego pracowała. Zastanawiałam się...

Zamknęła oczy, przez chwilę walcząc z bólem.

– Zastanawiałam się, czy to nie on. Czy może on ją trzyma...

– Dlaczego? Musisz mówić konkretnie. Jeśli mam wystąpić o nakaz...

– Nie wiem! Bez powodu. Odmówiłam mu. Mnóstwo razy. Jemu się to nie podobało. On...

Rozpięła płaszczy, podciągnęła sweter, odsunęła opatrunek i pokazała mu ranę na łopacie.

Inicjały dziwnym pismem: CY.

Opuściła sweter.

Na Marnixstraat pracował niewielki zespół do spraw handlu żywym towarem. Dowodziła nim bystra dzielna kobieta, Lotte de Jonge. Vos zadzwonił do niej, odbębnił gadkę szmatkę i spytał, czy Yilmaz ma jakieś kontakty z przemytnikami ludzi.

Przez kilka sekund słyszał tylko stukot klawiatury.

– Sprawdzam, żeby się upewnić. Nigdy nie mieliśmy żadnej informacji, że pracuje u niego dziewczyna z przemytu. Jest za sprytny, żeby się w to bawić bezpośrednio.

– A porwania?

To nie była jej działka, ale już i tak siedziała w systemie. Niczego nie znalazła.

Poprosił Lotte, by zaczekała, i wrócił do Hanny. Jeszcze raz przeanalizował wszystko, co się wydarzyło pomiędzy nią a Yilmazem. Nie kwalifikowało się to do nakazu, nawet jeśli był na to czas.

– Dobra – powiedział. – A jego ludzie? Kogoś poznałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Jest taka stara menda, która zbiera czynsz. Jerry. Chyba pracuje dla niego.

– Jak ma na...

– Nie znam jego nazwiska! Ma chyba ze sto lat.

Była bliska załamania. Nie mógł do tego dopuścić.

– Taki człowiek jak Yilmaz lubi się trzymać z daleka od wszystkiego, co niebezpieczne. Korzysta z pośredników. Jeśli poznałaś kogoś. Kogokolwiek...

– Ma kolegę – powiedziała, ocierając twarz rękawem. – Bardziej niż kolegę. Mocowali się. – Zastanawiała się chwilę. – Dmitri.

– Potrzebne mi coś więcej niż Dmitri – jęknął błagalnym tonem. – Nazwisko.

– Nie znam nazwiska. To Rosjanin. Tego jestem pewna. Miał takie straszne tatuaże. – Próbowała sobie przypomnieć. – Na brzuchu oczy. Na klatce piersiowej czaszkę w koszu... I na plecach krwawiące serce wpisane w trójkąt.

Przekazał to wszystko kobiecie na drugim końcu.

– Jezu – szepnęła Lotte de Jonge. – To nie wygląda dobrze.

– Dlaczego?

– To rosyjskie tatuaże więzienne. Czaszka oznacza mordercę. Oczy... że to gej. Serce...

Klawisze stukotały, jakby pracowały co siłą.

– Serce? – ponaglił ją.

– Sprawdzam. Serce oznacza, że to pedofil. Chyba kogoś znalazłam. W europejskim systemie jest osoba, która ma takie tatuaże. Zaczekaj, wyślę ci zdjęcie.

Zdjęcie pojawiło się w telefonie niemal natychmiast. Oczywiście z kartoteki więziennej. Pod spodem napis cyrylicą. Vos pokazał je Hannie. Spojrzała na nie i kiwnęła głową.

– Kto to jest, Lotte? – spytał.

– Gorzej być nie może. Dmitri Wołkow. Lat trzydzieści siedem. Męska prostytutka. Wywiad donosił, że przemycał dzieci. Nigdy mu niczego nie udowodniono, oczywiście.

Hanna patrzyła na niego. Świadoma, że coś się dzieje.

– Wiecie może, gdzie ten Wołkow mieszka? – spytał Vos.

– Postaram się dowiedzieć.

Vos usłyszał piknięcie na linii. Spojrzał na ekran. Rozmowa przychodząca. Przełączył się na nią.

– Frank – powiedział, zanim szef zdążył się odezwać. – Myślałem, że się kryjemy.

– Już nie. Chyba znaleźli Khaleda. Chcę, żebyś tam pojechał. Weź wóz.

Bakker i Van der Berg weszli za ludźmi z AIVD. Długim korytarzem do pokoju, robiąc dużo hałasu i zamieszania. Gdy tylko się pojawili, Henk Kuyper wstał i usunął się z drogi.

Zobaczyli mężczyznę. Był wielki. I jakiś niekształtny. Gruby, ale głównie w pasie. Siedział przy biurku, z ramionami splecionymi na piersi, czekał na nich, z papierosem w nieruchomej prawej ręce.

Podniósł wzrok, wściekły, gdy zobaczył, z jaką siłą ma do czynienia.

Wstał, wymachując rękoma i rozrzucając papiery z biurka.

– Co to ma być! – pyskował. – Mówiłem Kuyperowi. Porozmawiam z wami. Mogę być waszym przyjacielem.

Fransen wysunęła się przed swoich ludzi, powiedziała do towarzyszącego jej oficera, tego



wysokiego o ostrych rysach i w czarnym garniturze, żeby go skuli.

Chwila siłowania, Khaled nie miał szans wygrać. Papieros spadł na podłogę. Dużo krzyczał, coś wulgarnego.

Z rękoma na plecach, trzymany przez ludzi z AIVD, nie milkł ani na chwilę.

– Możecie go puścić – poleciła Fransen.

– On proponuje współpracę – powiedział Kuyper. Stał oparty o ścianę, z rękoma splecionymi na piersi. – Myślę, że to pośrednik. Pomagier. Nic poza tym.

– Nic poza tym?! – roześmiał się Khaled.

Pozostali agenci zaczęli rozglądać się po biurze, otwierali szafki, oglądali wszystko uważnie.

Fransen podeszła do Khaleda.

– Daj mi Barbonego – powiedziała – a wsadzę cię w dowolny samolot. Z pieniędzmi w kieszeni. Nowym paszportem.

– Nie zapominaj o Natalii Bublik – dodała Bakker, a Fransen nagrodziła jej trudy paskudnym spojrzeniem.

Khaled mocował się z trzymającym go mężczyzną. Sprawiał wrażenie bardzo rozwścieczonego.

– Kim jest ta kobieta? Mówiłem, Kuyper. Będę się układał z twoim szefem. Nie z jakąś suką...

To się jej nie spodobało. Dосkoczyła do niego. Zbliżyła twarz. Stali pomiędzy krzesłem a biurkiem.

Bakker przyglądała się wszystkiemu uważnie. Próbowwała zrozumieć. Coś tu się nie zgadzało.

– Ja jestem jego szefem, durniu – warknęła Fransen. – Szefem AIVD w Amsterdamie. Podlegam bezpośrednio pod Hagę. Jeśli chcesz układu, to ze mną. Z nikim innym.

Zaczekała, aż dotrą do niego jej słowa.

– Zdejmijcie więc ze mnie te głupie kajdanki – powiedział Khaled.

– Dopiero gdy coś mi dasz. – Zbliżyła się jeszcze bardziej. Niemal go dotykała, a to mu się nie podobało. – Adres. Nazwiska. Żeby ci uwierzyła.

Coś w jego twarzy. Zwątpienie. Nawet strach.

– Zrób to – dodała – a się odwdzięczę. Zrób...

Poruszał rękoma za plecami. Bakker odniosła wrażenie, że widzi coś dziwnego pod grubym swetrem.

Khaled obrzucił pokój szybkim spojrzeniem, jakby coś liczył. Ludzi.

– To zły... – zaczęła Bakker.

Ale Khaled już ruszył. Pochylił się do przodu, pchnął swoje ciężkie ciało na Mirjam Fransen. Przycisnął ją do biurka. Manewrując górną połową ciała, wduszał kobietę w poplamiony drewniany blat.

Szuka przycisku, pomyślała Bakker.

– On ma coś na sobie! – krzyknęła. – Dirk...

Detektyw też już działał. Podobnie jak większość agentów AIVD, którzy wybiegali z małego biura, korytarzem. Pośród nich Henk Kuyper.

Khaled starał się przycisnąć jeszcze raz, tak by wdusić kamizelkę z materiałami

wybuchowymi mocno w kobietę pod sobą.

Najlepszy cel, jaki miał.

Na skutek tych gwałtownych ruchów sweter się podciągnął. Teraz widać było pułapkę przygotowaną do wysadzenia. Kable, ładunki. I Bakker wiedziała, że gdzieś tam jest też włącznik.

Dom stał przy wąskiej mieszkalnej ulicy o nazwie Joop Ijisbergstraat niedaleko stacji Sloterdijk, na której godzinę wcześniej siedziała jej przygnębiona i załamana matka. Wnieśli dziewczynkę do środka w torbie. Rozsunęli zamek. Kazali wyjść i stanąć.

Mężczyzna z dreadami wyszedł. Tak samo inny, którego nie rozpoznała. Został krzepki, zbirowaty osobnik z wyglądającym spod koszulki tatuażem na bicepsie. I dwóch mężczyzn. Dziwnych mężczyzn. Mogliby być braćmi. Nawet jednojajowymi bliźniakami.

Mieli na sobie ciemne garnitury w prążki i skojarzyli się jej z postaciami z komiksu, który czytała w szkole. *Tintin*.

Był po angielsku. Oni też byli Anglikami. Thomson i Thompson. Ci tutaj nie mieli wąsów. Ale byli łysi. Niemal identyczni. Starzy. Pękaci. Usiedli na kanapie i wpatrywali się w nią, jeden mlaskał z aprobatą, drugi się uśmiechał, wydając dźwięki, które chyba miały świadczyć o tym, że są mili.

Przyglądając się jej, trzymali w rękach delikatne filiżanki, w których zanurzali herbatniki.

– Wyjmij jej to z buzi, Dmitri – powiedział ten po lewej. Nazwała go Thomson.

Dmitri posłuchał i kazał jej siedzieć cicho, bo pożałuje.

– Imię? – spytał ten drugi.

– A po co ci imię? – spytał mężczyzna z tatuażem. Natalia znała taki akcent jeszcze z Gruzji. Rosyjski. Jej mama zawsze się wzdygała, gdy słyszała rosyjski akcent.

– Na wypadek, gdyby nas złapano, gdy będziemy z nią jechać do Belgii – odrzekł Thompson.  
– Rozumiem, że masz jakieś dokumenty?

Rosjanin rzucił na stół trzy przedmioty.

– Wybierzcie sobie – rzekł. – Zrobiliśmy je w nocy. Holenderski dowód. Luksemburski. I gruziński.

– Śliczna dziewczynka – powiedział Thomson.

Wychylił się do przodu i popatrzył na nią. Podał ciasteczko. Głodna Natalia sięgnęła po nie. Wówczas on cofnął je szybkim ruchem i wybuchnął śmiechem.

– I łakoma. To dodatkowe koszty. Jak masz na imię? – spytał znowu.

– Mary – odpowiedziała.

Rosjanin warknął coś i spojrzał na nią groźnie.

– Natalia. Jebane Gruziance. Jak im nie zapłacisz, nie powiedzą słowa prawdy.

Thomson znowu zamlaskał. Wtedy włączył się ten drugi.

– Małe dziewczynki, które kłamią – powiedział Thompson.

– Co można z nimi zrobić? – spytał drugi.

– Trzeba być stanowczym – odrzekł pierwszy. – Zawsze. Bądź mądry, ostrożny i nigdy nie spuszczaaj z oka tych małych kokietek.

Drugi spojrział na Rosjanina i spytał:

– Ile?

– Czterdzieści tysięcy.

Obaj wstali jak na zawołanie i strzepnęli ze spodni nieistniejące okruchy.

– Nic dziwnego, że nie podałeś ceny przez telefon. I pomyśleć, że jechaliśmy aż z Gandawy. Po to?!

Znowu obrzucił ją wzrokiem.

– Jest śliczna. Ale bez przesady. I widać gołym okiem, że kłopotliwa. To żadna przyjemność.

Podszedł do okna i odsunął długie, ciężkie kotary. Wyglądało na to, że znajdują się w pokoju od frontu. Był pusty i unosił się tu dziwny zapach. Coś medycznego. Albo jak na sali gimnastycznej.

– I jeszcze to cholerstwo pali tyle ropy – powiedział Thompson.

Wyciągnęła szyję i zdołała wyjrzeć na zewnątrz. Na wąskiej ulicy stał długi, lśniący czarny samochód.

Dopiero po chwili Natalia zrozumiała, co to za pojazd. Karawan. Z tyłu stała błyszcząca prosta trumna.

– Pojedziecie aż do domu na pusto? – spytał Rosjanin. – To może zrobię wam jeszcze herbaty.

Zasłona opadła. Mężczyźni spojrzeli po sobie, nic nie mówiąc.

– Możemy to przedyskutować – dodał Dmitri, odrobinę zdesperowany.

Jedynie drzwi w pokoju były uchylone, prowadziły do salonu. Widziała stąd wejście do domu. Zwyczajny zamek. Taki, który można otworzyć od środka. Jeden szybki skok. Odrobina szczęścia. I już by była na ulicy. Nawet nie miała pojęcia, w jakiej części miasta się znajduje.

– Ta mała myśli o ucieczce. Niezła jest – powiedział Thomson ubawiony. – Niewiarygodne.

Dmitri burknął coś pod nosem i popatrzył na nią groźnie.

– Lepiej jakoś okuliwić dziecko – dodał Thompson. – Oszczędza to wielu kłopotów.

– Okuliwić? – spytał Rosjanin, udając zamachnięcie się młotkiem.

– Dobry Boże – westchnął – Myślisz, że sprzedalibyśmy ją w tym stanie?

Podszedł do Natalii i kazał jej usiąść na którymś krześle przy stole.

Było tak wysokie, że nogi wisały jej w powietrzu. Ten drugi odgarnął zasłony i rozejrzał się po pustej ulicy. Widziała teraz karawan wyraźnie.

Z jego kieszeni wyłonił się szkarłatny przedmiot, wyglądał na jedwabną szarfę. Mężczyzna związał nią Natalii nogi w kostkach.

– No. – Poklepał ją delikatnie po łydce. – Tak lepiej.

Dotknął różowej kurtki. Poplamionej ziemią i pleśnią.

– Ależ to cuchnie – rzekł, krzywiąc się. – Kolejne wydatki. Będziemy musieli to porządnie wyprać.

– Herbata – oznajmił Dmitri. Przygotował napar w kuchni. – Mam świetnego wędzonego łososia. I węgorka. Jeśli jesteście głodni. Wino...

– Och, my zawsze jesteśmy głodni! – oznajmił Thomson z szerokim uśmiechem. – Kiedy jest coś wartego spożycia. Ale niestety, za wino dziękujemy. Prowadzimy.

– A więc przekąski. – Rosjanin znowu wyszedł.

Thomson i Thompson wrócili na kanapę. Ten po lewej objął dłonią podbródek. Ten po prawej zrobił to samo.

– Niemcy – powiedział pierwszy. – Hamburg. Tam by się spodobała.

Drugi pokręcił głową.

– Więcej dostaniemy, jeśli wyekspedujemy ją gdzieś dalej. W ogóle poza Europę. Zatoka Perska. Afryka. – Uśmiechnął się. – Małe blondynki. Wszyscy kochają blond dziewczynki, prawda?

Uśmiech zniknął.

– Tylko że one nie zostają blond. Chyba że je pofarbujesz. Nie sądzisz chyba... – Podszedł do Natalii i przebrał palcami w jej włosach. – Nie. Te są naturalne.

Chwilę milczeli. W kuchni grało radio. Dobiegał też stamtąd szcęk sztućców na talerzach.

– Zawsze to samo – westchnął Thomson. – Jak to zrobić, żeby ryzyko się opłaciło?

Palec podjechał na policzek. Paciorkowe oczy nie odrywały się od Natalii ani na chwilę.

– Zaczynamy od trzech – powiedział cichym, stanowczym głosem. – Idziemy do ośmiu. Dziesięć to maksimum.

– Rozrzutny jak zawsze – odrzekł Thompson. – Zostaw to mnie.

Wrócił Dmitri, niosąc poczęstunek niczym kelner. W pokoju rozszedł się zapach wędzonych ryb.

Natalia spojrzała na niego i powiedziała:

– Mówią, że jesteś głupi, Rosjaninie. Nic ci nie zapłacą. Jeśli...

Rzucił naczynia na stół, dopadł ją jednym skokiem, z uniesioną pięścią.

Thomson i Thompson wybuchnęli śmiechem. Tak żywiłowym, że ocierali łzy z oczu.

Wytatuowany stał nad nią, gotów do ciosu. Ona wysoko podniosła głowę. Spojrzała mu w twarz.

– Przyjacielu – odezwał się Thomson, podchodząc. Chwycił Rosjanina za ramię. – Dmitri. Nie.

Rosjanin uspokoił się odrobinę, powiedział coś w swoim dziwnym gardłowym języku.

– Towar uszkodzony na nic nam się nie przyda – powiedział prądkowany garnitur.

Natalia patrzyła groźnie na całą trójkę. Nieugięta. Wyzywająca.

– Chyba że sami go uszkodzimy – zauważył drugi, po czym sięgnął po odrobinę delikatnego węgorka na ciemnym chlebie.

Van der Berg, choć tęgi, słabo wysportowany, nie był powolny. Dopadł Khaleda pierwszy. Ciągnąc go za kołnierz, rozdzierał brązowy sweter.

Dołączył do niego jedyny pozostały agent AIVD, wielki funkcjonariusz, który spierał się z Fransen.

Bakker widziała, co się dzieje. Khaled ręce miał skute, więc nie mógł sięgnąć do mechanizmu zamontowanego na kamizelce. Wduszając się we Fransen, starał się go odpalić.

Gdyby zdołali go utrzymać...

Khaled wyrzucał z siebie potok wulgarnych obelg, po niderlandzku, po angielsku. Wszystko, co mu ślina na język przyniosła. Wreszcie Van der Berg założył mu haka na szyję, poderwał gwałtownie, zdławił krtań. Fransen wysliznęła się spod niego.

Bakker nosiła multitoola w kieszeni razem z pistoletem. Otworzyła teraz nóż, przecięła szarą wełnę. Rozdarła na przodzie.

Szeregi maleńkich tulejek. Mnóstwo kabli. Agent AIVD nie mógł oderwać od nich wzroku i wiedziała, co znaczy wyraz jego oczu, że materiałów wybuchowych wystarczy do wysadzenia całego budynku.

– Trzymajcie go – powiedziała. A oni trzymali.

Omijając wierzgające rozpaczliwie stopy zamachowca, przysunęła się, przecięła paski na ramionach, a następnie w pasie. Zdjęła z niego kamizelkę. Trzymając ją w dłoniach, cofnęła się.

Mirjam Fransen uciekła w róg pokoju. Zwinęła się bezradnie, przerażona, łapiąc oddech.

Agent AIVD przyszpilił Khaleda do podłogi, wyciągnął broń, przytknął mu do twarzy. I zagroził, że wystarczy choć pretekst do strzału. Jakikolwiek.

Potem, gdy nastroje nieco opadły, przedstawił się jako Blok.

– Dlaczego to nie wybuchło? – spytała Bakker, odwracając kamizelkę w palcach, ciekawa jak zawsze.

Blok wskazał niewielki kwadracik w pasie.

– Płytką naciskowa. Trzeba ją wcisnąć przez kilka sekund, żeby odpaliła. Gdyby nie było tego opóźniacza, można by zapalnik uruchomić przypadkowo.

– To pewnie ma sens...

Podniosła kamizelkę w górę, oglądała kwadracik. Można by odnieść wrażenie, że zamierza go skrupulatnie zbadać.

– Uważaj – ostrzegł Van der Berg.

Wysliznęła się jej z rąk i poleciała w dół.

Blok zaklął, złapał. Spojrzał groźnie na dwójkę policjantów, po czym wezwał jednego ze swoich ludzi, by przyszedł po kamizelkę i wyniósł ją na zewnątrz.

– Jestem niezłama – powiedziała Bakker, uśmiechając się leciutko. – Nadal szukamy dziewczynki, tak swoją drogą. Teraz jesteście nam to winni.

Pokręcił głową.

– Myślisz, że dużo jest tu do znalezienia? Ci ludzie się zwijają. Dlatego zabili Smitsa. – Ruchem głowy wskazał Khaleda, który leżał burkliwy, pokonany u jego stóp. – Dlatego zostawili tego kretyna w prezencie. Żeby mógł zabić tyłu z nas, ilu zdoła. Przykro mi...

– Jeszcze się nie poddajemy – ucięła Bakker.

– Rzeczywiście. To nawet zauważyłem.

W drzwiach pojawiło się więcej osób. De Groot w długim zimowym płaszczu. Vos w swojej kurtce, od progu zadający pytania.

I Hanna Bublik. Nowy płaszcz. Nowa fryzura. Ten sam co wcześniej gniew.

Jedno spojrzenie na jej twarz i Laura Bakker wiedziała, jak udany jest to dzień. Z Vosem podobnie.

Po krótkiej wymianie zdań Vos wiedział już, co się wydarzyło.

Wskazał Mirjam Fransen.

– Aresztujcie ją.

Blok rozdziawił usta. Ale się nie odezwał.

– Kuypera też – dodał Van der Berg. – Też go chcemy.

Fransen już się podniosła z podłogi. Wróciła do formy. Odgrażała się.

– Nikogo nie możecie aresztować! Prowadzimy operację.

– Nie teraz – odparł Vos.

– Jezus! – Chwyciła de Groota za płaszcz, przyciągnęła do siebie. – No chyba nie sądzi pan, że może aresztować oficerów AIVD na służbie, prawda? Jeden telefon...

De Groot wywrócił oczami.

– Nie możecie mnie wsadzić do celi – krzychała Fransen. – Nie zgadzam się.

Komisarz się skrzywił, odwrócił do mundurowych.

– Jak da radę, znajdźcie jej jakąś lepszą. Jak nie... nie szkodzi. Pieter?

Ten klęczał na podłodze, usiłując rozmawiać z leżącym tam mężczyzną. O jakimś Dmitrim Wołkowie. Bezowocnie.

– Pieter – powtórzył de Groot. – Co teraz robimy?

– Jestem jednym żołnierzem spośród wielu! – krzyknął Arab, po czym splunął Vosowi w twarz.

– Szefie – odezwał się Van der Berg.

Vos wstał. Wierzchem dłoni starł plwociny z twarzy. Detektyw stał przy biurku. W dłoni trzymał saudyjski paszport. Pod zdjęciem właściciela widniał podpis Hakim Fakhoury.

– To pewnie w ogóle nie jest żaden Khaled, co? – Van der Berg rzucił paszport na biurko. – Jesteśmy w czarnej dupie.

– Dwa tysiące – powiedział Thompson. – Gotówką. W karawanie leży koperta z taką zawartością. Możesz je dostać od ręki.

Dmitri Wołkow wzniosł oczy do nieba, złożył ręce jak do modlitwy.

– Litości, Boże. Prosiłem, żebyś mi przysłał poważnych ludzi. Nie komedianatów.

Belgowie nie wyglądali na ubawionych.

– Zdejmujemy panu z barków ciężar – zauważył Thompson, wpatrując się w Natalię Bublik siedzącą w milczeniu na krześle, ze szkarłatną szarfą na kostkach. – Widać, że sprawia kłopoty. Nie chce jej pan tu mieć.

Dmitri wskazał talerze, z szeroko otwartymi oczami, błagalnie.

– Dwa tysiące i gratis rybka?

– Węgorz był smaczny – zgodził Thomson. – Łosoś nie za bardzo. Powiedzmy dwa i pół.

– No na miłość boską. – Dmitri ruchem ręki wskazał drzwi. – Żegnam panów. Myślicie, że tylko wy jesteście chętni na ten towar?

Nie poruszyli się.

– Gdyby miał pan miejscowego nabywcę, nie dzwoniłby pan po nas – zauważył Thompson.

– Jesteśmy przecież przyjaciółmi – odparł Rosjanin.

Thomson wyjął z kieszeni wielki telefon i włączył go. Natalia trochę widziała. Czytał artykuł. Nagłówek o niej. Porwanie. Jej zdjęcie w różowej kurtce, na jednej z łodzi.

– My w Belgii też czytamy wiadomości, Dmitri. Przyjaciół wspomnieliby o tych... komplikacjach. To dziecko jest znane policji. Będą jej szukać.

– Gówno tam znane! – krzyknął Dmitri. – Myślą, że ją przetrzymują jacyś pojebani terroryści...

Thomson i Thompson skrzyżowali na piersi swoje prążkowane ramiona i milczeli.

– Piętnaście tysięcy – błagał Dmitri. – Dam wam tysiąc zniżki na następną.

– Trzy – odrzekł Thompson.

– Szef wyznaczył mi dolną granicę. Nie mogę zejść poniżej.

– To dołóż z własnej kieszeni – podsunął Belg. Uśmiechnął się. – Dorabiasz sobie na boku. Nie oszukujmy się.

– Osiem.

– Trzy i pół.

Dmitri sięgnął po kawałek węgorka, podniósł do góry, rozchylił usta i wrzucił go do środka.

– Cztery i pół – dodał Thompson. – Płatne na miejscu. To nasza ostatnia propozycja.

– Świetnie – zgodził się Rosjanin. – Ale zabieracie ją ze sobą. Nie chcę, żeby ta mała suka siedziała tu i tak się na mnie gapiała.

Natalia przechyliła głowę na bok, już miała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Thompson się roześmiał.

– Jak sądzisz, po co wzięliśmy karawan?

Spojrzał na drugiego. Naprawdę są braćmi, pomyślała Natalia. Może bliźniakami.

– Przynies strzykawkę, Jean. Jesteś o wiele delikatniejszy.

– Gdzie ją wsadziłeś? – spytał Thomson.

Tamten westchnął.

– Do trumny. Jak zwykle.

Po czym obejrzał się na Natalię.

– Kupimy ci śliczne nowe ubranka, kruszynko. Ale najpierw musisz pospać. Żadnych awantur, proszę.

Vos znowu zadzwonił do Lotte de Jonge i włączył w telefonie głośnik. Pokój już uprzątnięto, zostało tylko paru detektywów, Bakker, Van der Berg i Hanna Bublik. De Groot odjechał na Marnixstraat z aresztantami. Agenci AIVD kręcili się przed budynkiem, czekając na ludzi z wywiadu, którzy mieli przeszukać biuro w nadziei na znalezienie jakichś ważnych dokumentów albo śladów zaginionego Barbonego.

– Nie mam adresu – odparła stanowczo Lotte de Jonge. – Nie mamy też żadnego powiązania pomiędzy Wołkowem a Cemem Yilmazem. Ani żadnym ugrupowaniem terrorystycznym. Przykro mi, ale...

– Ja go tam widziałam! – przypomniała z przekonaniem Hanna. – Tego samego człowieka, co na waszym zdjęciu.

– To płotka – odparła de Jonge. – Starzejący się chłopak do wynajęcia. Naprawdę...  
Bakker zaczęła coś robić na swoim smartfonie.

– Jeśli dacie mi czas... – powiedziała policjantka na Marnixstraat z odrobiną entuzjazmu.

Nikt się nie odezwał. Bakker coraz szybciej pisała. Wszyscy patrzyli, aż nagle ona podniosła wzrok na Hannę Bublik.

– Mówi pani po rosyjsku? – spytała.

– A co?

– Wołkow to po rosyjsku wilk, prawda?

Hanna ściągnęła brwi.

– No, mniej więcej.

– I jest męską prostytutką. Musi więc działać w sieci. Zobaczcie, co znalazłam...

Śmigała kciukami po ekranie. I podniosła sprzęt, tak żeby widzieli, co się na ekranie pokazuje.

Musieli się stłoczyć, żeby zobaczyć maleńkie litery. Było to twitterowe konto o nazwie @dimka\_volkova. Zdjęcie przedstawiało wyszczerzonego wilka i słowa „Masz pieniądze? Możemy się zabawić”.

– Dimka to zdrobnienie od Dmitri – powiedziała Hanna. – A Wołkowa to żeńska forma od Wołkow.

Bakker przewinęła do wcześniejszych tweetów, aż znalazła jakiś ze zdjęciem. Kliknęła na nie. Ekran wypełnił wizerunek.

Uśmiechnięty mężczyzna ostrzyżony na jeża. Trzymał puszkę piwa i prezentował bicepsy. W jakimś klubie.

– To on – orzekła Hanna.

– Kto ma konto na Twitterze? – spytała Bakker. – Bo ja na pewno nie.

Cisza. Wreszcie Van der Berg westchnął głęboko i wyjął swój aparat.

– To z racji piwa, rozumiecie – powiedział. – Lubimy z kumplami wiedzieć, gdy pojawia się coś nowego.

Zdjęcie profilowe przedstawiało butelkę Chimay Cinq Cents. Nazwa użytkownika to @bier\_stofzuiger.

Piwopij.

Van der Berg wziął głęboki oddech i napisał:

@dimka\_volkova ja mam pieniądze i ktmn. Mnóstwo.

Szukam rozrywki. Gdzie jesteś?

Patrzyli na telefon Laury Bakker.

Czekali.

Thomson nie poszedł prosto po strzykawkę i medykamenty ukryte w trumnie. Wsiadł natomiast do długiego czarnego karawanu, żeby podzwonić. Do kilku osób. Co najmniej do trzech, domyślił się Dmitri.

– Moglibyście chociaż za nią zapłacić, zanim ją odsprzedacie – jęknął Rosjanin.



– Biznes zawsze wymaga działań wyprzedzających – odparł Thompson. – Rozumiesz chyba?  
– Chyba – burknął. Nagle z jego telefonu dobiegł świergot.

Zerknął na tweeta. Zastanawiał się chwilę. Solidna nocna robota mogła mu dać trochę ekstra zarobku. Nie żartował, mówiąc, że Yilmaz wyznaczył dolną granicę. Wynosiła ona pięć tysięcy. Różnicę musiał wyrównać z własnej kieszeni.

Działka ketaminy też by nie zaszkodziła.  
Jego wielkie kciuki pomknęły po ekranie.

@bier\_stofzuiger nie teraz gosciu. zgadamy sie za godzine.

Thomson wciąż siedział w karawanie i patrzył na swój telefon, już miał rozpocząć następną rozmowę.

– No teraz to sobie jaja robicie – jęknął Dmitri.

Van der Berg pokazał im odpowiedź. Vos kopnął w biurko. Hanna Bublik zakłęła.

Bakker wyjęła telefon z palców Van der Berga.

U dołu wiadomości widniał niewielki symbol. Kółko ze wskaźnikiem.

Ruszyła w stronę drzwi. Reszta podążyła za nią, nie wiedząc dlaczego.

– Zostawił lokalizację – zawołała Bakker, gdy wyszła na zewnątrz.

Otwierając mapę, wsiadła na tylne miejsce pierwszego z brzegu wozu policyjnego. Van der Berg i Hanna Bublik wcisnęli się obok niej. Vos usiadł z przodu, obok kierowcy.

Mapa wypełniła cały ekran. Bakker zrobiła zbliżenie.

– Jak dokładnie...? – zaczął Van der Berg.

Pokazała im. Ulica. Szpilka, która biegła przez trzy domy.

– Jest tu – powiedziała. – Joop Ijssbergstraat.

Kierowca włączył światła i syrenę.

– Gdy podjedziemy, masz to wyłączyć – powiedział Vos, kiedy wyskoczyli na drogę.

Marnixstraat.

De Groot wezwał zespół do spraw terroryzmu i przekazał im człowieka aresztowanego na ulicy Rapenburg. AIVD miała się z nimi komunikować.

Kuyper i Mirjam Fransen zostali umieszczeni w sąsiednich celach na całe dwadzieścia pięć minut, zanim zadzwonił telefon.

Usiadł w swoim gabinecie, patrząc na meldunki centrali. Świadom, że Vos jedzie właśnie w okolice Sloterdijk, pod zdobyty adres. Prawdopodobnie była to ich ostatnia szansa.

Z okna swojego gabinetu widział Elandsgracht. I coś, co wyglądało na szkolne przyjęcie – dzieci najwyżej dziesięcioletnie z chichotem szły nad kanałem z kolorowymi paczkami w dłoniach.

Słuchał stanowczego głosu na linii i wiedział, że nie ma co się spierać. Ale odrobina negocjacji...

– Popelniono tu przestępstwa – powiedział, gdy zamilkł człowiek z Hagi. – Spisek. Porwanie. Pewnie mamy też martwe dziecko...

– Tym bardziej należy to wyciszyć – brzmiała odpowiedź. – Nie bądź naiwny, de Groot. Tej bitwy nie masz szansy wygrać.

– Mam warunek.

Człowiek z Hagi jęknął.

– Litości, nie pogrywaj tak ze mną.

– Nie pogrywam. Zgadzasz się na to albo się zdziwisz.

Chwila milczenia.

– No słucham.

Jeden drobiazg. I nic więcej.

Zajrzał do centrali. Vos z zespołem będą na miejscu za kilka minut.

De Groot chyba nie chciał już nic wiedzieć. Miał co do tej sprawy złe przeczucie. Od chwili gdy AIVD ostrzegł go, że ma się trzymać z daleka w niedzielę, zwłaszcza z daleka od Leidseplein. Nie należał do ludzi przesadnie polegających na instynkcie. Była to zwodnicza, zdradziecka droga. Ale od tamtego pierwszego dnia, wiedząc, że służby specjalne krążą cichcem po Amsterdamie, podejrzewał, że to się skończy tak, jak zwykle kończą się te sprawy. W szarej mgłę niepewności, z ofiarami, i to niewinnymi, czekającymi na bilans.

Poprosił centralę, by powiadomiono go, gdy tylko pojawią się jakieś informacje od Vosa. Następnie zjechał windą do aresztu. Mirjam Fransen jeszcze się trzęsła, ale nie mogła ukryć zwycięskiego spojrzenia, gdy kazał ją wypuścić. Henk Kuyper, co dobrze o nim świadczy, wydawał się trochę zawstydzony. Oboje spytali o Barbonego. De Groot powiedział, że to chyba oczywiste, że cholerny ptaszek wyfrunął.

Fransen wygładziła swój garnitur.

– Teraz – zaczęła – gdy ten absurd się skończył, poproszę pełen raport na temat tego, co macie. Ci oficerowie, którzy dla mnie pracowali. Wezwij ich natychmiast. Vosa też...

– Nie.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

– Ty się naprawdę niczego nie uczysz, prawda?

Kuyper zwiesił głowę.

– Ależ owszem – odparł de Groot. – Musisz zadzwonić do Hagi. Mają dla ciebie nowe informacje.

Zamrugała powiekami.

– Informacje?

– To oni cię zatrudniają. Nie ja. Więc niech oni je przekazują.

Wymierzyła w niego chudy palec.

– Jestem szefem AIVD w Amsterdamie. Kiedy o coś proszę...

– Już nie jesteś. – Spojrzał na nią groźnie, potem na Kuypera. – Jeśli zobaczę jeszcze raz wasze twarze na moim komisariacie, to nie ręczę za siebie.

Odwrócił się do strażników, zerknął na telefon.

– Wyprowadźcie ich – polecił.

Krótką, pustą ulicą. Przedmieścia. Wszyscy byli w pracy. Lokalizacja tweeta wypadła pomiędzy dwoma domami. Kierowca przed chwilą wyłączył syrenę i światła w radiowozie. Następnie przejechali powoli ulicą, zerkając na okna, na podjazdy.

Przed jednym z namierzonych domów stał zaparkowany niezdarnie długi czarny samochód. Bakker dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to karawan.

Podjechali i wtedy zobaczyła mężczyznę przy tylnych drzwiach, obok lakierowanej trumny z podniesionym wiekiem, najwyraźniej pustej. Przy trumnie stała czarna lekarska torba. W ręce osłoniętej rękawiczką mężczyzna trzymał strzykawkę. Na ich oczach z jej końca trysnął płyn.

– Niecodzienny widok – zauważył Van der Berg, otwierając drzwi, zanim zdążyli się zatrzymać.

Mężczyzna odwrócił się i rozejrzał. Zamarł, gdy zrozumiał, co się dzieje. Następnie rzucił się na przód pojazdu. Bakker była tam pierwsza, splótła ramiona na piersi. Uśmiechnęła się.

Zaczął coś bełkotać po francusku.

Nadjechał drugi radiowóz, pełen mundurowych. Przekazała im intrygującego grabarza.

Wszyscy już wysiedli. Hanna Bublik i kierowca również. Podeszli ścieżką do uchylonych drzwi najbliższego domu.

Dogoniła ich.

– Lepiej wyciągnij broń – powiedział Vos. – Ja swojej nie mam przy sobie.

Van der Berg doskoczył do drzwi pierwszy, też z wyciągniętą bronią.

– Policja! – krzyknął.

Vos powiedział Hannie Bublik, że musi zostać na zewnątrz.

Psia kupa na maleńkim trawniczku. Zasłony zaciągnięte, choć był to środek dnia. Bakker była pewna, że zapamięta tę chwilę.

I weszli. Van der Berg z wrzaskiem na całe gardło. Widziała go takim pierwszy raz i zdała sobie sprawę: ten człowiek też potrafi być przerażający.

Podobnie jak Vos, jeśli zechciał.

W głębi kulili się dwaj mężczyźni, wstrząśnięci, przestraszeni. Jeden bardzo podobny do grabarza na zewnątrz. W jednej dłoni trzymał drżącą filizankę. W drugiej kanapkę.

Kilka kroków i Van der Berg dopadł tego drugiego, Rosjanina, odwrócił go twarzą do ściany, przycisnął. Skuł go tak szybko, że Bakker poczuła zazdrość. Ona często biedziła się nieporadnie przy tym konkretnym działaniu.

Drobna szczupła postać na krześle.

Poplamiona różowa kurtka. Brudne blond włosy.

Podeszła, pochyliła się, uśmiechnęła.

– Cześć, Natalio – powiedziała. – Na dworze czeka twoja mama. Wszędzie cię szukaliśmy.

Dziewczynka nie zareagowała. Tylko poruszyła nogami. Bakker spojrzała w dół, zobaczyła szkarłatną szarfę zawiązaną w kostkach. Wyjęła nóż, ten sam, którego użyła w biurze Khaleda, przecięła tkaninę.

Dziewczynka wstała. Bakker podała jej rękę.

Natalia nie zwróciła na nią uwagi. Wyprostowana sztywno, poważna wyszła z pokoju, z domu, na trawniczek.

Tam stała Hanna Bublik, nie mogła złapać tchu.

Bakker patrzyła zafascynowana.

W głowie odgrywała tę scenę tyle razy. Emocje odnalezienia. Radość, że dziecko żyje.

Ale zachowywały się nieswojo. Coś zmieniło te dwie istoty. Może na zawsze.

Matka schyliła się, wyciągnęła ramiona. Dziewczynka padła w nie, i tak się trzymały, przez chwilę w milczeniu, potem szepcząc słowa, których Bakker prawie nie słyszała. Zresztą były w obcym języku.

Zostawiła je na długą chwilę. Gdy podeszła, stanęły obok siebie, Hanna trzymając córkę za rękę. Ze łzami w oczach. Które wytarła szybko.

– Musi ją zbadać lekarz – oświadczyła Bakker. – Sprawdź, czy nic jej nie jest.

– Nic jej nie jest. Powiedziała mi.

– Niemniej jednak...

Vos i Van der Berg wyprowadzali z domu dwóch mężczyzn. Przyjechały kolejne radiowozy. Niedługo zrobi się z tego wielkie i ruchliwe miejsce przestępstwa.

Hanna Bublik w tej chwili zapomniała o swojej córce. Patrzyła, jak Rosjanin i grabarz ją mijają, z pochylonymi głowami, z rękoma skutymi na plecach. Bakker pierwszy raz w życiu zrozumiała w pełni powiedzenie „gdyby wzrok mógł zabijać”.

Łzy płynęły krótko. Teraz niemal całkiem zniknęły.

Vos wrócił i patrzył odrobinę zakłopotany, jak zawsze w takich chwilach.

Przykucnął przed dziewczynką, wyciągnął do niej rękę. Uścisnęła ją zdumiona.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Natalio?

Spojrzała na swoją brudną różową kurtkę.

– Chciałabym ubrania – odpowiedziała. – Prawdziwe ubrania. Moje.

Hanna Bublik patrzyła na niego. Pełna obaw. Choć raz w potrzebie.

– Vos... możemy po prostu odjechać?

– Niedługo – obiecał.

Cztery godziny później. Hanna Bublik stała w oknie na pierwszym piętrze Marnixstraat i patrzyła, jak znikają resztki dnia. Zeznania złożone, podpisane. Procesja lekarzy. Specjalistów. Pracowników socjalnych. Troska podyktowana najlepszymi intencjami, ale niechciana. Cały czas nieustępliwie twierdziła, że potrzeba im tylko jednego – czasu. Miejsca. Ucieczki z tego nijakiego szarego budynku, ucieczki od atencji ciekawskich, choć pełnych dobrych chęci obcych ludzi.

Ale zwierzchnicy Vosa by na to nie pozwolili, a ona była mu to winna. Długi należało spłacać. Pieniądze zarabiać. Nic za darmo.

Pediatra zbadał Natalię i orzekł, że nie odniosła obrażeń fizycznych. Była głodna, więc w policyjnej stołówce ochoczo spałaszowała kotlety rybne z frytkami. Ale na tym koniec, i jeśli chodzi o jej kondycję psychiczną, zdumiona psychiatra, którą sprowadzili, stwierdziła, chyba ku swojemu rozczarowaniu, że niewiele ma do orzekania.

Zdrowa, silna psychicznie dziewczynka, powiedziała pani doktor, gdy przeprowadziła szereg badań i zadała Natalii pytania, które dziewczynka uznała za nużące, a wręcz za ewidentnie poniżające.

Hanna by się roześmiała, gdyby miała nastrój. Opowiedziałyby choć część ich historii i spytałaby... A czego się spodziewać?

Potem pojawiła się Laura Bakker z Van der Bergiem, wielkim, radosnym detektywem. Kolejna dwójka, wobec której miała dług.

Vos chciał zamienić z nią słowo na osobności. Bakker i Van der Berg postanowili zabrać Natalię gdzieś na lody. I zaraz potem miały się spotkać. I wreszcie pójść swoją drogą.

Dziwnie było widzieć Natalię, jak wychodzi z dwójką policjantów, niechętnie dając Bakker rękę do potrzymania.

Vos przyniósł kawę. Zabrał Hannę do swojego pokoju. Usiedli przy stole pod oknem. Hanna widziała, jak Natalia z policjantami przechodzi ruchliwą ulicą i dalej Elandsgracht. Chyba się domyślała, dokąd zmierzają.

Odwróciła się do niego.

– Dziękuję – powiedziała.

Skinął głową.

– Nie ma za co. To nasza praca. I mieliśmy szczęście. Wreszcie.

– Tego nauczył cię twój pies, prawda? Nigdy się nie poddawać.

Vos się uśmiechnął. Sympatyczny mężczyzna, chociaż zawsze towarzyszył mu cień melancholii i Hanna zastanawiała się dlaczego.

– Nie oglądaj się za siebie. Nie myśl, że jesteś mały albo się nie liczysz – odrzekł. – I zawsze o tym pamiętaj.

– Znalazłeś pieniądze? – spytała, trochę rozpaczliwie.

Pokręcił głową. Zamknęła oczy. Śmiała się przez chwilę.

– Dlaczego spytałam? Oni w ogóle nie zamierzali wypuścić Natalii, prawda? Ci mężczyźni z pociągu pewnie nie widzieli jej na oczy.

– Myślę, że odbywały się tu dwie osobne transakcje. Wciąż szukamy.

– Więc dlaczego jesteś taki zmieszany? Czego jeszcze ode mnie chcesz?

Zawahała się. Uświadomiła sobie, że trzeba tu dokonać jakiejś transakcji wymiennej.

– Twojego zrozumienia.

– Jestem tanią kurewką, która próbuje wychować córkę. Sama. Nie chcę niczego rozumieć. Chcę mieć spokój i żyć dalej.

Zapadła cisza.

– Sama – powtórzyła. – Kiedy postawicie zarzuty Yilmazowi, uwolnię się, prawda? Mimo że przez resztę życia będę nosiła na plecach znamię tego łajdaka.

Vos przestał się uśmiechać.

– To nie jest takie proste.

Poczuła zimny dreszcz, tym gorszy, że trochę się tego spodziewała.

– Jak to?

– Musimy znaleźć dowód, że on brał w tym udział. Dmitri Wołkow nam tego dowodu nie dostarczy. Milczy jak zakłęty. Ci dwaj Belgowie mieli do czynienia wyłącznie z nim. Nie ma sposobu, żeby ich powiązać z Turkiem. Zupełnie.

Hanna patrzyła przed siebie.

– Gdybym nie widziała tego cholernego Rosjanina u Yilmaza, nigdy byście go nie znaleźli.

Vos skinął głową.

– To wystarczy do wzbudzenia podejrzeń. Ale do dowodu daleka droga. Nie możemy go aresztować, nie mając mocniejszych dowodów. On na pewno o tym wie. Yilmaz osiągnął swoją pozycję, trzymając się na uboczu. Jest w tym dobry.

– To on ją porwał! Kupił ją. Dołożył te swoje pieniądze, żebyśmy wyciągnęła coś od Kuyperów. I zrobił mnie swoją dożywotnią niewolnicą. Co jeszcze...?

– Ja się nie poddam, Hanno – przerwał jej. – Pracujemy nad tym. On nie jest głupcem. Do wszystkiego doszedł dzięki temu, że podkładał innych, żeby poszli siedzieć. Spotykała ich za to nagroda. Ale pewnego dnia...

– Kiedy?

– Może za tydzień. Może za miesiąc. – Spojrzała mu w oczy. – Pewnie nigdy. Nie mam żadnych gwarancji i dlatego...

– A co z waszymi ludźmi? Kuyper porwał moją córeczkę. Tamta kobieta go do tego nakłoniła. Znowu zapadła ta sama cisza.

– Nie mów, że oni też się z tego wykręcą. Przyjechałam tutaj, żeby właśnie takie rzeczy mnie nie spotykały. Nie zniosę tego dłużej.

– To nie są nasi ludzie. My tu... my tu nie mamy całkowitej swobody.

Żał jej go było, chociaż wolałaby nic nie czuć.

– To, co zrobili, było okrutne, bezwzględne. A zrobili to rozmyślnie.

Na chwilę zamknął oczy.

– Ty nienawidzisz okrucieństwa – dodała. – Widziałam to na twojej twarzy. Od samego początku. Więc dlaczego?

– Daj mi czas – poprosił. – Będzie śledztwo. Przerzucanie się oskarżeniami, że ja też mam z tym coś wspólnego...

– Oni porwali moją córkę!

– Wiem. Ale mają przyjaciół. Mówią, że nie zamierzali jej skrzywdzić. Że to ja im wszedłem w drogę. Gdybym nie próbował jej odnaleźć w Westerdok...

– Więc co mamy robić? Siedzieć i wierzyć, że tacy ludzie wiedzą, co jest dla nas lepsze?

– Niektórych spraw nie mogę w tej chwili tknąć – powiedział. – Bardzo żałuję.

Hanna wyczuła jego gniew. To nie pomogło.

– Więc wszystko jest po staremu? Myślałam, że to, co miałam w Gruzji... gdzie byłam uczciwą kobietą bez pieniędzy, bez przyszłości, zamieniłam na coś lepszego tutaj. Że za siedzenie w tych cholernych kabinach mamy zapewnione bezpieczeństwo. Pewność, że Natalia nie będzie musiała przechodzić przez to co ja.

Vos milczał.

– Myliłam się, prawda? – szepnęła. – Idiotka.

– Zapewnimy wam ochronę. I terapię dla Natalii. I dla ciebie, jeśli chcesz.

Patrzyła na niego.

– Nie musisz pracować dla Cema Yilmaza – dodał.

– On sądzi, że jesteśmy jego własnością. Ja. Moja córka. Możesz nas chronić do końca życia?

Vos chciał coś powiedzieć. Urwał.

– Naprawdę nie umiesz kłamać. – Rozejrzała się po pokoju. – Co ty tu robisz, do diabła?

– Staram się – odrzekł. – Zanim wyjdiesz, komisarz chciałby zamienić z tobą słowo. Potem spotkamy się z Natalią. Napijemy się kawy. Drinka. Mam propozycję...

Skrzyżowała ramiona. Brązowy płaszcz był ładny. Lepszy niż stara czarna kurtka.

– Gdzie ja to słyszałam? Ach, już wiem. Wszędzie.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł de Groot. Przepraszał grzecznie.

Nie miała sił się kłócić. Słuchała więc tylko, kiwała głową, uściśnęła mu rękę, gdy już chciał wyjść.

Po czym zeszła na dół z Vosem.

Po wypuszczeniu z aresztu Henk Kuyper wyszedł na Marnixstraat, nawet nie próbował rozmawiać z Mirjam Fransen. Za bardzo była zajęta wściekłymi telefonami do Hagi. Do nowego p.o. AIVD w mieście. Do jego ojca.

Kuyper po prostu poszedł spacerem do centrum i do baru niedaleko Spui.

Usiadł z wielkim kieliszkiem chianti, wpatrując się w swoje odbicie w szybie.

Nie mógł tego dłużej odkładać. Zadzwonił więc do żony. Była w domu. Czekala. Z jednej strony czuła złość, z drugiej ulgę.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Co? Że jestem oszustem? Kłamcą?

Westchnęła.

– Mogłeś mi powiedzieć, że poszedłeś szukać tej dziewczynki. Zrozumiałabym. Też próbowałam pomóc, pamiętasz?

– Ale ty z dobroci. A ja z poczucia winy.

Jęknęła.

– To uzalanie się nad sobą nie pomaga, Henk. Gdzie jesteś?

Podał jej nazwę baru. Poprosiła, żeby się stamtąd nie ruszał i żeby już nie pił. Dziesięć minut później przed wejściem stanął pomarańczowy trójkołowiec, który im kupił. Miejsce z przodu było puste. Weszła do środka, zamówiła wodę mineralną i usiadła przy jego stoliku.

– Gdzie jest Saskia? – spytał.

– Dzisiaj nocuje u koleżanki. Lucy. Angielki. Uznałam, że tak będzie najlepiej.

Wyciągnęła rękę i zabrała mu chianti.

– Dość tego. Wracasz do domu.

– Nie masz więcej pytań?

– W zasadzie nie. – Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego zrobiłem...

– Dlaczego jest nieważne – przerwała. – Cokolwiek zrobiłeś, przede wszystkim... poszedłeś jej szukać. Może ja kazałam wypłacić te pieniądze również z poczucia winy. I Lucas zapłacił z tego samego powodu. Wszyscy zawiedliśmy. Nie możesz winić tylko siebie.

Cisza. Wzięła go za rękę.

– Idziemy – zdecydowała.

Na dworze było zimno. Ludzie sunęli powoli ulicami, robiąc świąteczne zakupy. Patrzyli w jasne witryny sklepów, myśląc o zbliżających się świątach.

– Ty pedałujesz. – Wskazała siodełko. – Ja jadę za friko.

Gdy już wsiadł, wskoczyła do pojemnika na przodzie, umościła się w maleńkim miejscu przeznaczonym dla dziecka, obejrzała się i uśmiechnęła do męża.

Wtedy Henk Kuyper poczuł się lepiej, w zasadzie nie wiadomo dlaczego. Zawrócił trójkołowiec na bruku i ruszył w stronę Herenmarkt. Do domu.

– Piwopij? – spytała Bakker, patrząc, jak Van der Berg podnosi do nosa szklanę mętnego belgijskiego tripleta i wacha go.

– Nie zaczynaj – przestrzegł ją. – Przydało się, prawda?

– Nie pojmuję dlaczego...

Burknął coś, wziął porcję lodów od Sofii Albers, po czym udał się na antresolę, gdzie Natalia bawiła się z psem.

– Truskawkowe, czekoladowe i waniliowe – powiedział, stawiając lody na stole.

Bakker dołączyła do nich i przyglądała się, z jaką ostrożnością i zainteresowaniem dziewczynka reaguje. Była niesamowita. Nie w tym rzecz, że gehenna nie zostawiła na niej śladu. Zostawiła. Niezbędna będzie terapia. Służby socjalne będą na to nalegać. Ale jej mała, chuda postać emanowała niewyobrażalną siłą. Wyglądała na osobę, która po każdym ciosie,



jakkolwiek silnym, stanie na nogi. Tak jak jej matka.

Kamienna odporność sama w sobie pewnie była dobra. Ale nie w wypadku ośmioletniego dziecka.

– Dziękuję – powiedziała Natalia i wyciągnęła do niego rękę ze szmacianą kością Sama.

Delikatnie wsadziła do ust łyżeczkę lodów, jakby każda porcja była drogocenna. W drodze z domu w Sloterdijk Vos zatrzymał się na Negen Straatjes i zabrał ją i jej matkę do jednego z droższych sklepów odzieżowych. Tam brudna różowa kurtka trafiła do torebki dowodowej. Natalia wybrała najtańsze dostępne rzeczy, ignorując protesty Vosa. Nie żeby były tanie tak w ogóle. Potem obie mogły skorzystać z pryszniców na Marnixstraat. Teraz dziewczynka miała na sobie granatową kurtkę dżinsową, dżinsy i czerwony sweter, włosy czyste i uczesane w koński ogon.

Włóczkowa czapka w paski, którą Vos wybrał jej w sklepie, spoczywała w kieszeni. Bakker mogłaby się założyć, że zdaniem Natalii ta czapka jest zbyt dziewczynska. Bakker podzielała tę opinię.

– Słyszałem, że kiedyś będziesz miała pieska – zagaił Van der Berg, siadając. Sam, warcząc, szarpał kość.

– Mamusia tak powiedziała – potwierdziła Natalia.

– A jeśli mamusia coś obiecuje...

Dziewczynka wpatrywała się w niego. Mówił do niej protekcyjnie, a to się jej nie podobało.

Bakker wzięła sobie drugie krzesło. Jak wszystkie inne było z surowego drewna, nieco kulawe, bliskie rozpadu.

– Mamusia będzie przez jakiś czas potrzebowała pomocy – powiedziała. – Naszej pomocy. Twojej.

Natalia Bublik miała wielkie czujne oczy. I spojrzenie, które u kogoś w tym wieku wydawało się nie na miejscu.

– OK – powiedziała, po czym wróciła do lodów.

Vos przyszedł z Hanną Bublik. Sofia Albers powitała oboje uśmiechem.

– Cieszę się, że odzyskała pani córeczkę – powiedziała z za baru, oglądając się na niewielką grupkę na antresoli. – Świetna jest.

– To prawda – przyznała Hanna i zamówiła kawę, a gdy ją odebrała, dołączyła do Natalii. Reszta zostawiła je na chwilę same. Choć i tak rozmawiały po gruzińsku.

– Piwopij? – spytał Vos.

Van der Berg wzniosł oczy do nieba.

– Nie chcę o tym gadać. – Obejrzał się na Bakker. – Już ona dała mi popalić.

Vos wzniosł w toaście swoje piwo i uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo mi się podoba, że ciągle nie wszystko o tobie wiem. Po tylu latach.

To wprawilo go w konsternację.

– Wszyscy mamy tajemnice, Pieter. Nawet ty. Nawet Laura.

– Ja też? – spytała.

Na barze pojawił się talerz serów, wątrobianka i świeżo gotowane jajka. Sofia poprosiła, żeby się częstowali. Na koszt firmy. Nawet kiełbasą i serami.

– Twoja tajemnica – oznajmił, sięgając po jajko i zgniatając skorupkę w pięści – polega na tym, że się pałętasz ze starszymi facetami. Pewnie chodzi o jedzenie.

Nie roześmiała się. Spojrzała tylko na Vosa i powiedziała:

– Musimy pogadać.

– Teraz? – spytał Vos żałośnie.

– Teraz...

– No ale teraz, w tej chwili?

– Pieter...

Urwała. Stanęła przy nich Hanna Bublik. Najwyraźniej czegoś potrzebowała.

– O co chodzi?

– Możemy zamienić słowo na zewnątrz?

Wieczór był prawie mroźny. Vos zerknął na swoją łódź i stwierdził, że zostawił włączone światło. Do prądu był też podłączony sznur kolorowych żarówek, które powiesił baletnicy na szyi. Stara krypa wyglądała odświeżenie.

– Możesz się zająć Natalią przez pół godziny?

– Dlaczego? Myślałem, że chcesz iść do domu.

Na rękach miała rękawiczki. Czarne, skórzane. Wcześniej ich nie zauważył.

– Przypomniałam sobie o Renacie Kuyper. Bardzo się dla mnie postarała. Dla niej to wszystko też było koszarne. Chcę jej podziękować. I przeprosić. Osobiście.

– Możesz to zrobić jutro.

Uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu pojawiło się coś nieoczekiwanego i szczerego. Uświadomił sobie, że do tej pory za każdym razem widział ją otoczoną nimbem tragedii. W tej chwili stała przed nim inna kobieta, która wcześniej pozostawała w ukryciu.

– Mogę. Ale wtedy całą noc nie zmrzyłabym oka, zastanawiając się, co powiedzieć. Muszę to zrobić teraz.

W drodze z dworca omawiał z nią możliwości, które ludzie ze służb socjalnych zapewne jej zaproponują, żeby skończyła z prostytutką. Wsparcie finansowe. Kursy, dzięki którym zdobyłaby zawód. Ona słuchała, niewiele się odzywając.

– Przyjdiesz na spotkanie? Z tymi ludźmi, których umówiłem?

– Oczywiście. I chcę zmienić mieszkanie. Wolę nie zostawać w tym pokoju, zwłaszcza że Cem Yilmaz nadal uważa mnie za swoją własność.

– Powiedziałem, że mogę ci pomóc...

Spojrzała na niego szczerze.

– Wiem, że możesz. I chyba już ci kiedyś to mówiłam. W tym biznesie... tam skąd pochodzę... zawsze się obawiasz mężczyzny, który chce pomóc. Rzadko na końcu okazuje się to dobrym rozwiązaniem. Dla obu stron.

Kiwnął głową i zapewnił, że rozumie.

– To dobrze.

– Jak sądzisz, co będziesz robić? – spytał.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego długich potarganych włosów.

– Mogłabym zostać fryzjerką. I zacząć od ciebie.

Cofnęła rękę.

– Byłabyś w tym dobra.

– Wiem. A fryzjerki zawsze będą potrzebne. Tak samo jak kurwy. Jeszcze raz dziękuję. Pół godziny. Najwyżej trzy kwadransy.

I odeszła przez most Berenstraat, w jasno oświetlony rejon Negen Straatjes, gdzie szybko zniknęła pośród blasku i błyskotek.

U fryzjera w Chinatown zmienił wygląd. Czarne włosy ufarbował na siwo. Następnie pozbył się brody. Minęło dwadzieścia lat, odkąd mężczyzna zwany Khaledem gładko się ogolił. To oznaczało bolesny zarost oraz nadwrażliwe, różowe policzki. Chociaż mniej podrażnione niż jego ego. No i broda odrośnie, gdy on już się znajdzie w bezpiecznym miejscu. Tak jak Barbone siedział teraz na pokładzie samolotu do Kairu, uciekając pod fałszywym nazwiskiem.

Khaled na dobre opuścił De Wallen. Przechadzał się po innej, elegantszej części miasta, myśląc o historii i jak niewiele zmienił się świat. Torba u boku. Ubrania. Dokumenty. Cztery tysiące euro. Pięć tysięcy w uniwersalnej walucie – amerykańskich dolarach. Trzy paszporty, wszystkie wyglądające na autentyczne, a w każdym calu fałszywe.

Jeszcze kilka godzin i wsiądzie do samochodu, który wywiezie go w długą noc przez Belgię. Francję. Do Marsylii. Tam miał przyjaciół. Potem łódź do Afryki Północnej. Tam czeka go wolność.

Broń będzie musiał porzucić, i to też bolało. W torbie na kółkach miał karabin snajperski Remington Modular, zabrany w 2010 roku z rąk zabitego amerykańskiego zwiadowcy, który wpadł za linię wroga w czasie ataku na Mardzę w prowincji Helmand. Potem trafił do Barbonego, a ten mu go przekazał dzisiaj po południu.

Nigdy nie był używany, jeśli nie liczyć treningów, gdy oni dwaj mieszkali w Mediolanie i pojechali do Doliny Aosty w poszukiwaniu odosobnionego miejsca. Zastrzelili kozicę i sarnę.

Teraz czas uciekać. Przegrupować się, zameldować dowództwu i stawić czoło konsekwencjom.

Broń była istnym dziełem sztuki, absolutnie doskonałym, niemal bezgłośnym. Zostawi ją z bólem serca. Opuszczając Amsterdam, całkowicie zmieni tożsamość. Na jakiś czas zostanie lekarzem. Anestezjologiem z jednego z najsłynniejszych szpitali w Londynie.

Jego życie, cały jego świat, zbudowane były na kłamstwach. Po pewnym czasie zrobiło się ich tyle, że nie dało się ich oddzielić od prawdy. Nawet on sam nie umiałby tego zrobić.

Jedyny pewnik stanowiła historia. Otaczała go tu, w Amsterdamie. Przypomniała mężczyźnie o nazwisku Khaled – zresztą tak też się nie nazywał – jak niewiele może zmienić w pojedynkę.

Znalazłszy miejsce, którego szukał, rozejrzał się, zapalił papierosa w ciemności.

Tutaj porzuci torbę na kółkach i cennego remingtona. Potem zgodnie z ustaleniami uda się do niewielkiego hotelu w pobliżu dworca, odbierze samochód.

Misja skończona. Zadanie częściowo wykonane. Nienawidził porażki, czy to własnej, czy cudzej.

Na niewielkim placu zabaw niedaleko pisuaru palił papierosa. Majestatyczny budynek obok niego był jeszcze otwarty. W restauracji roiło się od świątecznych gości. Dziedziniec, na nim pomnik. Znał tego człowieka. Jeszcze jeden Holender, który przemierzał świat w nadziei, że weźmie go w posiadanie. Że tych, którzy byli przed nim, obrabuje z tożsamości i godności. Że będzie jak władca namaszczony przez Boga.

Nazwisko. Nie mógł sobie przypomnieć.

Stuyvesant.

Ponury, surowy człowiek, nieprzyjazny nawet wobec Żydów.

To dopiero ironia, pomyślał, po czym wyrzucił niedopalone marlboro do piaskownicy.

Hanna Bublik nie poszła spotkać się z Renatą Kuyper. Szybkim krokiem dotarła do dzielnicy czerwonych latarni, na Spooksteeg.

Jeden kod do wejścia. Drugi do windy.

Ślady długopisu na nadgarstku nawet nie zdążyły wyblaknąć. Bo i dlaczego? Ostatnie kilka dni wydawało się całą epoką. Ale wyjęte ze straszego kontekstu były niczym. Dla świata dokoła, dla zwyczajnych ludzi w mieście to dni od niedzieli do czwartku. Krótki okres tuż przed świętami. Niedługo o nim zapomną.

Na Spooksteeg podniosła wzrok. Światło w oknie. Żaden kształt nie poruszał się za szybą.

A gdyby się poruszał? Gdyby poruszało się ich kilka? Gdyby on nie był sam, choć o to się modliła?

Zatrzymała się przy przeszkłonych drzwiach i zastanowiła się. To by nic nie zmieniło. Ta podróż już się rozpoczęła. Zaczął ją ktoś inny. Kontynuował Cem Yilmaz. I teraz nie można jej było przerwać.

Pewny siebie, arogancki mężczyzna nie zmienił kodu, i prawdopodobnie w ogóle rzadko to robił.

Pchnęła drzwi, weszła do środka. W środku, w tę mroźną noc, było gorąco, nawet w holu. Zastanawiała się, jaka temperatura panuje na kondygnacjach pod mieszkaniem Yilmaza.

Hanna Bublik podeszła do windy, zerknęła na drugi kod na skórze, wstukała go.

Usłyszała, jak nad jej głową uruchamia się maszyna.

Czy on to usłyszy? A jeśli tak, to czy będzie wiedział, że gość zmierza do niego? Czy uzna, że do któregoś z sąsiadów niżej?

Bezsensowne pytanie. I tak nie znajdzie na nie odpowiedzi.

Nadjechała winda.

Otworzyły się drzwi.

Hanna weszła do środka, wpisała kod, wcisnęła guzik. Wyobraziła sobie pomieszczenie, do którego winda wjeżdża, wyobraziła sobie, jak się otwiera prosto na jego mieszkanie niczym w jakimś filmie.

Miała na sobie rękawiczki. Wyjęła pistolet z torebki, sprawdziła, czy jest naładowany. Próbowała sobie przypomnieć oglądany na YouTube filmik. Jedyne jej szkolenie z użycia broni.

Winda ruszyła. Hanna rozpięła brązowy płaszcz i schowała pod nim pistolet.

I czekała, krótki oddech, myśl skupiona, uważna, zdecydowana.

Renata kupiła kolację w Marqt. Linguini z owocami morza. Butelka białego wina. Też włoskie, ale z niską zawartością alkoholu. Nie mogła go odzwyczczać gwałtownie. Ale wystarczy, że zacznie.

Pod nieobecność Saskii usiedli naprzeciwko siebie przy stole jadalnym przy oknie na pierwszym piętrze. W szybach migotały lampki świąteczne. Odbijały się twarze. Maleńkie żaróweczki rzucały punkty, czerwone, zielone i niebieskie migoczące na ich twarzach.

– Wcześniej się ściemnia – westchnął.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego palce.

– To prawda.

Już od dwóch miesięcy spała w pokoju dla gości. Przenosiła się tam, gdy uznawała, że Saskia już zasnęła. Miała nadzieję, że dziewczynka nic nie zauważy.

Głupie złudzenie. Oczywiście, że zauważyła.

– Dzisiaj zostanę w sypialni – powiedziała.

Odłożył widelec, odstawił kieliszek.

– Pod warunkiem, że chcesz.

– Gdybym nie chciała, nie zostałabym.

– To prawda. – Uśmiechnął się gorzko.

Musieli się zmierzyć z kwestiami praktycznymi. Poradzić sobie z finansami. Przyszłością. Chodząc po mieście, Henk zaczął odczuwać ulgę. Odkąd niby odszedł ze służby w AIVD, znajdował się na ich tajnej liście płac. Większość tych pieniędzy, które zdaniem Renaty pochodziły od teścia, tak naprawdę wypłacało państwo.

Myśląc o tym, uświadomiła sobie, że już wcześniej podejrzewała, że coś jest nie tak. W jego ukradkowości. W zbywanych pytaniach. Teraz, gdy na dobre skończył z tajnymi służbami, będą musieli jakoś wiązać koniec z końcem. Na wsparcie od ojca też pewnie nie mają co liczyć. Lucasowi nie spodobał się pomysł, że jego syn odejdzie ze służby. Wyraził to jasno w krótkiej i lodowatej rozmowie telefonicznej.

– Co zrobimy? – spytała.

– Pójdziemy do łóżka – odrzekł, podnosząc kieliszek. Z nadzieją puścił oko.

– A potem?

Na powrót spoważniał.

– Ja spróbuję znowu być mężem. I lepszym tatą.

– Saskia i tak uważa, że jesteś najlepszym tatą.

– Tylko dlatego, że odsunąłem od niej ciebie. Dziel i rządź. To właśnie zrobiliśmy. A Kuyperowie zawsze...

Jego wzrok powędrował w stronę wielkiego budynku naprzeciwko i pomnika srogiego, starego arystokraty na podwórku. Człowiek, który stracił Nowy Amsterdam i teraz leżał w niszczącym grobie niedaleko Wall Street w Nowym Jorku.

– Henk – powiedziała, sięgając po jego rękę. Ścisnęła mu palce.

Nadal patrzył za okno. Nie mógł przestać. West-Indisch Huis. Mały park. Drzewa. Plac zabaw dla dzieci. To był jego dom, a on całkowicie o tym zapomniał.

Po drugiej stronie w słabym świetle latarni ledwie coś majaczyło, jakiś kształt. Mężczyzna opierał się o metalowe ogrodzenie placu zabaw, trzymał coś w dłoni.

Światła biegały po szkłe. Czerwone, niebieskie i zielone, śliczny wzorek na oknie.

– Henk!

Jej głos był silniejszy, pełen gniewnej trwogi. Tak jak kiedyś.

Kuyper patrzył na siebie... na nich... odbitych w szybie.

Czerwone, zielone, niebieskie.

Jedno z czerwonych światełek było większe od pozostałych. Przeskakiwało szybko, co wydawało się dziwne.

Przesunęło się po nim. W górę, ku skroni.

Hanna wysiadła z windy. Prosto na pokój. Postać na skórzanej kanapie odwróciła się, by na nią spojrzeć.

Cem Yilmaz, nagi od pasa w górę. W rękę kieliszek. Nikogo poza nim. Żadnego zapachu potu. Tylko jakiejś wonnej herbaty.

Stara zielona torba, którą kiedyś, przed wiekami kupiła na Noordermarkt, leżała na podłodze obok niego. Otwarta. Pieniądze kłębiły się w środku, jakby przeliczał wszystkie banknoty po kolei.

Wielki Turek wstał, wściekły jak cholera, wymachując wielką pięścią. Wykrzykiwał jakieś obelgi.

Staął przed nią z twarzą wykrzywioną gniewem.

– Kto cię tu prosił?

Cofnęła się o krok, tak żeby jej nie dosięgnął.

– Obiecałeś, że odnajdziesz moją córkę – powiedziała. – A sam ją więziłeś.

Gniew osłabł na chwilę. Zastąpiło go ubawienie.

– I?

– Dlaczego?

Roześmiał się.

– A dlaczego nie?

Tyle miała determinacji, zanim tu przyszła. Teraz, gdy musiała podjąć decyzję, poczuła, jak wola w niej słabnie.

Nie znajdowała słów.

– Jesteś marną kurwą. Może myślisz, że to poniżej twojej godności.

Z ręką w płaszczu, drżąc, usiłowała chwycić pistolet.

Wychyliła się do przodu.

– Wierz mi. Nie jest. Ale... – Wzruszył ramionami. – Ja mam sześćdziesiąt tysięcy do przodu. Dmitri nie pisnie ani słowa. Ty też nie. Nie ośmielicie się.

Kolejny krok bliżej.

– Nie będziemy się tu oskarżać. Nikt nikomu nie jest nic winien. – Wyciągnął rękę, tłuście paluchy rozstawione szeroko. – Umowa stoi?

Hanna milczała.

Wielka ręka zacisnęła się w pięść. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

Jeszcze jeden krok i już jego ramię sunęło do przodu. Już miał ją chwycić za szyję. Poruszał się z prędkością zgoła nierzeczywistą.

Z pistoletem wyslizgującym się z palców cofnęła się w stronę windy.

Zerwała z dłoni rękawiczkę. Spoconymi palcami chwyciła rękojeść, spust.

Próbowała podnieść ją, wycelować.

Pierwszy strzał.

Poniósł się echem po Herenmarkt, po dziedzińcu starego domu, gdzie amsterdamscy mieszczanie zbierali się niegdyś, by dzielić nowy świat na dogodne i zyskowe kawałki.

Renata Kuyper patrzyła i nie mogła zrozumieć, co widzi.

Jakiś sen. Koszmar powstrzymany na kilka sekund.

Pęknięcie w szybie. Dźwięk rozpryskującego się szkła.

Odkoczył na krzesło, wydając jedno urażone westchnienie.

Padł na luksusowy dywan w jadalni. Głowa roztrzaskana, wszędzie krew, i nie tylko.

Nie wydał żadnego dźwięku. Nie miał czasu krzyknąć. Ani pomyśleć.

Wstała, podniosła rękę do ust. Ruszyła ku niemu.

Wyszeptała:

– Henk?

Pierwszy strzał.

Chybiony.

Cem Yilmaz ryknął. Chwiejnym krokiem ciągle się do niej zbliżał. Uniesione ramię. Wściekły. Zwierzę, nie człowiek.

Jedna myśl.

To właśnie był potwór Natalii. Szedł po mnie, nie po nią.

Zdławił jej szyję w zgięciu łokcia. Palce na szyi. Chwył zapaśnika, który chce wydusić z ciebie życie, a jego wstrętny oddech dyszy niespokojną rozkoszą.

Pistolet znowu zaczął się jej wyslizgiwać z palców.

Usiłowała chwycić powietrze. Z obrzeży zbyt jasnego pokoju zaczynała się wychylać ciemność.

– Wszystko spieprzyłaś, kobieto – warknął. – Wszystko...

Renata Kuyper stała u szczytu stołu, patrząc na zakrwawione ciało męża leżące na podłodze.

Nie poruszał się. Nie oddychał. To, co wpadło w tym momencie do pokoju, całkowicie go zaskoczyło.

Przez wybite okno wdarł się nocny wiatr. Świąteczne lampki dzwoniły o roztrzaskaną szybę.

Zastanawiała się, co robić. Czego dotknąć. Do kogo zadzwonić.

Na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy, za brudną piaskownicą mężczyzna opierał na

metalowym ogrodzeniu długi, dziwny karabin.

Ogolone policzki bolały. Czerwony ogień huczał w głowie.

Niedługo zgaśnie. Zdławiony potrzebą ucieczki, oczyszczeniem przez nieoczekiwaną zemstę.

Mężczyzna zwany niegdyś Khaledem spojrzął przez wizjer remingtona.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył jeszcze kogoś, jakąś postać sztywną i wstrząśniętą. Zastanawiał się chwilę nad sprawiedliwością i przyzwoitością. Nad tym, kto zasługuje na śmierć. A kto nie zasługuje.

Nie myślał długo.

Drugi strzał.

Kobieta w drogiej sukience podskoczyła jak marionetka pociągnięta za niewidzialne sznurki.

Odsunął celownik od oka. Wrzucił broń do piaskownicy.

Wyszedł na Haarlemmerstraat. Czekala go długa przechadzka do Dworca Głównego. A później uwolnienie od tego miasta.

Drugi strzał.

Pistolet wypalił, gdy drżący palec wskazujący walczył ze spustem. Kula mogła trafić wszędzie.

Ale Yilmaz zatoczył się do tyłu, trzymając się za brzuch. Usta otwarte. W oczach wstrząs.

Króla nie można zranić. Król żyje wiecznie.

Już nie.

Trzeci strzał.

Trafił w jego szeroką klatkę piersiową i krew wypłynęła, wylewając się ze świeżej rany, która otworzyła się niczym zamaskowane oko.

Cem Yilmaz padł na kolana, usta sflaczały, żadnych słów, tylko pomruk szoku i gniewu. I bólu.

Czwarty strzał.

Znowu w pierś. Ściana mięśni podskoczyła, ale on dalej klęczał, odchylając się w tył, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

Potwory nie umierają szybko.

Podniosła broń, patrzyła, jak jego zakrwawione usta usiłują coś powiedzieć, wydusić jakąś prośbę.

Stała nad nim i pociągała za spust, aż wszystko ustało.

Van der Berg bawił się z Natalią i Samem. Rzucali między sobą kość z kawałka liny, zapewniając psu ukochaną zabawę.

Truchtał między kulawymi krzesłami i stolikami. Ujadał, piszczał. Nie zwracał uwagi, na co wpada, ile rzeczy przewraca.

Kość wędrowała w tę i z powrotem. Vos i Laura Bakker patrzyli od baru.

Sam, biegnąc do Natalii po zabawkę, dosłownie milimetry od celu stracił równowagę na śliskiej podłodze i przewrócił się na bok, a wtedy wreszcie dziewczynka się roześmiała.



– Dzięki Bogu – powiedziała Bakker. – Nie mogę uwierzyć, że nie zatrzymali jej w szpitalu.  
– Matka nalegała.

Spojrzała na niego.

– A jej nikt się nie ośmieli przeciwstawić.

Podniósł swoją szklankę i powiedział te wszystkie zaplanowane frazy. Dziękuję. I pochwała. I przeprosiny.

– Czy ty mi kiedykolwiek zaufasz? – spytała.

– Już ci ufam.

– Więc dlaczego nie byłam wtajemniczona? Dlaczego musiałam myśleć, że Frank de Groot naprawdę cię wyrzucił?

Spodziewał się tego pytania. Wiedziała, że dobrze je zadać teraz.

– Bo gdyby nam się nie udało, konsekwencje...

– Do diabła z konsekwencjami, Pieter! Myślisz, że się nimi przejmuję?

– Nie. I to kolejny argument za rozwiązaniem, które wybraliśmy.

Rude włosy miała gładko zaczesane w koński ogon. Wciąż wszystko przewracała, ale ta cecha zostanie jej na zawsze. Zasadniczo przez te ostatnie miesiące Laura Bakker złagodniała i dojrzała.

Długim palcem wskazującym dźgnęła go w ramię.

– Nie chroń mnie. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Też tak uważam. – Vos podniósł szklankę i stuknęli się.

Ostatni oddech. Brzmiało to tak, jakby wściekła bestia się poddawała. Spocona, zakrwawiona klatka piersiowa Turka znieruchomiała, a on padł na bok, na zakrwawiony dywan.

Upuściła broń. Zapomniała o rękawiczce. Jeśli będą chcieli, i tak do niej dotrą. Nie nadawała się do tego.

Ani kropla jego krwi nie spadła na zieloną torbę, z którą wsiadła do pociągu, by potem ją zostawić pod siedzeniem. Wepchnęła do środka rozrzucone banknoty. Z tego co widziała, znajdowała się tam cała suma. Sto sześćdziesiąt tysięcy euro.

Następnie podeszła do tej szuflady z bronią, pieniędzmi i biżuterią.

Teraz była zasunięta, ale nie zamknięta na klucz. Wysunęła ją drżącymi palcami. Spojrzała na stosy banknotów. Euro. Dolary. Waluty, których w ogóle nie znała.

Przez te wszystkie lata walki, długiej drogi z Gruzji do Holandii, nigdy nie kradła, dopóki nie poznała tego człowieka. A nawet te kilka banknotów, które wzięła dwa dni temu wraz z bronią, która go zabiła, przyprawiły ją o poczucie wstydu i ból.

Nigdy więcej.

Chwyciła pieniądze, wsadziła je do zielonej torby.

Spojrzała na pozostałe przedmioty. Biżuteria. Zegarki.

Wzięła do ręki naszyjnik od męża, z innego życia w małym domku na przedmieściach Gori, w ich domu. Gdy jeszcze świat stanowił całość, a Natalia była malutka, ich cudowne dziecko, ich skarb, wyglądający przyszłości pełnej miłości i nadziei.

Nie czas na ły. Nie teraz.

Hanna Bublik podniosła srebrny łańcuszek i spojrzała na bursztynowy wisiołek.

Prawdziwy, powiedział tamtego wieczoru, gdy zaskoczył ją prezentem. Kawałek historii. Żywica z prehistorycznych drzew przez tysiące lat zamieniona w cenny klejnot. Czasami pod lśniąca powierzchnią więzły owady. Ale takie okazy były drogie. Jej należał do zwyczajnych. Ale i tak był piękny.

Nigdy więcej, pomyślała, i odłożyła klejnot do szuflady.

Tamto życie się skończyło.

Poszła do łazienki i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Zmyła krew z dłoni. Usunęła kilka plamek z brązowego płaszcza.

Następnie wsadziła pod ramię zieloną torbę, zostawiła broń, zakrwawioną rękawiczkę i ciało Turka. Wsiadła do windy. Wyszła na ulicę, dotarła do Prinsengracht. Równym krokiem wróciła na Jordaan.

– Problem w tym... – zaczęła Laura Bakker, wciąż stukając palcem w kurtkę Vosa.

W drzwiach pojawiła się wysoka znajoma postać. Laura zamilkła.

Frank de Groot wszedł uśmiechnięty. Powiesił swój wielki płaszcz na wieszaku. Wesoło chwycił piwo zaproponowane przez Vosa.

Następnie rozejrzał się i spytał:

– Gdzie pani Bublik?

– Ja chcę do mamy – powiedziała Natalia, przerywając im.

– Oczywiście – odparła Laura. – Mama...

– Mamusia! – krzyknęła mała.

Przez wielką szybę widzieli, jak po drugiej stronie ulicy Hanna Bublik lawiruje wśród pojazdów, mniej więcej na wysokości łodzi Vosa.

Brązowy płaszcz. Już bez okularów. Wyglądała na zmęczoną i smutną.

Vos patrzył, jak uskakuje przed przejeżdżającą taksówką. Zastanowił się.

De Groot, uroczy i ujmujący, otworzył drzwi przed Hanną Bublik.

– Napijemy się – powiedział. – Wiem, że na pewno chce pani odpocząć. Pani i... – uśmiechnął się szeroko do Natalii – pani córeczka. No ale...

Dziewczynka odpowiedziała bladym uśmiechem, przysunęła się do mamy i chwyciła ją za rękę.

– Aresztowaliście kogoś? – spytała Hanna Bublik.

Radosny nastrój de Groota ani trochę się nie zmienił.

– Tego rosyjskiego bandziora. I te dwie belgijskie kreatury. – Kiwnął głową z ważną miną. – Cała trójka długo nie ujrzy światła dziennego.

– A reszta?

– Już ci mówiłem, Hanno – wtrącił się Vos łagodnym tonem. – To musi potrwać. Jutro...

– Jutro – powtórzyła. – Natalio...

Trzymając się za rękę, wyszły na ulicę. Nagle dziewczynka się zatrzymała. Sam podszedł do

drzwi, zawodząc żałościwie, wymachując ogonem, rozczarowany, że zabawa dobiegła końca.

Tego krępującego momentu de Groot nigdy nie lubił. Poprosił Vosa, by się tym zajął, po czym wrócił do rozmowy z Bakker i Van der Bergiem przy barze.

Hanna Bublik zauważyła, jak jej córkę oczarował mały terier.

– Pewnego dnia – powiedziała, gdy Vos podchodził – kupimy takiego.

– Na pewno – rzekł.

Spojrzała na niego. Zdumiona. Może zmartwiona.

– Przepraszam, Vos. Nie chciałam być niegrzeczna. Jestem zmęczona. Obie jesteśmy zmęczone.

– Oczywiście. – Ruchem głowy wskazał torbę. – Wygląda jak torba, którą zostawiłaś w pociągu.

Natalia, wyczuwając jakąś niezręczność, wróciła do drzwi i przykucnęła, żeby pogadać z pieskiem.

– Co takiego? – spytała Hanna, odrobinę za szybko.

– Ale to niemożliwe – dodał Vos od razu. – Wiem...

– Podejrzewasz wszystkich? W każdej chwili?

Nie mógł oderwać wzroku od torby.

– Przepraszam. Głupiec ze mnie.

Westchnęła. Na sekundę zamknęła oczy.

– Renata Kuyper dała mi trochę rzeczy dla Natalii. Zabawki i ubrania, których jej córka już nie potrzebuje. – Wzruszyła ramionami. – To jej torba.

Chwila ciszy.

– Zawsze na służbie. Chcesz sprawdzić?

Patrzyła na niego. Błagalnie.

– Powinienem? – spytał.

– Ja tylko... – Słowa przychodziły jej z ogromnym trudem. Mocniej chwyciła zieloną torbę. – Na miłość boską, Vos, puść nas. Nigdy cię o nic nie prosiłam, tylko żebyś odnalazł moją córkę. A teraz o to.

Odwróciła wzrok i zawołała Natalię. Dziewczynka podeszła od razu, wyciągnęła rękę, obie wpatrywały się w Vosa. Były razem. Tyle zostało z ich rodziny.

– Dobrej nocy – powiedziała Hanna głosem tak cichym, że ledwie zrozumiał jej słowa. – Wiem, co jest dla nas najlepsze. Naprawdę.

Cisza. Ani drgnął. One też.

Nagle ona wyciągnęła rękę i na chwilę dotknęła klapy jego zmiętolonej kurtki.

– Proszę...

– Dobrej nocy – powiedział, na tyle lekko, na ile zdołał. Potem pociągnął się za swoje długie ciemne włosy. – Gdy już się nauczysz strzyc...

W jej oczach pojawiły się łzy. Pożałował, że je wywołał.

– Będiesz moją pierwszą ofiarą. Gratis – szepnęła i odeszła.

Patrzył, jak przecinają most Berenstraat, potem wrócił do Drie Vaten i dołączył do pozostałych.

– O co to chodziło? – spytała Bakker. – Czy może jestem teraz wścibska?

– Zawsze jesteś wścibska. Rozmawialiśmy, co się będzie działo jutro. Hanna spotka się z ludźmi ze służb socjalnych, chce zacząć nowe życie. Nauczy się zawodu. Fryzjerstwa.

– Brawo – rzekł Van der Berg, podnosząc szklankę. – Szkoda takiej bystrej, porządnej kobiety na takie życie. Zwłaszcza z tym draniem Yilmazem nad głową.

De Groot patrzył Vosowi w oczy.

– Powinienem o czymś wiedzieć? – spytał.

– Na przykład?

Sam siadł właśnie u stóp de Groota, trzymając w pysku kość i dopiskując się o uwagę.

– Gdybym miał pewność, nie pytałbym, prawda? – odparł komisarz, szarpiąc za zabawkę.

– Teraz ty stawiasz – zarządził Van der Berg. – Wiem na pewno. Nie pamiętam, kiedy ostatnio...

De Groot burknął coś i wyjął gotówkę. Vos zamówił małe. Bakker podziękowała. Van der Berg przeglądał butelki za barem, wreszcie wybrał coś drogiego z belgijskiego klasztoru.

– Powinniśmy się skupić na tym Rosjaninie i dwóch Belgach – rzekł z naciskiem Vos, gdy de Groot zapłacił. – Postawmy im zarzuty. Niech staną przed sądem. A nuż wrobią Yilmaza. Kuyper i Mirjam Fransen mogą trochę poczekać. Podobnie Hanna Bublik i jej córeczka. Potrzebna im odrobina spokoju.

– To na pewno – przyznał de Groot.

Potem poklepał wszystkich po ramieniu i podniósł swoją szklankę.

– Za Sinterklaasa. W końcu to zamknęliśmy. *Proost*.

Po drugiej stronie kanału zwołniła taksówka. Dwie postaci. Jedna wysoka, jedna niższa, wsiadły do środka z jedną dużą torbą.

– *Proost* – odrzekł Vos i patrzył, jak samochód rusza powoli, niemal w kierunku wskazanym przez wyciągnięte ramię srebrnej baletnicy na jego łodzi.

Na tylnej kanapie taksówki, poza zasięgiem słuchu kierowcy, Natalia ścisnęła mamę za rękę.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– W jakieś ładne miejsce.

Hanna zadzwoniła do jednego z całodobowych biur podróży i dowiedziała się, na które loty są jeszcze miejsca.

Potem zarezerwowała dwa bilety płatne na lotnisku, jeden na nazwisko Natalia Bublik, drugi na panięskie nazwisko, widniejące w jej starym paszporcie. Wiozła go aż z Gori. Widniało w nim gruzińskie nazwisko: Tsiklauri. Miała wrażenie, że należy ono do kogoś innego.

– Gdzieś, gdzie jest ciepło – dodała, rozłączwszy się.

Cypr. Kraj, którego nawet nie umiałyby znaleźć na mapie. Niezbyt dociekliwy w kwestii wiz. Tak jej powiedziały inne wschodnioeuropejskie kobiety pracujące na ulicy.

Musiała odczytać szczegóły ze starego paszportu, żeby zrobić rezerwację. Zawsze ciekawska Natalia zajrzała jej przez ramię. Obie wpatrywały się w kobietę na zdjęciu. Krótkie ciemne

włosy, jak teraz. Twarz o wiele młodsza. Pełniejsza. Mniej stroskana.

– Byłaś ładna – powiedziała dziewczynka.

– Byłam? – spytała Hanna, łkając.

Potarła policzki wierzchem dłoni, udając, że płacze.

To był taki ich żart. Tak jak w dawnych czasach.

– Cały czas jesteś śliczna, mamusiu – powiedziała z mocą dziewczynka i uściskała ją.

Mocno. Obiema rączkami objęła ją w pasie, oparła głowę o brązowy płaszcz. Tuliły się do siebie ciepło.

Na Schiphol, ściskając cenną torbę, odebrały bilety i ruszyły do odprawy. Bliska paniki Hanna zabrała Natalię do toalety, tam wypełniła im kieszenie pieniędzmi. Potem uznała, że to daremny, żaloszny krok. Jeśli ochrona zwróci uwagę na torbę, i tak zostaną zatrzymane i przeszukane.

To wszystko było dla niej nowe. Zrobiła, co jej przyszło do głowy. A później to przemyślała.

I wtedy zmieniła zamiar. Wróciły do toalety. Wyjęły pieniądze z ubrań.

Następnie ruszyły do drogich lotniskowych sklepów. Kupiły ubrania i kosmetyki. Wielką walizkę, za dużą na bagaż podręczny.

W sklepie otwarto walizkę, żeby włożyła do środka nowe ubrania. Ekspedientka była bardzo miła i zaproponowała, że nada ją na bagaż.

Hanna zdjęła z ramienia torbę z wszystkimi pieniędzmi, mówiąc, że może sobie oszczędzić przecież kłopotu i tę torbę też wsadzić do walizki.

Następnie wszystkie trzy ruszyły do odprawy bagażu. Walizka została szybko odprawiona i miała czekać na nie u celu.

Pół godziny do odlotu. Szybki posiłek. Odprawa. Wreszcie weszły na pokład pustawego samolotu.

Dwa miejsca przy oknie. Przy przejściu nikogo.

Gdy samolot już kołował na stanowisko, głowa Natalii opadła na ramię. Hanna ją przytrzymała, z trudem hamując łzy.

Amsterdam okazał się złudzeniem. Oszukiwała się, że poradzi sobie z takim życiem. To wszystko było kłamstwem. Może dlatego przyszedł po nie potwór. Żeby przypomnieć odwieczną prawdę: albo ty ich, albo oni ciebie.

Mogła też tak potraktować Pietera Vosa. Bez trudu. Ale to byłoby okrutne. On sam sobie dokładał. A okrucieństwo było jej obce, tak samo jak jemu.

Miały pieniądze. Może teraz zostanie kelnerką. Albo nauczycielką. Cokolwiek... cokolwiek byle nie ten martwy szary koszmar, który przeżyły.

Samolot ruszył po pasie startowym, wzbił się w czarne niebo, skręcił nad Amsterdamem.

Gdzieś w dole leżało zakrwawione ciało tureckiego zbira, które za dwa dni znajdzie niczego niepodejrzewająca sprzątaczką.

W innej, nieznaney Hannie Bublik części miasta, ciała Henka i Renaty Kuyperów sztywniały w zimnej jadalni, gdy zimowy wiatr wdzierał się między pobrzękującymi światełkami przez wytłuczone okno. Znajdzie ich dopiero Lucas Kuyper następnego ranka, zdziwiony, że nikt nie odbiera jego telefonów.

Znany jako Khaled uciekinier, który wymknął się służbom bezpieczeństwa, przysypiał

w samochodzie jadącym spokojnie autostradą do Belgii.

Pieter Vos leżał na łóżku na swojej zniszczonej łodzi, wpatrując się w sufit. Sam spał w jego nogach.

Ciekawska jak zawsze Natalia wyjrzała przez okno na światła w dole. Grachtengordel, Herengracht, Keizersgracht i Prinsengracht rzucały się w oczy jak świetlny pierścień wokół miasta.

Hanna pomyślała o mężczyźnie, który wiódł samotnicze życie z psem na wodzie.

Vos wiedział, że ona ucieka. A jednak ją puścił.

Była w tym mieście życzliwość i dobroć. Ale człowiek musiał ją znaleźć, zanim jego odszukał potwór. A jej się to nie udało.

– Dokąd lecimy? – spytał senny głosik u jej boku.

– Na południe.

Dziewczynka porzuciła okno i wtuliła się mamie pod ramię.

Na południe.

Wszędzie, byle nie tu.

[1] W. Szekspir, *Hamlet*, przeł. J. Paszkowski.

David Hewson w Wydawnictwie Marginesy





DAVID HEWSON

# DOCHODZENIE

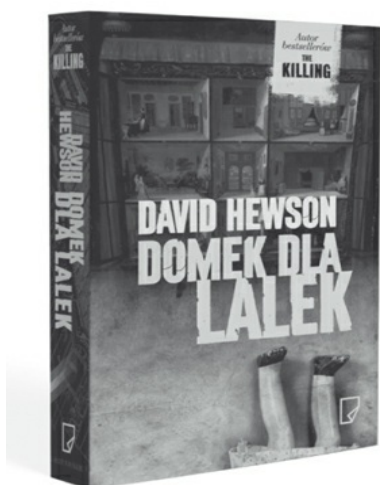
THE KILLING



**Znakomita powieść sensacyjna oparta na kultowym serialu.**

Komisarz Sarah Lund – bezkompromisowa, piekielnie inteligentna, obdarzona niezwykłą intuicją, a zarazem nieco zagubiona w życiu prywatnym – stała się jedną z najpopularniejszych bohaterek najpierw ekranu, potem bestsellerowego cyklu książek THE KILLING. Nigdy nie daje się zwieść pozorom, odsunąć od śledztwa, nie waha się wystąpić przeciwko politykom, potentatom finansowym, koteriom. Działa niestandardowo, ale skutecznie. Częściej znienawidzona niż doceniana, za wszelką cenę dąży do rozwikłania sprawy tajemniczej śmierci młodej pięknej Nanny Birk, seryjnego kopenhaskiego mordercy, porwania córki właściciela wielkiej korporacji.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



## Domek dla lalek

Pierwszy tom z cyklu



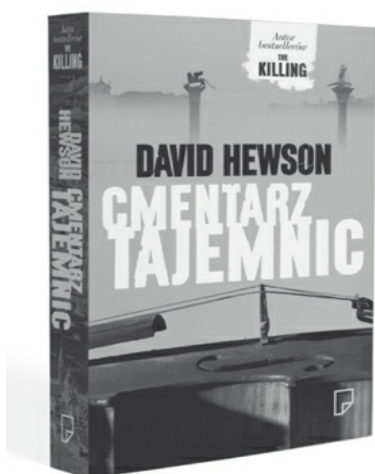
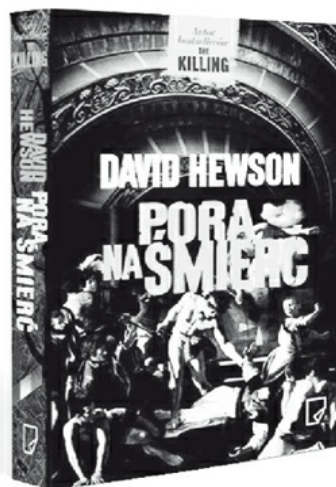
**amsterdamskiego.** Przed trzema laty zaginęła córka detektywa Pietera Vosa, który odtąd godzinami przesiaduje w Rijksmuseum, wpatrując się w domek dla lalek Petronelli Oortman. Po zaginięciu kolejnej nastolatki, córki prominentnego polityka, wraca do służby, by wspólnie z Laurą Bakker, młodą, niedoświadczoną policjantką z prowincji, poprowadzić sprawę.

## Pora na śmierć

Pierwszy tom z cyklu włoskiego.



Rzym, upalne lato. Morderca z niezwykłą starannością odtwarza makabryczne okoliczności śmierci wczesnochrześcijańskich męczenników. Sprawą zajmuje się dwóch rzymskich policjantów — podstarzały i zgorzkniały Luca Rossi i Nico Costa, znawca Caravaggia, wegetarianin i biegacz. Nie wiedzą jednak, jak wielkie podejmują ryzyko.



## Cmentarz tajemnic

**Mroczny świat Wenecji Vivaldiego i brutalna współczesność.** Na starym cmentarzu na wyspie San Michele ekshumowano ciało dziewczyny i wyrwano jej z rąk jakiś przedmiot. Chwilę później ginie strażnik cmentarza, a policjantka zostaje ciężko ranna. Młody naukowiec Daniel Forster przyjeżdża do Wenecji, aby skatalogować bibliotekę kolekcjonera sztuki, wkrótce zostaje wciągnięty w policyjne dochodzenie, w którym przeplatają się wątki pięknej kobiety, weneckiego pałacu i zaginionego arcydzieła.